

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik • 1/2004

Budżet Miasta Łodzi na rok 2004

Wydatki majątkowe wyniosą 277,3 mln zł i będą o 19,1 proc. większe od sum uchwalonych w budżecie miasta na rok 2003.

Udział środków przeznaczanych na potrzeby rozwojowe naszego miasta w wydatkach ogółem wzrośnie o 2 punkty procentowe (czyli o 14 proc.) w stosunku do roku ubiegłego, a o 5 punktów

(czyli o 40 proc.) w stosunku do roku 2002 i osiągnie poziom 16,4 procent.

Zaproponowałem zatem bezprecedensowe w ostatnich latach tempo wzrostu inwestycji i bezprecedensowe ich rozmiary w wymiarze pieniężnym - a w efekcie bardzo radykalną zmianę w strukturze naszych wydatków budżetowych.

(str. 5)

Marzec 1968

Jestem z tą ziemią i z tym krajem związany wszystkim.

Całe moje życie jest deklaracją do tej ziemi. Nigdy bym jej nie opuścił (...)

Nie czułem tu przejawów antysemityzmu (...)

*Jestem Polakiem **pół żydowskiego** pochodzenia.*

*Żona moja jest **aryjką**. Syn 10 - letni nic nie wie jak sprawy wyglądają.*

Wychowuję go w przywiązaniu do ojczyzny (...)

Przez te lata - myślę - demonstrowałem przywiązanie do tej ziemi, do tego kraju, do tej kultury. Do tej ziemi, w której chcę by mnie pochowano (...)

Proszę z całego serca abyście mnie nie karali ze względu na moją rodzinę i dziecko.

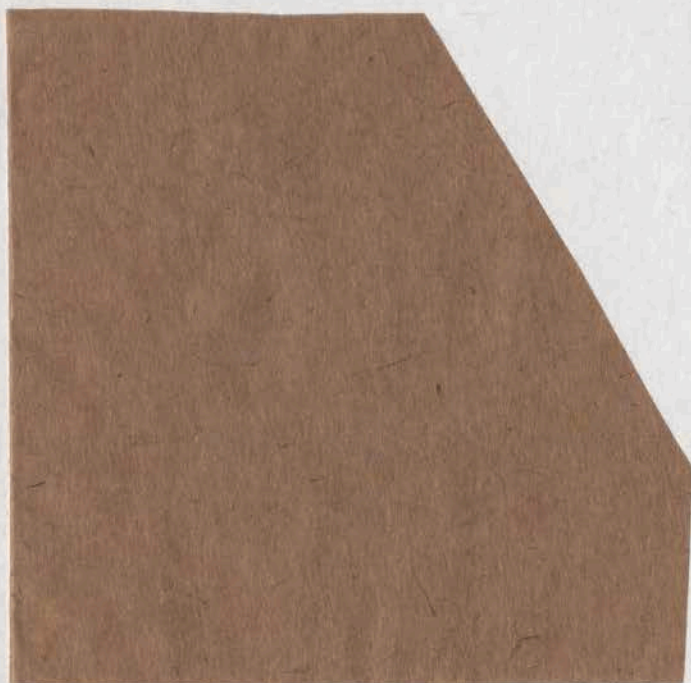
(str. 144)



EX LIBRIS
WOJEWODZKIEJ (MIEJSKIEJ)
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. MARSZAŁKA
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W ŁODZI



I-107230/04



Kronika miasta Łodzi



kwartalnik 1/2004

Łódź 2004

REDAKCJA:

Gustaw Romanowski - redaktor naczelny

Marek Strąkowski - sekretarz redakcji

Małgorzata Golicka-Jabłońska

Mieczysław Gumola

Projekt typografii i okładki - Andrzej Chętko

Skład - Paweł Kawiński

Druk i diapozytywy: BiK Zakład Poligraficzny Spółka Jawna,
90-353 Łódź, ul. Kilińskiego 169

Wydawca: Urząd Miasta Łodzi

Adres redakcji: Biuro Prasowe UMŁ

Kronika Miasta Łodzi 90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 110 (wejście od Al. Schillera)

tel. (42) 638-44-39

e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Budżet Miasta Łodzi na rok 2004	
pierwsze kolumny	5
Odnaleziony wizerunek	
Nauczycielka z Hamburga	
Bohater wydarzeń sprzed stu lat	
nauka	45
Przyroda bogactwem regionu	
Sieć życia	
Zamówienia publiczne na dostawy	
kultura	63
Łódź po-fabryczna	
Historia kultury i tolerancji	
Sztuka na metry	
Galeria ściśle prywatna	
Kuźnia młodych talentów	
Animatorzy kultury	
historia	95
Niechciany bohater	
Oni budowali inteligencją Łódź	
Pod egidą Juliana Tuwima	
„Zeitungi”, „Kuriery”, „Expressy”	
Największy zakręt historii	
<i>z cyklu: czarne dziury, białe plamy</i>	143
Marzec 1968	
Dokumenty bezprawia: SB	
łódzianie	161
Córka swoich rodziców	
Historia komunistycznej hańby	
religie, kościoły, wyznania	173
Religia bez Boga	
osiedla, domy, ulice	183
Znad Adriatyku na Piotrkowską	
str. 185	
jak nas widzą tak nas piszą	191
Widziani z bliska	
kroniki rodzinne	197
Trudna droga do Łodzi	
Z łódzkiego raptularza	212

1. The first part of the report
 2. The second part of the report
 3. The third part of the report
 4. The fourth part of the report
 5. The fifth part of the report
 6. The sixth part of the report
 7. The seventh part of the report
 8. The eighth part of the report
 9. The ninth part of the report
 10. The tenth part of the report
 11. The eleventh part of the report
 12. The twelfth part of the report
 13. The thirteenth part of the report
 14. The fourteenth part of the report
 15. The fifteenth part of the report
 16. The sixteenth part of the report
 17. The seventeenth part of the report
 18. The eighteenth part of the report
 19. The nineteenth part of the report
 20. The twentieth part of the report
 21. The twenty-first part of the report
 22. The twenty-second part of the report
 23. The twenty-third part of the report
 24. The twenty-fourth part of the report
 25. The twenty-fifth part of the report
 26. The twenty-sixth part of the report
 27. The twenty-seventh part of the report
 28. The twenty-eighth part of the report
 29. The twenty-ninth part of the report
 30. The thirtieth part of the report
 31. The thirty-first part of the report
 32. The thirty-second part of the report
 33. The thirty-third part of the report
 34. The thirty-fourth part of the report
 35. The thirty-fifth part of the report
 36. The thirty-sixth part of the report
 37. The thirty-seventh part of the report
 38. The thirty-eighth part of the report
 39. The thirty-ninth part of the report
 40. The fortieth part of the report
 41. The forty-first part of the report
 42. The forty-second part of the report
 43. The forty-third part of the report
 44. The forty-fourth part of the report
 45. The forty-fifth part of the report
 46. The forty-sixth part of the report
 47. The forty-seventh part of the report
 48. The forty-eighth part of the report
 49. The forty-ninth part of the report
 50. The fiftieth part of the report
 51. The fifty-first part of the report
 52. The fifty-second part of the report
 53. The fifty-third part of the report
 54. The fifty-fourth part of the report
 55. The fifty-fifth part of the report
 56. The fifty-sixth part of the report
 57. The fifty-seventh part of the report
 58. The fifty-eighth part of the report
 59. The fifty-ninth part of the report
 60. The sixtieth part of the report
 61. The sixty-first part of the report
 62. The sixty-second part of the report
 63. The sixty-third part of the report
 64. The sixty-fourth part of the report
 65. The sixty-fifth part of the report
 66. The sixty-sixth part of the report
 67. The sixty-seventh part of the report
 68. The sixty-eighth part of the report
 69. The sixty-ninth part of the report
 70. The seventieth part of the report
 71. The seventy-first part of the report
 72. The seventy-second part of the report
 73. The seventy-third part of the report
 74. The seventy-fourth part of the report
 75. The seventy-fifth part of the report
 76. The seventy-sixth part of the report
 77. The seventy-seventh part of the report
 78. The seventy-eighth part of the report
 79. The seventy-ninth part of the report
 80. The eightieth part of the report
 81. The eighty-first part of the report
 82. The eighty-second part of the report
 83. The eighty-third part of the report
 84. The eighty-fourth part of the report
 85. The eighty-fifth part of the report
 86. The eighty-sixth part of the report
 87. The eighty-seventh part of the report
 88. The eighty-eighth part of the report
 89. The eighty-ninth part of the report
 90. The ninetieth part of the report
 91. The ninety-first part of the report
 92. The ninety-second part of the report
 93. The ninety-third part of the report
 94. The ninety-fourth part of the report
 95. The ninety-fifth part of the report
 96. The ninety-sixth part of the report
 97. The ninety-seventh part of the report
 98. The ninety-eighth part of the report
 99. The ninety-ninth part of the report
 100. The hundredth part of the report

Budżet Miasta Łodzi na rok 2004

To jest pierwszy krok we właściwym kierunku

Budżet miasta na dany rok zawsze zależy od wielu czynników. Kształtują go lata poprzednie, bo z nich wynikają aktualne zobowiązania i oczekiwania – a często po prostu konieczności – dotyczące kontynuowania wydatków. Kształtuje go wizja aktualnych władz wykonawczych ale także preferencje członków władzy ustawodawczej. Kształtują go oczekiwania wyborców oraz oceny instytucji zewnętrznych wpływających na opinię instytucji finansowych i potencjalnych inwestorów. Wpływa na jego kształt aktualna sytuacja gospodarcza i stan rynku pracy, ale także nasze oczekiwania co do przyszłości. Budżet jest zawsze zestawieniem wydatków, które uznajemy za konieczne i prognozą określającą możliwości ich sfinansowania. Część wydatków budżetowych jest zdeterminowana przepisami prawnymi określającymi uprawnienia różnych osób i podmiotów życia publicznego. Część dochodów zależy od decyzji organów naczelnych państwa, zaś inna część dochodów i wydatków budżetowych zależy od woli tych, którzy go przedkładają i tych, którzy go uchwalają.

Projekt budżetu na rok 2004 jest pierwszym, który służby finansowe Urzędy Miasta przygotowały na moje polecenie i na moją odpowiedzialność. Budżet na rok 2002, przyjęty i zrealizowany w poprzedniej kadencji Rady został bardzo krytycznie oceniony przez Agencję Ratingową Standard and Poor's – jako zagrażający stabilności finansowej i zdolności kredytowej naszego miasta. Dla odsunięcia groźby obniżenia naszej oceny ratingowej zdecydowałem się na opracowanie i przedłożenie bardzo ostrego programu oszczędnościowego. Mam nadzieję, iż analitycy dokonujący oceny stanu zdrowia finansów Łodzi docenią naszą determinację w ich naprawie. To pierwszy krok na drodze wychodzenia z zapaści finansów miasta. Niestety, konieczne będą kroki następne. Zmiany w polityce finansowej wymagają czasu – wymagają też uporów i konsekwencji.

Dochody Miasta

Przewidujemy, iż dochody, jakie wpłyną do kasy miejskiej będą w tym roku o 4,3% wyższe niż w roku ubiegłym i wyniosą niemal miliard sześćset tysięcy zł – dokładniej: 1.598,1 mln zł. Niestety, musimy tę sumę traktować jako prognozę optymistyczną, choć jest ona wynikiem szacunku dokonanego na podstawie starannie przeprowadzonej analizy źródeł dochodów, zgodnie z obowiązującymi przepisami prawa.

W tym roku obowiązują nowe zasady finansowania zadań miasta z budżetu państwa. Dotychczasowe subwencje i dotacje zastąpione zostały przez zwiększone udziały w podatkach dochodowych (CIT i PIT). Nawet przy optymistycznym traktowaniu wydajności tego źródła dochodów musimy przyjąć, iż staniemy wobec problemu niedofinansowania (w szczególności w obszarze oświaty) rzędu 11 mln zł.

Nie sposób też uwolnić się od obawy, iż kontrolowane przez władze państwowe źródło naszych dochodów (środki pochodzące z udziałów w CIT i PIT) będą niższe od prognozowanych. Z takimi rozbieżnościami między obietnicą a jej realizacją mieliśmy do czynienia w roku ubiegłym i w latach poprzednich.

Wydatki

Wydatki wzrosną nieco wolniej niż dochody (o 3,9%) i osiągną sumę 1.695,1 mln zł. Warto odnotować, iż przyrost wydatków bieżących będzie jeszcze niższy i wyniesie 3,2%. Nastąpi natomiast istotne zwiększenie wydatków przeznaczonych na inwestycję czyli na potrzeby rozwojowe naszego miasta.

Wydatki majątkowe wyniosą 277,3 mln złotych i będą o 19,1% większe od sum uchwalonych w budżecie miasta na rok 2003. Udział środków przeznaczanych na potrzeby rozwojowe naszego miasta w wydatkach ogółem wzrośnie o 2 pkty procentowe (czyli o 14%) w stosunku do roku ubiegłego a o 5 punktów (czyli o 40%) w stosunku do roku 2002 i osiągnie poziom 16,4%. Zaproponowałem zatem bezprecedensowe w ostatnich latach tempo wzrostu inwestycji i bezprecedensowe ich rozmiary w wymiarze pieniężnym – a w efekcie bardzo radykalną zmianę w strukturze naszych wydatków budżetowych.

Większość inwestycyjnych zadań majątkowych została ujęta w **Wieloletnim Programie Inwestycyjnym**. Na zadania objęte tym programem w 2004 r. przeznaczamy kwotę 204,3 mln zł, czyli o 17,5% wyższą niż w roku budżetowym 2003. Udział wydatków inwestycyjnych objętych Wieloletnim Programem Inwestycyjnym osiągnie poziom 73,3%. Jest to najlepsza ilustracja i dowód naszej woli koncentrowania wysiłku inwestycyjnego na zadaniach podnoszących konkurencyjność Łodzi i jej atrakcyjność dla przedsiębiorców – zwłaszcza dla potencjalnych inwestorów. Oznacza to także determinację w dążeniu do terminowego zakończenia tych inwestycji, które od wielu lat obciążają budżet m. Łodzi.

Pozostałe zadania majątkowe o wartości 73,0 mln zł są o 23,8% wyższe niż w budżecie roku ubiegłego. Największe poniesiemy na:

- oczyszczalnię ścieków (GOŚ) – 38,8 mln zł;
- sortownię odpadów komunalnych (śmieci) – 31,0 mln zł;
- modernizację ulic Limanowskiego-Aleksandrowska – 26,6 mln zł;
- modernizację ulicy Zgierskiej – 11 mln zł;
- budownictwo komunalne Olechów-Północ – 11 mln zł.

Szczególnie ważną inwestycją dla naszego miasta, znacznie poprawiającą dostępność komunikacyjną Łodzi a zatem i atrakcyjność dla przedsiębiorców jest projektowana rozbudowa lotniska na Lublinku. Będzie ona realizowana wg nowych zasad. Projekt przewiduje łączenie środków budżetu miasta, środków pomocowych UE i środków inwestorów prywatnych. Takie podejście stwarza szansę na uzyskanie poważnych efektów przy stosunkowo niewielkim obciążeniu budżetu.

Deficyt budżetowy

W projektowanym budżecie wydatki są wyższe od dochodów o 97 mln złotych. Zatem tegoroczny deficyt jest o 2,7 mln zł mniejszy niż ten, który Rada przyjęła w ubiegłym roku. Będzie on stanowił 6,07% dochodów miasta, czyli o 0,43 punktu procentowego mniej niż rok temu. Warto przypomnieć, iż w najniższej ocenianym budżecie naszego samorządu projektowanym na rok 2002 poziom deficytu sięgnął sumy 282 mln zł, stanowiącej aż 18,4% dochodów. To ten właśnie wskaźnik odegrał kluczową rolę w ostrzeżeniach Agencji Standard and Poor's wskazujących na groźbę utraty perspektyw zdolności kredytowej naszego miasta. Wynikiem tamtego ostrzeżenia ale także mojej oceny potencjalnych konsekwencji wysokiego deficytu – na dodatek w niewielkim stopniu wykorzystywanym na potrzeby inwestycyjne – była podjęta pod koniec pierwszego kwartału 2003 roku operacja zmniejszania kwot wydatków. Sięgała ona w poszczególnych pozycjach poziomu 10%. Z tych też powodów w tym roku zaproponowałem dalsze zmniejszenia wielkości deficytu ogólnego i bieżącego. Również w następnych latach będą należał na dalsze ograniczenia w tym względzie.

Zadłużenie

Przewiduję, iż zadłużenie Łodzi na koniec 2004 roku sięgnie 32,8% dochodów miasta ogółem. Przystanie ono zatem narastać a nawet będzie nieco mniejsze od planowanego w roku 2003 (o 0,17 punktu proc.). W połączeniu z jednoczesną propozycją silnego wzrostu wydatków inwestycyjnych – daliśmy tym poważne świadectwo wzrostu poczucia odpowiedzialności władz miasta w obecnej kadencji. Spowolnienie akumulacji długu pozostaje jednocześnie w zgodzie z zaleceniami Agencji Ratingowej i jest poważnym krokiem na drodze do poprawy wiarygodności kredytowej naszego miasta.

Na obsługę długu naszego miasta będziemy musieli wydać w 2004 roku 8,68% dochodów, czyli niemal o cały punkt procentowy mniej niż w roku ubiegłym. To dobry wskaźnik, gdyż przy obowiązującej normie obciążenia obsługi długu (wynosi ona obecnie 15% kwoty długu) obciążenie Łodzi sięga tylko 57,9% tej normy (w ub. roku było to 64,3%).

W bieżącym roku, po raz pierwszy od wielu lat planowana jest nadwyżka operacyjna budżetu. Będzie ona wynosiła 8,6mln zł (0,59% dochodów miasta). Warto przypomnieć, iż w ubiegłorocznym budżecie przewidziano deficyt

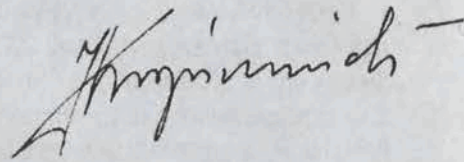
operacyjny rzędu 6,6 mln zł. Łącznie zatem poprawa stanu finansów w tym względzie osiągnie 15,2mln zł czyli ponad 1% w stosunku do dochodów bieżących.

Zatem - podsumowując - w przedłożonym przeze mnie budżecie zawierały się propozycje:

- całkowitej likwidacji deficytu operacyjnego,
- zahamowania wzrostu (a w istocie niewielkiego zmniejszenia) deficytu ogólnego,
- zmniejszenia tempa narastania długu;
- znacznego wzrostu kwoty wydatków majątkowych (inwestycyjnych) oraz ich udziału w wydatkach ogółem;
- koncentracji wydatków majątkowych na tych zadaniach, które podnoszą konkurencyjność i atrakcyjność naszego miasta dla inwestorów.

Nie ukrywam, że jest to program bardzo trudny, ambitny. Ale przy determinacji w decyzjach i konsekwencji w działaniach jest on realistyczny.

Jerzy Kropiwnicki



pierwsze kolumny

Odnaleziony wizerunek

Ślady żydowskie w pejzażu miejskim Łodzi

Piotr Piluk

str. 10

Nauczycielka z Hamburga

Pamięć zapisana w skale

Mieczysław Gumola

str. 22

Bohater wydarzeń sprzed stu lat

Rozmowy z Antonim Michałkiewiczem

Magdalena Starzycka

str. 26

Odnaleziony wizerunek

Ślady żydowskie w pejzażu miejskim Łodzi



Łódź jest to miasto dziwne i nie łatwo je zrozumieć. Wychodząc od słów Zygmunta Baumana, dobrze charakteryzujących Łódź, to miasto, które: „(...) jest wszystkim, tylko nie przestrzenią jednorodną. Jest raczej zbiorem jakościowo odmiennych obszarów o zróżnicowanej i zdecydowanie wybiórczej atrakcyjności.”¹

Ta różnorodność miejskiej scenografii czyni Łódź miejscem niewątpliwie wyjątkowym.

Dwa najbardziej rozpoznawalne i kojarzone z obecnością Żydów fragmenty polskich miast to krakowski Kazimierz – miejsce, które jest i warszawska Dzielnica Północna – miejsce, którego nie ma. Krakowski Kazimierz dzięki procesowi rewitalizacji, trwającemu od kilkunastu lat, zostaje przywrócony miastu.

Dzielnica Północna w Warszawie

to miejsce, które uległo zupełnej destrukcji i istnieje tylko w pamięci. W obydwu przypadkach są to enklawy, będące elementami znacznie większej całości. Zupełnie inaczej jest w Łodzi, będącej jedynym miastem w Polsce, którego oblicze w tak znaczący sposób kształtowali i współtworzyli Żydzi. Takie zjawisko wcześniej nie miało miejsca, dlatego stanowi unikalne świadectwo obecności. Łódź jako nowoczesne, żywiotowo rozwijające się miasto stworzyło ku temu sprzyjające okoliczności, w których jego żydowscy obywatele mogli budować je na równi z innymi. Dzisiaj żydowskie ślady, zauważalne w przestrzeni miejskiej Łodzi, pozwalają przywrócić pamięci utracone elementy tożsamości miasta.

Świadectwa nieobecności

Po wspaniałych łódzkich synagogach, zburzonych przez niemieckich nazistów w latach ostatniej wojny, pozostały jedynie puste place. Owa pustka to również jeden ze śladów żydowskich w Łodzi – nie ma już bowiem ludzi i świątyń, które wzniesli. Synagogi stanowiły centrum świata dla lokalnych społeczności żydowskich, zapewniając im spójność. Określenie synagoga pochodzi z języka greckiego, a jej hebrajskim odpowiednikiem jest bet ha-kneset – obydwa oznaczają miejsce zgromadzeń. Ludzie spotykający się w mieście, zbierający w jego określonych punktach, tworzą tożsamość, która zależy od ich bycia razem – we wspólnocie. W tradycji żydowskiej niezwykle ważny dla funkcjonowania synagogi jest minjan – wymagana liczba dziesięciu dorosłych mężczyzn, dopełniających obowiązku wspólnej modlitwy. Różnorodność architektury synagogalnej w Łodzi odzwierciedla wielość form życia religijnego Żydów w diasporze – sztibł, szuł, bóżnica, synagoga – od maleńkiej izdebki w domu mieszkalnym przeznaczony na modlitewnię do okazałej budowli. Najokazalszą synagogą w mieście była synagoga postępową przy Promenadzie (dziś Aleja Kościuszki).

Żydzi ortodoksyjni i chasydzi odnosili się do niej z rezerwą, a nawet niechęcią – nazywając dajcze szuł. W jidysz oznacza synagogę reformowaną, będącą wytworem niemieckiej haskali, czyli oświecenia żydowskiego, które około połowy XIX wieku, z dużym opóźnieniem, dociera do miast Królestwa Polskiego. Wyłaniają się grupy postępowych, oświeconych Żydów, inaczej pojmujących tradycję. Do Łodzi echa niemieckiej haskali przenikały głównie z Warszawy, a zróżnicowanie postaw Żydów wobec religii prowadziło do sporów w obrębie społeczności, których początki sięgają lat 40-tych XIX wieku. Od połowy lat 60-tych grupa maskili – Żydów aktywnie propagujących idee haskali, dysponowała własnym domem modlitwy na Nowym Mieście, nie zrywała jednak więzów z tradycyjną społecznością. W 1879 roku elita burżuazji żydowskiej w Łodzi zainicjowała powstanie nowej synagogi, odpowiadającej jej wymogom. Rok później powstał komitet budowy nowej synagogi, w którym działali m. in. Izrael Poznański, Szymon Heyman, Jakub Sachs, Hugo Wulfsohn, Izidor Birnbaum, August Baruch i Joachim Silberstein. Jej projekt sporządził Adolf Wolff ze Stuttgartu, a prace budowlane trwały od 1882 do 1887 roku. Nowopowstającą świątynię rozlicznymi darami wsparli w latach budowy także Markus Silberstein, Herman Konsztat, Adolf Goldfeder z Warszawy oraz rodziny Birnbaumów i Barcińskich. Synagoga postępową była wyłączona spod administracji Dozoru Bóżniczego. Zanim jednak powstała synagoga przy Promenadzie, życie religijne łódzkich Żydów toczyło się w zupełnie innym rytmie.

Łódzki kahał, czyli gmina żydowska, wcześniej podległy w gminie w Lutomierniku, uniezależnił się w 1809 roku. Wówczas, w bliskim sąsiedztwie Rynku została wzniesiona pierwsza drewniana synagoga dla niewielkiej jeszcze społeczności żydowskiej. W owym czasie liczba Żydów w mieście Łodzi to 98 spośród około 430 mieszkańców. Skromna synagoga dobrze odzwierciedlała specyfikę tutejszej społeczności – młodej

gminy, bez tradycji, której większość członków żyła w biedzie. Dlatego wybudowanie pięknej, okazałej świątyni oraz jej wyposażenie i utrzymanie, przekraczało możliwości kahału. Murowana synagoga na Starym Mieście została wzniesiona dopiero w latach 1859 – 1871. Ciągłe jednak występowały poważne kłopoty z utrzymaniem obiektu i dopiero rozbudowa świątyni w latach 1897 – 1900 według projektu Adolfa Zeligsona, poprawiła jej funkcjonowanie. Synagoga, otrzymała wówczas także nowe oblicze – orientalną dekorację fasady i wnętrza, znane najlepiej z archiwalnych zdjęć. Nadal jednak nie była dostatecznie wykończona, głównie ze względu na ubóstwo żydowskich mieszkańców Starego Miasta i Bałut – którym przede wszystkim służyła oraz podziałami religijnymi – z jednej strony obecnością wielu małych domów modlitw, często chasydzkich, a z drugiej burżuazji żydowskiej skłaniającej się w stronę judaizmu reformowanego i przekazującej darowizny na rzecz synagogi postępowej. Synagoga staromiejska przy ulicy Wolborskiej stanowiła wyrazisty akcent w pejzażu architektonicznym tej części Łodzi.

Wilker szul – synagoga przy ulicy Zachodniej powstała w latach siedemdziesiątych XIX wieku i była pierwszą okazałą świątynią zlokalizowaną poza enklawą żydowską na Starym Mieście. Około 1903 roku została rozbudowana przez Gustawa Landaua Gutentegera. Inną synagogę, według projektu tego samego architekta, wnieśli przy ulicy Wólczańskiej żydowscy kupcy przybyli do Łodzi z Cesarstwa Rosyjskiego, po fali pogromów jaka miała tam miejsce od 1881 roku, okreśłani jako „litwacy”. Budynek synagogi potocznie zwanej „wołyńską” powstał w latach 1899 – 1904, a prace budowlane wykonała żydowska firma „Olszer i Szczeciński” pod nadzorem Dawida Lande.

Aura miejsc, jakimi były łódzkie synagogi wypełnione modlitwami w językach hebrajskim i aramejskim, zwykłymi rozmowami w jidysz i po polsku, skupieniem i gwarem, codziennością i odświętnością – bezpowrotnie znikła, podobnie jak ludzie, którzy je powołali. Wszystkie synagogi zostały zniszczone przez niemieckich nazistów, a ich ruiny rozebrane. Pozostały po nich puste place – świadectwa nieobecności. Jedynie na skraju Parku Staromiejskiego, gdzie niegdyś stała synagoga przy Wolborskiej, od 1995 roku wznosi się pomnik zaprojektowany przez Gustawa Zemłę. Na cokole została umieszczona rzeźba Mojżesza dźwigającego tablice Dekalogu. Monument ten przeczy jednak podstawowej zasadzie judaizmu – zakazowi przedstawień figuralnych.

Dzisiaj w Łodzi istnieje tylko jedna, niewielka, żydowska świątynia, pierwotnie wzniesiona jako prywatny dom modlitw w drugim podwórku okazałej kamienicy Rajcherów. Powstała z fundacji kupca Wolfa Rajchera w 1898 roku. Wojenną pożogę przetrwała tylko dzięki temu, że niemieccy naziści urządzili w niej skład soli. Po zakończeniu wojny została przekazana gminie żydowskiej i służyła jej członkom przez kolejne lata. W 1988 roku w synagodze zdarzył się pożar, po którym jej silnie uszkodzone wnętrze zostało poddane renowacji, a świątynię ponownie otwarto w 1989 roku. Obecnie nadal jest użytkowana przez społeczność żydowską, a jej istnienie jest wieloznacznym świadectwem – zniszczenia, odrodzenia, trwania.

Zeligson, Lande, Landau-Gutenteger

Łódź rozkwitła dzięki przemysłowi włókienniczemu i dzięki niemu zyskała wielkomiejskie oblicze. Większość pałaców, fabryk, eleganckich kamienic i gmachów publicznych o unikalnych walorach architektonicznych, stanowiących ogromny i niezwykle różnorodny zespół zabudowy miejskiej pochodzi z lat 1880 – 1914. W Łodzi na przełomie XIX i XX wieku działało trzech architektów pochodzenia żydowskiego, którzy wywarli istotny wpływ na kształtowanie wizerunku miasta – Adolf Zeligson, Dawid Lande i Gustaw Landau-Gutenteger. Wiele zaprojektowanych przez nich kamienic zostało zbudowanych przy reprezentacyjnej ulicy miasta – Piotrkowskiej.

Do najciekawszych niewątpliwie można zaliczyć eklektyczną kamienicę Izraela Sendrowicza, o niezwykle oryginalnych detalach, powstałą według projektu Dawida Lande z 1897 roku i okazały dom bankowy Wilhelma Landaua, dzieło Gustawa Landaua-Gutentegera z 1903 roku, który w dekoracjach elewacji zastosował wiele ornamentów secesyjnych. Dobry przykład ilustrujący rozwój łódzkiej zabudowy stanowi dwupiętrowa kamienica Hermana Konształa wybudowana na miejscu drewnianego domu tkacza w 1885 roku. Jej fasadę cechuje bogactwo nawiązujących do renesansu francuskiego. Kamienicę zaprojektował Juliusz Jung, związany z firmą Izraela Poznańskiego. W latach 1889 – 1892 przy ulicy Piotrkowskiej swój reprezentacyjny pałac, o eklektycznej szacie architektonicznej, wznosił Maksymilian Goldfeder, właściciel domu bankowego. Wiele okazałych i pięknych budynków powstało również poza Piotrkowską, jak choćby neogotycka kamienica o asymetrycznej fasadzie przy ulicy Narutowicza, należąca niegdyś braci Auerbach, według projektu Gustawa Landaua – Gutentegera z 1896 roku oraz willa Dwojry i Jakuba Icka Kestenbergów z 1902 roku, wzniesiona obok ich fabryki wyrobów wełnianych przy ulicy Szterlinga – jej projekt sporządził Franciszek Chełmiński, ówczesny architekt miejski, i można w nim odnaleźć echa secesji.

Podwórka eleganckich kamienic przy ulicy Piotrkowskiej, kryją wiele tajemnic, często niedostępnych dla przechodniów. Jednym z owych tajemniczych miejsc jest dawna hala targowa J. Warszawskiego. Ten niezwykle oryginalny budynek powstał w latach 1897 – 99 na zlecenie właściciela kamienic przy ulicy Piotrkowskiej; został zaprojektowany przez Franciszka Chełmińskiego. Architektura dawnej hali targowej Warszawskiego jest niezwykle elegancka, choć od głównej ulicy dzieliły ją okazałe kamienice. Eklektyczna szata budynku odwołuje się do stylów historycznych, komponuje na nowo elementy barokowe i klasyczne. Rytm elewacji wyznaczają duże półkolistości zamknięte okna, przedzielone półkolumnami, tworzące iluzję arkad, całość wieńczyły kiedyś zegary. Na parterze budynku mieściły się sklepy i składy towarów, a głębokie piwnice służyły jako lodownia. W okresie międzywojennym istniała tu drukarnia i sala gimnastyczna. Po drugiej wojnie światowej obiekt czasowo służył jako żydowski dom modlitwy, ponieważ Niemcy zburzyli wszystkie, łódzkie synagogi. Odradzająca się społeczność żydowska w powojennej Łodzi, która utworzyła tu duże i prężne skupisko, starała się w miarę możliwości odbudować zniszczone przez

nazistów życie religijne. Niestety kolejne fale emigracyjne znacznie zmniejszyły liczebność środowiska żydowskiego w Łodzi, a zorganizowany naprędce dom modlitwy przestał być potrzebny. W późniejszych latach w hali targowej mieściły się różne przedsiębiorstwa, jako ostatnia do 1987 roku drukarnia. Przez późniejsze lata budynek stał zaniedbany, nie mając szczęścia do użytkowników.

W Łodzi powstało także wiele budynków publicznych, wznoszonych przez żydowskich architektów i inwestorów, służących Żydom i pozostałym obywatelom miasta. Izrael i Leonia Poznańscy – przyszli fundatorzy szpitala żydowskiego – rozpoczęli starania o jego budowę w 1881 roku, a była to dla licznej społeczności kwestia wymagająca szybkiego uregulowania. Prace budowlane rozpoczęły się w 1886 roku, a w 1890 roku budynek był już gotowy. Miał wówczas opinię bardzo nowoczesnego i dobrze wyposażonego – w momencie otwarcia dysponował 50 miejscami dla pacjentów, a w 1911 roku ich liczba wzrosła do 106.

W 1898 roku w tym miejscu wybitny łódzki lekarz Seweryn Sterling zorganizował tu pierwszy w Łodzi, a także Królestwie Polskim, oddział dla chorych na gruźlicę.



Szpital służył chorym – bez względu na wyznanie – do czasów II wojny światowej. W okresie okupacji niemieckiej został całkowicie zniszczony przez hitlerowców, a po wojnie zaczął funkcjonować jako Klinika Kardiologii Akademii Medycznej. Znaczącą rolę w życiu społeczności żydowskiej odegrało Łódzkie Żydowskie Towarzystwo Dobroczynności, które u progu XX wieku zrealizowało dwa duże przedsięwzięcia.

W 1900 roku bankier Maksymilian Goldfeder podarował stowarzyszeniu kamienicę przy ulicy Pomorskiej z przeznaczeniem na tzw. tanie mieszkania. W tym samym czasie przy udziale stowarzyszenia po-

wstawał budynek szkoły rzemieślniczej „Talmud – Tora”. Zamysł jej budowy narodził się w końcu lat 80-tych XIX wieku i miał mocne poparcie przemysłowców skupionych wokół synagogi postępowej, w 1890 roku szkoła rozpoczęła działalność. Jej zadaniem, poza edukacją religijną, było przygotowywanie zawodowe chłopców, pochodzących z uboższych rodzin. W 1900 roku Zygmunt Jarociński podarował plac pod budowę i rozpoczęto wznoszenie nowego budynku Szkoły Przemysłowej Towarzystwa Szerzenia Oświaty i Wiedzy Technicznej wśród Żydów, oddanego do użytku w 1901 roku. Okazały gmach powstał w oparciu o projekt Gustawa Landaua-Gutentegera. W Łodzi działały także inne placówki oświatowe – szkoła Kacnelsonów i Gimnazjum Żeńskie Towarzystwa Żydowskich Szkół Średnich. Inną szkołą należącą do tego stowarzyszenia było nowoczesne gimnazjum przy ulicy Anstadta. To miejsce o szczególnej wymowie – jego budowa rozpoczęła się tuż przed wybuchem wojny, a otwarcie miało nastąpić 1 września 1939 roku – z wiadomych przyczyn nie odbyło się. W latach wojny budynek szkoły był siedzibą Gestapo, a po wojnie zajął go Urząd Bezpieczeństwa.

Istotną rolę w pejzażu miejskim Łodzi odgrywała architektura fabryczna, silnie określająca jego charakter. W ostatnich dziesięcioleciach rozmach i skala realizacji obiektów przemysłowych osiągnęła niebywałe rozmiary. Wielofunkcyjne zespoły fabryczne zajęły w przestrzeni miasta ogromne obszary. Grupa przemysłowców żydowskich działających w Łodzi w większości wywodziła się z miast Królestwa Polskiego lub pochodziła z Cesarstwa Rosyjskiego. Początkowo ich udział w przemyśle nie był znaczny, dominowali przedsiębiorcy niemieccy, ale od lat osiemdziesiątych XIX wieku żydowscy przemysłowcy liczebnie pozostawali na równi z niemieckimi, przewyższając nawet ich liczbę w pierwszych latach XX wieku. W większości jednak posiadali mniejsze zakłady niż Niemcy.

Największym i najbardziej znanym przemysłowcem żydowskim był Izrael Poznański, z którego fortuną wiążą się liczne anegdoty i legendy. Przełomowy okazał się dla niego rok 1872, kiedy od produkcji manufakturowej przeszedł do zmechanizowanej. Rozpoczął wówczas budowę gigantycznej fabryki przy ulicy Ogrodowej, która była ciągle rozbudowywana, aż do lat dziewięćdziesiątych XIX wieku. Jej ogromne rozmiary i stosunkowo dobry stan zachowania budzą podziw i wprawiają w zdumienie, podobnie, jak w latach jej świetności. Zaskakuje tylko cisza – z zamkniętej fabryki. Innym wielkim przedsiębiorcą był Markus Silberstein. Pierwszy budynek jego fabryki – parterowej tkalni – powstał przy ul. Piotrkowskiej w 1877 roku. Kilkanaście lat później, w roku 1894, w tym samym miejscu wznosił potężną, czteropiętrową tkalnię zaprojektowaną przez Adolfa Zeligsona. Do grona dużych przemysłowców należeli także Barcińscy, Ejtigonowie, Prussakowie, Rappaportowie, Rosenblattowie – fabryki, które wzniesli nadal istnieją, choć najczęściej już nieczynne i opuszczone. Stanowią świadectwo ich wkładu w rozwój przemysłu i są nadal integralnymi składnikami miasta.

Bałuty – biedne łódzkie Jeruzalem

Bałuty wytworzyły własną specyfikę, która czyni je rozpoznawalnymi i wyróżnia w pejzażu Łodzi. Przez cały czas rozwoju dzielnicy jej zabudowa kształtowała się dosyć chaotycznie i ulegała częstym przeobrażeniom. W ciągu kilku dziesięcioleci z niewielkiego rewiru rozwinęła się duża dzielnica żydowska, zamieszkała przez ubogich ludzi, w większości Żydów. Początkowo żydowscy mieszkańcy Starego Miasta i przylegających do niego Bałut przyczyniali się do ich rozwoju. W 1858 r., dwaj kupcy I. Bławat i I. Birencwajg nabyli grunt przyległy do ówczesnej północnej granicy Łodzi, wkrótce powstał tam plac, nazwany później Bałuckim Rynkiem i kilka przylegających do niego uliczek. Ta niewielka osada stwarzała Żydom zamieszkałym w ciasnym i przeludnionym rewirze na Starym Mieście możliwość opuszczenia go i poprawy warunków życia. Jednak z czasem zamożniejsi Żydzi przenieśli się do nowoczesnego śródmieścia, a północne rejony miasta zaczęły przekształcać się w obszary łódzkiej biedy, tworząc obraz zaniedbania. Mimo zniesienia rewiru w 1862 roku panowało tam nadal przeludnienie, w odpowiednio większej skali, na miarę rozrastającej się dzielnicy. Owa dzielnica była brudna i hałaśliwa, zabudowana koślawymi domkami o niskim standardzie. Jej literacki wizerunek można odnaleźć w powieści Izraela Rabona „Ulica / Di Gas“, wydanej w latach trzydziestych XX wieku. Wiele elementów budujących dawną atmosferę łódzkich Bałut przetrwało do dziś i nadal tworzy koloryt tej części miasta, zupełnie innej niż pozostałe. Tutaj także łódzcy Żydzi założyli cmentarze.

Cmentarz jest formą pamięci – jej wyrazem w konwencjonalnym języku rzeźby sepulkralnej. Hebrajskie wyrażenie *bet olam* – dom wieczności, oznaczające cmentarz, określa dążenie do tego, aby ci, którzy odeszli, stale mieszkali wśród żywych. Cmentarz był i jest ważnym elementem każdej gminy żydowskiej. Pierwszy cmentarz żydowski w Łodzi został założony w 1811 roku, na skraju miasta w ówczesnych granicach i obecnie już nie istnieje – został zniszczony przez niemieckich nazistów, a jego pozostałości zlikwidowane pod koniec lat czterdziestych. W związku z szybkim rozwojem Łodzi cmentarz ten po kilkudziesięciu latach nie mógł już dalej służyć społeczności żydowskiej. W 1888 Dozór Bóżniczy w Łodzi rozpoczął starania o założenie nowego cmentarza, który zaczął funkcjonować cztery lata później, w 1892 roku. Większość prac związanych z jego urządzeniem została wykonana w latach 1893 – 1896 pod nadzorem architekta Adolfa Zeligsona.

W 1896 roku zawiązał się komitet budowy domu przedpogrzebowego – jego fundatorką była Nina Konsztat, wdowa po Hermanie – kupcu i działaczu społecznym, a projekt sporządził również Zeligson. Budowa została zakończona w 1898 roku. Jego wygląd zaskakuje – rozmiarem i stylistyką – surowe, ceglane elewacje z oszczędnymi, orientalizującymi detalami nasuwają skojarzenie z architekturą przemysłową, podobnie jak ogromne, półkoliste okno, wypełniające fasadę, niczym w fabrycznej hali.

Na wprost domu przedpogrzebowego znajduje się brama, wiodąca na cmentarz, stanowi dosłowne i metaforyczne przejście do innego świata. Jego oś stanowi aleja główna – miejsce, gdzie spoczywają przedstawiciele elity finansowej, zaś w kwaterach odległych od niej byli grzebani ludzie mniej zamożni i biedacy – drobni rzemieślnicy i kupcy, tragarze i żebracy. Aleja główna określa przestrzeń cmentarza i tworzy jego hierarchię, opartą na statusie majątkowym. Taki układ nie wynika z żydowskiej tradycji, lecz ze specyfiki jaką wytworzyło młode, dynamicznie rozwijające się miasto przemysłowe – miasto bogaczy i ńdzarzy.



pierwsze kolumny

Imponujący zespół rzeźby sepulkralnej, na cmentarzu żydowskim w Łodzi jest niezwykle różnorodny – są tu tradycyjne nagrobki, z typową symboliką, okazałe grobowce i mauzolea fabrykantów zaprojektowane w duchu historyzmu, eklektyzmu i secesji oraz odległe od żydowskiej tradycji oszczędne w formach nagrobki modernistyczne. W XIX stuleciu w żydowskiej sztuce nagrobnej zaszły istotne zmiany spowodowane silnym przenikaniem wpływów sztuki europejskiej i asymilacją Żydów. W tym czasie obok nagrobków o tradycyjnych kształtach – macew pojawiły się formy charakterystyczne dla cmentarzy chrześcijańskich.

Okazałe grobowce rodzinne, o cechach sztuki europejskiej, unaoczniają bogactwo żydowskiej burżuazji w Łodzi i są wyrazem jej asymilacji. Grobowiec rodziny Konsztatów został wzniesiony jako pierwszy i daleki był od żydowskiej tradycji – tokańska kolumnada z czarnego marmuru, otaczająca wspólne miejsce pochówku małżonków oraz epitafium w języku polskim – nie mieściły się w jej kanonach. W następnych latach powstały kolejne grobowce i mauzolea – Silbersteinów, Jarocińskich, Wulfsohnów – odnoszące się do form klasycznych, Baruchów i Sachsów – komponujące elementy renesansowe i barokowe w duchu historyzmu, Stillerów i Czamańskich – czerpiących z repertuaru sztuki starożytnego Egiptu, a także secesyjne nagrobki rodziny Rappaportów i Betty Rabinowicz. W pejzażu cmentarza dominuje gigantyczna

kopuła mauzoleum rodzinnego Poznańskich, wsparta na przenikającej się z filarami kolumnadzie, której wewnątrz zdobi barwna mozaika. Bogactwo form jest zauważalne również w innych grobowcach – u Kestenbergowów oderwaną elewację z ostrołukowymi przejściami wieńczy krenelaż, tworzący analogię z architekturą obronna, zaś nad grobami rodziny Prussaków wznosi się glorieta, nosząca cechy modernizmu z dalekim echem secesji.

Po obu stronach alei głównej rozciągają się dziesiątki kwater, pełnych tradycyjnych macew. Kanon żydowskiego nagrobka wraz z symboliką i tekstem epitafium wykształcił się w średniowieczu, jednak w XIX stuleciu w uległ istotnym zmianom. Podstawowym elementem tradycyjnego nagrobka jest hebrajskie epitafium. Kształt i wielkość liter, sposób ich rozmieszczenia oraz efekty światłocieniowe reliefu organizują płaszczyznę prostokątnej płyty nagrobnej. Nagrobek wspiera się na cokole, w części środkowej zawiera inskrypcję poświęconą zmarłemu, niekiedy ujętą w półkolumny, pilastry lub bordiurę. Zwykle jest zwieńczony dekoracyjnym naczółkiem. Elementy te tworzą arkady i archiwolty, symbolizujące bramę pomiędzy dwoma światami – żywych i umarłych. W naczółku umieszczano symbole, stanowiące plastyczne uzupełnienie treści epitafium. Macewy były często polichromowane przy użyciu jaskrawych, nasyconych kolorów – nikt ślady polichromii można jeszcze nadal odnaleźć na łódzkim cmentarzu.

Tuż przed bramą cmentarza żydowskiego wznosi się pomnik upamiętniający łódzkich Żydów – ofiary Holocaustu. Jego projekt wykonał w latach sześćdziesiątych żydowski artysta Adam Muszka, związany z Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Żydów w Polsce i Wydawnictwem Jidysz Buch (Książka Żydowska). Siłą wyrazu monumentu podkreśla wysoki, strzelisty obelisk, nawiązujący kształtem do komina krematoryjnego, w przyległym do niego cokole znajduje się płaskorzeźba wyobrażająca strzaskane, bezlistne konary, będące metaforą śmierci i Zagłady, jednak z jednego pnia wyrasta, pnąc się ku górze, nowy pęd – to nadzieja na odrodzenie. Powyżej niego, a równocześnie w opozycji do krematoryjnego komina – menora – jeden z symboli narodu żydowskiego i godło odrodzonego w 1948 roku Izraela. Ów pomnik jest właściwie jedynym miejscem, gdzie uobecnia się pamięć o tragedii łódzkich Żydów. Co roku w sierpniu, odbywają się uroczystości z okazji rocznicy likwidacji getta łódzkiego. Na cmentarzu żydowskim jest jeszcze inne miejsce – pole gettowe – miejsce pochówku kilkudziesięciu tysięcy Żydów z łódzkiego getta zmarłych z głodu, chorób, ofiar bestialskich tortur i barbarzyńskich egzekucji.

W latach drugiej wojny światowej Niemcy utworzyli w północnej części miasta getto i wkrótce za ich sprawą świąt bałuckich Żydów został bezpowrotnie unicestwiony. Jednak ulice Bałut w dzisiejszym kształcie, ich bruk, podwórza i bramy kamienic pozwalają doświadczyć autentycznej przestrzeni getta, choć od jego zagłady minęło 60 lat. Przeszłość tej dzielnicy, pomimo zmian, nadal jest czytelna i stanowi swoisty, anonimowy pomnik w przestrzeni miejskiej Łodzi.

Zacieranie pamięci

Ulica Żydowska po wojnie zyskała nowe miano – ulicy Bojowników Getta Warszawskiego. Dlaczego? Czy Żydom – ofiarom łódzkiego getta, nie należy się własna nazwa ulicy? Czy w Łodzi, gdzie istniało drugie ogromne getto na ziemiach polskich, zamiana nazwy ulicy Żydowskiej na Bojowników Getta Warszawskiego nie stanowi uproszczenia? A może wręcz przeciwnie – odnosi się do ważnego symbolu, jakim stało się powstanie? Odpowiedzi na te pytania w oczywisty sposób dotyczą kwestii pamięci o Zagładzie w Łodzi; powstają też nie bez przyczyny – specyfika getta łódzkiego i warszawskiego różnią się znacząco. Czy ma to jednak znaczenie wobec śmierci tysięcy ludzi w strasznych warunkach? Jak ważna jest ta różnica dla nas dzisiaj – Polaków i Żydów – chcących pamiętać o tamtym czasie?

Park Starmiejski to sztuczna przestrzeń, wdzierająca się w zabudowę, powstała w wyniku wyburzeń dokonanych przez niemieckich okupantów w 1940 roku. Miała oddzielić getto od pozostałego obszaru miasta. Mimo upływu czasu, do dziś stanowi zauważalną granicę między gettem i światem aryjskim, jaką wyznaczyli Niemcy tworząc nowy porządek. Dziś jest to rejon pozbawiony zabudowy i wypełniony zielenią, tłumiącą wielkomięjski zgiełk. Od północy zamyka go martwa przestrzeń Starego Rynku.

Miejsca niemal zupełnie nieobecne w pamięci Łódzian to stacja kolejowa na Radogoszczu (Radegast), skąd latem 1944 roku około 70 tysięcy łódzkich Żydów zostało wywiezionych do obozu śmierci w Auschwitz. To także opuszczony i zaniedbany szpital przy ulicy Łągiewnickiej, którego wybite puste okna widać z daleka. To czerwony domek – budynek plebanii kościoła rzymsko-katolickiego przy placu Kościelnym, gdzie mieściło się Kripo oraz siedziba Gestapo przy Rynku Bałuckim. Takich miejsc jest znacznie więcej, można je odnaleźć, ponieważ na terenie getta, znajduje się dosyć dobrze zachowana zabudowa – niemy świadek i zarazem uczestnik żydowskiej tragedii.

Mimo tragedii Holocaustu społeczność żydowska w Łodzi odrodziła się i stanowiła jedno z najliczniejszych skupisk w powojennej Polsce. Według danych Centralnego Komitetu Żydów w Polsce (CKŻwP) z 13 stycznia 1946 roku, na terenie ówczesnego województwa łódzkiego zamieszkiwało 17.500 Żydów, a według frakcji PPR działającej przy CKŻwP w województwie było około 30.000 Żydów, w tej liczbie ok. 15.000 repatriantów przybyłych z ZSRR. Łódź była wówczas drugim co do wielkości po Dolnym Śląsku skupiskiem Żydów w Polsce.

Jednym z pierwszych przejawów aktywności żydowskiej w Łodzi było zawiązanie Wojewódzkiego Komitetu Żydowskiego, a niedługo potem powstały inne instytucje – szkoły, domy dziecka, organizacje religijne, kulturalne, społeczne i sportowe. W 1946 roku powstała Centrala Spółdzielni Wytwórczych „Solidarność” – w Łodzi dysponowała 19 zakładami, co wielu Żydom stworzyło możliwość podjęcia pracy. Ważną rolę w powojennym życiu kulturalnym Łodzi odegrało powołanie sceny

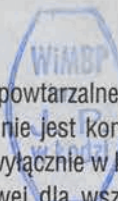


żydowskiej – zespołu, który przyciągnął wielu znakomitych aktorów, wśród nich także Idę Kamińską. Obok teatru funkcjonowało liceum im. Icchaka Lejba Pereca oraz Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce (TSKŻwP).

Kolejne fale emigracyjne bardzo zmniejszyły liczebność i osłabiły aktywność środowiska żydowskiego w Łodzi – obecnie jest to społeczność niezwykle mała, licząca zaledwie kilkaset osób, nadal jednak obecna – w mieście działa Gmina Wyznaniowa Żydowska, Towarzystwo Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce i kilka mniejszych stowarzyszeń skupiających Dzieci Holocaustu, kombatantów żydowskich i młodzież. Wspólnie tworzą swoistą enklawę w międzywojennej siedzibie gminy żydowskiej przy ulicy Pomorskiej, która od kilku lat ponownie służy Żydom. Jest zarazem najbardziej współczesnym śladem żydowskim w Łodzi, ale ze względu na swoją historię jest także śladem przeszłości.

Przestrzeń miejską Łodzi można także czytać, a nazwy ulic mogą dostarczyć nowej wiedzy. W najstarszym rejonie miasta można odnaleźć ledwie zachowaną ulicę Jakuba, niewiele dalej ulicę Bojowników Getta Warszawskiego. W mieście są także ulice noszące miana wybitnych łodzian – Tuwima, Rubinsteina, Kaufmanna, Szwajcera. To są również ślady żydowskie.

10671-A



Łódź to miasto niejednoznaczne i niepowtarzalne. Istotny wpływ na kształtowanie jego wizerunku wywarli Żydzi. Być może nie jest konieczne ustawiczne podkreślanie tego faktu i zarazem postrzeganie miasta wyłącznie w kategoriach narodowych, lecz ujrzenie go jako wspólnej przestrzeni życiowej dla wszystkich mieszkańców. Jednak ślady żydowskie tworzą trop, którego podjęcie może prowadzić do odkrycia relikwii przeszłości i zrozumienia tego, co się wydarzyło, jak pisze John Berger: „Jedynie ktoś, kto żyje na ulicach miasta, [...] może być świadomy tego, co znaczą kamienie brukowe, wejścia domów, cegły i okna.”²

Piotr Piluk

- publicysta, badacz kultury i historii Żydów polskich.

Tekst publikacji powstał w oparciu o wykład Piotra Piluka, ilustrowany fotografiami autora, w ramach sesji naukowej „Świat Żydów Europy Środkowo-Wschodniej w XIX i XX wieku” na Uniwersytecie Warszawskim w dniach 12 – 26 listopada 2003 r.

Śródtytuły pochodzą od redakcji.

Zdjęcia autora.

pierwsze kolumny

Przypisy:

- 1 Zygmunt Bauman, Wśród nas, nieznanomych – czyli o obcych w (po) nowoczesnym mieście, w: „Pisanie miasta – czytanie miasta”, Poznań 1997.
- 2 John Berger, „O patrzeniu”, Warszawa 1999.

Nauczycielka z Hamburga

Pamięć zapisana w skale



Na skwerze przy ulicy Lutomierskiej, naprzeciw kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, na wielkim piaskowym głazie, znajduje się tablica pamiątkowa z napisem w języku polskim i niemieckim. Upamiętnia tragedię hamburskich Żydów wysiedlonych 25 października 1941 roku do Getta Litzmannstadt. Wśród tysiąca deportowanych była nauczycielka – Elsa Rauch.

Na zdjęciu z 1926 roku stoi skromnie z boku, razem z gromadą uczniów hamburskiej szkoły podstawowej. Jeden z nich – Arthur Riegel tak ją zapamiętał:

Kiedy byłem w drugiej klasie przyszła do nas pani Elsa Rauch. Była szatynką, miała czarne włosy i brązowe oczy. Zawsze była sama. Nie wiedzieliśmy czy jest mężatką, wdową, czy też rozwiedziona. O dzieciach nigdy nie wspominała. Była poważna i wymagająca. Uczyła nas w klasach podstawowych wszystkich przedmiotów – niemieckiego, rachunków, historii, rysunków, religii i chyba też śpiewu. Lekcje z nią były niezapomnianym, wspinałym przeżyciem i doskonale przygotowały mnie do nauki w gimnazjum. Kiedy zauważyła moje zdolności językowe namówiła moich rodziców, aby kształcili mnie w tym kierunku. Opanowałem 9 języków i dzięki temu poradziłem sobie w życiu. Nauczyła mnie także kochać teatr i sztukę. Byłem jej wdzięczny za okazywane mi serce. Po ukończeniu szkoły cieszyłem się z każdego z nią spotkania. Odwiedzałem ją kilkakrotnie w jej prywatnym mieszkaniu, również wtedy, kiedy ze względu na żydowskich przodków, mimo że była ewangeliczką, musiała opuścić szkołę i nie wolno jej było wykonywać wyuczonego zawodu.

Po wyrzuceniu ze szkoły Elsa Rauch żyła zupełnie samotnie. Arthur Riegel odwiedził ją jeszcze w 1939 r. Był w mundurze wojskowym, dlatego wystraszyła

się jego widokiem, kiedy go rozpoznała, przyjęła niezwykle serdecznie. Pierwszy raz opowiedziała mu o swoim życiu. Dowiedział się wówczas, że kiedy uczyła w szkole była po rozwodzie, miała brata lekarza i młodszą siostrę, którzy w 1935 r. wyjechali do Ameryki. Wtedy Arthur Riegel rozmawiał ze swoją nauczycielką po raz ostatni.

21 października 1941 r. Elsa Rauch otrzymała list polecony z Gestapo. Zawierał on powiadomienie o wysyłce do Litzmannstadt i przejściu przez państwo, ze skutkiem natychmiastowym, wszystkiego co znajdowało się w mieszkaniu. Na punkt zborny, w dniu 24 października, należało przynieść kennkartę, książeczkę pracy i wszystkie posiadane kartki żywnościowe. Deportowany miał prawo zabrać bagaż osobisty do 50 kg, pożywienie na dwa dni i drobne pieniądze. Mieszkanie, po opuszczeniu, należało zamknąć, a klucz zanieść na posterunek policji. Nikt z sąsiadów jej nie pożegnał. Deportowanym przedstawiciele miejscowej Gminy Żydowskiej rozdawali gorące posiłki, pocieszali, że jadą pracować przy odbudowie zburzonych na wschodzie miast. 25 października 1941 r. o godzinie 10.00 pociąg osobowy składający się z 20 wagonów z zaryglowanymi drzwiami wyjściowymi, wyruszył z Hanowerskiego Dworca w Hamburgu i przez Berlin, Poznań, Kutno dotarł w godzinach południowych 26 października 1941 roku na stację Radegast /Radogoszcz/ w Litzmannstadt /Łódź/. Jedną z tysięcy wysiadających była – licząca 53 lata nauczycielka – Elsa Rauch.

Przybywających, jak wynikało z zachowanych raportów Schutzpolizei, nie trzeba było specjalnie pilnować, bowiem teren wokół Radegast był otoczony drutem kolczastym. Deportowanych łączono w kolumny marszowe i dodawano żydowską służbę porządkową, która doprowadzała nowoprzybyłych do wyznaczonych miejsc zbiorczego zakwaterowania.

Zakwaterowanie w prymitywnych warunkach budziło wstręt u deportowanych. Zapewniano ich wcześniej, że jadą do centrum przemysłowego, gdzie znajdą odpowiednie do swoich kwalifikacji zatrudnienie i odpowiednie warunki mieszkaniowe. To co zastali budziło czarną rozpacz. Jednak nawet najgłośniejsi protestujący z czasem cichli, stawali się bezradni. Przejadano zapasy oraz szybko wydawano przywiezione pieniądze. Ceny żywności w getcie gwałtownie rosły. Nędza wśród nowoprzybyłych była jeszcze dotkliwsza niż u miejscowych, polskich Żydów, którzy do biedy i surowych warunków bytowania przyzwyczajeni byli od lat. Elsa Rauch musiała przejść przez to wszystko. Wegetowała i traciła siły, podobnie jak tysiące innych mieszkańców getta.

Arthur Riegel, po powrocie z wojny i angielskiej niewoli, nie tracił nadziei na odszukanie ukochanej nauczycielki. Poszukiwania rozpoczął od domu, w którym odwiedził ją ostatni raz przed dziesięciu laty. Obecna jego właścicielka, kiedy pokazał jej zdjęcie szkolne z 1926 r., natychmiast poznała dawną lokatorkę. Przypomniała sobie, że pani Rauch była poważana za swoją dyskretną elegancję i uprzejmość. Dodała również, że jej ojciec sprowadzał panią Rauch do prywatnego schronu domowego, gdyż Żydom nie wolno było schodzić do ogólnych schronów przeciwlotniczych.

We wrześniu 1941 r. nakazano im nosić na ubraniu gwiazdę Dawida, wtedy też zaczęto mówić o zbliżającej się deportacji. Elsa Rauch znalazła się na liście pierwszego transportu do Litzmannstadt. Mieszkanie jej wraz z wyposażeniem przydzielono funkcjonariuszowi partyjnemu.

Artur Riegel słał listy w różne strony. Z Tel – Awiwu otrzymał wyciąg z księgi przyjęcia i zameldowania Elsy Rauch w getcie: Richterstraße 9, mieszkanie nr 11. Gnieździło się w nim 12 osób. W 1990 r. Arthur Riegel przyjechał do Łodzi, odnalazł na planie getta Richterstr. – obecną Tokarską. Dom z numerem 9 już nie istniał, został rozebrany kilka lat wcześniej. Dzięki łódzkiemu archiwum otrzymał kartę wymeldowania Elsy Rauch z getta. Nosiła datę: 20 maja 1942 r. i zawierała lakoniczną informację: „Evakuierung”. Było to równoznaczne z wyrokiem śmierci w obozie zagłady Kulmhof, po polsku – Chełmnie nad Nerem. Tam także dotarł. Zabrało mu sił aby własnymi słowami opisać grozę miejsca, w którym – w samochodzie specjalnie do tego dostosowanym – zagazowana została jego ukochana nauczycielka i tysiące innych mieszkańców getta. Swoje odczucia zawarł w wyznaniu: „Ten rozdział moich przeżyć jest najbardziej bolesny ze wszystkiego co mi się w życiu wydarzyło. Nic nie przygnębiło mnie równie bezgranicznie. Nigdy tego w sobie nie przezwyciężę, po ostatnie dni mojego życia”. Zmarł na raka płuc sześć lat później...

Historia ma swój ciąg dalszy. Elsa Rauch i jej współtowarzysze w męczeństwie doczekali się symbolicznego upamiętnienia w Łodzi. W 1993 r. zjawił się w niej niezwykle przybysz z Hamburga – z rozwianą czupryną, siwą brodą, płonącymi oczami, rozgestykulowany, niespokojny. Był przewodniczącym Deutsch – Judische Gesellschaft Hamburg, /Niemiecko – Żydowskiego Towarzystwa w Hamburgu/. Do Łodzi przyjechał ogarnięty jedną myślą – upamiętnienia wywiezionych do getta Litzmannstadt Żydów z Hamburga.

W niedzielę 25 lipca 1993 r., po nabożeństwie w kościele ewangelickim św. Mateusza odbyło się uroczyste przekazanie władzom łódzkim pamiątkowej tablicy wykonanej w Hamburgu z dwujęzycznym tekstem, polskim i niemieckim. Oto jej polska część: „Dnia 25 października 1941 roku na rozkaz władz hitlerowskich ponad tysiąc Żydów z Hamburga zostało deportowanych do getta w Łodzi. Między nimi był kaznodzieja Miron Gordon. Większość z nich zagazowano w 1942 w Chełmnie. Przejęci nieszczęściem obywatele Hamburga. Lato 1993 r.“

Odpowiedni głąz do umieszczenia na nim tablicy znaleziono w Kopalni Węgla Brunatnego w Bełchatowie. Wszelkie sprawy techniczne przejął warsztat rzeźbiarski Zbigniewa Władyki i wywiązał się z nich wzorowo. Marcel Szytenhelm, wraz ze Studium Teatralnym „Słup” przygotował widowisko teatralne oparte na tekście Wilhelma Mosela, poświęcone deportowanym mieszkańcom Hamburga. 31 października 1993 r. o godz. 13 w kościele Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny odbyła się msza święta w ich intencji.

O godz. 14 na skwerze naprzeciw kościoła nastąpiło uroczyste odsłonięcie tablicy. Później w Muzeum Historii Miasta Łodzi zaprezentowano widowisko teatralne a także pieśni w wykonaniu kantora Krzysztofa Skowrońskiego. Inicjator upamiętnienia – Wilhelm Mosel – wracający tego dnia z Białorusi, miał awarię samochodu i dopiero wieczorem pojawił się w Łodzi. Skwer, na którym ustawiony został głaz z tablicą, jarzył się światłem zapalonych wcześniej zniczy. W latach okupacji ta część ulicy Lutomierskiej nazywała się **Hamburger Straße**. Głaz i tablica znalazły się tam nieprzypadkowo. Przypominają deportowanych pierwszym transportem Żydów z Hamburga, wśród nich skromną nauczycielkę – Elsię Rauch.

P. S.

Wilhelm Mosel planował umieszczenie w Łodzi następnych tablic poświęconych deportowanym do Litzmannstadt Żydom z innych miast niemieckich oraz z Pragi i Wiednia. Bardzo się śpieszył. Niestety zabrakło mu życia. Zmarł w 2001 roku w Hamburgu.

Mieczysław Gumola

W artykule wykorzystałem spisane w maszynopisie wspomnienia Alfreda Riegela: „Elsa Rauch” oraz opracowania autorstwa Wilhelma Mosela pt. „Wegweiser zu ehemaligen jüdischen Leidensstätten der Deportation von Hamburg nach Litzmannstadt”, wydane go przez Deutsch – Jüdische Gesellschaft Hamburg w 1993 r.

pierwsze kolumny



str.4 | Dom przy ul. Młynarskiej (Mühlengasse 25), w którym przez pierwsze 2 tygodnie pobytu w getcie mieszkali Żydzi deportowani z Hamburga.

Bohater wydarzeń sprzed stu lat

Rozmowy z Antonim Michałkiewiczem

Widzę kruchą postać Antoniego Michałkiewicza siedzącego w starym, wytartym i za dużym, jak dla niego, fotelu z laską opartą o poręcz, zwierającego się ze swego życia. To była rozmowa, a raczej wiele rozmów, które wydawały się fascynujące, ze względu na to, że wydarzenia, o których mówił i których był świadkiem były już bardzo odległe w czasie. Wydawały się poźółklymi, ozywającymi w jego opowieściach, obrazkami ze starych fotografii. Różnica pokoleniowa – mógłby być moim dziadkiem – była przynajmniej z mojej strony pewną barierą. Byłam zbyt młoda, brak mi było dojrzałości i doświadczenia, żeby zrozumieć, że to o czym mówił było tak uniwersalne: gorycz tragicznego doświadczenia życiowego, rozdział pomiędzy ideałami, w które wierzył, a rzeczywistością. Wydarzenia, których był świadkiem i w których aktywnie uczestniczył, były zapisane w obowiązkowych podręcznikach historii. Jego doświadczenia i punkt widzenia były jednak zupełnie inne.

Aktywne życie pana Antoniego Michałkiewicza – członka Narodowego Związku Robotniczego – kiedy wybuchła rewolucja 1905 roku związane było z łódzką fabryką Poznańskiego. Cieszył się widać autorytetem wśród kolegów z pracy, skoro wybrali go na swojego przedstawiciela do rokowań z fabrykantami.

(Ponad pięćdziesiąt lat później, kiedy toczyły się nasze rozmowy – to mógł być 1962 lub 1963 rok – jedna z ulic łódzkich właśnie niedawno uzyskała imię rewolucji, w której brał udział, ale on był dla ówczesnych władz zapomnianym i niezbyt wygodnym starszakiem, ze względu na swoje poglądy. Nie oczekiwał ani medali, ani uznania.

W czasie rewolucji, gdy siła robotników była znaczna, próbowano rozmawiać z ich przedstawicielami. Jak mawiał pan Antoni – miał glejt nietykalności osobistej jako poseł robotników. Potem, kiedy już złamano ich siłę, glejt stracił moc, a że nie można było mu udowodnić żadnej winy nawet z punktu widzenia wrogów rewolucji, policja carska zajmowała się fabrykowaniem dowodów. Skazano go w końcu na pięć lat ciężkiego więzienia tzw. katorgi na Mokotowie w Warszawie. Przedtem były jeszcze więzienia śledcze w Łodzi i Piotrkowie, a potem zsyłka na Syberię.

Opisy tych pobytów więziennych, przeczucania z jednego do drugiego, co w ramach jednego miasta odbywało się pieszo pod strażą trzymającą karabiny gotowe do strzału (w takich okolicznościach spotykało się znajomych przechodniów,

k którzy nie zawsze mieli odwagę spojrzeć w oczy konwojowanemu, raczej odwracali wzrok, żeby nie narazić się na szykany czy nie być broń Boże posądzeni o współnictwo), zmysłowy w szczegółach opis trudnego dzieła zakuwania w łańcuchy, rozmyślał w samotności, a także przebytych procesów, opis (niemal turystyczny) widzianego świata z okien pociągu, którym jechało się na katorgę, różnicująca charakterystyka komendantów poszczególnych więzień, od których bardzo wiele dobrego i złego można było doznać – wszystko to zostało pracowicie spisane na gorąco. Po wielu, wielu latach (przedzielonych wojną i zupełnie nieoczekiwanymi przez pana Michałkiewicza zmianami politycznymi w Polsce – jakże bardzo musiała mu się wydawać ironiczną nasza historia) doręczone nam – mnie i mojemu mężowi, żeby „poprawić styl, to oczywiście tylko dla wnuków, w tych czasach o niczym innym nie ma mowy” – z takim to przesłaniem staliśmy się posiadaczami kilkudziesięciu cieniutkich kartek odbitki maszynopisu jeszcze przedwojennego, na którym ktoś wnosił już poprawki ołówkiem, nie zawsze zresztą sensowne. Czytaliśmy ten tekst z zainteresowaniem, ale nie dało się uczynić nic takiego, o co prosił autor. Mieliśmy wrażenie, że ten tekst jest dokumentem z innej epoki, pisany różnym językiem od tego, którym się my posługiwaliśmy. Po pewnym czasie wizyty pana Antoniego ustały. Więcej się nie pojawił, a my nie znaleźmy jego adresu. Tekst ten przeleżał w szufladzie następne kilkadziesiąt lat, kiedy doszłam do wniosku, że teraz jest właściwy moment, żeby nim się zająć, przede wszystkim chciałam odszukać rodzinę. Napisałam w tej sprawie krótki artykuł do Gazety Wyborczej. Odzew był, ale z Muzeum Tradycji Niepodległościowych przy Gdańskiej. Okazało się, że jest bardzo mało materiału z tego okresu. Potem udało się wyemitować wywiad radiowy z odczytanymi fragmentami dziennika i apelem do ludzi, którzy pamiętają pana Michałkiewicza i mogliby uzupełnić moje wspomnienia. Niestety też pozostał bez odzewu.

Winna jestem jeszcze wyjaśnienia jak poznałam tak niezwykle człowieka i jak zdobyłam jego zaufanie. Pojawił się w moim domu jako „dziadek” pewnej uczennicy, która nie radziła sobie w szkole z językiem polskim. „Dziadek” doszedł do wniosku, że jedynie korepetycje mogą coś tu zmienić i przysłany do mnie prosił o pomoc dla „wnuczki”. Okazało się, że „wnuczka” nie objawia żadnych chęci do nauki i postanowiłam po pewnym czasie pozbyć się kłopotliwej uczennicy, żal mi było jedynie tego starszego sympatycznego pana, nawet nie zauważyłam, że różnica pokoleniowa jest tak znaczna pomiędzy nimi, że pan mógłby być nie tyle dziadkiem, co pradiadkiem. Nie wiedziałam jak zacząć rozmowę na temat podjętej decyzji, wreszcie ogródkami jakoś przekazałam mu tę wiadomość. Jakież było moje zdziwienie, kiedy starszy pan niespecjalnie przejął się wiadomością i powiedział:

- No cóż, chciałem jak najlepiej, ale nie wyszło, bo widzi pani muszę wyznać pani, że to nie jest moja wnuczka.
- Ach, nie? – moje zdumienie musiało być wielkie, a stało się jeszcze większe, kiedy pan wyjaśnił motywy swojego działania.

Opowiedział mi, że kiedy w 1920 r. wracał z Syberii dojechał pociągiem do Warszawy tak chory, że stracił przytomność.

Już na stacji w Warszawie przygodni towarzysze podróży podnieśli hałas, że sybirak cierpiący wiele lat za ojczyznę może za chwilę umrzeć i to o ironio – wolny, w wolnej Polsce. Sprowadzono lekarza, który przejął się nieprzytomnym biedakiem tak bardzo, że kazał zawieźć go dorożką do swojego domu. Tu zajął się nim, a doglądała go żona lekarza. Jak mi opowiadał, kiedy się ocknął pomyślał, że już umarł i jest w raju, bo tak ładnego pokoju, czystej pościeli, obrazów na ścianie nie oglądał od lat i poczuł się na dodatek zupełnie dobrze, choć jeszcze był słaby. Po spędzeniu wielu dni u tego Judyma w gościnie, po okresie rekonwalescencji żegnając się ze swym dobroczyńcą powiedział: - Czym ja się panu, panie doktorze odwdzięczę? Jestem takim biedakiem! – na to usłyszał to zdanie, które po tylu, tylu latach poniekąd przyprowadziło go do mnie: - Odwdzięczy się pan kiedyś, komuś, kto będzie w potrzebie.

Tym kimś po latach miała być dziewczyna, córka sąsiadów, którzy pomagali starszemu panu, przynieśli węgla, zrobili zakupy gdy był chory, a ich córka miała kłopoty w szkole, więc chciał pomóc. Nie wyszło, trudno.

Rozmowa trwać musiała długo, bo wypytywałam o różne rzeczy. Opowiadał także o dramatycznym spotkaniu z rodziną. Zabranym od żony z małymi dziećmi, zetknął się po powrocie z dorastającymi córkami, ze straszną nędzą w domu. Długa jego nieobecność spowodowała poczucie pewnej obcości pomiędzy nim, a dziećmi. Przez lata więzienia żył nadzieją, że zgodnie z przyrzeczeniami w tajnej organizacji towarzysze zajmą się rodziną uwięzionego. Nie zajęli się, bali się własnego cienia. Został dom pusty, wyprzedany ze wszystkiego, co się tylko dało, żonę zniszczoną ciężką pracą praczki u bogatych sąsiadów. W tym momencie musiała nastąpić przemiana w jego samopoczuciu – bohatera cierpiącego za miliony – dostrzegł jeszcze siebie jako człowieka prywatnego – ojca, męża i przyszło straszne poczucie winy, które go nigdy nie opuściło. Ilekroć o tym mówił, płakał. Miał świadomość, że zniszczył życie swojej żony i dzieci. Żona, kiedy go poznałam już od lat nie żyła. Żył przekonanie, że jego długa nieobecność, a w konsekwencji nędza, przyczyniła się do jej przedwczesnej śmierci. Po powrocie z Syberii rzucił się w wir pracy, pracował w biurze, a po godzinach był tramwajarzem. Chciał zarobić jak najwięcej, żeby oddać dług, nie tylko moralny, rodzinie. Niewiele dało się zrobić. Biegu czasu nie dało się odwrócić. Dzieci nie uzyskały wykształcenia.

Podczas tej wizyty pana Antoniego, która nieoczekiwanie przerodziła się w spowiedź zetknęłam go z babką mojego męża, która lata wspomniane przez niego także pamiętała. W ten sposób nawiązali znajomość, która przetrwała dłużej. Pamiętam, że odtąd odwiedzał nas pan Antoni nieoczekiwanie i albo wdawał się w pogawędkę ze mną, albo siadywał na balkonie z babką i oboje zanurzali się w czas przeszły tak gorąco, że wydawali się przybyszami z innej epoki przez błędny przypadek umieszczonymi w tej scenerii ulicy przygotowywanej na obchody pierwszego maja, bo

oni w tej rzeczywistości, jak mawiano, socjalistycznej opowiadali o nahajkach kozackich o kajdanach i więzieniach. Babka powtarzała już któryś raz z rzędu słyszaną przeze mnie historię zamieszek na Placu Grzybowskim w 1904 r. Była warszawianką wychowaną na Starym Mieście i przypadkiem zaplątała się w tłum uciekający z Placu Grzybowskiego. O niczym nie wiedziała, uratował ją brat którego niósł tłum, porwał ją bez słowa za rękę i pociągnął w jakąś jeszcze otwartą bramę, dzięki temu uniknęli szarzy kozackiej tratującej wszystko i wszystkich po drodze, a także kozaków rozdzielających razy nahajkami.

Ktoregoś dnia obiecał mi nasz gość, że przyniesie następnym razem rzecz niezwykłą – zdjęcie zrobione w więzieniu na Mokotowie. Opowiadał, że wśród uwięzionych jego towarzyszy znajdował się pewien człowiek, który chwalił się, że umie robić fotografie. Wszyscy się z niego śmiali, bo to było jakby i tu pan Antoni odwołał się do porównania odpowiedniego do naszej ówczesnej epoki – „*jakby ktoś powiedział, że był w Kosmosie...*”. To było aktualne porównanie, bo nie tak dawno gazety były pełne Gagarina. Wówczas, w tym czasie zaprzeszłym, tam w więzieniu oczekano do odpowiedniej chwili, którą były święta prawosławne i przekupiony strażnik poszedł pod wskazany adres, opłacony sownie otrzymał aparat fotograficzny (rozmiarów odpowiednich jak na tę epokę), przyniósł i fotograf zabrał się do dzieła. Panowie usiedli na krzesłach, w poważnych pozach, niektórzy mieli na nogach kajdany połączone łańcuchem, czasem jeszcze kule metalowe. To jestem ja – pokazywał mi zdjęcie pięćdziesiąt lat później – nie mogłam go rozpoznać. Widziałam na fotografii młodego człowieka o ciemnych włosach, a rozmawiałam z łysym starszakiem z resztką siwizny nad karkiem. Zgadzał się jedynie skromny wzrost i ogólny kształt głowy. Uderzyło mnie jeszcze coś w tym zdjęciu – grupa ustawiona zupełnie jak na znanym portrecie zbiorowym Proletariaczyków namalowanym przez Kowarskiego.

Pomyślałam, widocznie była taka moda – usprawiedliwiłam sytuację. Dopiero po latach pomyślałam, że moda dotyczy zjawisk pospolitych, powtarzających się, a fotografia była wówczas zjawiskiem, jak określił to pan Antoni „kosmicznym”. Wiem, że jej odbitki trafiły do rodzin wszystkich wiecznie więzionych na tym zdjęciu. Muszą się znajdować w wielu archiwach rodzinnych. możliwe, że jedna z nich stała się kiedyś inspiracją znanego portretu Proletariaczyków? A gdzie jest odbitka pana Antoniego?

Kiedy myślę o dramatycznym powrocie pana Antoniego Michałkiewicza z zesłania do domu, do tej nędzy rodzinnej rozumiem jego ból tym wyraziściej, że pamiętam jego opowieści z Syberii. Pod dłuższym czasie uwolniono go z kajdan i dostał dobrą pracę – został księgowym w kopalni, w której przedtem pracował przy wydobyciu kruszcu, brakowało bowiem księgowego, a pan Michałkiewicz spisywał się tak dobrze na tym stanowisku, że dyrektor – dobry człowiek postanowił wynagradzać go skromną pensją. Ponieważ więzień nie mógł posiadać pieniędzy, a na noc księgowy wracał do celi, zrobił sobie skrytkę w biurze i składał w niej co miesiąc swoje skarby. Cieszył się ogromnie, bo nie wydawane pieniądze rosły i widział się już bogatym

człowiekiem po powrocie do domu... Jednakże tę kruchą nadzieję na prywatną, małą rekompensatę za czas oderwania od rodziny, kraju, za poniżenie i krzywdy, które spotkały go jedynie dlatego, że w czasie niepokojów rewolucji 1905 r. marzył o wolnej Polsce, że pielęgnował w sobie romantyczne idee walki o niepodległość, poświęcenia się za ojczyznę i solidarności społecznej zniszczyła następna rewolucja, ta październikowa.

To w panu Antonim Michałkiewiczu po raz pierwszy dostrzegłam jak narodowe tradycje romantyczne modelowały ludzi. Największą jego tragedią było przekonanie u schyłku życia o marność własnych wysiłków i niewspółmierności ceny, którą musiał zapłacić on i jego rodzina za te marzenia. Z drugiej strony czym bylibyśmy jako społeczeństwo, gdyby nie było wśród nas takich jednostek? Takie postacie muszą pozostać w pamięci. W naszej pamięci – narodowej i społecznej.

M. Magdalena Starzycka

– polonistka; pracowała w Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców, a także jako lektor języka polskiego i kultury polskiej w Uniwersytecie Lizbońskim w Portugalii.

Antoni Michałkiewicz

Pierwsze aresztowanie

Rok 1908...

Była to jedna z tych pięknych i pogodnych nocy wrześniowych, kiedy niebo zasiane gwiazdami uspasabia człowieka do marzeń. Wracalem z jakiegoś zebrania z głową przepełnioną najrozmaitszymi myślami; gdym przyszedł do domu żona i dzieci były pogrążone w głębokim śnie. Po wypiciu zimnej herbaty i pobieżnym przejrzeniu dzienników położyłem się spać, lecz długo zasnąć nie mogłem, gdym się zdrzemnął obudziło mnie silne pukanie do drzwi. Zdziwiony, nie wiedząc co mogłoby to być, pospieszyłem otworzyć drzwi i zdumiony ujrzałem rosyjskiego przodownika policji tzw. rewirowego w otoczeniu strażników policyjnych z mauzerami gotowymi do strzału. Gdym spytał o powód tej wizyty, przedstawiono mi w odpowiedzi rozkaz aresztowania mnie (...)

Jak się okazało później, nocy tej urządzono obławę podejrzanych politycznie w całym mieście, zaarrestowano w pierwszym okręgu policyjnym (tzw. cyrkule) tylko tej nocy przeszło 80 osób. Skąd władze żandarmerii miały wiadomości, że te i te jednostki należą do partii – czyżby prowokacja? Stwierdzić muszę fakt, że na badaniu, które miałem w kilka dni po zaarrestowaniu, żandarm przedstawił mi listę, na której figurowało między innymi moje nazwisko z dodatkiem, że jestem członkiem

Narodowego Związku Robotniczego w Łodzi i występowałem jako agitator tego związku. W innych okręgach było nie lepiej tak, że jak później się dowiedziałem nocy tej (7 na 8 września 1908 r.) aresztowano ogółem 300 osób.

Więzienia były przepełnione do tego stopnia, że nas wprost z cyrkułu zamiast, jak się do zwykle praktykowało odesłać do więzienia, miano odprowadzić do aresztu policyjnego na ulicę Targową. W tym celu wywołano wszystkich z celi i uszykowawszy czwórki, sprawdzono nazwiska, oddano także poprzednio zabrane pieniądze i inne przedmioty. Pochód cały otoczyli strażnicy zwartym szeregiem, trzymając rewolwery przygotowane do strzału. Wychodząc z cyrkułu pierwszą osobą, jaką spotkałem była moja żona, która nie bacząc na ranną godzinę (5. i 1/2 rano) z oczyma napelnionymi łzami oczekiwała mnie chcąc podać cośkolwiek do zjedzenia. (...)

Pochodu tego nigdy nie zapomnę, szliśmy pod osłoną rewolwerów, a za nami nasze rodziny, zanoszące się od płaczu; tu żona rzuca się mimo straży, chcąc pożegnać się z mężem, bo wyobraża sobie, że po raz ostatni go już widzi. Tam znowu jakaś kobieta starszuszka z głową pokrytą białym włosem, pochylona wiekiem, z oczyma pełnymi łez, żegna syna – jedynaka, który był podporą jej starości. Gdzie indziej znowu jakaś kobieta młoda chce podać trochę żywności bratu swojemu, lecz konwojujący strażnik-stupajka brutalnie ją odpycha; z płaczem więc odchodzi. Na widok ten krew w żyłach się burzy i w sercu potęguje się nienawiść do tyranów i ich sług. Tak pełni oburzenia w towarzystwie żon i ich rodzin naszych pogrążonych w płaczu i smutku doszliśmy do wrót aresztu. Trudno mi dziś opisać dokładnie, jakiego doznałem wrażenia, gdy za nami drzwi zamknięto. Nie zdążyliśmy jeszcze dobrze rozejrzeć się na naszym nowym mieszkaniu, gdy nas zarzucono gradem pytań: co słyhać na wolności, gdzie nas aresztowano? Za co? I nie byłoby końca pytaniom, gdyby nie głos z korytarza, wywołujący moje nazwisko. Cokolwiek zdziwiony tem odpowiedziałem, gdzie jestem. To posługacz przyniósł ciepłe śniadanie przysłane mi przez żonę.

Regulamin jest w areszcie lepszy niż w więzieniu, gdyż trzy razy dziennie można otrzymywać pożywienie z domu. Do roznoszenia przynoszonych zapasów „wałówek“ byli wyznaczani zwykle więźniowie, odsiadujący małe wyroki, zwani powszechnie „posługaczami“, gdyż do nich należy też porządkowanie korytarzy i całego więzienia. Posługacz taki zarabia dziennie około rubla i więcej, bo każdy woli dać parę kopiejek, niż czekać przed bramą. Prócz tego trzeba było dać coś zarobić i strażnikowi, stojącemu przy bramie. Ja dzięki staraniom żony dostawałem śniadanie o siódmej, obiad o dwunastej i kolację o szóstej wieczór, wszystko zawsze było ciepłe. Biedna kobieta nie dosyć, że musiała pracować w fabryce cały dzień na utrzymanie domu, ale jeszcze odrywając się od pracy kosztem zdrowia starała się, żeby mi nic nie brakowało. Areszt policyjny mieścił się przy ul. Targowej 14.

W tym więzieniu przesiedziałem trzy dni bez żadnej bliższej znajomości, czwartego dnia otworzyły się drzwi i zobaczyłem przed sobą jednego z moich dobrych znajomych – kolegę X, z którym spędziłem niejedną dobrą chwilę na wolności (...)

Na drugi dzień zawiadomiono wszystkich więźniów, aby przygotowali się do przeprowadzenia na ulicę Milszą¹ (dziś Kopernika), gdzie mieścił się oddział więzienia powiatowego. Gdyśmy już mieli spakowane rzeczy, starszy dozorca zakomunikował mi, że w tej chwili mam być odprowadzony do Zarządu żandarmerii na badanie... Udałem się z dozorcą do kancelarii, gdzie czekało sześciu żołnierzy, w towarzystwie których wraz z jakimiś trzema nieznanymi osobnikami udałem się do biura żandarmerii, które mieściło się przy zbiegu ulic Pańskiej i Konstanytownskiej.

Jakich uczuć doznawałem oczekując na swoją kolej badania i co się ze mną działo, trudno mi dziś opisać. Gdy tak siedziałem... wrócił wezwany ostatni młody człowiek, który pracował w fabryce Biedermana i jak potem mówił, był posądzony o sprawowanie sądów partyjnych i zamieszany do jakiegoś zabójstwa na tle stosunków fabrycznych. Kiedy na szereg postawionych mu pytań przez żandarma odpowiadał, że nic nie wie, w żadnych sądach udziału nie brał, a tembardziej w jakimkolwiek zabójstwie, wtedy żandarm, jak opowiadał ów człowiek, zerwał się z okrzykiem „kłamiesz“ i uderzył go w twarz, potem zagroziwszy mu słowami „Ja cię nauczę“, kazał go odprowadzić. Wszyscy zostali tym przygnębieni. Wreszcie wchodzi do dyżurki oficer żandarmerii i rzuciwszy pytanie: – Kto iz was Michałkiewicz? – skinieniem ręki dał znać, aby iść za nim. Rozpoczęło się rzeczywiste przesłuchanie:

- Czy pan należy do Narodowego Związku Robotników?

- Nie – wtedy oficer żandarmerii pokazał mi jeden z wielu leżących na biurku zapisanych papierów i zaczął z niego czytać, że jakobym miał należeć do Okręgu Łódzkiego N. Z. R., że jestem przedstawicielem tegoż Związku w fabryce I. K. Poznańskiego i że wygłaszam mowy antypaństwowe na zebraniach w tejże fabryce i wielu innych. Ze zdziwieniem spojrzałem na ten fatalny kawałek papieru i na trzymającego go oficera, gdy skończył, czułem, że zbladłem mimo to, że starałem się zapanować nad sobą.

- Panie, na takie oskarżenie nie mogę panu odpowiedzieć nic więcej prócz tego, że do organizacji politycznej nigdy nie należałem i nie należę; żadnych mów przeciwpaństwowych w jakiejkolwiek fabryce nie wygłaszałem. W fabryce I. K. Poznańskiego pracuję od ośmiu lat jako robotnik – ciągnąłem dalej – prócz tego w niedziele i święta pracuję jako konduktor na łódzkich tramwajach elektrycznych i chociażby z tego powodu zbyt mało mam czasu, żebym mógł go użytkować na jakąkolwiek pracę poza domem.

- Po co byłeś pan za granicą? – pytał się w dalszym ciągu żandarm.

- Za granicę jeździłem dwa razy, pierwszy raz jako delegat robotników I. K. P. upoważniony do pertraktacji z zarządem w czasie lokautu² łódzkiego, drugi raz również jako delegat od robotników w kwestii zabójstwa jednego z dyrektorów wyżej wymienionej fabryki.

- Kto pana wybierał i z czyjego polecenia pan wyjeżdżał?

- Wybierali mnie wszyscy robotnicy fabryki I. K. P. i z ich polecenia jeździłem.

(...) Po podpisaniu protokołu zwróciłem się z zapytaniem czy i kiedy będę wolny? W odpowiedzi usłyszałem: „Za trzy miesiące w Orenburgu“. Odpowiedź wcale mnie nie pocieszyła, tym bardziej, że miałem 21 paragraf, na mocy którego setki

ludzi wywożono w głąb stepów rosyjskich. Gdy już mieliśmy wychodzić, wezwano mnie powtórnie do badającego żandarma, który zaczął mi tłumaczyć, abym się przyznał i wskazał tych, których znam, że należą do partii, a on zrobi to, że nikt o tym się nie dowie, a ja będę wolny.

(...) Przedstawiono mi papier do podpisu, z którego dowiedziałem się, że jakoby jestem winien czynionych mi zarzutów, wobec czego moja sprawa podlega pod część 102 art. Kodeksu Karnego i z mocy tegoż prawa, poddany będę pod sąd Warszawskiej Izby Sądowej. W dni kilka potem fotografowano mnie. Ponieważ art. 102 przewiduje karę do 15 lat ciężkich robót z pozbawieniem wszelkich praw, a w najlepszym razie bezterminowe zesłanie na Sybir, więc z tego powodu, przyszłość moja, jak na teraz, nie bardzo przedstawiała się wesoło.

W pierwszą niedzielę po zakwalifikowaniu mojej sprawy pod wspomniany artykuł Kodeksu Karnego miałem widzenie z żoną. Chwili tej nigdy nie zapomnę: biedna kobieta nie posiadała się z żalu i rozpaczy wylewając gorące łzy nad swym losem, tuliła rozkwilone niemowlę trzymając za rączki dwie starsze i rozplakane dziewczynki, które już rozumiały, że ich spotkało jakieś nieszczęście.

(...) I tak mijały dni, tygodnie i miesiące bez żadnej zmiany, a tu coraz większa bieda i nędza w domu, z dawnych zaś przyjaciół i kolegów nikt nie przyszedł z radą i pomocą, gdyż wszyscy na wieść o mojem aresztowaniu skwitowali z przyjaźni, bojąc się, aby na nich cień mojej sprawy nie padł i aby nie aresztowano ich. I sprawdzili to się przysłowie, że najlepszych przyjaciół poznajemy w biedzie.

(...) W celi nr 6 byłoby nam dość dobrze, gdyby nie to, że posadzono z nami kilku kryminalistów. Według przyjętego w tem więzieniu zwyczaju, zwykle mieszano więźniów tzw. administracyjnych to jest aresztowanych z rozporządzenia żandarmerii ze złodziejami. Z tego powodu w celach bardzo często panowały kłótnie i niezgoda. Dlatego przeniesienie do celi 4 było dobre. (...) Wtem wszedł do celi p. P., który miał pewne znajomości w kancelarii i zawiadomił mnie poufnie, abym się szykował, gdyż wyjdę na wolność, o czym odpowiedni papier jest już w kancelarii. Pan P. poinformował mnie także, że wczoraj wieczorem wyszedł na wolność W. od Poznańskiego. Wiadomość tycząca się mnie przyjąłem z pewną wątpliwością, gdyż wszystkie pozory były za tem, że będę skazany na wywiezienie do Rosji. Jakże byłem zdziwiony, gdy usłyszałem głos z korytarza, wzywający mnie na wolność, sądząc, że był to zwykły kawał więzienny, nie ruszałem się z miejsca. Po kilku minutach wszedł dozorca i kazał mi się ubierać. Na pytanie „gdzie?“, odrzekł „na swobodę, no poskorej”. (...) Otworzono bramę. Znalazłem się na ulicy, gdzie odetchnąłem całą piersią. Po krótkiej rozmowie z żoną M. która przyszła dowiedzieć się czegoś o mężu, wsiadłem do przejeżdżającej dorożki i udałem się do domu. (...) Po należyтым wypoczynku pierwszą moją myślą dnia drugiego było pójść do pracy. Lecz tu, ku mojemu zdziwieniu, kazano się zwrócić do dyrektora oddziału, ten zaś odesłał mnie do zarządzającego, który na moją prośbę przyjęcia z powrotem do fabryki odpowiedział, że na mocy rozporządzenia wydanego przez

czasowego generał-gubernatora wojennego, Kaznakowa, wszyscy ci robotnicy, którzy w ciągu trzech dni, chociażby z powodu aresztowania nie stawia się do pracy, mają być wpisani do tak zwanej „czarnej książki” i podlegają wszystkim z tego wypływającym konsekwencjom, więc i mnie, jako należącego do zanotowanych w tej fatalnej książce, przyjąć do pracy nie może.

Drugie aresztowanie i początek gehenny

Dzień 21 lutego 1910 roku miał być smutną datą w moim życiu, gdyż od tego dnia zaczęła się nowa niewola. W nocy z dnia 21 na 22 lutego o godz. 1 zapukano do drzwi mojego mieszkania, gdy je otworzyłem wszedł oficer żandarmerii z rewolwerem w rękę w towarzystwie wachmistrza i kilku strażników. Po zwykłych pytaniach oznajmił mi, że przybył do mnie w celu dokonania rewizji. Rewidowano drobiazgowo wszystko i wszędzie do tego stopnia, że książki przeglądano po jednej karcie, nic jednakże nie znaleziono, prócz paru książek aczkolwiek nie opatrzonych urzędową cenzurą, lecz powszechnie znajdujących się na półkach księgarskich, trzech kart pocztowych, kilku drukowanych ustaw różnych związków zawodowych, stowarzyszeń społecznych i spożywczych, kilku książek zawodowych, gazet notatników, kwitów zapłaconych składek na rzecz istniejących w Łodzi stowarzyszeń, dwóch zezwoleń urzędowych, na wydanie pisma. (*kartce brak następnego zdania, wycięto dziurę w papierze*). Kiedy po ukończeniu rewizji około godziny wpół do piątej nad ranem podpisywałem protokół, żandarm zwrócił się do mnie z propozycją pozostawienia mnie na wolności, jeśli podpiszę zobowiązanie, że nie wydam się poza granice miasta i na pierwsze wezwanie stawię się do biura żandarmerii. Podpisałem. Kiedy chciano zabrać mi rewolwer zaprotestowałem, motywując to pozwoleniem, jakie miałem wydane przez gubernatora, lecz mimo to broń mi zabrano, przyczem zobowiązał mnie ów żandarm, żebym jutro stawiał się do niego do kancelarii.

(...) Upłynęło parę dni. Jestem w biurze żandarmerii, przypominam sobie jak to w 1908 roku byłem tu pod strażą bagnatów przyprowadzony. Po pół godzinie zjawił się rotmistrz w towarzystwie wice-prokuratora Jewdokimowa. (...) Ten sam gabinet co w roku 1908, to samo biurko i wpatrzony we mnie oczyma zza wciśniętych binokli; wszystko w tym samym porządku, jakby to nie było kilkanaście miesięcy temu, ale dzień albo godzinę. Tylko wice-prokuratora wtedy nie było, a ten kiedy wszedł zapytał mnie skąd znam U. Trzymając zabrany w rewizji notatnik. Zdziwiło mnie to pytanie i nie zdążyłem odpowiedzieć, kiedy zadaje mi już drugie: co znaczą litery w notesie i pod nimi zapisane cyfry. Na oba pytania odpowiedziałem mniej więcej w ten sposób, że znam U. gdyż jako konduktor tramwajowy, a przy tem agent towarzystwa ubezpieczeniowego staram się zawierać możliwie najwięcej znajomości, gdyż to jest mi potrzebne do interesów; cyfra wymieniona obok U. jest to dług należny mu ode mnie, który zaciągnąłem będąc w krytycznym położeniu i jeszcze go nie zwróciłem. Co się tyczy liter pod którymi wpisane są cyfry jest to mój rachunek wydatków domowych.

- Czyś pan należał do NZR – pytał dalej prokurator.

- Nie – odpowiedziałem.
- Czy znasz pan – tu wymienił około dwudziestu nazwisk różnych.
- Nie- brzmiała moja odpowiedź.
- Czyś był pan kiedy za granicą?
- Tak. – odpowiedziałem.
- Po co?
- Tu powiedziałem to samo co w 1908 roku
- Czy był pan kiedy w Sosnowcu?

Mimo, że przeszedł mnie dreszcz, nadrabiając jednak miną roześmiałem się i odpowiedziałem, że poza Częstochową, w której raz byłem nigdzie nie wyjeżdżałem, tembradziej do Sosnowca. Na uśmiech mój zwrócił uwagę wice-prokurator.

- To nie śmiech – rzekł – to jest rzecz bardzo ważna, gdyż mamy wiadomości, że pan jeździłeś do Sosnowca i woziłeś broń.

- Na takie zarzuty śmiać się tylko muszę, gdyż nigdy w Sosnowcu nie byłem i żadnej broni nie woziłem – odrzekłem szybko.

Rotmistrz w ciągu całego badania siedział milcząco, notując tylko moje odpowiedzi.

Po zadaniu mi jeszcze całej masy pytań badanie ukończono. Po podpisaniu protokołu i naradzie jaką pomiędzy sobą mieli ci urzędnicy pozwolono mi pójść do domu.

(...) Kiedy już sądziłem, że zostawią mnie w spokoju, zjawia się w nocy dnia 10 marca 1910 roku wachmistrz żandarmerii wraz z rewirowym i strażnikami i z rozkazu naczelnika żandarmerii dokonał rewizji, podczas której niczego nie znaleziono, jednakże mimo to, aresztowano mnie i odprowadzono do drugiego cyrkułu na ulicę Konstantynowską, gdzie przesiedziałem do godziny dwunastej w południe. Potem zostałem przeprowadzony do „Ochrany”, gdzie mnie trzymano do jedenastej wieczór. Wreszcie zostałem wezwany do rotmistrza Kraskowskiego, który rozpoczął badanie. Po godzinnej przeszło rozmowie nie mógł żandarm ze mnie nic wydobyć, zirytowany kazał podpisać protokół, co z zadowoleniem uczyniłem, gdyż z powodu przejść byłem ogromnie znużony.

Po podpisaniu papieru, w którym było oznaczone, że na mocy 21 artykułu jestem aresztowany, kazano przeprowadzić mnie do więzienia przy ulicy Miłszej, konwojowało mnie czterech żołnierzy z podoficerem żandarmerii. idąc słyszałem jak zegar wydzwaniał pierwszą godzinę. Była to jedna z tych pięknych nocy, kiedy śnieg białym całunem pokrywa ziemię (...) Doszliśmy do więzienia, z łoskotem otwarto bramę. Znaleźliśmy się na trzecim piętrze, gdzie po wydaniu brudnego siennika wprowadzono mnie do celi, w której rozłożywszy siennik ułożyłem się spać. Byłem tak zmęczony, że zasnąłem momentalnie.

Przesiedziałem do 6 kwietnia, cały ten miesiąc nie wzywano mnie na badanie. W dniu 6 czy 7 kwietnia wezwano mnie i po męczącym, bo aż cztery godziny

trwającym przesłuchaniu żadnych nowych zarzutów mi nie uczyniono. Dopiero przy końcu dowiedziałem się, że „sypie” mnie niejaki Hipolit Kozulski, aresztowany za szereg zabójstw dnia 18 września 1909 r. Kozulski – szpicel zawodowy, któremu za zeznania zamieniono stryczek na bezterminowe ciężkie roboty; należał podobno kiedyś do wszystkich po kolei partii politycznych. Toteż z powodu jego zeznań, jakie dawał żandarmom mieli oni dużo roboty; więzienia były przepełnione. Po badaniu przedstawiono mi papier do podpisu, z którego dowiedziałem się, że jakoby jestem winien czynionych mi zarzutów, wobec czego moja sprawa podlega pod art. 102 Kodeksu Karnego iż mocy tegoż prawa, oddany będę pod sąd Warszawskiej Izby Sądowej. Kilka dni potem fotografowano mnie. Ponieważ art. 102 przewiduje karę do piętnastu lat ciężkich robót z pozbawieniem wszelkich praw, a w najlepszym razie bezterminowe zesłanie na Sybir, więc z tego powodu, przyszłość moja, jak na teraz nie bardzo się przedstawiała wesoło. (...)

W dniu 14 maja wezwano mnie do kancelarii, gdzie zastałem rotmistrza Kraskowskiego, który przyjechał, aby zakończyć śledztwo. (...) Zawiadomił mnie ów rotmistrz, że będę miał sprawę z drugimi jeszcze osobami, a mianowicie: Wacławem Wojewódkim, Hanrykiem Malinowskim, Wacławem Paszkowskim, Klemensem Karlińskim, Edmundem Bernatowiczem, Janem Sutorowskim, Franciszkiem Czają, Pawłem Urbaniakiem, Józefem Kaźmierczakiem, Antonim Szadkowskim, Antonim Bocianem, Janem Tagowskim, Antonim Ziętańskim, Bronisławem Stodońkiewiczem; wszyscy z aresztowanych byli łodzianami prócz Stodońkiewicza i Bernatowicza; pierwszy z nich był aresztowany w Piotrkowie, drugi zaś w Warszawie. Byli to ludzie przeważnie młodzi, bo mieli od dwudziestu do trzydziestu ośmiu lat. wszyscy siedzieli w więzieniu przy ulicy Milszej z wyjątkiem U., który był trzymany w więzieniu przy ul. Długiej. Chociaż każdy z nas miał być trzymany oddzielnie, to z powodu przepełnienia więzienia i braku pojedynczych cel siedzieliśmy razem. Jeden tylko U. od 13 czerwca 1909 roku do 14 maja 1910 roku był trzymany oddzielnie i nie przepuszczano mu nic, prócz bielizny i cukru, wiedząc jakie pożywienie jest w więzieniu, możemy sobie wyobrazić, co człowiek ten wycierpiał sam w czterech ścianach, żyjąc w stałej niepewności. Antoni Szadkowski i Klemens Karliński zostali wypuszczeni na wolność za kaucją trzystu rubli każdy. Franciszek Czaja zwolniony był pod dozór policji. Przy zakończeniu śledztwa, gdy trzech z nas zażądało kategorycznie zmiany niektórych ustępów w protokołach fałszywie nam wpisanych, to za karę przeprowadzono ich także na Długą, gdzie przesiedzieli przeszło dwa miesiące; po upływie tego czasu powrócili na Milszą.

Nareszcie skończyły się te nużące badania żandarmskie i nadejść miał dzień sądu. Niech będzie co ma być, byle pręcej położyć kres tym wyczekiwaniom i niepewności. Po zakończeniu śledztwa odesłano papiery do wice-gubernatora, który je odsyła do prokuratora. Na takich oczekiwaniach upłynął czas do 15 października. (...) Wówczas wezwano nas do kancelarii, gdzie zastaliśmy sędziego pokoju, który z polecenia Warszawskiej Izby Sądowej wręczył nam akt oskarżenia, po uprzednim objaśnieniu, że służy nam trzydniowy termin do podania świadków i zażądania obrońcy z urzędu,

z czego korzystając w tej chwili napisałem podanie z prośbą o wyznaczenie mi takowego; co do świadków postanowiłem czekać do zaznajomienia się z oskarżeniem i poinformowania się u znajomego mi prawnika. Jakoż trzeciego dnia po otrzymaniu akt oskarżenia zjawił się adwokat i po wyjaśnieniu kwestii prawnych, napisał podanie, w którym wyszczególnił świadków i ich adresy. Świadków podałem trzech. Dnia 9 stycznia 1911 r. nadesłano nam z W. I. S. zawiadomienie, że sprawa nasza będzie rozpatrywana dnia 24 lutego w Piotrkowie; przy tym zawiadomił nas naczelnik więzienia, że według otrzymanych poleceń zmuszony jest najbliższym etapem wysłać nas do Piotrkowa, co ma nastąpić w pierwszy piątek. W czwartek drugiego lutego miałem widzenie z żoną, z którą pożegnałem się prosząc jednocześnie, aby nie przyjeżdżała na rozprawę sądową, czego później miałem żałować. Na drugi dzień (...) od samego rana rozpoczęły się przygotowania do wyjazdu. O godzinie dziesiątej rano wyprowadzono nas na podwórze więzienne, gdzie już oczekiwali strażnicy policyjni z pomocnikiem komisarza i rewirowym; po ustawieniu nas w dwójki, otwarto bramę i ruszyliśmy wolnym krokiem naprzód. Przed więzieniem oczekiwały rodziny moich współtowarzyszy; do mnie nikogo nie było (...) Ulice miast, którymi przechodziliśmy ożywiały ruch dorożek; trotuary pełne były przechodniów – każdy z nich oglądał się z trwogą na nasz orszaki biegł dalej w pogoni za swojemi interesami. (...) dzień był pogodny. W towarzystwie konwojujących nas strażników przyszlismy do policyjnego aresztu, gdzie po szczegółowym zrewidowaniu, odprowadzono nas do celi, w której oczekiwaliśmy na konwój, mający nas odwieźć do Piotrkowa. W areszcie wypłacono każdemu z nas 10 kop. należne jako „strawne”. Około godziny siódmej wieczór podwórze zaroilo się od policji pieszej i konnej, którą dowodził naczelnik rezerwy – pomocnik policmajstra Miaczkow. Prócz tego było kilkunastu żołnierzy z piechoty. Zbliżała się chwila wyjścia; każdy z nas cokolwiek podniecony rozmyślał gorączkowo gdzie schować pieniądze, papierosy lub inny jakiś przedmiot. Nareszcie otwarto drzwi; zaczęliśmy wychodzić. W kancelarii ścisk, gdyż dawno już nie było tak dużego etapu. Zaczęto z nazwiska wywoływać każdego i oddawać w ręce konwoju, który ze swej strony wyprowadzał nas za bramy, gdzie zakuwano po dwóch za ręce. Tu znowu okazał swój charakter „smotritiel areszta”, który mszcząc się za zajście, jakie miał z jednym z kolegów, gdy przyprowadzono nas do kancelarii, rozdzielał nas w ten sposób, że każdego zakuto ze złodziejem lub bandytą. Tak skuci łańcuchami przy świetle pochodni, którą na przedzie niósł żołnierz, postępowaliśmy przez miasto, które było jak wymarłe; nikogo nie było widać prócz surowych i ponurych twarzy naszych straży. Na peron kolejowy wprowadzono nas boczną furtką, mieszczącą się w płocie obok gmachu dworca kolejowego.

W Piotrkowie

W takich warunkach przyjechaliśmy w nocy do Piotrkowa i przy mniejszej straży niż w Łodzi udaliśmy się do więzienia przy ulicy Bykowskiej.

12 lutego, niedziela. Tylko co wróciłem z kancelarii, do której mnie wezwano, gdyż

przyszedł naznaczony z urzędu obrońca, adwokat przysięgły p. Cybulski, należy on do poważniejszych sił w adwokaturze. O ile byłem ucieszony, że będę miał tęgiego obrońcę, o tyle później się zmartwiłem; p. adwokat zaczął od tego, że przeprosił mnie, że z powodu wyjazdu nie może mnie bronić, ale o ile się zgodzę, to da mi zastępcę w osobie p. Kaź. Rudnickiego, który jak mnie zapewnił pan C. ma dużą praktykę w sprawach karnych. (...) Uznając słuszność wywodów p. C. podziękowałem mu za trudy podjęte w moim interesie i podpisałem plenipotencję na imię p. Rudnickiego (...) Pan C. orzekł, że słyszał, że jakoby miał się tworzyć jakiś komitet obrony naszej sprawy, składający się z obrońców warszawskich, łódzkich i piotrkowskich. Ze zdziwieniem się o tym dowiedziałem, gdyż aczkolwiek wiadomem mi było, że w sprawie naszej mają stawić się adwokaci z Warszawy i Łodzi, ale bliższych wiadomości o tem nie miałem.

16 lutego, czwartek. Dziś wysłałem list do żony, w którym oprócz zawiadomienia o tem, że jestem zdrow i powierzchownego opisu więzienia piotrkowskiego, prosiłem, aby żona stanowczo nie przyjeżdżała na rozprawę sądową, gdyż tym sposobem naraża się na przykrości i zarazem, przyjeżdżając przerywa sobie i uszczupla i tak nikłe dochody.

18 lutego, sobota. Już tylko parę dni mnie dzieli od sądu, a obrońca p. K. Rudnicki nie przychodzi (...) Czuję żal do tych, którzy zapewniali, że o obronę mam się nie starać, gdyż adwokaci już są, a tu nikogo nie ma...

22 lutego, środa. Dziś dowiedziałem się, że ma mnie bronić p. Krypski z Warszawy, który ma przyjechać jutro wieczorem. Wiadomość ta ucieszyła mnie, bo p. K. znany jest jako jeden z lepszych adwokatów warszawskich, przy tem dobrze obznajmiony ze szczegółami naszej sprawy.

24 lutego, piątek. Dziś wstałem wcześniej i cokolwiek rozgorączkowany. (...) Usłyszałem zgrzyt klucza w zamku i otwieranie drzwi – to wszedł dozorca z wezwaniem, abym szykował się, gdyż konwój już czeka (...) Po uprzednim zrewidowaniu, pod ostoną gołych szabli i bagnetów, otoczeni konwojującymi nas żołnierzami, udaliśmy się do sądu okręgowego, przy ulicy Kaliskiej. Na ulicy przy więzieniu zamieniliśmy nieme pozdrowienia ze znajomymi i rodzinami. (...) Gdyśmy weszli go gmachu sądowego umieszczono nas w małej i ciasnej celce, w której zaprowadzone jest, jak w całym więzieniu, centralne ogrzewanie i elektryczne oświetlenie. Po kamiennych, czysto utrzymanych schodach, zasłanych chodnikami i linoleum udaliśmy się do dużego pokoju na trzecim piętrze, jasno oświetlonego dwoma dużymi oknami, gdzie woźny sądowy, po sprawdzeniu nazwisk, wprowadził nas na salę. Umieszczono nas w dwóch ławkach, a obok na przystawionych krzesłach siedli wypuszczeni za kaucją: Antoni Szadkowski, Klemens Karliński i Franciszek Czaja, ten ostatni zamiast kaucji, był oddany pod dozór policyjny, a przed nami przy stole adwokaci w liczbie dziesięciu (...) Mnie jak wiadomo miał bronić p. Krypski, który też z chwilą wejścia naszego na salę, przybliżył się do mnie i po zamienieniu kilku słów, gdym chciałem mu udzielić niektórych wyjaśnień, rzekł: ja jestem pańskim obrońcą i już wiem z protokółów, jak mam pana bronić. Na tem skończyła się cała rozmowa, w której tyle pokładałem nadziei.

Rzuciwszy, chwilę potem, okiem na salę, zobaczyłem dość dużo osób patrzących na nas; każdy z moich towarzyszy miał tu jakieś drogie serce (...)

Sala sądowa była dość duża, oświetlała ją pięć wielkich okien; drewniana balustrada przedzielala ją na dwie części; pierwsza z nich przeznaczona była dla publiczności, dla której było ustawionych kilkanaście ławek w rzędy, po obu stronach sali – druga zaś była miejscem zasiadania sądu. Ten ostatni składał się z czterech sędziów koronnych, łącznie z przewodniczącym, trzech przedstawicieli stanów; po prawej stronie sądu, na końcu, siedział otoczony papierami prokurator, a naprzeciwko tegoż z piórem w ręku nachylony nad arkuszem papieru, znajdował się pomocnik sekretarza Warszawskiej Izby Sądowej.

(...) Przewodniczący zaczął odczytywać listę świadków, których było czterdziestu, czego ze strony prokuratury było wezwanych jedenastu, a reszta, ze strony oskarżonych. Czterech świadków nie stawilo się na sąd; pomiędzy brakującymi byli Kozulski i Zubert, którzy byli wezwani przez prokuraturę, a ponieważ zeznania ich mogły stanowić o rozstrzygnięciu całej sprawy na naszą korzyść, albowiem Zubert badany w czasie choroby, podpisywał wszystko to, co żandarmi chcieli, byle tylko przestali go męczyć, toteż gdy po wyzdrowieniu dowiedział się jakiego fałszu dopuścili się żandarmi, w oburzeniu podał protokóły, czego ślady pozostały w postaci jednego takiego, posklejanego protokołu. Co się tyczy Kozulskiego, to my wiedząc o tem, że od pewnego czasu jest on płatnym szpiegiem żandarmerii, byliśmy przekonani, że braknie mu odwagi na powtórzenie tych wszystkich kłamstw. Wobec tak wielkiego znaczenia zeznań nieobecnych świadków, obrońcy nasi postanowili złożyć w Izbie Sądowej wnioszek o odroczenie rozpraw sądowych i wezwanie owych świadków; z tego powodu przewodniczący zarządził przerwę.

(...) Po odczytaniu postanowienia o ukaranie grzywną tych świadków, którzy się nie stawili, prezes zakomunikował, że sprawa będzie rozpatrywana przy drzwiach zamkniętych, wobec tego, za pośrednictwem komisarza sądowego kazał wszystkim opuścić salę, zaznaczając jednocześnie, że rodzina każdego z oskarżonych będzie wezwana, o ile tego będzie sobie życzył podsądny; wobec tego każdy podaje nazwiska tych, których chciałby tu mieć, a prezes każe te osoby komisarzowi wpuszczać do sali. Przystąpiono do odczytywania aktu oskarżenia, który czytali kolejno sędziowie koronni, po tym odczytano zeznania Kozulskiego i Zuberta, anonim, przesłany swego czasu naczelnikowi żandarmerii postanowiono odrzucić i w śledztwie sądowym nie brać pod uwagę. Po załatwieniu wszystkich formalności, przystąpiono do odebrania przysięgi, od świadków, ekspertów. Przysięgę odbierał od katolików i ewangelików ksiądz katolicki, od prawosławnych pop. Po odebraniu przysięgi zarządzono przerwę obiadową do piątej.

W czasie przerwy spożywamy obiad, który nam przysłano z więzienia. Po przerwie rozpoczęło się przesłuchiwanie świadków, które trwało do godziny jedenastej, przy czem przewodniczący proponuje ekspertom, aby rozpoczęli swoją

czynność. Eksperci oponują, motywując tym, że przy świetle lampy nie można dokładnie niczego rozpoznać. Wobec tego posiedzenia sądu przerwano i naznaczono na dzień następny o godzinie 10 rano. Kiedy wszedłem do celi rzuciłem się na przygotowane posłanie i zasnąłem kamiennym snem.

25 lutego, sobota. (...) Po umieszczeniu nas w tychże ławkach oczekiwaliśmy parę minut na wejście członków sądu. W przyległym pokoju ekspertyza już rozpoczęła swoje czynności. Sąd zjawiwszy się zajął się rozpatrywaniem w dalszym ciągu dowodów naszej winy.

W tym celu otwarto duże pudło i wyjęto z niego kilka sztuk rewolwerów systemu „brauning” i parę sztuk innych systemów. Sędziowie oglądają z zainteresowaniem. Po ukończeniu śledztwa sądowego i wydaniu opinii ekspertów, co dowodów piśmiennych, o godzinie drugiej zarządzono przerwę obiadową. Po obiedzie rozpoczął mowę oskarżycielską prokurator. Mowy tej nie będę przytaczał, gdyż nie wychodziła ona poza ramy aktu oskarżenia. (...) Po przemówieniu prokuratora rozpoczęły się przemówienia adwokatów. Pierwszy mówił p. Nowodworski, który ze zwykłą sobie swadą głosem dobitnym, starał się przekonać sędziów, że klient jego jest niewinny czynionym mu zarzutom. Drugi przemawiał mój obrońca, p. Krypski, który po uprzednim wypowiedzeniu słów parę w charakterze hymnu pochwalnego, pod adresem swego przedmówcy rozpoczął obronę. Nie chcę teraz, pod wrażeniem chwili, pisać o tem, jak mnie bronił p. K., ale czułem podczas jego przemówienia, że wiele rzeczy ważnych pominął, lecz może to jest tylko moje złudzenie. Zresztą może kiedyś później napiszę o tem.

W dalszym ciągu przemawiali panowie Krzesimowski, Makowski, Kozłowski, Chawłowski, Klejna, K. Rudnicki, E. Rudnicki i nareszcie ostatni wnosił obronę p. Kijeński, który jak można było wyczuć z jego przemówienia, był cały przejęty obroną swojego klienta: każdy szczegół był tu wyzyskany na korzyść oskarżonego i tu dopiero mimo woli przyszła mi na myśl, że nie dość jest mieć sławę dobrego adwokata, ale trzeba jeszcze chcieć.

Po ukończeniu przemówień adwokatów, prezes zwrócił się do podsądnych czy i kto niema do dodania na swoją obronę, każdy oddzielnie powiedział, że nie. 26 luty, niedziela. Około godziny dziesiątej rano udaliśmy się jak w dniach poprzednich do sądu okręgowego. Gdy weszliśmy na salę, zastaliśmy już w niej dość dużo publiczności, gdyż na ogłoszenie wyroku drzwi sali otwarto.

Wyrok: ciężkie roboty

Czekaliśmy tak w nerwowym napięciu do godziny drugiej po południu. Nareszcie wchodzi sąd i prezes rozpoczął czytać następujący wyrok: Paweł Urbaniak, Antoni Bocian, Antoni Michałkiewicz i Bronisław Stodołkiewicz na zasadzie drugiej części 102 artykułu nowego kodeksu karnego zostają pozbawieni praw i zesłani do ciężkich robót. P. Urbankiewicz na siedem lat, a pozostali trzej na lat cztery. Jan Sutorowski, Wacław

Paszkowski, Henryk Malinowski, Antoni Szadkowski, Klemens Karliński, Jan Tagowski, Józef Kaźmierczak na zasadzie tegoż artykułu pozbawieni praw i zesłani na osiedlenie w Syberię. Wacław Wojewódzki, Edmund Bernatowicz, Antoni Ziętański i Franciszek Czaja, uwolnieni. Klemens Karliński jako podchorąży rezerwy będzie przedstawiony do uznania cesarza.

27 lutego, poniedziałek. Dziś wysyłam do jednego z moich przyjaciół list z opisem całej sprawy. List ten pisałem cały tydzień, gdyż jakiś bezwład przeszkadzał mi w pracy. Czuję się ogromnie osłabionym. Ze mną razem w celi siedzi człowiek, który jak opowiada, był „wyspany” przez jednego z wielu szpicli-prowokatorów. Winą jego, jak mówi, było to, że kiedyś powiedział słów parę w rozdrażnieniu jednemu ze szpicli. Człowiek ten już siedzi dwa lata przeszło i nie ma absolutnie żadnej pomocy. Pierwszych kilka dni mego z nim siedzenia nie chciał zemną rozmawiać. Urządzał różne sceny i czasem bez żadnego powodu wybuchał śmiechem. Ja, ze swej strony, starałem się ulegać mu przeczuwając, że jest to jakiś nieszczęśliwy, który pomimo młodego wieku, skosztował do dna z czary goryczy. Powszechnie mniemano, że cierpi on na lekkie obłąkanie, czego ja, mimo że siedziałem z nim przeszło trzy tygodnie nie zauważyłem. (...)

23 marca, czwartek. Dziś pod adresem kol. U. adwokat Krzesimowski przysłał list z zawiadomieniem, że kasacja do senatu podana jest od wszystkich podsądnych. W tym tygodniu przedostała się do nas wiadomość o poważnych zatargach między Rosją a Chinami; zanoszą się podobno na wojnę, gdyż jak nam mówiono został podobno zabity poseł rosyjski w Pekinie. Wiadomość ta oczekuje jednak na sprawdzenie. My zaś wyciągamy wniosek, że o ile przyszłoby obecnie do wojny, to dla nas przynieść musi jakieś ulgi, a może co więcej. Z okazji te wiadomości i wynikłej dyskusji, dnie nam schodzą prędej i weselej. (...)

20 kwietnia, piątek. Dzisiaj przysłano nam odezwę podpisaną przez koło więźniów PPS z wezwaniem do uczczenia 1 Maja. Z tego powodu trwała dyskusja, jedni są zwolennikami popierania święta 1 Maja, drudzy przeciwni. Do żadnych konkretnych wniosków nie doszli –wobec tego pozostawiono każdemu swobodę postępowania. Natomiast wyłania się kwestia 3 Maja, którą postanowiono uczcić w dwojaki sposób, a mianowicie: pewną sumę składkową ofiarować na cel Narodowy i wstrzymać się w dniu tym od spacerów. Ja jak w pierwszej tak i drugiej sprawie głosu nie zabierałem, zaznaczywszy uprzednio, że poddaję się większości. Udziału w dyskusji nie brałem, gdyż ona mnie denerwuje, tem bardziej, że od paru dni niezmierna żalność gniecie moją duszę (...)

26 maja, piątek. Dziś widziałem się w kąpieli ze znajomymi, z którymi siedziałem parę miesięcy w Łodzi; są skazani na wieczne osiedlenie w Syberii. W dniu dzisiejszym otrzymałem również list od siostry, która mi donosi o śmierci kuzyna. Ach te smutne wieści i zawsze pogrzebowe! (...)

28 maja, niedziela. Dziś po kontroli wieczornej wizytował cele nowo mianowany naczelnik p. pułkownik Nikolskij, w celi naszej zabawił około dziesięciu minut. Na mnie wywarł dodatnie wrażenie, gdyż jest to człowiek energiczny, nie tak jak jego pomocnicy, sądząc

z tego, cośmy słyszeli przy prezentacji, będzie się interesował więźniami, a to już dużo znaczy. Oby tak było. (...)

8 czerwca, czwartek. Dziś drogą prywatną otrzymaliśmy wiadomość, na ręce jednego z kolegów, zawiadomienie, że kasację w Senacie odrzucono. Nareszcie skończyły się dni niepewności i złudnych nadziei. Za parę dni spodziewamy się urzędowego zawiadomienia, a co za tym idzie, wykonania wyroku to jest zakucia w kajdany. Od dnia rozpatrzenia skargi kasacyjnej w Senacie liczy się wyrok. Wiadomość o odrzuceniu kasacji, wywarła różne wrażenia, jedni się ucieszyli, że nareszcie będą mogli już wyjechać, inni zaś, nie tracąc czasu, w obawie aby ich nie wysłano w tajgi i tundry syberyjskie, piszą prośby do cara o ulaskawienie. (...) Jeden z osiedleńców nie mogąc doczekać się kasacji, cofnął takową, upewniwszy się, wbrew orzeczeniu adwokata z Warszawy, że cofnięcie nie zaszkodzi nikomu. Co do mnie to wiadomość ta nie wywarła żadnego wrażenia; szkoda tylko paru zmarnowanych tygodni, co powiedziała moja żona, która na widzeniu rzekła mi, że szkoda czasu na kasację, gdyż w sprawiedliwość sądu nie wierzy. (...)

21 czerwca, środa. Dziś wystąpiłem parę listów do rodziny i znajomych, pomiędzy innymi i do jednego z moich najbliższych przyjaciół. List ten spowodował jakąś tęsknicę za czymś, z czego sam sobie nie mogę zdać sprawy, a tęsknota ogarnia mnie coraz większa, gdyż nie mam tu pokrewnej sobie duszy, nie mam przyjaciela, któremu mógłbym powierzyć moje bóle, moją tęsknotę, moje marzenia i te wszystkie uczucia, któremi przepełnione jest serce moje. Tutaj nikt mnie nie rozumie (...)

30 czerwca, sobota. Dziś miałem widzenie z żoną i córeczkami, które wyglądają trochę mizernie; gdy już miałem zakończyć widzenie, zjawił się pomocnik naczelnika Preobrażeński i zauważywszy kilka książek, jakie mi przywiozła żona, bez cenzury treści, przeważnie naukową w polskim i rosyjskim języku, posegregował je i zatrzymując rosyjskie, rzekł, że je przejrzy, a polskich wcale nie chciał przyjąć; kiedym się zwrócił do niego, aby o ile sam nie może zdecydować, sprawę przedstawił naczelnikowi, obraził się za takie przedstawianie kwestii i zaczął wymyślać, że nie tylko książek, ale nic mi za karę nie pozwoli przepuścić. (...) Skierowałem się do celi, jednocześnie poprosiłem żonę, aby udała się ze skargą do prokuratora na niewłaściwe postępowanie tego pana. Ja ze swej strony zażądałem widzenia się z naczelnikiem, który po upływie krótkiego czasu przyszedł do celi i po wysłuchaniu mojego zażalenia (...) przychylił się do mojej skargi i kazał zawołać żonę do kancelarii, ale ta już się udała do prokuratora, który książki kazał wręczyć, wydając w tym celu odpowiedni papier. „Wałówkę” również mi odesłano za pośrednictwem strażnika. Przy odbiorze książek pan pomocnik skarżył się na swoje nerwy. (...)

„Deżurka” kajdaniarska

29 lipca, sobota. Dziś przysłano wyrok już pełnomocny z guberni o czym prywatnie nas zawiadomił sekretarz więzienny o godzinie dziesiątej wieczorem. Wiadomość ta ucieszyła mnie, gdyż nareszcie skończą się dyskusje na temat gdzie obecnie są i kiedy

przyślą papiery, to jest wyrok do wykonania... ciekawy przy tem jestem kiedy zakują mnie w kajdany.

1 sierpnia, wtorek. Dziś od samego rana w celu harmider i nieporządek, gdyż robią okienko. Kurz nie do wytrzymania. Ja jako pomocnik porządkowego będę miał trochę roboty. (...) Gdy przyszedł „starszy” do celi zainterpelowałem go, kiedy sprawi nam „buty” (ak tu nazywają kajdany). Odpowiedział, że jutro, więc jeszcze jedną noc mam przepędzić bez żelaza na nogach, a później nastaną dnie i noce, kiedy trzeba będzie nosić łańcuchy i słuchać ich brzęku.

2 sierpnia, środa. Nareszcie nadszedł dzień zakucia. Po wypiciu herbaty udaliśmy się na spacer. Zaledwie parę minut chodziliśmy, gdy „starszy” wezwał nas do zakucia. Poszliśmy. „Deżurka” czyli pokój, w którym jest zborny punkt wszystkich strażników, zastawiona była dużym stołem i ławkami, na dwóch wieszadłach przymocowanych do ściany wisi odzież wierzchnia strażników. Gdym wszedł, rzuciłem okiem wkoło, szukając kajdan. Jeden ze strażników odkrywa skrzynię, w której wybieramy, dzięki uprzejmości „starszego” owe łańcuchy. Ja dla siebie nie mogę dobrać odpowiednich, gdyż jedne za małe, drugie są za duże. Nareszcie po kilkukrotnym przymierzaniu wybrałem jedne z lepszych. Zbliżyła się chwila krytyczna. „Proszę siadać na ziemi i nogę położyć koło kowadła” – brzmi cichy jakby załężniony głos chłopca, który ma mnie zakuć. Wypełniłem polecenie. Parę uderzeń młotkiem i po wszystkim, kiedy zacząłem próbować czy wszystkie ogniwa należycie są złożone, to pokazało się, że kółko spajające dalsze ogniwo z obręczą nie obraca się dobrze. Nie pomogły żadne manipulacje, aby je zluzować. Musiano mnie rozkuć i szukać drugich łańcuchów. Po dłuższym poszukiwaniu znaleziono takowe i zakuto mnie na obie nogi.

3 sierpnia, czwartek. Dzień dzisiejszy jako drugi w łańcuchach przeszedł dość znośnie. Do więzienia przedostała się wiadomość, że gubernator piotrkowski przyjechał z letniego mieszkania i będzie wizytował cele. Gorączkowo wykańczają murarze białenie, a my myjemy podłogę. Po umyciu podłogi był naczelnik i jego pomocnik. Zesłańcy proszą o przyspieszenie formalności przy wysyłaniu ich. Naczelnik sam przyrzekł rozpatrzyć sprawę. (...) Na korytarzu ruch. Strażnik puka do drzwi z ostrzeżeniem, aby się przyszykować, gdyż gubernator jest już na pierwszym piętrze. Czekamy, upłynęło tak sporo czasu, lecz dostojnik się nie zjawił – już poszedł – informuje nas strażnik.

13 sierpnia, niedziela. Dziś miałem widzenie z matką. Widzenia tego obawiałem się z tego powodu, że gdy matka zobaczy mnie w kajdanach, to nie wstrzyma się od płaczu, a to mnie zawsze denerwuje. Gdy wszedłem do kancelarii zauważyłem wzrok matki skierowany na łańcuchy, lecz wbrew moim przewidywaniom matka nie płakała, lecz troskliwie wypytywała czy bardzo cierpię. Odpowiedziałem, że prócz nieprzyjemnego uczucia, jakiego doznaję z powodu, że przemoc okrutna, której ja ulegać muszę, zakuła mnie w kajdany, nie doznaję żadnego cierpienia. Po omówieniu wielu spraw, kwestii domowej i ściśle rodzinnych, gdym zauważył potęgujące się wzruszenie matki, a chcąc uniknąć widoku łez, zacząłem się żegnać. (...) Ta biedna matka jakże strasznie

zmieniona. Pamiętam dawniej, gdym był w domu, jeszcze nigdy nie widziałem jej tak smutnej i zmienionej, mimo że i wtedy po różach nie stąpała, gdyż choroba ojca przyczyniała jej wiele zmartwienia. Ile razy przyszedłem w odwiedziny zawsze miała dla mnie uśmiech kochającej matki. A dziś w tych oczach widziałem jakiś głęboki żal, nie mający granic, smutek i jakby wyrzut, że zostawiłem ją na stare lata bez należytej opieki... Być może tylko mi się zdawało (...). Żona, jak mówiła matka, leży chora od czasu przyjazdu ode mnie. Z teściową też niekoniecznie się dzieje względem zdrowia.

24 sierpnia, czwartek Dziś kancelaria za pośrednictwem oddziałowego zawiadomiła osiedleńców, że komisja została wyznaczona na sobotę. (...) Co do mnie, gdyby nie choroba żony, to czułbym się prawie dobrze. (...). Tysiące śmiałych planów, gorzkich rozczarowań i okrutnych niepowodzeń doznali wraz ze mną ci, którzy siedzą tak samo jak ja za kratą, to ból i tęsknota stają się coraz mniej okrutnymi, tem bardziej, że z kary jaka mnie spotkała dumny jestem, gdyż ponoszę ją dla miłości ukochanej, a obecnie tak gnębionej i prześladowanej Ojczyzny-Polski.

Chciałbym dłużej prowadzić ten dziennik, lecz warunki więzienne zmuszają mnie do przerywania i dopiero teraz przychodzę do przekonania jak małą i nieudolną jest praca moja.

- 1 W rzeczywistości nazwa ulicy Milscha pochodziła od nazwiska fabrykanta.
- 2 Lokaut (ng) forma walki pracodawców z robotnikami, polegająca na zamykaniu przedsiębiorstw i zwalnianiu robotników; celem lokautu stosowanego zwłaszcza w okresach kryzysów, jest zmuszanie pracowników do przyjęcia nowych, gorszych warunków pracy, zwłaszcza niższych płac.

Nowa Encyklopedia PWN, Warszawa 1995

Słynny był zwłaszcza lokaut łódzki rozpoczęty w grudniu 1906 roku, trwający do połowy kwietnia 1907 r. Zlikwidowano w ten sposób pewne przywileje wywalczone przez robotników podczas rewolucji 1905 r. Groźący robotnikom gład stępił przejawy buntu. Do lokautu w Łodzi przystąpili fabrykanci: Scheibler, Poznański, Heinzel, Kunitzer, Grohman, Steinest i Biederman. Bezrobocie objęło około dwudziestu dwóch tysięcy robotników.



nauka

Przyroda bogactwem regionu

Łódzcy biolodzy miastu

Jan Siciński

str. 47

Sieć życia

Muzeum Przyrodnicze

Uniwersytetu Łódzkiego

Kamila Cybulska

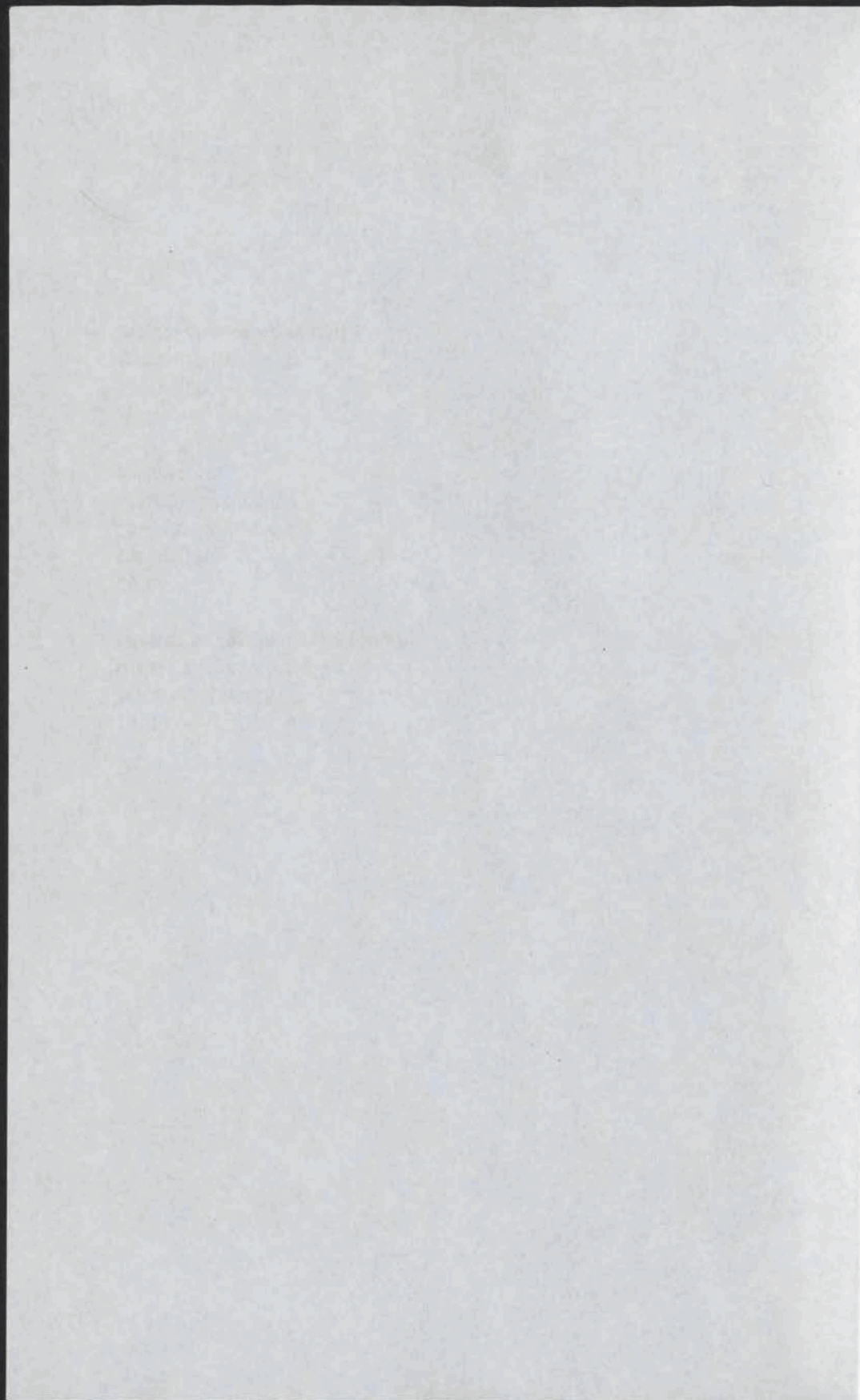
str. 55

Zamówienia publiczne na dostawy

Umowy bez korupcyjnych pokus

Urszula Królikowska

str. 61



Przyroda bogactwem regionu

Łódzcy biolodzy miastu

nauka

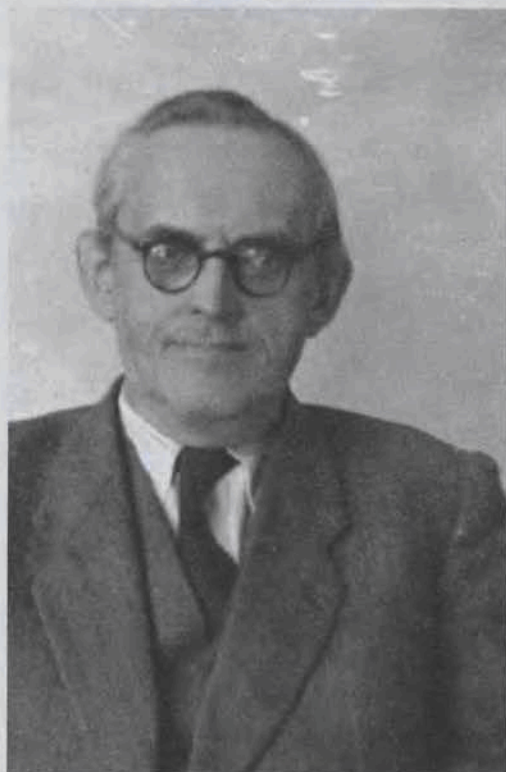
W marcu 1945 r. zainaugurowano zajęcia na kilku wydziałach Uniwersytetu Łódzkiego. Od samego początku znaczące miejsce w życiu tej uczelni zajmowały nauki przyrodnicze. Inauguracja zajęć na Wydziale Matematyczno – Przyrodniczym odbyła się 22 marca 1945 roku, a więc jeszcze przed formalnym powołaniem Uniwersytetu Łódzkiego dekretem Rady Ministrów z dnia 24 maja 1945 roku. W roku 1951 wydział rozdzielił się on na dwie jednostki: Wydział Biologii i Nauk o Ziemi oraz Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii. Z dniem 1 października 2001 r. z istniejącego pół wieku Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi wyodrębniły się: Wydział Nauk Geograficznych oraz **Wydział Biologii i Ochrony Środowiska**.

Edukacja i popularyzacja wiedzy

Popularnonaukowe publikacje dotyczące różnorodności biologicznej regionu, charakterystyki zespołów fauny i flory i ich przyrodniczych wartości regionu ukazują się systematycznie w prasie Łodzi i województwa. Okazjonalnie pojawiają się także dotyczące tej tematyki wydawnictwa książkowe łódzkich autorów. Setki wykładów, pogadanek i prelekcji o tematyce przyrodniczej w szkołach i ośrodkach oświatowych stanowią sprawdzony rodzaj działalności edukacyjnej. Od półwiecza biolodzy łódzcy współpracują też z Wytwórnią Filmów Oświatowych. Mają także swój udział w organizacji „zielonych szkół” oraz w tworzeniu „ścieżek dydaktycznych” w atrakcyjnych z przyrodniczego punktu widzenia rejonach województwa. Organizowanie wystaw o tematyce przyrodniczej stanowi jeszcze jeden znaczący aspekt działalności popularyzatorskiej i edukacyjnej. Prezentacja egzotycznej fauny i flory Afryki, Ameryki Południowej, Morza Śródziemnego, Oceanów Spokojnego i Indyjskiego, liczne wystawy dotyczące przyrody Antarktyki i udziału łódzkich polarników, uczniów profesora Krzysztofa



Jażdżewskiego, w badaniach Antarktyki, a także bardzo ciekawe prezentacje dotyczące pochodzenia i zróżnicowanej morfologii człowieka jako gatunku dopełniają obrazu tego nurtu działalności łódzkich biologów. Najbardziej popularnym przykładem aktywności środowiska w tym nurcie mogą być także cykliczne wystawy grzybów i porostów organizowane w wielu miastach województwa. Organizacja szkolnych olimpiad oraz konkursów ornitologicznego i dendrologicznego dla młodzieży szkół średnich to inne dowody zaangażowania łódzkiego środowiska biologów. Osobne eksponowane miejsce w edukacji przyrodniczej odgrywa istniejące od 74 lat Muzeum Przyrodnicze, związane z Uniwersytetem Łódzkim od 1962 roku.



Doradztwo i ekspertyzy

Poza aktywnością naukową, dotyczącą badań różnorodności biologicznej regionu, działalnością dydaktyczną i popularyzatorską łódzcy biologowie świadczą najrozszacone usługi specjalistyczne. Muzeum Przyrodnicze czyni to zwłaszcza w zakresie entomologii sanitarnej. Są nimi także ekspertyzy dla Stacji Sanitarnej Epidemiologicznej oraz doradztwo w zakresie likwidowania owadów niebezpiecznych. Taka usługowa działalność obejmuje także współpracę z Urzędem Celnym w zakresie identyfikacji gatunków zwierząt oraz ekspertyzy zoologiczne dla mieszkańców Łodzi.

Przedstawiciele nauk biologicznych służą swą wiedzą także w innych dziedzinach: antropologowie przy ekshumacjach wykonywanych dla potrzeb archeologów, etnografów i historyków, a hydroentomolodzy w służbie przedsiębiorstw wodociągów i kanalizacji. Łódzcy antropologowie wnoszą poza tym ważny wkład w badania rozwoju dzieci i młodzieży na tle warunków i trybu życia oraz monitorują rozwój i sprawność motoryczną młodej generacji.

Pracownicy naukowcy z łódzkiego ośrodka biologicznego angażują się w sprawy ochrony środowiska regionu, przede wszystkim łódzkiej aglomeracji miejskiej. Współpracują z Wojewódzkim Inspektorem Ochrony Środowiska i z administracją rządową m. in. w zakresie realizacji Programu „Środowisko a zdrowie”.

Badania różnorodności biologicznej

Jedną z kardynalnych cech przyrody ożywionej jest przebogata różnorodność. A że poziom gatunkowy jest najbliższy intuicyjnemu pojmowaniu zjawiska, to właśnie ten aspekt znalazł się w centrum zainteresowania łódzkich botaników i zoologów. Na ocenę stanu różnorodności fauny i flory regionu łódzkiego złożyły się żmudne i czasochłonne badania, obejmujące inwentaryzacje gatunków grzybów, roślin i zwierząt, analizy zgrupowań i biocenoz oraz ocena ich kondycji. Wyniki tych badań stanowią podstawę wszelkich działań, zabiegów i decyzji związanych z ochroną środowiska, planowaniem zagospodarowania przestrzennego regionu i racjonalnej ochrony żywych jego zasobów. Niestabnące od dziesięcioleci zaangażowanie w ten obszar badań potwierdza dorobek naukowy poświęcony wodnym i lądowym biocenozom Polski Środkowej. Warto podkreślić, że te zainteresowania zrodziły się w naturalny sposób u samych początków istnienia Uniwersytetu Łódzkiego. Pionierami tego nurtu badań stali się pierwsi profesorowie katedr biologicznych ówczesnego Wydziału Matematyczno – Przyrodniczego UŁ. Badania nad florą regionu były prowadzone od końca lat czterdziestych przez wybitnego uczonego prof. **Jakuba Mowszowicza** (fot. 1), badania ryb stały się domeną zespołu kierowanego przez prof. **Tadeusza Wolskiego**, (fot. 2) zaś spektakularnym przykładem studiów nad bogactwem fauny wodnych bezkręgowców stały się badania fauny rzeki Grabi, zainicjowane jeszcze w latach czterdziestych XX w. przez profesora Leszka **Kazimierza Pawłowskiego** (fot. 3). Badania fauny rzeki Grabi zaowocowały ponad 150 oryginalnymi publikacjami. W trakcie badań zarejestrowano ok. 1000 gatunków zwierząt bezkręgowych: pierwotniaków, gąbek, wrotków, pierścienic, mięczaków, skorupiaków i owadów wodnych.

Szczegółowo rozpoznano bogactwo glonów wód powierzchniowych województwa łódzkiego. Sinice, eugleny, złotowiciowce, okrzemki, zielenice i inne są na tym obszarze reprezentowane przez ok. 1500 gatunków. Wiele uwagi poświęcono grzybom i porostom. Studia nad grzybami prowadzone w Katedrze Algologii i Mikologii wykazały obecność ponad 2000 gatunków grzybów makroskopowych na obszarze Polski Środkowej. Inwentaryzacja i ocena bogactwa gatunkowego, rozmieszczenie roślin, opisy zbiorowisk roślinnych, fenologia, zmiany składu i struktury zbiorowisk, ich monitorowanie, analizy biogeograficzne oraz introdukcje obcych gatunków stanowią przykłady preferowanych przez środowisko botaników kierunków badań roślinności regionu. Wyniki obserwacji i studiów znaleźć można w setkach publikacji łódzkich botaników, uczniów prof. Jakuba Mowszowicza i jego następców, skupionych obecnie w trzech katedrach Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska UŁ: w **Katedrze Algologii i Mikologii**, **Katedrze Geobotaniki i Ekologii Roślin** oraz w **Katedrze Ochrony Przyrody**. Liczne prace profesorów: Krystyny Czyżewskiej, Janusza Hereźniaka, Janiny Jakubowskiej – Gabary, Józefa Krzysztofa Kurowskiego, Jakuba Mowszowicza, Romualda Olaczka, Ryszarda Sowy, Aurelii Warcholińskiej i współpracowników tworzą skarbnicę wiedzy o zbiorowiskach i o szacie roślinnej regionu. Przedmiotem

zainteresowania i analiz były także gatunki obce w rodzimej florze obszaru. Nagromadzona wiedza pozwala na uogólnienia dotyczące wieloletnich zmian w szacie roślinnej naszego regionu.

Łódzki ośrodek zoologiczny posiada również znaczący udział w badaniach związanych z fauną regionu. Ogromna część naukowego wysiłku była skierowana na faunę wód. Obok wspomnianych już studiów nad zespołami Grabi, licznych publikacji doczekała się także fauna bezkręgowców Pilicy i jej dopływów. Intensywne badania były prowadzone pod kierunkiem prof. Franciszka Wojtasa (kierownika ówczesnego Zakładu Zoologii Ogólnej) zwłaszcza w pierwszej połowie lat 70-tych w związku z powstającym Zbiornikiem Sulejowskim. Na ich podstawie przeprowadzono m. in. biologiczną ocenę stanu czystości wód Pilicy i jej dopływów. Znaczącą i bogatą część dorobku w dziedzinie badań różnorodności fauny w ekosystemach wodnych, zwłaszcza w rzekach regionu, stworzyli hydroentomolodzy łódzkiego ośrodka zoologicznego: Maria Grzybkowska, Teresa Jażdżewska, Wojciech Kittel, Stanisław Krajewski, Stefan Niesiołowski, Krzysztof Olszewski, Jacek Siciński, Cezary Tomaszewski, Jolanta Wiedeńska, Franciszek Wojtas. Także fauna wrotków, mięczaków, pierścienic i skorupiaków wód województwa stanowiła przez dziesięciolecia przedmiot zainteresowania łódzkich hydrozoologów skupionych przede wszystkim w Katedrze Zoologii Bezkręgowców i Hydrobiologii UŁ kierowanej obecnie przez prof. Andrzeja Piechockiego.

Inwentaryzacja oraz opis struktury i stanu zespołów ryb w rzekach regionu to inny ważny nurt badań różnorodności biologicznej. Dzięki bogatemu dorobkowi naukowemu w tej dziedzinie, wypracowanemu w zespole prof. Tadeusza Penczaka z Katedry Ekologii i Zoologii Kręgowców UŁ województwo łódzkie należy pod względem znajomości zespołów ichtiofauny do najlepiej poznanych obszarów Polski.

Rozpoznanie istniejącego stanu i obserwacja zmian nie ograniczają się do samych tylko wód. Owady lądowe, w tym np. ważki, chrząszcze z rodziny biegaczowatych czy żądłowki oraz kręgowce przykuwają od lat uwagę łódzkich entomologów, herpetologów, ornitologów i teriologów. Inwentaryzacja ptaków i nietoperzy regionu łódzkiego w ramach ogólnopolskich programów może stanowić interesujący i ważny przykład wysiłku zoologów z Uniwersytetu Łódzkiego na rzecz poznania fauny regionu. Niektóre przedsięwzięcia wynikają z potrzeb praktycznych. Na przykład ocena liczebności rosnącej na naszym obszarze populacji bobra mieści się w obszarze zagadnień związanych z gatunkami ważnymi z gospodarczego punktu widzenia.

Rośliny, zwierzęta i grzyby Łodzi

Osobnym i bardzo znaczącym rozdziałem omawianego tu obszaru aktywności są badania fauny i flory samej łódzkiej aglomeracji miejskiej z całą jej specyfiką, badania uwzględniające także zmiany zachodzące w składzie i strukturze zgrupowań roślin i zwierząt miasta na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci. Niektóre ciekawsze, lepiej poznane i szczególnie cenne pod względem przyrodniczym obszary miasta doczekały się

obszernych opracowań. Należy do nich na przykład Las Łagiewnicki, któremu poświęcono ostatnio wydaną monografię fitosocjologiczną opracowaną przez zespół botaników związanych z Instytutem Ekologii i Ochrony Środowiska UŁ we współpracy z Wydziałem Ochrony Środowiska Urzędu Miasta Łodzi i Dyrekcją Parku Krajobrazowego Wzniesień Łódzkich. Na dorobek łódzkich biologów Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska składa się wiele pozycji naukowych dotyczących fauny i flory miasta. Przykładem tego może być bibliografia przyrodnicza Łodzi opublikowana przez Łódzkie Towarzystwo Naukowe w 2000 roku w numerze 30-tym serii pt. „Przyroda Łodzi”, która obejmuje 340 prac. We wcześniejszym takim opracowaniu pod redakcją Janusza Markowskiego i Marii Ławrynowicz wyszczególniono 207 prac florystycznych, 50 publikacji mikologicznych i 291 prac faunistycznych dotyczących aglomeracji łódzkiej. Obejmują one także liczne prace magisterskie studentów ówczesnego Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi, zainteresowanych występowaniem i biologią organizmów w siedliskach zurbanizowanych. Rozmieszczenie i ekologia grzybów, pasożytnicze grzyby roślin, porosty Łodzi, glony stawów i cieków łódzkich, problemy dotyczące zieleni miejskiej, studia nad opisem naturalnych i synantropijnych zbiorowisk mszaków i roślin naczyniowych zostały udokumentowane w setkach publikacji łódzkich botaników.

Ciekawym efektem pracy zoologów z łódzkiego ośrodka uniwersyteckiego kierowanych przez prof. Janusza Markowskiego jest monografia fauny Łodzi. W publikacji, na podstawie badań własnych i liczącego ponad 400 pozycji kompletu literatury, zaprezentowano wiedzę na temat zwierząt łódzkiej aglomeracji miejskiej. Obok przeglądu fauny (lista obejmuje 2800 gatunków) przedstawiono informację o kształtujących ją czynnikach, jej biogeograficzną charakterystykę oraz zmiany jakim podlegała w ciągu dziesięcioleci. Opracowanie stanowi przykład użytecznej syntezy,



która, jak piszą jej autorzy powinna zainteresować „... studentów biologii, studentów ochrony środowiska, nauczycieli, miłośników przyrody, a także ludzi odpowiedzialnych za realizację polityki ochrony przyrody i środowiska...”.

Ochrona przyrody w województwie łódzkim

Centralne położenie województwa łódzkiego na obszarze Polski stwarza szczególną sytuację w zakresie ochrony przyrody. System ochrony przyrody regionu środkowej Polski stanowi, z racji swego położenia, element scalający cały system krajowy. Jego powstanie i rozwój na obszarze województwa zawdzięczać należy w dużym stopniu łódzkim biologom, współpracującym od lat z samorządami lokalnymi. Rezultatem tych wysiłków jest bogaty, jak na stosunkowo skromne warunki przyrodnicze naszego województwa, plon przedsięwzięć i znacząca aktywność mieszkańców w dziedzinie ochrony przyrody.

Wśród obiektów i form ochrony przyrody województwa łódzkiego na szczególną uwagę zasługuje siedem parków krajobrazowych: Załęczański Park Krajobrazowy powstały w 1978 roku, Przedborski Park Krajobrazowy (1988r.), Park Krajobrazowy Międzyrzecza Warty i Widawki (1989r.), Sulejowski Park Krajobrazowy (1994r.), Spalski i Bolimowski Parki Krajobrazowe (1995r.) oraz najmłodszy – Park Krajobrazowy Wzniesień Łódzkich powstały w 1996 roku. W skład tego zbioru wchodzi także 88 rezerwatów, 13 obszarów chronionego krajobrazu, około 4000 pomników



przyrody, tysiące hektarów użytków ekologicznych oraz zespoły przyrodniczo – krajobrazowe. Utworzenie parków i rezerwatów wymagało stworzenia naukowych podstaw uzasadniających ich powstanie. Przeprowadzono w tym celu szczegółowe studia nad fauną i florą przyszłych obszarów chronionych, jej inwentaryzację i ocenę stanu. Udział w pracach nad dokumentacją i tworzeniem planów ochrony, stałe monitorowanie sytuacji z ekologicznego punktu widzenia wreszcie naukowe i popularnonaukowe opracowania dotyczące ich walorów przyrodniczych stanowią dalsze etapy aktywności na tym polu. Pracownicy naukowcy z Łodzi i województwa służą swą wiedzą i doświadczeniem w radach społeczno – naukowych parków krajobrazowych. Szczególnie ważny wkład w ochronę przyrody wnoszą: Katedra Geobotaniki i Ekologii Roślin, Katedra Ochrony Przyrody oraz Zakład Dydaktyki Biologii i Badania Różnorodności Biologicznej Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska UŁ. W ciągu dziesięcioleci powstał zintegrowany system ochrony przyrody regionu włączony w system ogólnokrajowy, pełniący funkcje węzłów i korytarzy ekologicznych o ogólnoeuropejskim znaczeniu.

Ekologia i ochrona wód

Niedobór wody jest obok drastycznych zmian klimatycznych stawiany w rzędzie najważniejszych zagrożeń XXI wieku. W znaczącym stopniu dotyczy to także województwa łódzkiego, położonego na wododziale I rzędu między Wisłą i Odrą. Wynikające stąd niedobory wody, niewielkie na ogół przepływy, niekorzystny stosunek ilości wód ściekowych do ilości wód płynących czynią z regionu obszar trudny pod względem gospodarki wodnej i ściekowej. Dlatego duża część wysiłku lokalnego środowiska biologów kierowana jest na sprawy związane z oceną stanu i ochroną wód naszego regionu. Biologiczna ocena wód powierzchniowych oparta o analizy zespołów organizmów wodnych, zmiany w obrębie tych wód i konsekwencje tego dla roślin i zwierząt, możliwości ochrony i rekultywacji wód stanowią przedmiot studiów i działań prowadzonych m. in. w Katedrach: Ekologii i Zoologii Kręgowców, Zoologii Bezkręgowców i Hydrobiologii i w Katedrze Ekologii Stosowanej Uniwersytetu Łódzkiego. Szeroko zakrojone prace nad wdrożeniem dyrektywy wodnej są obecnie realizowane w Katedrze Zoologii Bezkręgowców i Hydrobiologii UŁ w ramach europejskiego projektu STAR. Ich celem jest standaryzacja klasyfikacji i sposobów monitorowania stanu i ekologicznego potencjału wód w państwach Unii Europejskiej.

Antropogeniczne zmiany środowiska obejmują badania nad wpływem zaburzeń naturalnego funkcjonowania rzek wobec fauny dennej, ichtiofauny i innych elementów biocenozy, w tym zwłaszcza konsekwencji wywołanych wzrastającym stężeniem związków chemicznych. W tym nurcie mieści się także szeroki program badań, dotyczący zakwitów sinicowych, przyczyn ich powstawania, znaczenia i wpływu na zdrowie mieszkańców Łodzi i regionu, toksyczności oraz możliwości eliminacji zjawiska, realizowany w Katedrze Ekologii Stosowanej. Praktyczne wykorzystanie wiedzy i doświadczenia łódzkich hydroekologów znalazło swój wyraz m. in. w pracach

projektowych nad przywróceniem pierwotnego stanu łódzkiej rzece Sokołówce oraz przy opracowaniu naukowych założeń dwu środowiskowych programów: Regionalnego Programu „Pilica” i Regionalnego Programu „Warta”. Dwa największe akweny województwa: istniejący od 1974 roku Zbiornik Sulejowski na Pilicy i powstały w roku 1986 Zbiornik Jeziorsko na Warcie, obiekty zainteresowania i studiów hydrobiologów z Uniwersytetu Łódzkiego od początku ich istnienia, doczekały się już bardzo bogatej literatury naukowej.

Wniosek jaki wynika z przedstawionego materiału można zawrzeć w twierdzeniu: zaangażowanie i harmonijna współpraca naukowego środowiska łódzkich biologów z wieloma instytucjami publicznymi, w tym zwłaszcza z samorządami i lokalną administracją, owocują bogatym i wartościowym dorobkiem. To naukowy spadek po ostatnim półwieczu i postrzegać jako podstawę dla przyszłych działań związanych z zachowaniem i z pomyślnym rozwojem naszego regionu.

Jacek Siciński

*- dr hab. profesor UŁ w Katedrze Zoologii Bezkręgowców i Hydrobiologii.
Autor licznych prac naukowych i popularnonaukowych.*

Sieć życia

Muzeum Przyrodnicze Uniwersytetu Łódzkiego

nauka

Na skraju Parku im Henryka Sienkiewicza, przy ulicy Kilińskiego, znajduje się najstarsza w Łodzi placówka muzealna. To Muzeum Przyrodnicze Uniwersytetu Łódzkiego, którego historia może być dobrym przykładem jak pomysł i inicjatywa jednego człowieka potrafią stworzyć materialne zręby ważnego dla oświaty i nauki obiektu, który dla dzisiejszego mieszkańca Łodzi wydaje się miejscem istniejącym od zawsze.

Od 1920 roku szerzeniem wiedzy o środowisku naturalnym zajmował się przybyły do Łodzi ze Stanisławowa w Galicji, amator i pasjonat przyrodniczy – **Edward Potęga (1890-1974)**. Paradoksalnie w mieście słynącym z przemysłu natrafił na podatny grunt. Przy Łódzkim Muzeum Nauki i Sztuki, powstałym w 1910 roku, zastał grupę miłośników przyrody. Działało tu między innymi Towarzystwo Entomologiczne, wydające pierwsze w Polsce czasopismo poświęcone owadom. W 1921 roku, z inicjatywy Edwarda Potęgi utworzono Miejską Pracownię Przyrodniczą. W 1926 roku powołano Towarzystwo Przyrodnicze im. Stanisława Staszica, wydające również własne czasopismo.

W 1930 roku Edward Potęga doprowadził do powstania Muzeum Przyrodniczego i Pedagogicznego w Łodzi przekonując łódzki samorząd o potrzebie istnienia w przemysłowym mieście takiej placówki.

Na ten cel pozyskał od władz miasta budynek znajdujący się w parku im. Sienkiewicza. W latach dwudziestych minionego wieku, w czasach kryzysu, funkcjonowała tu „Jadłodajnia dla Zubożałej Inteligencji”. Stary, dziewiętnastowieczny budynek przy dzisiejszej ul. Kilińskiego 101, rozbudowano dla potrzeb stołówki. Powstały w ten sposób gmach, otrzymał dość reprezentacyjną formę architektoniczną. Wzniesiony na planie litery L, piętrowy budynek z charakterystycznymi wielkimi, półokrągłymi oknami na górze, ukoronowano okazałą wieżą nad głównym wejściem.

19 listopada 1930 roku uroczystie otwarto muzeum. Użytkowne wnętrze wyremontowanej stołówki zmieniło się w krainę zwierząt. W dniu otwarcia zaproponowano zwiedzającym sześć działów.

Były to kolejno:

1. Dział modeli i preparatów anatomicznych człowieka.
2. Dział zoologiczny, zawierający szkielety i okazy wypchanych zwierząt ssących,

ptaków, jaja i gniazda ptaków, gady, płazy i ryby, oraz zbiory owadów i preparaty formalinowe.

3. Dział botaniczny, w którym znajdowały się przekroje pni drzew, modele roślin górskich i owoców roślin egzotycznych.

4. Dział paleontologiczny zgromadził szkielety i czaszki kopalnych ssaków i ryb oraz przewodnie skamieliny epok geologicznych.

5. Dział mineralogiczny i petrograficzny z okazami bogactw kopalnych Polski, skałami z Karpat i Tatr, głazami narzutowymi okolic Łodzi, minerałami krystalicznymi.

6. Dział ochrony przyrody, eksponujący chronione zwierzęta i rośliny oraz modele parków narodowych i rezerwatów przyrody.

Utworzono również czytelnię i bibliotekę oraz pracownię naukową. Edward Potęga przeniósł do muzeum wszystkie łódzkie organizacje zajmujące się ochroną i poznawaniem przyrody. Redagowano tu „Czasopismo Przyrodnicze Ilustrowane” i „Kółko Przyrodnicze”. Pisma te stanowiły istotny przyczynek w rozwoju polskiego piśmiennictwa naukowego w okresie międzywojennym.

Podstawę ekspozycji stanowiły wówczas zbiory przyrodnicze Muzeum Nauki i Sztuki, Miejskiej Pracowni Przyrodniczo – Pedagogicznej oraz Towarzystwa Przyrodniczego im. Staszica. Muzeum imponowało wspaniałą kolekcją motyli, inspirującą ponoć łódzkich wzorników tkanin.

Dyrektor muzeum pozyskiwał eksponaty dzięki rozległym znajomościom. Umiał przekonać do swej idei zarówno łódzkich przedsiębiorców, którzy przekazywali mu swe kolekcje zoologiczne, jak i robotników wykonujących roboty kanalizacyjne i regulacje rzek, od których otrzymał między innymi wykopany w 1936 roku cios mamuta.

W 1940 roku Edward Potęga musiał ustąpić miejsca, przesiedlono go z Rygi Niemcowi, Ernstowi Koeppenowi. Muzeum w czasie wojny pełniło wprawdzie rolę instytucji naukowej ale wskutek zarządzenia władz okupacyjnych stało się niedostępne dla Polaków. Powołany przez administrację niemiecką dyrektor okazał się jednak przyrodnikiem z powołania, dbającym o placówkę. Tyle tylko, że po wojnie nie doliczono się w muzeum wszystkich eksponatów, między innymi kolekcji meteorytów.

Z powodu braku jakiegokolwiek dokumentacji trudno zinwentaryzować dokładnie, co zginęło podczas okupacji. Można jednak stwierdzić, że za rządów Koeppena przybyło wiele innych eksponatów do kolekcji muzealnej. Przede wszystkim ptaki, których zbiór istnieje w muzeum do dziś. Jego zasoby są tym cenniejsze, że pozyskiwano właśnie w okolicach Łodzi.

W 1945 roku na swe miejsce powrócił Edward Potęga. Zreorganizował pracę placówki. Na piętrze utworzył biura. W tym czasie muzeum było również siedzibą Zarządu Głównego Ligi Ochrony Przyrody, której przewodniczył, przez wiele lat ten zasłużony dla Łodzi społecznik.



nauka

Przyroda i ideologia

W 1950 roku muzeum przejęte zostało przez Ministerstwo Szkół Wyższych i Nauki a następnie w 1953 roku przemianowane na Łódzki Oddział Instytutu Zoologicznego Polskiej Akademii Nauk. Instytucja zmieniła profil z wystawienniczego na badawczy, co wiązało się z zatrudnieniem większej liczby pracowników naukowych i ograniczeniem miejsca na ekspozycję.

Odsunięto od pracy jego twórcę i dyrektora Edwarda Potęgę. W ramach tych przekształceń unicestwiono większość przedwojennej dokumentacji. Zniszczono niestety część wystawy, między innymi makiety parków narodowych, mapy, fotografie i przeźrocza. Straty te wynikły z nonszalancji przy realizowaniu modernizacji muzeum i zmiany koncepcji w jego prowadzeniu.

W tym czasie instytucją zajmowali się kolejno prof. zw. Henryk Sandner, w latach 1954 – 56 prof. dr hab. Leszek K. Pawłowski i od 1956 do 1962r. prof. dr hab. Włodzimierz Romaniszyn. Placówka przestała być wyodrębnioną instytucją wystawienniczą dlatego też naukowcy ci nie zajmowali stanowiska dyrektora muzeum.

W 1962 roku muzeum zostało przejęte przez swego obecnego gospodarza, czyli Uniwersytet Łódzki. Odtąd stanowi nieodłączny element Wydziału Biologii Ewolucyjnej i Nauk o Ziemi UŁ.

Od 1963 roku weszło w skład kierowanej przez prof. **dr. Benedykta Halicza** Katedry Ewolucjonizmu. Zachowało charakter badawczy, uzyskując status pracowni oraz placówki wystawienniczej.

W wyniku zmian politycznych zaistniałych w Polsce po II Wojnie Światowej, w ekspozycji muzealnej kładziono główny nacisk na propagowanie materialistycznego spojrzenia na świat.

Od 1964 roku prezentowano wystawę pt. „**Niektóre problemy ewolucji i rodowód człowieka**”. Po przejściu prof. Halicza na emeryturę, jego miejsce, w latach 1975 – 1989, zajął prof. dr hab. Cezary Tomaszewski. W tym czasie faktycznym opiekunem muzeum, dbającym o ekspozycję i inicjującym wystawy, był pracownik katedry dr Edward Tranda. To z jego inicjatywy przeprowadzono wiele korzystnych zmian. Niestety, o tym wielce zasłużonym przyrodniku rzadko wspominają opracowania muzealne.

Badania naukowe i wystawy

Od 1989 roku muzeum kieruje prof. zw. dr hab. Jerzy Bańbura. Na miejscu zastępuje go adiunkt, dr Jerzy Nadolski, od ponad dwudziestu lat związany z placówką. Posiada bogate doświadczenie w organizowaniu wystaw. Wspólnie z gronem oddanych współpracowników, znakomitych w swoich dziedzinach specjalistów stara się zapewnić ekspozycjom wysoki poziom i atrakcyjny wygląd.

Stale, robocze kontakty łączą placówkę z Ogrodem Zoologicznym, z którego pozyskiwane są zwierzęta na ekspozycje.

Bazę eksponatów stanowią nadal przedwojenne zbiory Edwarda Potęgi, jak np. szkielet niedźwiedzia jaskiniowego – jedyny tak kompletny w Polsce, wykopany przez badacza w grocie Magury w Tatrach. Nie można zapomnieć, że pierwotnym źródłem kolekcji były zwierzęta, które zostały ustrzelone albo pochodziły z ogrodów zoologicznych.

Istotnym elementem zasilającym zbiory muzeów są uniwersyteckie wyprawy naukowe. Do najbardziej bogatych w ekspozycje należało kilka wypraw do Afryki, w których udział brali również pracownicy Muzeum Przyrodniczego.

Ważnym źródłem eksponatów, reprezentujących wartość może bardziej naukową niż ściśle wystawienniczą są badania naukowe, które dostarczają kolekcji entomologicznych.

W PRL nie było wielkiego naboru muzealników z zewnątrz. Wtedy jednak pracował tu wybitny preparator – **Izydor Siemieniuk**, którego zasługą jest kolekcja szkieletów i preparatów wielkogabarytowych. To on sporządził szkielet słonia. Pracował również wiele lat nad wypychaniem zwierząt. Jego dziełem jest m.in. spreparowana samica hipopotama – Lusja – mieszkająca ongiś w łódzkim ogrodzie zoologicznym.

Przez pewien czas w muzeum pracował **Paweł Kukowski**. W opinii dr Nadolskiego to najzdolniejszy polski preparator, twórca między innymi kolekcji pingwinów oraz gadów, przy tworzeniu których zastosował nowatorskie techniki mumifikowania.

Obecnie preparaty zwierząt, przede wszystkim modele i rekonstrukcje sporządza **Maciej Mastalerz**, autor głów widocznych na wystawie o pochodzeniu człowieka oraz rekonstrukcji ptaków jurajskich. Preparowanie eksponatów jest mozolną pracą wymagającą wiedzy, doświadczenia i talentu, zwłaszcza plastycznego. Najlepiej, bo prawie idealnie są spreparowane w muzeum pingwiny. Zwierzęta, które mają znaleźć się na wystawie wcześniej starannie się fotografuje, mierzy a po zdjęciu skóry sporządza odlewy układu mięśniowego z pianki poliuretanowej. Dla zakonserwowania skóry zwierzęcia stosuje się różne metody, podobne do tych znanych z garbarstwa. Najtrudniejszym etapem preparowania zwierząt jest ich wypchanie. Obecnie stosuje się do tego masy plastyczne.

Muzeum proponuje

Koncepcja wystawy eksponatów muzealnych zmieniała się na przestrzeni lat. Obecnie prezentowana wystawa stała nosi tytuł: „**Sieć życia – zróżnicowanie form w królestwie zwierząt.**” Sale wystawowe zawierają m.in. ekspozycję nt.: „Rozwoju życia na ziemi”, ukazującą drogę ewolucyjną człowieka. Dokonana w latach 90-ych zmiana ekspozycji podyktowana była nie tyle potrzebami merytorycznymi, ile względami organizacyjnymi.

Przez szereg lat zmagano się z problemem zaplecza magazynowego dla dużych eksponatów. Jedyną drogą modernizacji było pozostawienie preparatów na sali wystawienniczej przy jednoczesnej zmianie koncepcji ekspozycji.

Najtrudniejszym zadaniem okazało się przeprowadzenie gruntownego remontu bez możliwości wyniesienia eksponatów. Udało się tego dokonać dopiero kilka lat temu. Zmieniono instalację elektryczną i niektóre elementy konstrukcji ścian.

Działania te pozwoliły wygospodarować niewielką salę na wystawy czasowe. Dzięki niej muzeum zyskało więcej możliwości ekspozycyjnych. Na tyle skutecznych, że w ciągu ostatniego roku można było urządzić trzy wystawy. Obecnie w budynku przy ulicy Sienkiewicza można obejrzeć:

- „Świat motyli” Zygmunta Śliwińskiego – wystawę ze zbiorów emerytowanego pracownika muzeum. Jest to prezentacja 25 000 motyli z całego świata.
- „Ilustracje przyrodnicze” – rysunki i akwarele meksykańskiego artysty Aldi de Oyarzabal’a – przedstawiające zwierzęta.
- „Świat rafy koralowej” – wystawa zawiera 400 eksponatów, opisy powstawania rafy koralowej, a przede wszystkim fotografie z obszaru Morza Czerwonego wykonane przez Marka Sierakowskiego. Wystawę otwarto w grudniu 2003, czynna będzie do końca 2004 r.

Na frekwencję muzeum nie może narzekać. Odwiedza je młodzież szkolna, która w ten sposób uzupełnia swoją wiedzę z zakresu biologii. Przychodzą również studenci, kolekcjonerzy i miłośnicy przyrody.

Muzeum Przyrodnicze jako jedyne w Łodzi, mimo wielokrotnych zmian struktury organizacyjnej od początku mieści się w tym samym budynku.

Czego zatem należy życzyć jego pracownikom i miłośnikom? Przede wszystkim rozbudowy gmachu. Stanowi ona klucz do jakiegokolwiek myśli o rozwoju tej najstarszej w Łodzi placówki.

Muzeum Przyrodnicze Uniwersytetu Łódzkiego, jako jednostka w randze pracowni uniwersyteckiej, wchodzi w skład Katedry Zoologii Doświadczalnej i Biologii Ewolucyjnej. Muzeum w zakresie etatów pracowniczych i kosztów administracyjnych utrzymuje się ze środków uniwersyteckich. Na konieczne modernizacje może przeznaczać jedynie symboliczne kwoty. Wprowadzone opłaty za wstęp stanowią drobną ale liczącą się pomoc.

Kamila Cybulska
– absolwentka socjologii UŁ.

Źródła:

1. Nadolski Jerzy, Muzeum Przyrodnicze Uniwersytetu Łódzkiego, PILICA 6/16 1996
2. Tranda Edward, 50- lecie Muzeum Przyrodniczego w Łodzi, Przegląd Zoologiczny, XXIV, 2 (1980)
3. „Początki Muzeum Przyrodniczego”, „Muzeum Przyrodnicze”
Red. Jadwiga Wileńska
„Filmowa Encyklopedia Łodzi i okolic” TVP S. A. O Łódź, 2001, 2002

Zamówienia publiczne na dostawy

Umowy bez korupcyjnych pokus

nauka

W gospodarce rynkowej dostawy finansowane ze środków publicznych, realizowane poprzez system zamówień publicznych, odgrywają ważną rolę jako narzędzie stymulowania popytu i interwencjonizmu państwowego. Skala wydatków rocznych w tym sektorze określana jest na poziomie 10 – 15 % produktu narodowego krajów Unii Europejskiej. Postępujący proces ujednoczania zasad udzielania zamówień publicznych na dostawy ma na celu obniżanie kosztów po stronie zamawiającego oraz zwiększanie konkurencyjności firm z poszczególnych krajów unijnych. Zainteresowanie skutkami funkcjonowania zamówień publicznych wzrasta wraz z rozszerzaniem się rynku międzynarodowego.

W ostatnim kwartale 2003 roku w wydawnictwie Difin ukazała się cenna książka łódzkiej autorki Waławy Starzyńskiej¹ pod tytułem „Rynek zamówień publicznych w procesie integracji z Unią Europejską. Analiza sektorowa dostaw”.

Pojawiło się nowatorskie opracowanie wykorzystujące narzędzia statystyczne w analizie i ocenie procesów rynkowych w sektorze dostaw realizowanych poprzez zamówienia publiczne, zarówno w Unii Europejskiej jak i gospodarce polskiej. Dotychczas w polskich publikacjach zajmowano się głównie popularyzacją przepisów prawa o zamówieniach publicznych, jego adaptacją dla potrzeb praktyki (poradnictwo dla zamawiającego i oferenta) oraz przyczynkowymi badaniami i opisem zjawisk występujących w tym obszarze. Autorka, profesor Uniwersytetu Łódzkiego korzystając z badań prowadzonych w minionych latach w państwach członkowskich Unii Europejskiej, przedstawiła prawidłowości występujące w zamówieniach publicznych na dostawy i ich oddziaływanie na sektory gospodarcze, w których miały dominujący charakter. Jako szczególnie wrażliwe obszary gospodarcze wskazano produkcję węgla, bojlerów przemysłowych, generatorów turbinowych, lokomotyw, komputerów, oświetlenia, telefonii i laserów. Dziedziny te mogą zmieniać się wraz z postępem technologicznym i świadomie kształtowanymi priorytetami. Wagę problemu ilustrują szacunki oszczędności wynikające z liberalizacji zamówień publicznych w poszczególnych krajach Unii Europejskiej na poziomie 10 – 20 mld ecu w 1987 roku oraz szacowane roczne wielkości obrotów na poziomie 5 – 15% PKB tychże krajów.

Niewątpliwym wkładem w rozpoznanie skali tego zjawiska w Polsce było zebranie i opracowanie materiału statystycznego, gdyż siła oddziaływania zamówień

publicznych w sektorze dostaw nie była dotychczas badana. Brak sprawozdawczości statystycznej stanowi poważne utrudnienie w identyfikowaniu i opisie zjawiska zamówień publicznych w polskich realiach gospodarczych.

Książka zwraca uwagę na specyfikę rynku dostaw charakteryzując preferencje krajowe i ich uwarunkowania ekonomiczne. Autorka dokonuje szczegółowej charakterystyki struktury zamówień publicznych na dostawy w latach 1998 – 2002, pogrupowanych zgodnie z Polską Klasyfikacją Działalności (PKD). Analizując średnie ceny zamówień publicznych, przeciętną liczbę ofert przypadających na jeden przetarg, znaczenie kryteriów wyboru najkorzystniejszej ekonomicznie oferty i strukturę dostaw według trybów oraz według grup zamawiających przeprowadza ocenę stopnia konkurencyjności i monopolizacji rynków branżowych.

Przytacza także wyniki badań prowadzonych w krajach Unii Europejskiej, dotyczące skuteczności i efektywności dyrektyw unijnych. Ważne są także spostrzeżenia autorki na temat skutków zniesienia preferencji w zamówieniach publicznych i spodziewanych efektów zniesienia preferencji krajowych w sektorach objętych zakresem zamówień publicznych..

Zaproponowana przez Wacławę Starzyńską metodologia może zostać wykorzystana do permanentnego monitorowania problematyki zamówień publicznych dla stworzenia strategii zarządzania podmiotami gospodarczymi działającymi na analizowanym rynku. Spostrzeżenia i wnioski wyprowadzone z badań są nowatorskie i równocześnie niezwykle użyteczne w praktyce gospodarczej. Celowość ich wykorzystania zarówno w skali makro jak i przez podmioty gospodarcze nie budzi wątpliwości. Znajomość reguł i prawidłowości procesów zamówień publicznych na szczeblu władz krajowych i regionalnych pozwala na budowę i konsekwentne prowadzenie działań wspomagających dla produktów mających szansę wejścia na europejskie rynki. Także podmioty gospodarcze zorientowane na pozyskiwanie zamówień publicznych, mogą twórczo adaptować zawarte w tej publikacji informacje.

Pierwsze kroki w kierunku poznania rynku zamówień publicznych i jego oddziaływania na procesy gospodarcze zostały zrobione. Kontynuowanie badań rozpoczętych przez prof. Wacławę Starzyńską winno stać się procesem ciągłym służącym monitorowaniu prawidłowości i dokonujących się zmian na polskim rynku zamówień publicznych. Zaprezentowany warsztat badawczy oraz konsekwentnie i przejrzyste przeprowadzona analiza zjawiska stanowią podstawę oceny wrażliwości podmiotów gospodarczych na kontrakty publiczne. Niewątpliwie spostrzeżenia i wnioski wyprowadzone z badań będą pomocne w procesie integracji gospodarki polskiej i europejskiej.

Urszula Królikowska

– ekonomistka, główny specjalista w Wydziale Strategii i Analiz UMŁ.

1 Prof. Dr hab. Wacława Starzyńska – kierownik Katedry Statystyki Ekonomicznej i Społecznej UŁ.

kultura

Łódź po-fabryczna

Ryszard Waśko opowiada nie tylko o KONSTRUKCJI W PROCESIE

Marek Strąkowski

str. 65

Historia kultury i tolerancji

Teatr żydowski w Łodzi /cz. II/

Agata Skrzypek

str. 70

Sztuka na metry

Łódzkie Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych

Darek Kędzierski

str. 77

Galeria ściśle prywatna

Atlas sztuki sp. z o. o.

Marek Strąkowski

str. 81

Kuźnia młodych talentów

Pół wieku Pałacu Młodzieży

im. Juliana Tuwima

Włodzimierz Kupisz

str. 85

Animatorzy kultury

Jubileusz ŁDK

Maria Sondej

str. 89

THE [illegible]

[illegible text]

THE [illegible]

[illegible text]

THE [illegible]

[illegible text]

THE [illegible]

[illegible text]

THE [illegible]

[illegible text]

THE [illegible]

[illegible text]

THE [illegible]

[illegible text]

THE [illegible]

[illegible text]

Łódź po-fabryczna

Ryszard Waśko opowiada nie tylko o KONSTRUKCJI W PROCESIE

Marek Strąkowski: Czym była idea KONSTRUKCJI W PROCESIE?

Ryszard Waśko: Idea „Konstrukcji w procesie” zrodziła się w roku 1980 podczas wystawy sztuki lat siedemdziesiątych w Londynie. Kurator organizowanej w Hayward Galery wystawy – Gerhard v. Graevenitz – zaprosił mnie do wzięcia w niej udziału. Uczestnikami tej wystawy byli najwybitniejsi artyści reprezentujący takie tendencje w sztuce tamtego okresu jak: konceptualizm, minimal art, land art, strukturalizm. Sama wystawa zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Po raz pierwszy miałem możliwość zobaczenia tak pełnej prezentacji najważniejszych koncepcji i postaw artystycznych, jakie ujawniły się w sztuce światowej dwóch poprzednich dekad. Niewłaściwa wydała mi się jednak formuła organizacyjna: była to zwyczajna muzealna prezentacja obiektów. Odniosłem wrażenie, że w tym miejscu te wszystkie przedmioty sztuki są wyrwane z „kontekstu tworzenia”. Pominięto proces kreacji. A trzeba pamiętać, że w sztuce lat siedemdziesiątych proces tworzenia obiektu często stawał się podmiotem, czyli dziełem sztuki. Organizując później łódzką wystawę, w jej tytule – KONSTRUKCJA W PROCESIE – chciałem ukazać oba istotne w sztuce lat siedemdziesiątych aspekty.

*Pierwsza KONSTRUKCJA W PROCESIE
odbyła się w czasie raczej niespokojnym.*

W powstaniu „Solidarności” widziałem jedyną możliwość przeprowadzenia zamiaru zorganizowania wystawy. W szkole filmowej, w której wykładałem powstał „Komitet Ruchu Odnowy Uczelni”, w skład którego weszli studenci i wykładowcy świadomi dokonujących się wtedy zmian. Byli wśród nich: Józef Robakowski, Lech Czołnowski, Mariella Nitostawska, Tomasz Snopkiewicz, Jacek Józwiak, Piotr Zarębski. To właśnie tych oddanych sprawie uczestników „ruchu” zaprosiłem do organizacji projektu „konstrukcji”. Komitet Organizacyjny „Konstrukcji w procesie” powstał spontanicznie. Był jedną w wielu powstających wówczas oddolnie inicjatyw społecznych. Uznaliśmy, że trzeba zrobić coś z tą chwilą wolności. Zapału do pracy przydawał fakt, że działo się to po raz pierwszy poza instytucją władzy państwowej, bez socjalistycznego mecenatu. Pozostawał problem zaopatrzenia w materiały i narzędzia. W oficjalnym systemie

dystrybucji państwowej nie można było pozyskać prawie nic. Przedstawiłem więc projekt zapotrzebowania na materiały w Zarządzie Regionalnym „Solidarności” Ziemi Łódzkiej. Pomysł spotkał się z aprobatą przewodniczącego Andrzeja Słowika i z ogromnym poparciem wiceprzewodniczącego zarządu Jerzego Kropiwnickiego, który powiedział, że nie możemy rozmawiać tylko o przyziemnych rzeczach i skoro „ruch” chcą poprzeć artyści z zagranicy to trzeba pomóc.

Czy sztuka awangardowa w Polsce stała się symbolem „Solidarności”?

Wydaje mi się, że w sposób naturalny działalność artystyczna okresu „pierwszej Solidarności” implikowała wydarzenia polityczne. W takim kontekście, to raczej „Solidarność” stała się symbolem polskiej sztuki awangardowej. Szukając miejsca na zorganizowanie wystawy, nie braliśmy w ogóle pod uwagę korzystania z usług jakiejś oficjalnej instytucji, która dysponowałaby odpowiednimi pomieszczeniami. Uważaliśmy, że wystawa powinna być niezależna. Dlatego postanowiliśmy jej organizację oddać pod patronat „Solidarności” – wyraziciela idei wolnościowych. Poparcie naszej inicjatywy przez „Związek” miało również charakter merkantylny. Dzięki tej pomocy pozyskaliśmy m. in. budynek na wystawę. Dyrektor zakładów remontowych „Budrem” Jerzy Koj – entuzjasta „Konstrukcji w procesie” – oddał nam do dyspozycji halę i udostępnił wszystkie możliwe środki techniczne, od transportu samochodowego po pędzle i wiadra. Generalnie rzecz biorąc „konstrukcja” pod naporem czynników obiektywnych przeobraziła się z „wystawy” w rodzaj wydarzenia społecznego, gdzie wszystko stawało się jej częścią i gdzie wszyscy stawali się jej współtwórcami.

Do jakich programów i prądów artystycznych nawiązywała „Konstrukcja”?

Organizując „Konstrukcję w procesie lat siedemdziesiątych” nie tyle myślałem o wystawie, co o spowodowaniu jakiegoś wydarzenia artystyczno – społecznego, które miało by polski charakter. Brałem pod uwagę dorobek konstruktywizmu jak również cały ruch niezależny w sztuce polskiej lat siedemdziesiątych. Łódź już w okresie międzywojennym była terytorium sztuki awangardowej. Włączając do naszych działań grupy poza artystyczne odnosiliśmy się do programu Strzemińskiego z 1934 roku. Byliśmy jednak świadomi, że „społeczne zastosowanie zmaterializowane w środkach nowoczesnego przemysłu” nie jest „ostatecznym potwierdzeniem artystycznego eksperymentu”. Nie mogło nim być w mieście robotniczej, socjalistycznej biedy. Trzeba było ograniczonymi środkami formalnymi wyznaczyć właściwą skalę działania tak, aby cel nie oddalił sztuki od człowieka i jego środowiska. Udało nam się wytworzyć taką wartość artystycznej kreacji, która potwierdza obszar wspólnego tworzenia, nie będąc jednocześnie tylko

końcowym efektem działania. Powstał w ten sposób program konstruowania wartości kulturalnych w sposób niezależny od czynników politycznych, czy fluktuacji ideowych. Program sztuki poza instytucjami, ze społeczeństwem i dla wszystkich. Deponując w Muzeum Sztuki w Łodzi niemal całą wystawową kolekcję raz jeszcze nawiązaliśmy do wydarzeń sprzed lat. Powtórzyła się sytuacja stworzona przez grupę „a. r.” w 1931 roku. Dokładnie w pięćdziesięciolecie inicjatywy Władysława Strzemińskiego, Henryka Stażewskiego, Katarzyny Kobro, Jana Brzękowskiego i Juliana Przybosa umieszczenia w łódzkim muzeum Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej, artyści biorący udział w „Konstrukcji” podarowali Łodzi dzieła stanowiące doskonałe uzupełnienie istniejącej kolekcji. To silne przekonanie żeby zostawić coś miastu, które tak wiele im ofiarowało pojawiło się spontanicznie u prawie wszystkich twórców.

W jakim celu powstało Muzeum Artystów?

W 1990 roku „Konstrukcja w Procesie” wróciła do Łodzi. Jedną z ważniejszych realizacji wykonanych w czasie trwania tej edycji była rekonstrukcja zrobionego dla pierwszej wystawy z 1981 roku, projektu amerykańskiego artysty Sol Le Witt’a – jego „ściany z geometrycznymi figurami”, którą wykonano w hali fabrycznej przy ulicy PKWN. Rekonstrukcja tej pracy stała się bardzo ważna. Była metaforą sensu wysiłków i starań artystów o ponowną organizację wystawy w miejscu jej narodzin w Łodzi. Zabiegaliśmy wtedy u władz miasta o przekazanie na powrót hali fabrycznej przy ulicy PKWN. Zdawała nam się doskonałym, historycznym już miejscem do założenia siedziby Muzeum Artystów. Niestety nasze starania nie przyniosły żadnych rezultatów. Ostatecznie Muzeum Artystów ulokowało się w budynku fabrycznym przy ulicy Zachodniej 82. 14 października 1990 roku w samo południe nastąpiło otwarcie tego niezwykłego miejsca. Uroczystego przecięcia wstęgi dokonał amerykański artysta Emmett Williams – pierwszy prezydent Muzeum Artystów. Ponieważ postanowiliśmy pozostawić znajdujące się w depozycie Muzeum Sztuki prace z pierwszej wystawy, zwróciliśmy się do artystów uczestniczących w drugim „wydarzeniu” o przekazanie zrealizowanych prac dla stworzenia nowej kolekcji. Dało nam to podstawę do formalnego założenia Muzeum Artystów. Wszyscy artyści odnieśli się do tej propozycji niezmiernie entuzjastycznie. Wspaniałym darem otrzymanym w dniu otwarcia była niewątpliwie prywatny zbiór dzieł „Fluxusu” włoskiej kolekcjonerki Rosanny Chiessi.



Prezentacja tej kolekcji była jedyną wystawą, jaką udało się zrealizować w hali przy ulicy Zachodniej. Nowy obiekt dla Muzeum Artystów udostępniły zakłady bawełniane „UNION-TEX”. Ówczesny dyrektor Marek Tazbir okazał się niezwykle wyrozumiałym i sprzyjającym twórcom człowiekiem. Zaoferował oddanie na siedzibę muzeum dawnej willi Grohmana przy ulicy Tylnej 14. Nowa siedziba Muzeum Artystów rozpoczęła działalność 14 października 1991 roku wystawą retrospektywną Emmetta Williamsa pt. „Word Games”.

*KONSTRUKCJI W PROCESIE było siedem.
Piąta miała miejsce w Izraelu.*



Podczas trwania czwartej wystawy, która odbyła się w 1993 roku w Łodzi zdecydowaliśmy (uwzględniając prośbę artystów izraelskich), że kolejna jej edycja będzie „działa się” w Izraelu, w miasteczku Mitzpeh Rahmon położonym na płaskowyżu pustyni Negew. Pierwotnym tytułem nadanym izraelskiej „Konstrukcji” było słowo „Shalom”. Później jednak postanowiliśmy zmienić go na „Coexistence” („Koezystencja”), nawiązując bezpośrednio do tworzonego wówczas na Bliskim Wschodzie programu pokojowego. Intencją naszą było spowodowanie

międzynarodowego spotkania, forum artystycznego, które mogłoby otworzyć sferę sztuki na inne obszary ludzkiej aktywności. To właśnie tam, gdzie wyraz artystycznej aktywności dokonywał się w warunkach odległych od potencjału twórców – głównie z powodu niedostępności materiałów i narzędzi – okazało się, że spotkanie w jednym miejscu i czasie różnych postaw zawsze prowadzi w końcu do jakiegoś dialogu, stwarza nową formę koezystencji między ludźmi. A rozmowa zawsze jest lepsza od milczenia. W wydarzeniu tym uczestniczyło ponad stu artystów reprezentujących różne dziedziny sztuki: malarstwo, rzeźbę, instalację, performance, video-art, poezję, itp. Oddając hołd ogłoszonemu na Bliskim Wschodzie „roku pokoju” zaprosiliśmy do udziału w tym wydarzeniu artystów z sąsiadujących z Izraelem krajów arabskich. Pewne jest, że „Konstrukcja” w jakimś sensie przyczyniła się do umieszczenia Izraela w obrębie sztuki światowej.

*Jaki wkład w rozwój sztuki współczesnej miała
KONSTRUKCJA W PROCESIE?*

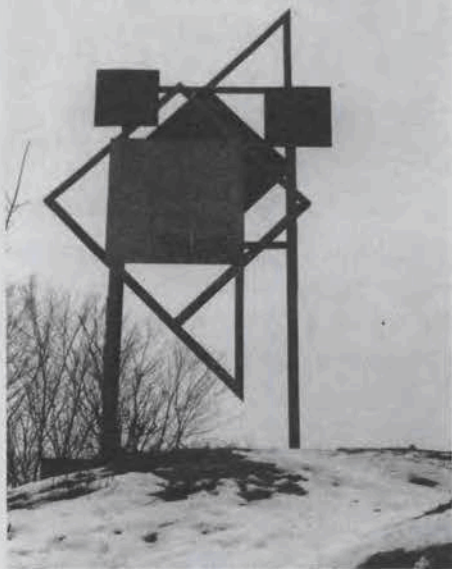
Projekt „Konstrukcji” nie zakładał żadnych rewolucyjnych celów. Artyści nie stawiali sobie żadnych założeń formalnych. Twórcy stawali przed zadaniem artystycznym, które wykonywali doświadczając radości samej tylko kreacji przedmiotu, doświadczając przypadkowych, doraźnych emocji. Jeśli więc „Konstrukcja” coś zmieniła, to tylko w samych artystach. Istnieje mit „Konstrukcji w procesie”, który jak wszystkie rzeczy legendarne żyje sam z siebie. „Konstrukcja” przełamała stereotyp twórcy. Artyści wyszli z własnych, bezpiecznych studiów z zamiarem robienia sztuki w miejscu, w którym warunki pracy raczej do tego nie zachęcają. W takiej sytuacji ujawnia się coś, co jest ważniejsze niż sama sztuka. Ważniejsze od dzieł sztuki stają się relacje zachodzące pomiędzy ludźmi biorącymi udział w takiej akcji.

kultura

*Ostatnia KONSTRUKCJA odbyła się w Bydgoszczy.
Czy była to ostatnia KONSTRUKCJA w ogóle?*

Idea „Konstrukcji w procesie” w trakcie jej kolejnych edycji bezpowrotnie się wyczerpała. Dlatego odrzuciłem propozycję zorganizowania kolejnej „wystawy”. Podjąłem natomiast myśl prezydenta Kropiwnickiego dotyczącą zorganizowania w Łodzi Biennale. Decyzją prezydenta przekazano w celu zabezpieczenia siedziby „Biennale Łódź” część budynków dawnego „Uniontexu”, gdzie docelowo powstanie centrum sztuki i kultury. Swoją siedzibę znajdzie tam również Muzeum Artystów. Na gruzach fabrycznej Łodzi powstaje więc Łódź artystyczna. W miejscach robotniczej pracy odbywać się będzie robota o innym charakterze, zapewniając dobitnie o kontynuacji społecznej wartości sztuki. Jeszcze raz spełnia się tutaj stary manifest konstruktywistów.

Marek Strąkowski



Historia kultury i tolerancji

Teatr żydowski w Łodzi /cz. II/

Lata pierwszej wojny światowej nie stanowiły przerwy w ożywionej działalności scen żydowskich: oprócz wspomnianego Teatru Wielkiego dużym powodzeniem cieszyły się operetkowo-dramatyczne przedstawienia dawane przez Adlera i Sierockiego w Scali. W styczniu 1915 roku teatr ten gościł słynny zespół Ester i Idy Kamińskich, który łódzkiej publiczności zaprezentował min. *Medeę* Gordina oraz *Uriela Acostę* Gutzkova.

Teatr Scala, którego administratorem był aż do drugiej wojny światowej **Samuel Kuperman**, w okresie międzywojennym cieszył się niesłabnącym powodzeniem, prezentując przed-



stawienia o charakterze rewiowo-rozrywkowym, jednakże równocześnie zainteresowanie ambitnym teatrem żydowskim wyraźnie zmalało, do tego stopnia, iż w roku 1932 Wilhelm Fallek na łamach „Nowego Dziennika” z goryczą narzekał na „słomiany ogień inteligencji żydowskiej”, która chętnie uczęszczając na koncerty, rewie itp. wykazywała nikłe zainteresowanie teatrem dramatycznym.

Inicjatywy Mojżesza Brodersona

Mimo pewnego kryzysu teatru artystycznego, miało przecież w Łodzi miejsce wiele wydarzeń kulturalnych w języku jidysz, działali twórcy sceniczni godni odnotowania.

Jednym z nich z pewnością był **Mojżesz Broderson**, młody ówczesnie poeta żydowski. Razem z Icchokiem Braunerem (autorem lalek) i Henochem Kohnem (autorem ilustracji muzycznych), sam będąc autorem i wykonawcą tekstów, założył w styczniu 1922 roku łódzki teatr marionetek **Chad Gadje** (Koźlątko).

Nazwa „Chad Gadje“ w jidysz oznaczała koźlątko, ale także żartobliwą piosenkę dla dzieci. Sama nazwa chad gadje brzmiała komicznie, stanowiła też idiomatyczne określenie osoby zwracającej komuś głowę lub śpiewającej fałszywie, przyjęcie więc takiego miana przez nowopowstały teatrzyk dowodziło dużej dozy autoironii jego twórców, ale też obiecywało dowcipny repertuar.

Mimo dość przewrotnej nazwy, nie był to teatr dla dzieci czy młodzieży – Chad Gadje wzorował się na dokonaniach polskiej *Szopki*, teksty pisane przez Brodersona stanowiły ostrą satyrę społeczno-polityczną, niektórzy recenzenci wręcz dopatrywali się w nich „zgrzybliwych osobistych wypadów autora”. Mimo iż Broderson okazał się świetnym recytatorem, zarówno jego teksty jak i wykonanie usunęły w cień podziwiane przez wszystkich lalki Braunera: „Charakter niektórych figurek jest tak trafny pod względem artystycznym, że robią one wrażenie świetnych ekspresjonistycznych portretów” pisał recenzent jednej z warszawskich gazet (Chad Gadje do Łodzi trafił dopiero w grudniu, wcześniej występował w Warszawie, mimo iż wszyscy jego twórcy byli łodzianinami). Kiedy 12 stycznia 1923 w sali filharmonii łódzkiej przy ul. Dzielnej 20 (obecnie ul. Narutowicza) uroczyście obchodzono rocznicę istnienia „pierwszego teatrzyku marionetek w jidysz,” wystawiono przedstawienie na cześć właśnie Icchoka Braunera, którego sława przyćmiła nie tylko dokonania artystyczne Brodersona, ale nawet jego udział w powstaniu Chad Gadje.

Teatrzyk w Łodzi pojawił się znowu na kilka miesięcy w roku 1926 i 1930, na dobre wznowił działalność w 1934. Za siedzibę obrał sobie wtedy kawiarnię „Caprice“ przy Piotrkowskiej 29. Grano wieczorami, podczas gdy widzowie–goście kawiarni jedli i pili, przedstawienia na ogół trwały godzinę.

Żydowskie studium teatralne i Ararat

Działalność teatralna Brodersona nie ograniczała się jednak do teatru kukiełek – w 1925 roku zainicjował i zorganizował w Łodzi studio mające na celu stworzenie teatru rewiewo-kameralnego na wzór polskiego Qui Pro Quo. Naukę prowadzili łódzcy intelektualiści wraz z samym **Brodersem** i jego żoną, **Szejne Miriam**, zaś kierownictwo reżyserskie objęli **Izydor Lewi** (były aktor zespołu Maxa Reinhardta) oraz **Izaak Moszkowicz**. W 1926 roku studio przekształciło się w szkołę dramatyczną – **Żydowskie Studium Teatralne w Łodzi**, z której rok później powstała żydowska scena „małej sztuki” **Ararat**. Broderson pisał dla tego teatru mniej więcej co sześć tygodni program złożony z kilku jednoaktówek i scenek, które także reżyserował. Dla potrzeb teatru wykorzystywał też utrzymane na wysokim poziomie popularne teksty A. Goldfadena, I. L. Pereca oraz uznanych współczesnych poetów: M. Kulbaka i M. Nadira.

Pierwszy występ Araratu odbył się 25 października 1927 w sali przy ul. Zachodniej 43. Program pt. *Glat Koszer* (*Ścisłe koszerne*) okazał się wielkim sukcesem zarówno samego Brodersona jak i grupy jego aktorów–zapaleńców.

Już wkrótce okazało się, że wśród członków żydowskiego studium znajdują się prawdziwe talenty aktorskie, odkryte przed Brodersona. Byli to przede wszystkim komiccy: Szymon Dżigan (czeladnik krawiecki, którego Broderson wypatrzył występującego na weselu) oraz jego późniejszy partner, **Izrael Szumacher** (młodziutki uczeń szkoły średniej). Dużą popularnością cieszył się też komik i śpiewak **Szumulik Goldstein**, były czeladnik szewski z Bałut.

Był to zespół łódzki nie tylko ze względu na pochodzenie jego członków, swój związek z miastem podkreślał także w treści i sposobie wykonywania przedstawień – w repertuar „Araratu” z reguły wplatalo numery specyficznie łódzkie, jak *Zaułki Łodzi* Brodersona, czy *Mume gmine* (*Ciocia gmina*) J. Oberżaka, poza tym zespół posługiwał się charakterystyczną łódzką (śpiewną) odmianą jidysz, właściwą Żydom polskim, podczas gdy w dotychczasowej praktyce teatralnej tradycyjnie posługiwano się dialektem ukraińskim lub litewskim (w **Trupie Wileńskiej**).

W latach trzydziestych „Ararat” rozpadł się na dwa zespoły o tej samej nazwie, jeden z nich pozostał pod kuratelą artystyczną Brodersona, drugi – skupiony wokół pary komików Dżigana i Szumachera – stał się jednym z najpopularniejszych teatrów żydowskich w Polsce. Dżigan specjalizował się w kreowaniu postaci tradycyjnego chasyda w chałacie, w okrągłej czapeczce żydowskiej, z czerwoną chustką do nosa, wygłaszającego dowcipne monologi. Monologi te do tego stopnia stały się sławne, że wystarczyło machnąć czerwoną chustką zza kurtyny, by wywołać gorący aplauz publiczności.

Ważnym wydarzeniem kulturalnym z pewnością była wizyta w Łodzi **Trupy Wileńskiej**, najstynniejszego podówczas zespołu żydowskiego w Polsce, prezentującego przedstawienia utrzymane na wysokim poziomie artystycznym. Teatr ten, znajdujący się pod kierownictwem artystycznym **Jakuba Rotbauma** (dyrektorem był **Mordechaj Mazo**), przybył do naszego miasta w 1931 roku, aby w ciasnej Sali Angielskiej (przy ulicy 1-go Maja) wystawić premierę sztuki Szolem Alejchema *200 000 albo Wielka wygrana*, ze scenografią i kostiumami zaprojektowanymi przez samego **Andrzeja Pronaszkę**. Tak wspominał ten występ sam Rotbaum:

Przedstawienie zostało przyjęte niezwykle entuzjastycznie przez publiczność i prasę. Wielki sukces artystyczny nie szedł jednak w parze z sukcesem finansowym. Gościnne występy w Łodzi zakończyły się finansową katastrofą. Znakomity artysta Andrzej Pronaszko (...) nie otrzymał za swą pracę ani grosza honorarium poza zawrotem kosztów podróży z Warszawy do Łodzi (bilet kolejowy 3 klasy).

Zachęcona przyjazną atmosferą Trupa Wileńska postanowiła pozostać dłużej w Łodzi, trzeba było jednak najpierw załatać dziurę w budżecie, Rotbaum zorganizował więc wystawę i aukcję swoich obrazów. Malarska akcja zdobywania funduszy powiodła się a zespół wileński wystawił, tym razem w łódzkim Teatrze Kameralnym, jeszcze kilka doskonałych przedstawień, min. sztukę współczesnego autora niemieckiego Petera Martina *Lampa Bunt w domu poprawczym*, którą na jidysz przełożył dyrektor Mazo.

W cieniu getta

Nadejście drugiej wojny światowej oznaczało ogromną tragedię ludności żydowskiej. W Łodzi zamknięci w getcie Żydzi (w latach 1940 – 1944), mimo że ich świat uległ całkowitemu zniszczeniu, nie zaprzestali działalności kulturalnej. Społecznej aktywności artystycznej towarzyszyło jednak poczucie (może rodzaj wyrzutów sumienia?), że w podobnie dramatycznych okolicznościach nie bardzo wypada oddawać się bez troskiej rozrywce. Nawet autor **Kroniki Getta Łódzkiego**, przystępując do opisu przedstawienia teatralnego czuł się w obowiązku „wytłumaczyć“ przed potomnością:

Przyszły czytelnik skłoni głowę w zwątpieniu wobec częstych relacji na temat imprez rozrywkowych i innych form życia społecznego, i zacznie roztrząsać w swym sercu, że może sytuacja mieszkańców getta nie była aż tak tragiczna, skoro życie społeczne było takie bogate i kipiące... Już teraz jest wielu takich w getcie, którzy odrzucają przyjemność twierdząc, że takie spłylenie życia nie pasuje do okoliczności. (...) Móc znów siedzieć w sali teatralnej, daleko od beznadziejnej rzeczywistości, wyjść na korytarz w czasie przerwy, poplotkować, poflirtować, pokazać nowe ubranie, nowa fryzurę – te rzeczy nie należą do kategorii luksusów, które trzeba odebrać ludziom żyjącym w centrum kulturalnym o pierwszorzędnym znaczeniu, jakim była Łódź przed wojną. Dlatego też kronikarz dziejów getta pragnie ze zrozumieniem ustosunkować się do tego zjawiska i powiedzieć przyszłemu czytelnikowi, że cierpienie w getcie nie było mniejsze przez to, że ktoś doświadczył w nim paru godzin radości.

Doceniając więc hart ducha żydowskich twórców i ich niezłomne oddanie pasji artystycznej, przyjrzyjmy się teatrom działającym w getcie.

Jedynym zespołem teatralnym kontynuującym działalność przez wszystkie cztery lata był teatr **Awangarda**, zorganizowany i prowadzony przez **Mosze Puławera**, byłego aktora Araratu. W lecie 1940 roku przedstawiciele różnych partii politycznych zwrócili się do niego z prośbą o stworzenie studia dramatycznego dla młodzieży, którą to prośbę Puławer niezwłocznie spełnił – utworzył osiemnastoosobowy zespół, z którym rozpoczął przygotowania do pierwszego spektaklu.

Nowopowstały teatr zadebiutował w sali gimnastycznej gimnazjum przy ul. Franciszkańskiej 76. Z konieczności był to zespół niezwykle wszechstronny: młodzi członkowie trupy sami przygotowali salę do występu, zaprojektowali i wykonali dekoracje, ustawili światła, uszyli kostiumy. Przedstawienie składało się z jednoaktówek i wierszy między innymi Mojżesza Brodersona, Icchaka Mangera, Łuckiego. Sala pękała w szwach, dla wielu chętnych nie starczyło już miejsca.

Mordechaj Chaim Rumkowski, przewodniczący Rady Żydowskiej w getcie, praktycznie jednorządca, zachęcony „nieszkodliwym“ charakterem spektaklu wyraził zgodę na kontynuowanie występów Awangardy w budynku przy ulicy Krawieckiej 3, który z czasem przekształcił się w oficjalny Dom Kultury łódzkiego getta. Nowa sala zapewniała już profesjonalne warunki młodym aktorom – miała 400 miejsc siedzących, zaopatrzona była w scenę, rekwizyty oraz instrumenty muzyczne, które służyły również powstałej równocześnie z teatrem orkiestrze symfonicznej getta.

Gniew Rumkowskiego

Jednakże już podczas pierwszego przedstawienia w Domu Kultury wybuchł skandal. Podejrzliwy Rumkowski dopatrywał się w komicznej scenie pt. *Pacyfiści*, naigrywającej się z cesarza Frantza Josefa, drwiny z jego własnej osoby. Rozwścieczony kazał zamknąć teatr, na szczęście nie na długo – w końcu Awangarda uzyskała ponownie zgodę na występy w tej samej sali. Początkowo wystawiano w każdy wtorek dwukrotnie ten sam program, potem odpowiadając na ogromne zapotrzebowanie spragnionej teatru ludności, grano już codziennie, nie na darmo „Żydzi łódzcy jedli chleb z teatrem“.

Były to widowiska rewiiowe, komiczne najczęściej jednoaktówki przeplatano gęsto popisami tanecznymi najrozmaitszych rodzajów: od tańców orientalnych, przez jazz-bandowe do ludowo-żydowskich. Każdy program otwierał monolog poświęcony aktualnej sytuacji politycznej, oczywiście na wesoło, korzystano głównie z tekstów przedwojennego Araratu – głównie autorstwa Brodersona. Stare teksty w nowej sytuacji nabierały świeżych znaczeń, zaskakująco adekwatnie komentowały rzeczywistość getta. Na przykład, ludowa piosenka o dwu wędrownych grajkach „Jidl mitn Fidl“ oraz „Berl mitn Bas“, którzy nie mogli zarobić nawet na kawałek chleba, stawała się aluzją do przerażającej biedy panującej w getcie.

Pinkus Szwarz (Pinchas Shaar), malarz, po wojnie mieszkający i tworzący w Nowym Jorku, dla teatru Awangarda projektował dekoracje – wykonywano je z drzewa i dykty, które podkradano ze stolarni. Były to scenografie zarazem dowcipne i aktualne: jedna z nich przedstawiała powiększoną do dwóch i pół metra kartkę żywnościową, przez którą w trakcie przedstawienia wychodziła pani Polewaczka, rozdzielająca zupę.

Oprócz regularnych spektakli Awangardy, liczne były występy okazjonalnie zawiązujących się grup, przygotowujących min. przedstawienia dziecięce (zarówno wystawiane przez dzieci jak i te przygotowywane dla najmłodszej publiczności przez dorosłych amatorów), czy też przedstawienia w fabrykach i dużych zakładach, organizowane przez robotników.

Również aktorzy i twórcy Awangardy pracowali za darmo, czasem dostawali kartki żywnościowe, co w obliczu przejmującej biedy miało swoją wartość.

Zastanawiający może wydawać się żartobliwy charakter wszystkich wystawianych w getcie przedstawień. Jak słusznie zauważył izraelski badacz, **Jechiel Frenkiel**, tragedia straciła dla ludzi żyjących w getcie moc oddziaływania (*katharsis*): „dramaty Króla Lira i Edypa postrzegane były jako farsa; w getcie Hiob nie skarżył się nadmiernie. Siłą mieszkańców getta było to, że nie poddali się losowi i nie rozpaczali nad sobą. Jedynym środkiem przewycięzania bóleści i górowania nad sobą był śmiech i śpiew, w którym przeważnie pobrzmiwała drwina“. Drwiono więc z siebie w niewybredny sposób – często były to żarty makabryczne w rodzaju: „spotkamy się w puszcze sardynek“, „spotkamy się w kawałku mydła“.

Szyderczy śmiech publiczności żydowskiej zamilkł wraz z likwidacją getta w 1944 roku, by odrodzić się w kolejnym teatrze żydowskim, który powstał już w powojennej, bardzo zmienionej społecznie i politycznie Polsce.

Trudny okres powojenny

Zawodowy teatr żydowski po wojnie zainicjowała grupa artystów-repatriantów z ZSRR, przybyła w 1946 roku. Część z nich osiedliła się w Łodzi, część zaś na Dolnym Śląsku, powołując w ten sposób dwa ośrodki powojennej kultury żydowskiej w Polsce: Łódź i Wrocław. W lipcu tegoż roku zwołano w Łodzi zjazd, podczas którego reaktywowano Związek Artystów Scen Żydowskich w Polsce, który z kolei patronował powołaniu dwóch teatrów zawodowych, w Łodzi i we Wrocławiu, zorganizowanych jako spółdzielnie.

Łódzki Teatr Żydowski rozpoczął działalność na początku sierpnia 1946 roku premierą Sonaty Kreutzerowskiej Gordina w reżyserii **Mojżesza Lipmana** w dawnym budynku kina Czary przy ulicy Jaracza 2.

Pierwsze przedstawienia powojenne były tyleż spontaniczne, co chaotyczne – chodziło głównie o zademonstrowanie odradzającej się kultury żydowskiej. Dominował repertuar retrospektywny, najsilniej oddziałujący na widownię, grając *Tewje mleczarza*, *Poszukiwaczy złota* czy *Dybuka* zawsze można było liczyć na publiczność nostalgicznie przyjmującą okruchy z przeszłości. Teatr bardziej postępowy, czerpiący z najnowszych tendencji artystycznych zaczął się w Łodzi dopiero wraz ze zmianą dyrekcji – Lipman rozstał się z zespołem prawdopodobnie podczas tournée po Europie, zaś sezon 1947-48 ŁTŻ kończył pod dyktando Idy Kamińskiej, która właśnie powróciła z Londynu.

Teatr Idy Kamińskiej

Ida Kamińska – jedna z najlepszych przedwojennych aktorek nie tylko scen żydowskich, posiadająca duże doświadczenie zarówno w organizacji zespołów teatralnych, jak i w pracy reżyserskiej, energicznie zajęła się rozwojem **Teatru Żydowskiego**. Nie tylko zmieniła repertuar, styl reżyserii i gry aktorów, lecz także rozpoczęła starania o pozyskanie gmachów z prawdziwego zdarzenia dla teatrów w Łodzi i Wrocławiu, oraz o upaństwowienie obu scen, co zapewniałoby dotacje z budżetu państwa i pewną niezależność od nastrojów i kaprysów publiczności. Stałe subwencje były tym ważniejsze, że ze względu na emigrację ludności żydowskiej w kraju wciąż ubywało. Kamińska starała się więc pozyskiwać dla swego teatru również publiczność polską – wprowadziła zwyczaj drukowania przy każdej premierze programów w języku polskim, przybliżających treść sztuki, szukała też formuły artystycznej, która eksponując najważniejsze elementy tradycji i kultury żydowskiej, pozwalałaby mówić o współczesności.

Starania Kamińskiej uwierzyły powołanie przez Ministerstwo Kultury i Sztuki w listopadzie 1949 roku Państwowego Teatru Żydowskiego, jednoczącego teatry łódzki i wrocławski pod wspólną władzą administracyjną. Głównym reżyserem

został współpracujący niegdyś z Trupą Wileńską Jakub Rotbaum (pracujący we Wrocławiu), Ida Kamińska kierownikiem artystycznym, zaś dyrektorem przedsiębiorstwa jej mąż – **Marian Melman**.

Znacznie więcej trudności przysporzyło pozyskanie odpowiedniego budynku teatralnego. Wprawdzie już w 1947 władze miasta przyznały gmach przy ul. Więckowskiego 15, po dawnym żydowskim teatrze Scala, ale budynek ten wymagał gruntownego i niezwykle kosztownego remontu. Aby zebrać fundusze rozpoczęto „akcję teatralną” – zakrojoną na dużą skalę zbiórkę pieniędzy wśród ludności żydowskiej. Poważne kłopoty wyłoniły się znowu pod koniec 1950 roku, kiedy to władze łódzkiej instancji PZPR, powołując się na „nastroje niektórych części łódzkiej klasy robotniczej” oraz brak lokalu dla Teatru Nowego, chciały przejąć świeżo wyremontowany obiekt. Ostatecznie przystano na kompromis, aby Teatr Żydowski i Teatr Nowy wspólnie korzystały z jednego budynku.

Władze coraz wyraźniej ingerowały też w repertuar teatru, sugerując, a potem już przedstawiając gotowe listy preferowanych sztuk. Kamińska w doborze dramatów kierowała się jednak przede wszystkim ich potencjałem teatralnym, biorąc pod uwagę możliwość stworzenia interesujących kreacji aktorskich. Wystawiała więc min. *Dr. Annę Leśną* Ireny Krzywickiej, *Wzajemną miłość* wg. J. Rubinsztejna, *Meiera Ezofowicza* wg. powieści Orzeszkowej, czy przetłumaczonego na jidysz *Pana Jowialskiego* Fredry.

W 1953 r. Ministerstwo Kultury i Sztuki postanowiło, że Wrocław jako większe skupisko Żydów lepiej nadaje się na siedzibę teatru i zarządziło przeniesienie całego zespołu. Kamińska pozostała kierownikiem artystycznym, zaś Melmana na stanowisku dyrektora administracyjnego zastąpił S. Lent. Dzięki częstym występom gościnnym widzowie łódzcy nadal mogli oglądać większość przedstawień Teatru Żydowskiego min. *Matkę Courage* Brechta (1957), *Drzewa umierają stojąc* Cassony (1958) w reżyserii Kamińskiej oraz *Volpone* Jonsona (1967) w reżyserii Rotbauma.

Niechlubny rok 1968 i antysemitka nagonka rozpętana przez komunistów zmusiły większość ludności żydowskiej do opuszczenia kraju. Zakończyły też łódzką działalność Teatru Żydowskiego, a wraz z nim karierę jego największych artystów. Żywa przez tyle lat, nieodmiennie inspirująca i bawiąca publiczność łódzką żydowska działalność artystyczna, wraz z wykutymi w brązie literami napisu: „Teatr Żydowski” – zdjętymi ostatecznie z gmachu Teatru Nowego – została bezpowrotnie usunięta z Łodzi.

Agata Skrzypek
studentka kulturoznawstwa UŁ.

Bibliografia:

- „Łódzkie sceny żydowskie”, red. Małgorzata Leyko, Łódź 2000
„Kronika getta łódzkiego”, opr. D. Dąbrowska i L. Dobroszycki

Sztuka na metry

Łódzkie Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych

kultura

W 1944 roku została powołana do życia Wytwórnia Filmowa Wojska Polskiego oraz Wydział Propagandy Filmowej Ministerstwa Informacji i Propagandy, które dały początek Laboratorium Filmowemu WFF i przedsiębiorstwu państwowemu „Film Polski”. Naturalną konsekwencją istnienia tych placówek było powstanie Łódzkich Zakładów Wytwórczych Kopii Filmowych. Oficjalnie stało się to 31 grudnia 1951 roku. Na mocy Dekretu Rady Ministrów przedsiębiorstwo rozpoczynało swoją działalność od pierwszego stycznia 1952 roku. Dekret sankcjonował powstanie nowej instytucji w polskiej kinematografii, której celem statutowym miało być wytwarzanie kopii filmowych dla sieci rozpowszechniania.

Pierwsze ekranowe kopie dla Polskiej Kroniki Filmowej – głównie o tematyce wojennej – wykonywano od 1945 roku w prowizorycznym laboratorium mieszczącym się przy ulicy Narutowicza – nota bene późniejszej siedzibie ŁZWKF. Produkcję rozpoczęto od dwóch podstawowych asortymentów – kopii seryjnych czarno-białych 35 mm i 16 mm. Z uwagi na coraz powszechniej wykorzystywane w kinematografii światowej kopie barwne podjęto decyzję o rozbudowie i modernizacji zakładu. W 1953 roku rozpoczęto powiększanie powierzchni produkcyjnych. Jeszcze w tym samym roku wyprodukowano pierwsze metry kopii barwnych 35 mm. Dwa lata później uruchomiono produkcję kopii pozytywowych barwnych 16 mm. Było to jedyne miejsce w Polsce, w którym wykonywano kopie tego typu. W roku 1957 opracowana została metoda wkopiowywania napisów dialogowych w kopie pozytywowe barwne 35 mm i 2 x 16 mm. Zorganizowanie w przedsiębiorstwie Oddziału Regeneracji i Konserwacji Materiałów Filmowych miało służyć podniesieniu jakości produkowanych kopii. Pozostając głównym producentem kopii barwnych i wychodząc naprzeciw coraz większemu zapotrzebowaniu kin na ten produkt, w ŁZWKP opracowano kolejny program zwiększenia „zdolności przerobowych”. Plan ten wdrażano w latach 1966 – 1970. W ramach dalszego ciągu programu w latach 1970 – 72 powołano Wydział Dźwięku i Pracownię Elektroakustyczną.

ŁZWKF współpracowały ze Studiem Opracowań Filmów, które „wytwarzało” dubbing i napisy. Z materiałów wyjściowych przygotowywano kopię roboczą, która następnie trafiała do opracowania w SOF. Następnie kopia wracała do „wytwórni”, gdzie poddawano ją zabiegowi tzw. korekty barwnej. Był to niezwykle istotny moment w procesie produkcji kopii filmowych. Korektę barwną wykonywano na nowoczesnej

– jak na owe czasy – maszynie „Hazel-tine”, zwanej elektronicznym analizatorem barw.

Urządzenie to pozwalało na odpowiednie regulowanie ostrością i nasyceniem barw. Rezultat tych zabiegów zapisywany był na perforowanej taśmie, która wprowadzana była do aparatu sterującego światłem w automatycznej kopiarce. W ten właśnie sposób, w ciągu ośmiu godzin pracy, można było przetworzyć około dziesięciu tysięcy metrów taśmy, czyli wykonać mniej więcej cztery kopie filmu o standardowym czasie trwania.



Cały proces produkcyjny nie przebiegał jednak perfekcyjnie. Przy wkopiowywaniu napisów ujawniały się niedoskonałości zaplecza technicznego. Zakład po prostu nie dysponował odpowiednio nowoczesnymi maszynami i na tym etapie wytwarzania cały dotychczasowy wysiłek i całkiem niezły efekt szedł na marne. Metoda jaką się posługiwano polegała na jednoczesnym nałożeniu na siebie trzech taśm: kopiowanej, kopiującej i celuloidowej (z czarnymi napisami umieszczonymi w ściśle określonych miejscach). Zasadniczą wadą tej metody było radykalne pogorszenie się jakości obrazu. Powody takiego stanu rzeczy były dwa. Po pierwsze – nie ma zupełnie przezroczystego celuloиду, po drugie – zła technicznie maszyna nie była w stanie dokładnie odcisnąć trzech taśm. Powodowało to powstawanie zamgleń i zmętnień barw. Ważniejsza od jakości była jednak ilość. Naciski ze strony Zjednoczenia Rozpowszechniania Filmów zmuszały dyrekcję i załogę do wykonywania planów. Innym powodem nie najlepszej jakości kopii był zły już sam materiał wyjściowy, czyli taśma filmowa z której robiono kopie. Była to głównie – pochodząca z byłej NRD – taśma ORWO, która rzadko spełniała międzynarodowe normy jakościowe.

W ŁZWKF przeprowadzono własne badania na okoliczność jakości materiału negatywowego. Jeżeli taśma była bardzo zła, podlegała reklamacji. Procedury odwoławcze zwykle się przeciągały. Skutkiem tego zapowiadany film nie wchodził na ekrany kin, lub wchodził z dużym opóźnieniem.

W artykule pod znamienym tytułem „Monopoliści”, zamieszczonym w „Życiu Warszawy” (nr 41/1976) krytyk filmowy Stanisław Grzelecki pisze:

(...) Ilekroć idziemy do kina, a raczej ilekroć z kina wychodzimy, trudno nam uwolnić się od refleksji, że coś ze złych tradycji monopoli w naszym kraju pozostało. Mamy tylko jedną fabrykę w całym kraju produkującą kopie filmowe dla kin. Nazywa się ona ŁZWKF. I tu właśnie znajduje się rezerwat tradycji czy nawyków monopolistycznych. Dalej autor podważa rzetelność i sumienność pracowników ŁZWKF, w tych aspektach dopatrując się przyczyn złej jakości kopii filmowych:

(...) A może w innych fabrykach, jedynych producentach danego artykułu czy towaru, działają jakieś inne czynniki pozamaterialne, pozatechniczne? Na przykład ambicja załóg tych fabryk skłaniająca do dobrej roboty.

Zreflektowawszy się konkluduje:

(...) Zainteresowani mogą wytoczyć na swoją obronę wiele przyczyn niezależnych od czyjejs ambicji i dobrej woli. Po pierwsze: przemysł kinematograficzny, w tym produkcja kopii jest nie doinwestowany. Pracuje na starych maszynach, na materiale o nieustalonych standardach. Po drugie: kopiuje się przecież materiał powierzony, wykonuje się tylko usługi. Za techniczna jakość dźwięku odpowiadają inżynierowie dźwięku w wytwórniach filmowych, za wyrazistość dialogu – przede wszystkim aktorzy. Kopiując materiał wyjściowy nie można belkotu zmienić w deklamację. Po trzecie: stan aparatury w kinach (projektorów, głośników, ekranów) jest zły. Nędzny gramofon zniekształca grę nawet wirtuoza. Po czwarte: działają przecież komisje techniczne oceny kopii. Jeśli one te kopie dopuszczają do kin....

ŁZWKF nie były – jak na warunki socjalistycznej industrializacji – zakładem dużym. Zatrudnionych było tam około 350 osób, z których 10 proc. stanowił personel administracyjny. Na owe zaś 90 procent składali się wysoko wykwalifikowani specjaliści głównie z branży chemicznej. Inżynierowie i technicy, których wiedza i doświadczenie mogły być wykorzystane tylko w tym zakładzie.

Stan wojenny i kryzys gospodarczy lat osiemdziesiątych nie oszczędził „Łódzkich kopii”. Produkcja spadła o 40 proc. Poza dotkliwie odczuwalnym problemem gospodarczym, na wysokość produkcji w łódzkim zakładzie miały duży wpływ rozmaite decyzje polityczne. Cenzura ograniczyła mocno dostęp do nowości światowego kina, a produkcja filmów krajowych zaczęła raptownie spadać.

W listopadzie 1983 roku konkurs na dyrektora ŁZWKF wygrał dr Jerzy Zak. Nowy dyrektor – wieloletni pracownik central handlu zagranicznego – opracował na niespotykaną dotąd skalę program rozwoju przedsiębiorstwa. Unowocześniono zaplecze maszynowe, zakupując m. in. nową kopiarkę redukcyjną. Powołano do życia własne Biuro Handlu Zagranicznego „Filmservice”, które miało zająć się marketingiem oraz przejąć część funkcji pośrednika, tj. „Filmu Polskiego”. Ustalono nowy, motywujący system płac a trzeba dodać, że zarobki w ŁZWKF były marne. Fabryka podlegała tzw. trzeciej kategorii płacowej, w którym to zaszeregowaniu kwoty wynagrodzenia były o wiele niższe od średnich zarobków w przemyśle włókienniczym. Rozwinięto również własną bazę poligraficzną. Wykorzystywano ją głównie do produkcji filmowych gadżetów. Został wdrożony plan produkcji kaset magnetowidowych (od 20 do 40 tysięcy kaset miesięcznie). Wzorowano się na francuskiej firmie „Eclair”, która dostarczała w tamtym czasie na własny rynek 50 proc. kaset. Chcąc zwiększyć produkcję bardzo starannie przygotowano się do usługowej produkcji kopii filmowych dla odbiorcy zagranicznego. To właśnie ten segment działalności podlegał Biuru Handlu Zagranicznego „Filmservice”.

Nietypową gałęzią produkcji w ŁZWKF była produkcja srebra. Srebro jest podstawowym składnikiem emulsji każdej taśmy filmowej. Wytwórnia posiadała elektrolizery zbudowane według własnej koncepcji, w których przeprowadzano regenerację srebra z zużytych taśm filmowych. Srebro pozyskiwano również z utrwalaczy i wód płuczających. W efekcie przeprowadzonych procesów technologicznych odzyskiwano około 200 kg srebra miesięcznie.

Ważne jest, że ŁZWKF – jako jedyne wśród wielu innych działających w branży filmowej – były na własnym rozrachunku. Pracowały bez jakichkolwiek dotacji strukturalnych. Praca na swoim powodowała, że wszystkie zrealizowane projekty miały na celu zwiększenie atrakcyjności oferty i co za tym idzie – również zysku.

I owszem, rynek na nowe pomysły zakładów zareagował nagłym wzrostem zamówień. Niestety firma – z założenia działając w ramach reformy gospodarczej – nie mogła wykorzystać wszystkich rodzących się w głowach jej pracowników pomysłów. Problem jak zawsze tkwił w deficycie towarów. Pomimo np. ogromnego zapotrzebowania na „filmową pościel”, czy koszulki z nadrukami, zakład nie mógł zaspokoić popytu. Brakowało tkaniny bawełnianej. Na plakaty i tapety filmowe brakowało papieru. Krępująca była niemożność korzystania z wypracowanych dewiz. Ograniczało to znacznie swobodę działania i planowania. Konieczność formalnego uzależnienia od państwowych struktur filmowych – takich jak Przedsiębiorstwo Dystrybucji Filmów czy „Film Polski” – też wiązało ręce.

Zmiana ustrojowa lat dziewięćdziesiątych nie wyszła ŁZWKF na dobre. Na rynku powstały, bądź przyszły z zewnątrz firmy, które dla zakładów stały się zwykłą konkurencją. Nie udało się wytrzymać konkurencji z wyspecjalizowanymi firmami produkującymi taniej. Zabójczy okazał się dla ŁZWKF zbyt szeroki asortyment usług. Rzeczą dla przedsiębiorstwa najgorszą było podważenie sensu jego istnienia jako producenta kopii filmowych. Zakwestionowanie przez rynek potrzeby występowania takiej jednostki produkcyjnej jak ŁZWKF doprowadziło do ich upadłości.

W nowych warunkach gospodarki rynkowej zmienił się sposób dystrybucji kopii filmowych. Obecnie producenci sami dostarczają odpowiednią ilość własnych kopii dystrybutorom. Naturą rzeczy ŁZWKF zostały z tego obiegu wyłączone.

ŁZWKF były – z przedsiębiorstw filmowych – najmniej efektywne, najrzadziej opisywane, nie medialne, ale ze średnio 10 milionami metrów wykonanych rocznie kopii (samej tylko taśmy barwnej 35 mm) niezbędne. Napis „Kopie i napisy wykonały Łódzkie Zakłady Wytwórcze Kopii Filmowych” stanowił o randze wykonywanej pracy. Ale jest to już tylko przeszłość łódzkiego przemysłu filmowego.

Darek Kędziński

– ekonomista; były pracownik działu produkcji filmowej w WFO.

Bibliografia:

- Oskar Sobociński – „Nie kruszyć kopii”, Film 1976 nr 38
Muzeum Kinematografii – „Łódź w 40-lecie kinematografii”

Galeria ściśle prywatna

Atlas sztuki sp. z o. o. ✓

Galeria „Atlas Sztuki” powstała w lutym 2003 roku. Inicjatorem powołania spółki zajmującej się prezentacją sztuki był Andrzej Walczak – właściciel galerii oraz jeden ze współwłaścicieli Grupy Atlas. Stanowisko dyrektora galerii objął Jacek Michalak. Placówka znajduje się przy ulicy Piotrkowskiej 114/116.

Ze względu na strukturę własności funkcja decyzyjna przekłada się na prostą formę zarządzania. Jest to przedsięwzięcie całkowicie prywatne i autorskie. Dlatego galeria realizuje określone założenia programowe właściciela. Zależność ta tworzy czytelny warunek ramowy: „jeżeli daję pieniądze, to chcę aby moja koncepcja wystawiennicza była jednocześnie koncepcją galerii”. Przy tej organizacji finansowania taka kohezja nie rodzi żadnych zastrzeżeń. Wydaje się być prostym działaniem wynikowym.

„Atlas Sztuki” pozostaje bytem samodzielnym tej większej całości utożsamianej z dobrą organizacją i spektakularnym sukcesem i opiera się na własnym, stałym budżecie. Wpływa to niewątpliwie na zakres i swobodę działalności placówki. Zadaniem tej galerii nie jest dziś świadczenie usług komercyjnych. Nadrzędnym celem jest działalność promocyjna i mecenat. W tym sensie popieranie sztuki niekomercyjnej i inwestowanie w nią takim rozmachem zasługuje na szczególne uznanie. Dzieje się to bowiem w czasach, które jej główną funkcję sprowadziły do postaci glutenu łatwo przetrwalnego przez współczesnego odbiorcę.

Konwergencja pomiędzy programem wystawienniczym galerii a upodobaniami estetycznymi właściciela zaświadcza niezbitcie o braku jednolitego profilu ekspozycyjnego. Analizując trzy dotychczasowe wystawy odnieść można wrażenie, że to precyzyjne glissando stanie się z czasem znakiem gatunkowym „Atlasa Sztuki”. I jeżeli ten steniczny aspekt obciążenia personalnego przeciwstawi się modom na artystów, to ta galeria może spełnić istotną rolę w promowaniu polskiej sztuki. Głównym problematem jest wtedy potrzeba sztuki a nie potrzeba wystawiania modnego artysty.

Po pokazach Romana Opałki, Davida Lyncha i Zbigniewa Libery „Atlas Sztuki” zaprezentuje dokonania Wojciecha Ledera, Olgi Nieścier, Tadeusza Piechury. W planach jest także retrospektywa prac twórców z Warsztatu Formy Filmowej, oraz wspólny projekt z Centrum Sztuki Współczesnej – Zamek Ujazdowski w Warszawie. Galeria chce wejść w różne obszary sztuki współczesnej i nie zamierza ograniczyć się tylko do twórców łódzkich bądź z Łodzią związanych. Jacek Michalak poważnie rozpatruje możliwość wymiany ekspozycji z innymi galeriami, również zagranicznymi. W trakcie uzgadnianie szczegółów są rozmowy z galerią z Luxemburga, która jest

zainteresowana pokazaniem wystawy Davida Lyncha. Natomiast dwie polskie placówki chcą przejąć ekspozycję Zbigniewa Libery.

Trudno antycypować w jakim kierunku rozwinię się działalność „statutowa” galerii „Atlas Sztuki”. Dotychczasowa permisywna struktura doboru artystów nie jest w stanie wypracować stałej formuły prezentacyjnej. Tym samym nie może ujawnić jakichś cech charakterystycznych współczesnej sztuki polskiej. Opisując zjawiska zachodzące we współczesnej sztuce można by ją w ten sposób komentować. Potencjalnie galeria o takiej specyfice działania ma wszystkie atuty, aby takie działanie podjąć. Skupiając się na wystawach problemowych czy przekrojowych można zmniejszyć stopień dezorientacji jaki ogarnia środowisko artystów i teoretyków sztuki. Natomiast łatwe wystawy – artystów znanych, bądź uznanych – nie mają żadnego znaczenia dla wizerunku współczesnej sztuki polskiej. Nie podejmują dialogu z dzisiejszym odbiorcą. Nie stawiają mu żadnych pytań i co gorsza nie udzielają żadnych odpowiedzi. Dlatego dużym wyzwaniem i zadaniem na miarę takiej galerii byłoby zestawianie i konfrontowanie artystów reprezentujących różne lub te same prądy, nurty i kierunki w sztuce najnowszej. Można z dużą dozą prawdopodobieństwa przypuszczać, że ta galeria tego wyzwania nie podejmie.

Własność prywatna jest w każdym cywilizowanym państwie wartością nienaruszalną. „Atlas Sztuki” należy do Andrzeja Walczaka i w ramach tej przynależności będzie eksplorował rynek sztuki wyszukując atrakcyjne jego segmenty. Atrakcyjne rzecz jasna dla właściciela.



Podstawową zasadą działania każdej galerii jest promocja i rozpowszechnianie sztuki. Jest to więc obiekt i z definicji i z miejsca. „Atlas Sztuki” tak jak pozostałe placówki wystawiennicze opracowuje własną strategię i realizuje ustalony program. Po dość obojętnym przyjęciu przez krytykę i media wystawy Opałki, zorganizowanie pokazu prac Lyncha było zabiegiem o doskonałym marketingowym wyczuciu. Organizatorzy spotkali się z przychylnością mediów, pozytywnie oceniających inicjatywę włączenia się do czynnego uczestnictwa w festiwalu „Camerimage”.

23 kwietnia br. odbędzie się w Atlasie Sztuki wernisaż Wojciecha Ledera. Tej wystawie Jacek Michalak nadał znaczenie prestiżowe. Leder – poza prezentacją wcześniejszych swoich prac – pokaże stworzony na miejscu – w galerii – obraz. Dzieło to nie jest standardowym obrazem. Jego wymiary 4.5m na 2.5m spowodowały, że autor nie mógł – z przyczyn technicznych – namalować go w pracowni. Nie jest to więc – jak podkreśla Michalak – żadna akcja artystyczna a tylko wyższa konieczność.

„Atlas Sztuki” ma na gruncie łódzkim do spełnienia ważne zadanie. Nie tylko promocją sztuki ale i promocją miasta. Miasto będące w dziedzinie sztuki ważnym ośrodkiem twórczym jest zdecydowanie łatwiej wypromować niż samą sztukę, która będąc produktem ułomności ludzkiej pretenduje do wartości dla człowieka najważniejszych. A przecież, jak twierdził Goethe: „w sztuce najlepsze jest wystarczające.”

Działalność wystawienniczą „Atlas Sztuki” rozpoczął prezentacją prac Romana Opałki. Ta wystawa to eksperyment z prototypem idealnej formy wystawienniczej dla dzieła „Opałka 1965/1 – ∞”. Projekt Oktagonu to ostateczne rozwiązanie realizowanego przez artystę konsekwentnie od 30 lat Programu. Koncepcja liczonych obrazów narodziła się w 1965 roku, kiedy to Opałka stworzył pierwszy Detal swojego Programu – namalował białą cyfrę 1 w lewym górnym rogu czarnego płótna. Od tamtego czasu bez przerwy poświęca się jednemu tylko zadaniu: „skandowaniu czasu” – wizualizacji jego upływu. Dążenie przez artystę do nieskończoności osiąga pełny wymiar w projekcie Oktagonu. Cyfra osiem w kulturze judeochrześcijańskiej przypisana jest wieczności. W modelu makroprogressji ósemka zajmuje również miejsce szczególne. Opałka wyliczył, że tempo jego malarskiego odliczania pozwala mu na dojście do siedmiu siódemek (7777777) pod koniec życia. Osiem ósemek stanowi natomiast – według jego szacunków – „nieosiągalną granicę czasoprzestrzeni ludzkiej egzystencji”. Idealna forma Oktagonu jest otwarciem się na nieskończoność. „Na siedmiu bokach Oktagonu znaleźć się może siedem Detali, ósmy zaś bok zawsze będzie otwarciem się na nieosiągalne, na nienamalowane osiem ósemek” – napisał w katalogu wystawy Jarosław Lubiak. Ekspozycje obrazów mają zapraszać – według słów artysty

– do medytacji nad życiem. Roman Opałka pozostaje wciąż przekonany o misji sztuki i jej moralnym znaczeniu dla świata.

Kolejnym artystą wystawionym w „Atlasie Sztuki“ był David Lynch. W ramach towarzyszącej Camerimage imprezy, pokazano fotografie i prace malarskie tego wybitnego reżysera.

David Lynch ustąpił miejsca Zbigniewowi Liberze. Twórcy video i instalacji. Znaczący wpływ na działalność Libery miało środowisko artystyczne skupione w latach 80 – tych wokół łódzkiego „Strychu“, Kultury Zrzuty i grupy Łódź Kaliska – funkcjonujących poza oficjalnym obiegiem sztuki. Pierwsze eksperymenty z video (wspólnie z Wojciechem Truszkowskim) – „Obrzędy intymne“ – przedstawiały w mocny, naturalistyczny sposób opiekę artysty nad niedołączną babcią. Po raz pierwszy zostały zaprezentowane na łódzkim „Strychu“ w 1986 roku. Realizacja ta mieściła się w konwencji zaproponowanej przez Marka Janiaka z Łodzi Kaliskiej „sztuki żenującej“. Następnym materiałem video był film pt. „Jak tresuje się dziewczynki“, pochodzący z 1987 roku. Analizował proces „urabiania“ młodego człowieka. Tresury, której celem jest przyjęcie społecznie akceptowanych roli płci. Z podobnych obserwacji powstały późniejsze „Urządzenia korekcyjne“ – przedmioty służące pozornie do praktycznego zastosowania, o zawsze przewrotnym leitmotivie. Należy do nich m. in. „Uniwersalna wyciągarka penisa“ z 1995 roku. Realizacje te w sposób krytyczny mówią o skutkach ogarniającej Polskę w latach 90-tych kultury masowej, o jej utylitarzmie, o presji młodości i fetyszu ludzkiego ciała.

Praca „Lego. Obóz koncentracyjny“ została za przyczyną polskiego kuratora Jana Stanisława Wojciechowskiego wycofana przez autora z Biennale w Wenecji w 1997 roku. Paradoksalnie instalację, której Wojciechowski zarzucił wymowę antysemitką zakupiło Muzeum Żydowskie w Nowym Jorku. Przyniosła ona Liberze największą międzynarodową sławę, a zarazem wzbudziła największe kontrowersje. Praca jest próbą namysłu nad sposobem formowania ludzi w procesie wychowania jednostki w kulturze chrześcijańskiej. W galerii „Atlas Sztuki“ zaprezentowane zostały dwa cykle: „Mistrzowie“ – pokazują imitacje różnych gazet z napisanymi specjalnie na ten użytek tekstami o artystach, „Pozytywy“ – są to przeróbki bardzo znanych historycznych fotografii, m. in. trawestacja fotografii więźniów obozu koncentracyjnego lub zdjęcie rejestrujące przekroczenie przez hitlerowców granicy polsko-niemieckiej we wrześniu 1939 roku. W obu cyklach autor podjął ironiczną grę z mediami, zarzucając, że w obrębie ich zainteresowania pozostaje tylko to, co da się sprzedać.

Marek Strąkowski

Kuźnia młodych talentów

Pół wieku Pałacu Młodzieży im. Juliana Tuwima

kultura

Do Pałacu Młodzieży im. Juliana Tuwima mam na poły stosunek osobisty. W latach 1975-1979 jako licealista uczestniczyłem w zajęciach koła literackiego, prowadzonego w czytelnicy przez Krystynę Mazur. Dzisiaj to by pewnie nazwano grupą literacką. W każdym razie co tydzień ktoś z nas miał wieczór autorski: czytał prozę, poezję, aforyzmy, a gdy zabrakło własnej twórczości, proponował grupie osobiste preferencje literackie. Ale, taką okazję mógł mieć tylko raz na wiele tygodni. Wszystko to było oprawione w dyskusję, niejednokrotnie bardzo zażartą, w której arbitrem i moderatorem była pani Krysia. Gdy zbliżałem się do matury, zacząłem intensywnie chodzić do pałacu na wykłady z literatury m. in. dr Henryka Pustkowskiego i dr Jerzego Poradeckiego, przygotowujące do egzaminu na filologię polską. To były wspaniałe, bezpłatne korepetycje na uniwersyteckim poziomie. Nie opuszczałem też żadnego przedstawienia w Teatrze Rozmaitości. Pałac przy ulicy Moniuszki był dla moich rówieśników najczęstszym miejscem towarzyskich spotkań.

Drożdżówki z tamtych lat

Gmach przy ulicy Moniuszki 4a ma swoją dłuższą historię. Związek Młodzieży Chrześcijańskiej Polska YMCA w Łodzi utworzył tu w 1935 roku wielofunkcyjny ośrodek kultury. Odbywały się w nim odczyty, zajęcia sportowe i rekreacyjne. YMCA pierwsza w Łodzi otworzyła krytą pływalnię. Pierwszym dyrektorem placówki został Aleksander Leśniewicz.

W czasie okupacji część gmachu przy ul. Moniuszki 4a zajęły niemieckie instytucje. Natomiast część rekreacyjno-sportowa służyła m. in. przebywającym w pobliżu hitlerowskim lotnikom. Dla ich wygody wybudowano zresztą podziemny tunel pod ul. Traugutta łączący YMCA z hotelem „Savoy”.

Po wojnie Związek Młodzieży Chrześcijańskiej wznowił działalność. Zmieniła się struktura oczekiwań społecznych. YMCA organizowała kursy przysposobienia zawodowego. Ważnym celem stało się dożywianie wychowanków. Pyszne drożdżówki prosto z pieca i gorące kakao z tamtych lat obrosły legendą. Popularność zdobywały szybko wieczorki taneczne tzw. fajfy, na których z czasem pojawiły się zespoły jazzowe w rodzaju „Melomanów”.



W 1948 r. władze komunistyczne rozwiązały polską YMCA. W jej miejsce powstało najpierw Stowarzyszenie „Ognisko”, istniejące pod tą nazwą do 1951r., potem nazwę placówki zmieniono na Młodzieżowy Dom Kultury.

Jego dyrektorem został Edward Tomczyk. Za jego czasów powstał chór mieszany oraz orkiestra symfoniczna. „Emdek” godził wtedy rolę rekreacyjno-wychowawczą z nabierającym znaczenia kształceniem. W 1953 r. placówkę objęła Genowefa Stefańska. W tym samym roku instytucja zyskała patrona – Juliana Tuwima. W 1956 r. kierowanie Młodzieżowym Domem Kultury powierzono Henryce Adamiec. W 1959 r. zastąpił ją na tym stanowisku Bogusław Malak.

27 grudnia 1961 r. w ósmą rocznicę śmierci Juliana Tuwima, odsłonięto pomnik patrona przed gmachem przy ul. Moniuszki 4a. W wyniku adaptacji wielu pomieszczeń, udało się zwiększyć liczbę uczestników zajęć do pięciu tysięcy. W 1963 r. nowym szefem został Wiesław Szczotkowski. „Emdek” przyciągał do siebie młodzież z zaniedbanych rodzin, którą zorganizowano w klubie dyskusyjnym. Klubowicze spotykali się z ciekawymi ludźmi. Oferta programowa była już dość bogata. Członkowie Koła Młodzieży Korespondującej pisali listy do rówieśników z zagranicy. Organizowano wieczorki taneczne i spotkania z muzyką młodzieżową.

Pałac to nie szkoła

Z inicjatywy prezydium Rady Narodowej Miasta Łodzi, 12 sierpnia 1964 r. Młodzieżowy Dom Kultury przekształcono w Pałac Młodzieży im. Juliana Tuwima. Poszły za tym pieniądze na dodatkowe etaty, powstały nowe pracownie i działy. Dużym wydarzeniem było otwarcie pierwszej w kraju biblioteki muzycznej. Na początek zgromadzono tysiąc płyt z muzyką rozrywkową, zestawy do nauki języków obcych oraz nagrania żywego słowa.

Na dyrektora Stanisława Dula, który nastąpił w 1966 r., nacisk położono na rozwijanie szeroko rozumianych zainteresowań i uzdolnień wychowanków.

Powstały pracownie naukowe: matematyczna, chemiczna i biologiczna. Sposób prowadzenia zajęć znacznie odbiegał od lekcji w szkole, dzięki temu wychowankowie odnosili sukcesy w konkursach przedmiotowych i olimpiadach, również na szczeblu ogólnokrajowym. Przyjęto zasadę, że zajęcia nie kończą się z rokiem szkolnym. Podopieczni nauczycieli z pałacu wyjeżdżali wspólnie na obozy kajakowe i turystyczne.

W czasach, gdy na rynku wydawniczym pojawiały się nieliczne, niskonakładowe książki o Państwie Podziemnym, w Pałacu Młodzieży zorganizowano w 1966 roku ekspozycję dotyczącą Szarych Szeregów oraz batalionów harcerskich AK: „Zośka” i „Parasol”. Gośćmi młodzieży był prof. Aleksander Kamiński, autor „Kamieni na szaniec” oraz matka legendarnego partyzanta „Rudego”, uczestnika Akcji pod Arsenałem. Na sesji popularnonaukowej na temat pierwszych partyzantów po przegranej kampanii wrześniowej 1939 r. zjawili się aż 80 b. podkomendnych mjr Hubala.

W 1968 r. odbył się I Ogólnopolski Przegląd Filmów Amatorskich Młodzieży Szkolnej. Zapalęcy rejestrowali życie dookoła na taśmie 8-milimetrowej. Od tego czasu rozwinęły się dyskusyjne kluby filmowe działające do dnia dzisiejszego. W latach 70. wspólnie z Wytwórnią Filmów Oświatowych ogłoszono konkurs na plakat filmów o sztuce. Wychowankowie pracowni plastycznych brali udział w prestiżowym Festiwalu Filmów o Sztuce w Zakopanem.



YMCA dopomina się o swoje

Od 1987 r. pałacem kierował dyrektor Mirosław Wilk. Razem z MEN-em i kuratorium zorganizowano wówczas ogólnopolską Wystawę Twórczości Plastycznej Dzieci i Młodzieży. O palmę pierwszeństwa rywalizowały prace ponad czterech tysięcy młodych twórców. Pod koniec lat 80. byli wychowankowie YMCA podjęli starania o odzyskanie gmachu przy ul. Moniuszki 4a. Pod koniec lutego 1998 r. za zgodą władz kuratorskich, łódzka YMCA odzyskała sale: gimnastyczną, teatralną, kinową oraz pływalnię. Pałac Młodzieży funkcjonował dalej, ale w postaci drastycznie okrojonej.

W 1993 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie ponownie zarejestrował Związek Młodzieży Chrześcijańskiej Polska YMCA. Od 1994 r. YMCA występowała o zwrot pozostałej części gmachu. W 1998 roku z powodu wysokich stawek czynszowych, podyktowanych przez nowego właściciela gmachu, Pałac Młodzieży im. Juliana Tuwima przenióst się do nowego budynku na Retkini przy al. Wyszyńskiego 86.

– Panowała obawa, że w miejscu oddalonym od centrum stracimy większość wychowanków – wspomina Monika Kamieńska, dyrektor pałacu od września 2002 roku. W ciągu dwóch lat po przeprowadzce odczuwaliśmy spadek frekwencji. Po zmianie adresu nie zmieniła się nasza kadra. Tylko jeden nauczyciel odszedł, ale z powodów rodzinnych. Dziś mamy dwa i pół tysiąca wychowanków, dojeżdżających niejednokrotnie z Konstancyna, Zgierza i Pabianic. Pozostają pod opieką 55 nauczycieli, a także specjalistów merytorycznych: aktorów, plastyków i choreografów. To ludzie wielkiej pasji, obdarzeni charyzmą. Kto nie potrafi przykuć uwagi wychowanków, długo miejsca nie zagrzeje.

Placówka działa w niełatwych warunkach. Brakuje sali widowiskowo-sportowej i sceny teatralnej, której nie może zastąpić miniestrada w hallu głównym. Hall ma jednak znakomitą akustykę, co nie jest bez znaczenia dla Harcerskiego Zespołu Artystycznego „Krajki”, działającego od 28 lat. Filia Kina Szkolnego korzysta z gościnności ŁDK-u, a spotkania DKF-u odbywają się w kinie „Cytryna”. Pewne przedsięwzięcia udaje się sfinalizować przy dużej pomocy sponsorów np. nowy pomnik patrona czy jubileusz powstania pałacu.

Sukcesy wychowanków

Mimo trudności, wychowankowie odnoszą coraz większe sukcesy: Marcin Kałek z pracowni chemicznej zdobył złoty medal na XXIV Międzynarodowej Olimpiadzie Chemicznej w Groningen w Holandii. Magda Uznańska zdobyła nagrodę Kodak Express na XI Ogólnopolskiej Wystawie Fotografii Dzieci i Młodzieży w Białymstoku. Dominika Rydz z „Krajek” weszła do finałowej trzynastki młodzieżowej Eurowizji, a wcześniej zdobyła główną nagrodę w konkursie łotewskiej telewizji. Już w czerwcu brakuje zazwyczaj wolnych miejsc w Pracowni Rysunku i Malarstwa, która jest przedsiönkiem dla przyszłych studentów Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi.

W Polsce działa obecnie 10 pałaców młodzieży. Łódzki należy do najnowocześniejszych. Jest jednym z dwóch, w których istnieją działy nauki.

Włodzimierz Kupisz
– dziennikarz; aktualnie pracuje w „Dzienniku Łódzkim”.

Animatorzy kultury

Jubileusz ŁDK

Do gmachu przy ul. Traugutta przychodzi co miesiąc ok. 20 tys. ludzi, by wziąć udział w różnorodnych formach życia kulturalnego. Dzieje się tak od pół wieku, mimo rozmaitych zakrętów historii. Dlaczego?

– *Jesteśmy instytucją stabilną, choć zmieniały się mody, a nawet zasięg naszego działania. Mimo nazwy zawsze byliśmy placówką wojewódzką. Tyle tylko, że województwo było duże w czasach podziału kraju na siedemnaście województw, było małe wtedy, gdy nazywało się „miejskie łódzkie” i najdalej leżał Ozorków. Teraz znowu sięgamy od Wieruszowa do Opoczna* – mówi Elżbieta Krawiec, zastępca dyrektora ŁDK. Podkreśla, że „Ełdek” zawsze adresował swoją działalność przede wszystkim do dorosłych. – *Po wojnie oczekiwano od domów kultury, że nadrobią zaległości cywilizacyjne społeczeństwa, a więc w działaniu najważniejsza była wiedza, oświata, dostęp do książki. No i ruch amatorski, on zawsze był silnie eksponowany* – dodaje pani dyrektor. Gdy przeglądamy zachowaną „Kronikę” z lat 50., ta diagnoza się potwierdza: kursy, nauka języków, odczyty.

Chcąc rozpoznać fenomen Łódzkiego Domu Kultury postanawiam dokładniej przyjrzeć się kilku do dziś istniejącym działom. Wybieram Ośrodek Teatralny, Galerię FF i Klub Plastyka Amatora. Ale trzeba też wspomnieć o sukcesach biblioteki oraz Działu Kultury Filmowej, choć już nie istnieją. Jest jeszcze wydawany od 30 lat „Kalejdoskop”, co też jest ewenementem. Zaczniemy jednak od historii.

Na administrację grosz publiczny nie był wydawany

Łódzki Dom Kultury od pół wieku mieści się w budynku, zbudowanym dla zupełnie innych celów. W sierpniu 1933 roku Łódź postanowiła uczcić jubileusz 40-lecia pracy społecznej i politycznej



Józefa Piłsudskiego budową poświęconego Mu Domu-Pomnika. W konkursie na projekt architektoniczny zwyciężył architekt inż. Wiesław Lisowski.

„Plac pod budowę o powierzchni 3571,14 metrów kwadratowych uzyskano na warunkach dzierżawy od Zarządu Miasta Łodzi. Wmurowanie kamienia węgielnego nastąpiło 11 listopada 1933 roku” - czytamy w gablocie stojącej w holu ŁDK. I dalej: „Na administrację grosz publiczny nie był wydawany. Z kredytów nie korzystano. Zakupu materiałów dokonywano drogą korzystnych przetargów”. Wszystkie fundusze na budowę pochodziły z darowizn, odbywały się także kwesty uliczne, rozprowadzano „cegiełki” o nominałach: 1 i 5 zł.

Pierwsze pomieszczenia jeszcze nie zakończonego budynku oddano do użytku w 1937r., dwa lata po śmierci Marszałka. Do Domu-Pomnika stopniowo wprowadziły się organizacje b. wojskowych, m. in. legioniści, peowiaci, Związek Strzelecki. Dzisiejszy gmach bardzo się różni od pierwotnego projektu. Miał być dużo większy, w nie wybudowanej części sięgającej aż do ul. Sienkiewicza projektowano dużą salę teatralną na tysiąc miejsc. Wybuch wojny przerwał prace. Fundamenty zasypano, teraz jest w tym miejscu strzeżony parking. Sala teatralna nigdy nie powstała. W czasie wojny Niemcy ulokowali w Domu-Pomniku formację policji politycznej SS. Po wojnie znalazła się tu Okręgowa Rada Związków Zawodowych, która na początku 1953 r. oddała dwa piętra własnemu Ośrodkowi Metodycznemu Pracy Kulturalno-Oświatowej, ten niedługo potem przekształcił się w Wojewódzki Dom Kultury Związków Zawodowych. W styczniu 1957 r. placówkę przejęła Miejska Rada Narodowa i nadała jej do dziś obowiązującą nazwę: Łódzki Dom Kultury.

Klasyki, Łópta i przedszkolaki

Cztery osoby, pracujące w Ośrodku Teatralnym, organizują co roku dwa duże przeglądy, pomagają instruktorom teatralnym i początkującym zespołom z małych miejscowości oraz sami prowadzą zespoły artystyczne. Szefem Ośrodka jest pracujący w ŁDK od 1985 r. Marian Glinkowski. – *Trwał remont budynku i na kilka lat trafiliśmy na Pojezierską, gdzie z konieczności nastawialiśmy się na działalność środowiskową* – wspomina. Po powrocie do stałej siedziby Glinkowski zaryzykował w 1992 r. wznowienie Łódzkich Spotkań Teatralnych, organizowanych w latach 1964-1979. Trafił w dziesiątkę! – *Tamte ŁST były własnością ówczesnego środowiska studenckiego. Nasze są inne, bo i czas jest inny* – uważa Glinkowski. Impreza z roku na rok się rozrasta, do weteranów teatru alternatywnego dołączają młode grupy.

Drugą sztandarową imprezą Ośrodka Teatralnego jest Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich, czyli popularna Łópta, która od lat 15 prezentuje teatr amatorski w skali regionu. – *Teatr amatorski jest w jakimś sensie kontynuatorem tego, co się działo w ruchu teatrów alternatywnych; od nich zapożyczają język, estetykę, metody pracy* – uważa Glinkowski. – *Nawet szkolne teatry, te najlepsze, są dziś teatrami poszukującymi, w których młodzież demonstrowa swój własny pogląd na świat.*

Przeeglądy teatralne to święto. Na co dzień pracownicy Ośrodka pełnią funkcję doradczą dla amatorskiego ruchu w województwie. – *Mamy w tej dziedzinie większą wiedzę, więc możemy pomóc w doborze repertuaru, skierować na odpowiedni przegląd, zaoferować taśmotekę* – tłumaczy Glinkowski.

I jeszcze ruch recytatorski. Ośrodek kształtuje kulturę pięknego mówienia na różnych poziomach wiekowych: przedszkolaków („Świerszczykowe wierszyki”), starszych dzieci, aż po młodzież i dorosłych (Ogólnopolski Konkurs Recytatorski). Ośrodek nie tylko organizuje i doradza; również prowadzi cztery zespoły teatralne: „Pod lupą”, „Officium”, „Desiderium” i teatr „Kilku Osób”.

– *To nieprawda, że teatr jest elitarny. Wystarczy przyjść do nas w czasie Łópty i zobaczyć pełne sale, młodzież siedzącą na podłodze. Ich obecność to wyraz naturalnej tęsknoty człowieka do obcowania ze sobą na poziomie poetyckim, ale i także ciekawość oglądania swoich przyjaciół w innych rolach* – uważa Glinkowski. Rozmawiamy o tym, co działo się w ŁDK przed wieloma laty: o teatrze amatorskim lat 50. i 60., o późniejszym znanym „Teatrze Stu Krzesel” prowadzonym przez Krystynę Henczową. Wspominamy nie żyjącego Jurka Jarmołowskiego, który wiele lat zajmował się konkursami recytatorskimi, a wcześniej – sam poeta – prowadził Ośrodek Sztuki Młodych i wydawał wiersze młodszych kolegów. Jego pomysłu jest organizowany od 35 lat do dziś turniej jednego wiersza „O puchar wina”. Teraz nosi imię swojego twórcy, Jerzego Jarmołowskiego.

Galeria FF

Działająca od 20 lat Galeria FF (Forum Fotografii) ma na koncie niemal 180 wystaw. Jej założycielem i kierownikiem jest Krzysztof Cichosz. Od 1989 r. galeria mieści się w Łódzkim Domu Kultury. – *Przenieśliśmy się głównie z powodów lokalowych, bo warunki w korytarzu Urzędu Stanu Cywilnego na Widzewie były koszmarnie. Mimo to swoją działalnością zwróciliśmy uwagę dyrekcji ŁDK, stąd propozycja* – wspomina Cichosz. Po przeprowadzce galeria znalazła się w centrum miasta, w budynku tętniącym życiem. Dostała osobny lokal z zapleczem i pieniądze na działalność. Oraz zapewnienie dyrekcji, że nikt nie będzie się wtrącał do spraw programowych.

Po sukcesie wystawy „Konstelacja”, zaaranżowanej z okazji 10-lecia istnienia galerii (ekspozycja pojechała do Berlina i Monachium) Urząd Wojewódzki znalazł pieniądze na gruntowny remont. Wreszcie mogły powstawać duże ekspozycje, na które przedtem nie było miejsca.

Galeria od początku była nastawiona na promocję polskiej fotografii i artystów, tworzących prace nieużytkowe. Ale zaprasza także artystów zagranicznych. – *To jedyny sposób na konfrontowanie wzajemnych osiągnięć* – uważa Krzysztof Cichosz. Znaczenie Galerii FF budowały nazwiska wystawianych tu artystów, przede wszystkim prace klasyków polskiej fotografii: Zofii Rydet, Jerzego Lewczyńskiego, Józefa Robakowskiego, Edwarda Hartwiga, Antoniego Mikołajczyka. Cichosz nie

stroni od zapraszania także młodych fotografików, a ponieważ ich dorobek nie zawsze wystarczy na wystawę indywidualną, uruchomił cykl grupowych wystaw studentów, których pracę firmują pedagodzy.

Galeria ma być świątynią takiej sztuki, która nie znajduje zastosowań użytkowych. Jeśli reporter może zamieścić swoje zdjęcia w dobrym magazynie prasowym o dużym nakładzie, to nie jest mu potrzebna. Natomiast eksperymentatorzy poszukujący nowego języka fotograficznego nie trafiają do gazet ani kalendarzy. Nasza galeria jest po to, żeby przyjrzeć się ich poszukiwaniom, bo to one wyznaczają rozwój fotografii – tłumaczy swoje credo Cichosz.

Ważne są obrazy, nie legitymacja

Klub Plastyka Amatora powstał w 1960 r., najpierw przy Towarzystwie Sztuk Pięknych. Od 1965 r. jest w Łódzkim Domu Kultury.

Ryszard Hunger w 1959 r. startował w konkursie plastycznym. Jako jeden z jego laureatów został przyjęty do wyższej szkoły plastycznej. W 1964 r., jeszcze studiując, został instruktorem w Wojewódzkim Ośrodku Instrukcyjno-Methodycznym ŁDK. Rok po zrobieniu dyplomu zaczął prowadzić Klub Plastyka Amatora. – *Odszedł Tadeusz Wolański i poprosił mnie, żebym zajął jego miejsce. Najbardziej peszyło mnie to, że wszyscy klubowicze, nawet dużo ode mnie starsi, mówili „panie profesorze” – wspomina z uśmiechem.*

Pracuje z amatorami do dziś, jednocześnie jest pedagogiem w macierzystej uczelni, a nawet przez dwie kadencje był jej rektorem. Swoich podopiecznych w klubie nie uczy, jako dydaktyków zatrudnia innych. Co więc robi? – *Czary, mary. Rozmawiamy o życiu, o sztuce. Robimy bale i happeningi, jeździmy na plenery. Oni mają tworzyć, ja tylko animuję pewne sytuacje.*

Jak oblicza, już czwarte pokolenie amatorów przychodzi na zajęcia klubu. Jedni często, inni rzadziej. W sumie przewija się przez klub około dwustu osób. A jeszcze trzeba doliczyć tych, którzy już przychodzić nie mogą, ale ciągle szukają kontaktu. – *Wielu z nich odwiedzam w domu, bo są chorzy i niedołążni – mówi Hunger.*

Nigdy nikt mu nie przeszkadzał. – *Jakie ja tu robiłem awangardowe rzeczy w czasach, gdy o sztuce konceptualnej nawet myśleć się nie powinno! Nie narzucano mi, co mam mówić, co mamy malować. Nikt się nie wtrącał, ani 40 lat temu, ani 30, ani teraz.*

Kiedyś 70 proc. członków klubu stanowili robotnicy, teraz przeważa inteligencja. Do klubu garną się i emeryci, cierpiący na nadmiar czasu, i młodzi, którzy mają inne motywacje niż ich koledzy przed laty.

Członkowie Klubu Plastyka Amatora nie mają kompleksów. Wystawiają, startują w konkursach. Odnoszą sukcesy także tam, gdzie stają w szranki z zawodowcami. – *Podchodzi do mnie młodszy kolega z akademii i dumny szepcze: „Panie profesorze, dostałem w Lesznie wyróżnienie”. A ja na to: „Moja podopieczna, amatorka, dostała tam Grand Prix – odpowiada prof. Hunger.*

Tygiel z nowościami

Zbierając materiały do tego artykułu przekonałam się, jak wielu łodzian do dziś pamięta wspaniałą bibliotekę w Łódzkim Domu Kultury i jej kierowniczkę, Krystynę Lewicką. Bo też była to placówka niezwykła. Powstała jeszcze w związkowym domu kultury, potem była biblioteką publiczną. Od początku aż do 1976 r. prowadziła ją Krystyna Lewicka. – *Co roku otrzymywaliśmy rozmaite nagrody, w sumie było ich ponad 20* – wspomina. Jedną z nagród był miesięczny wyjazd do NRD. To było wtedy coś! W czasie pobytu w Niemczech pani Krystyna podpatrzyła, jak wygląda wolny dostęp do półek i jako pierwsza w Polsce wprowadziła go w „swojej” bibliotece. Czytelnicy przychodzili z całej Łodzi! Biblioteka zdobyła także sławę dzięki ciekawym spotkaniom. – *Przewinęła się przez naszą placówkę cała czołówka polskiej literatury, także aktorzy, a nawet sławni sportowcy. Był Brzechwa, Kisiel, Holoubek, John Steinbeck i czeski biegacz, Zatopek* – opowiada pani Krystyna.

Jeden z ówczesnych wiernych czytelników przypomina jeszcze jeden powód do chwały biblioteki ŁDK. – *To był po prostu tygiel z nowościami, które gdzie indziej trudno było upolować. Właśnie za to fachowe i skuteczne śledzenie rynku najbardziej cenilem panią Lewicką* – uzasadnia swoją opinię.

Dział Kultury Filmowej też trzeba przywołać z jubileuszowej okazji. Niemal od początku prowadził go Zygmunt Machwiz. Zaczął przychodzić do ŁDK w 1958 r., wtedy jeszcze jako członek znakomicie działającego Dyskusyjnego Klubu Filmowego, jednego z pierwszych w Polsce. Kto nie żył w tamtych czasach ten nie wie, czym wtedy dla Polaków były DKF! Tylko tam oglądało się filmy wiele miesięcy przed premierą, tam dyskutowało się do upadłego, tylko tam można było zobaczyć tytuły skierowane do tzw. „wąskiego rozpowszechniania”, co oznaczało, że wędrowały po Polsce w jednej kopii i były pokazywane niemal ukradkiem.

Do pracy w ŁDK Machwiz przyszedł w 1967 roku. Zajął się upowszechnianiem filmu, organizował kursy metodyki pracy z filmem dla nauczycieli, zapoczątkował też Filmowe Wieczory Dyskusyjne. Gdy w 1972 r. powstał Dział Kultury Filmowej, zaczęto organizować sesje filmoznawcze, które często stawały się wydarzeniami kulturalnymi w skali kraju. Pierwsza była poświęcona sztuce operatorskiej. Na wiele lat przed Camerimage uświadamiali widzom rolę obrazu w filmie! W 1976 r. miesięcznik „Kino”, specjalistyczny i opiniotwórczy periodyk poświęcony sztuce filmowej, przyznał ŁDK-owi nagrodę „za osiągnięcia w propagowaniu kultury filmowej”. Łodzianie pokonali nie tyle jakich konkurentów, bo m. in. znanego telewizyjnego dziennikarza Stanisława Janickiego, prowadzącego popularny program „W starym kinie”. – *Dostaliśmy w nagrodę gobelin „Indiański warkoczek”, który długo wisiał... w gabinecie dyrektora* – śmieje się Machwiz. I jeszcze jeden sukces owych lat: w maju 1976 r. w Kinie ŁDK otwarto filię „Iluzjonu” FilMOTEKI Narodowej, trzecią po Warszawie i Krakowie. Dawało to stały dostęp do bogatych zasobów filmowego archiwum. „Iluzjon” istniał do 1989 r. Dział Kultury Filmowej niewiele dłużej: został

zlikwidowany w 1992 r. Pozostawił wiele ciekawych broszur i skryptów poświęconych sztuce filmowej, którymi zainteresowała się nawet Biblioteka Kongresu w Waszyngtonie.

Dyrektor Zbigniew Ołubek uważa, że dziś nazwa „dom kultury” jest już znacznie zdeprecjonowana i nijak się ma do tego, co rzeczywiście ŁDK robi. Ale nie kusi go, by ją zmienić. Bo na jaką? – *Musiałbym nas nazwać np. „Fabryką nr 18”, jesteśmy przecież swoistą taśmą produkcyjną. Tyle, że robimy krótkie serie* – tłumaczy. Mówi o działaniach interdyscyplinarnych i o animatorach kultury, którzy działając na wielu płaszczyznach potrafią dokonywać właściwych wyborów. – *Wśród pracowników ŁDK musi być takich animatorów coraz więcej. Przyszłością domu kultury, jakkolwiek by się nie nazywał, jest otwarty model działania* – przekonuje.

I prosi, by koniecznie wypunktować, że w ŁDK funkcjonują obok siebie tradycja i nowoczesność. – *To z jednej strony dziedzina o stałych korzeniach, czyli twórczość ludowa, po drugiej zaś własny internetowy serwis „reymont. pl”.*

Maria Sondej

– wieloletnia była dziennikarka *Gazety Wyborczej*, obecnie redaktorka miesięcznika *Kalejdoskop*.

Bibliografia:

- Krystyna Lewicka – „Zielone lata. Łódzki Dom Kultury, 1953-1973”
w: Kronika Miasta Łodzi, nr 4, 2002 r.
- Zygmunt Machwitz: „Dom Kultury Filmowej”. Niepublikowany maszynopis
uzyczony przez ŁDK za zgodą autora
- Katarzyna Maria Miksa: „Łódzkie Spotkania Teatralne (1963-1979 i 1992-1998).
Praca magisterska napisana w Zakładzie Dramatu i Teatru pod kierunkiem
dr Małgorzaty Leyko. Uniwersytet Łódzki,
- Izabela Zielińska: „Galeria FF”. Praca magisterska napisana na Wydziale Sztuk
Pięknych pod kierunkiem adiunkta Wiesława Smużnego. Uniwersytet Mikołaja
Kopernika w Toruniu, 2002.
- „35 lat Stowarzyszenia Plastyków Nieprofesjonalnych województwa łódzkiego”,
Łódź 1995

historia

Niechciany bohater

W 1947 r. zgładzono kpt. Stanisława Sojczyńskiego

Tomasz Toborek

str. 97

Oni budowali inteligencją Łódź

*Łódzkie kariery wychowanków
warszawskiej Szkoły Głównej (1862-1869)*

Andrzej Kempa

str. 112

Pod egidą Juliana Tuwima

Najstarsza biblioteka w Łodzi

Jerzy Gałęba

str. 120

„Zeitungi”, „Kuriery”, „Expressy”

140 lat prasy codziennej w Łodzi / cz. III /

Wacław Pawlak

str. 127

Największy zakręt historii

Refleksje o osobistym doświadczeniu tragedii

Danuta Gruszczyńska

str. 138

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY

1215 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637

TEL: 773-936-3700
FAX: 773-936-3701

WWW.CHICAGO.LIBRARY.EDU

UNIVERSITY OF CHICAGO PRESS

Niechciany bohater

*W 1947 r. zgładzono
kpt. Stanisława Sojczyńskiego*



Losy Stanisława Sojczyńskiego i dzieje stworzonego przez niego Konspiracyjnego Wojska Polskiego do dziś budzą żywe emocje. Dowódca najsilniejszej organizacji antykomunistycznego podziemia w centralnej Polsce ma zarówno gorących zwolenników jak i zaciekłych krytyków. Dla pierwszych jest bohaterem walki ze zniewoleniem, dla drugich watażką mającym na sumieniu setki ofiar. Zanim przejdzie się do tak kategoricznych ocen warto poznać fakty.

Nauczyciel i żołnierz

Sojczyński urodził się w podradomszczańskich Rzejowicach w 1910 r. Pochodził z chłopskiej rodziny. Był jednym z sześciorga dzieci Michała Sojczyńskiego i Antoniny ze Śliwkowskich. W Rzejowicach skończył szkołę powszechną. Gdy miał 18 lat zaczął naukę w Państwowym Seminarium Nauczycielskim w Częstochowie. Rodzice mieli dylemat ponieważ nie było ich stać na kształcenie wszystkich dzieci. Do szkoły wysłali więc najzdolniejszego – Stanisława. W 1932 r. Sojczyński ukończył szkołę i rozpoczął służbę wojskową. Nie domyślał się wówczas zapewne, że ta ostatnia stanie się jego powołaniem. W 27 Pułku Piechoty w Częstochowie odbył Dywizyjny Kurs Podchorążych Rezerwy Piechoty. Po odbyciu służby został podporucznikiem rezerwy – od 1 stycznia 1936. Już wcześniej zaczął pracować w szkole – od 1934 r. uczył języka polskiego w szkole powszechnej w Borze Zajacińskim koło Częstochowy. Działał też wówczas w Związku Nauczycielstwa Polskiego i Związku Strzeleckim. W 1932 r. poślubił Leokadię Kubik – mieszkankę Rzejowic.

Po wybuchu wojny jako podporucznik Wojska Polskiego został wysłany na punkt mobilizacyjny w Łodzi skąd trafił w okolice Hrubieszowa i Janowa Lubelskiego. Po wrześniowej klęsce został rozbrojony przez żołnierzy sowieckich. Nie podzielił jednak losu wielu innych żołnierzy, którzy zakończyli życie na Wschodzie. Nie wiadomo w jaki sposób uniknął niewoli. Daje tutaj o sobie znać legenda „Warszyca”, która każe przypisywać mu aresztowanie a później brawurową ucieczkę. Sam Sojczyński pisząc o swoich losach we wrześniu 1939 w broszurze *Co myślą ludzie z lasu o polskiej rzeczywistości* ani nie potwierdza ani nie zaprzecza tej wersji.

Najprawdopodobniej jednak nie został aresztowany. W końcu września próbował jeszcze przedrzeć się do Warszawy by wziąć udział w jej obronie. Nie udało się i 4 października zdjął mundur by wrócić w rodzinne strony – do Rzejowic.

Natychmiast rozpoczął pracę w konspiracji. Jesienią 1939 r. został zaprzysiężony na żołnierza Służby Zwycięstwu Polski pod pseudonimem „Wojnar” (później używał pseudonimów „Zbigniew” i „Warszyc”). Jako znakomity żołnierz szybko awansował – jeszcze w 1939 r. został komendantem Podobwodu Rzejowice. Stworzył z niego jeden z najlepiej zorganizowanych rejonów konspiracyjnych. Po utworzeniu Armii Krajowej – 14 lutego 1942 r. Sojczyński pełnił nawet przez pewien czas (od października 1942 r.) funkcję zastępcy komendanta Obwodu Radomsko AK. Równocześnie był szefem Kierownictwa Dywersji w Obwodzie. Już wówczas dzięki brawurowym akcjom skierowanym przeciwko okupantowi stał się lokalnym bohaterem. Pierwszą z takich spektakularnych akcji było wykonanie wyroku śmierci na szefie gestapo w Radomsku Willim Wagnerze i jego zastępcy Johanie Bergerze. Był to odwet za zabicie w lipcu 1942 r. 11 mieszkańców wsi Dmenin. Niemcy powiesili wówczas niewinnych ludzi, wśród których znalazł się m. in. 12-letni chłopiec. Wyrok na gestapowcach wykonali podkomendni „Zbigniewa”: Bronisław Skóra-Skoczyński „Robotnik” i Zygmunt Czerwiński „Staw”.

Drugą słynną akcją było odbicie aresztowanych z więzienia w Radomsku. Wcześniej – 3 sierpnia 1943 r. – Niemcy przeprowadzili pacyfikację Rzejowic, rodzinnej wsi Sojczyńskiego. Zabito kilku mieszkańców, aresztowano i wywieziono do więzienia w Radomsku kilkadziesiąt osób. „Zbigniew” uzyskał wtedy zgodę komendanta obwodu mjr „Korsaka” na przeprowadzenie akcji uwolnienia więźniów. Sojczyński sam dowodził stuosobowym oddziałem, który dokonał spektakularnego wyczynu. W nocy z 7 na 8 sierpnia 1943 r. zaatakowano więzienie i mimo tego, że Niemcy posiadali w Radomsku w różnych formacjach ok. 1500 ludzi akcję wykonano bez strat. Z więzienia uwolniono ponad 50 osób. Podczas ucieczki użyto m. in. kółców do przebijania opon samochodów uczestniczących w pościgu.

Po tej akcji por. Sojczyński utworzył pierwszy w Obwodzie Radomsko AK oddział leśny składający się ze 120 żołnierzy, którym dowodził do listopada 1943 r. Był już wówczas jednym z najbardziej znanych dowódców partyzanckich. Nie zostało to niezauważone przez jego przełożonych. W czasie przygotowań do akcji „Burza” i reorganizacji sił zbrojnych na tym terenie Sojczyński objął odpowiedzialne stanowisko dowódcy I batalionu 27 pułku piechoty pod nazwą „Ryś”. Niepowodzenie „Burzy” i odwołanie marszu na pomoc stolicy zmieniło sytuację. Batalion „Ryś” miał wówczas do wykonania zadania w terenie. Żołnierze Sojczyńskiego stoczyli z Niemcami szereg potyczek i wykonywali akcje zaopatrzeniowe. To wówczas (w listopadzie 1944 r.) doszło do zdarzenia, które być może miało wpływ na dalsze losy Sojczyńskiego. Podkomendni „Warszycy” z oddziału „Warty” dokonali egzekucji sześciu żołnierzy Armii Ludowej złapanych podczas kradzieży. W raporcie na ten temat Sojczyński pisał o pewnej

samowoli swoich żołnierzy z oddziału „Warty”, którzy wykonali egzekucję bez rozkazu, z drugiej jednak strony podkreślał, że rozstrzelanie było uzasadnione gdyż wspomniany oddział od dłuższego czasu prowadził bandycką działalność. Popularny jest pogląd, że to wydarzenie zmusiło Sojczyńskiego do pozostania w podziemiu po zakończeniu wojny. Oczywiście, nie można wykluczyć także takiej motywacji twórcy KWP. Dopatrywanie się w tym jednak wyłącznej motywacji jest bez wątpienia dla Sojczyńskiego krzywdzące. Tym bardziej, że swoją determinacją i konsekwencją w późniejszym czasie udowodnił, że jego motywację i horyzonty sięgały znacznie dalej niż osobista korzyść czy bezpieczeństwo.

Ostatnim ważnym zadaniem „Zbigniewa” w czasie wojny była ochrona brytyjskiej misji wojskowej „Freston”, której uczestnicy wylądowali 26 grudnia 1944 r. koło Radomska. Ich celem było zebranie informacji o sytuacji w Polsce, a przede wszystkim obserwowanie działalności AK i jej stosunków z Armią Czerwoną. 3 stycznia 1945 r. członkowie misji spotkali się z Komendantem Głównym AK gen. Leopoldem Okulickim „Niedźwiadkiem”. 17 stycznia 1945 r. nawiązali kontakt z jednostkami sowieckimi a w lutym 1945 r. wyjechali do Moskwy. Sojczyńskiego spotkała wówczas jeszcze jedna nobilitacja – został awansowany na stopień kapitana i odznaczony orderem Virtuti Militari.

Walczyć czy nie?

Wojna dobiegała końca. Na Ziemi Łódzkiej najdłużej toczyły się walki o Sieradz – do 23 stycznia. Na ziemi polskiej wkraczała Armia Czerwona a gen. Leopold Okulicki wydał rozkaz o rozwiązaniu AK. W końcu stycznia Komendant Okręgu Łódź płk. Michał Stempkowski „Grzegorz” i dowódca 27 pp działającego w Radomsku i okolicach – mjr Franciszek Polkowski „Korsak” wydali podobne rozkazy do podlegających im żołnierzy. Nie zapobiegły one jednak aresztowaniom. Żołnierze AK z 25 i 27 pp. mimo zapewnień propagandowych nie mogli wrócić do normalnego życia i już z początkiem 1945 r. część z nich znalazła się w więzieniach. W Okręgu Łódź AK uwięziono praktycznie cały sztab i wielu żołnierzy niższych szczebli. W Radomsku już w styczniu 1945 r. aresztowano 12 osób. Uwięziono m. in. dowódców AK z 27 pp – w tym podkomendnego „Warszyca” por. Karola Kutnickiego „Kruka”. Nie sposób w tym miejscu nie odnieść się do poglądu, uzasadniającego ich aresztowanie rzekomym faktem „wrogiej działalności”. Skoro aresztowania rozpoczęto już w styczniu 1945 r. to o żadnej działalności nie mogło być jeszcze mowy. Ludzi, którzy dla nowego reżimu wydawali się niewygodni należało po prostu unieszkodliwić i czyniono to na masową skalę. Nowa sytuacja wymagała więc od żołnierzy polskich podziemnych formacji zbrojnych podjęcia decyzji – walczyć dalej czy zdać się na łaskę komunistycznych władz?

Sojczyński nie miał żadnych wątpliwości – już 29 stycznia wydał dwa dokumenty: „Wytyczne postępowania przy rozwiązaniu AK” i „Wytyczne propagandowe”, w których nie dopuszczał możliwości pogodzenia się z nową sytuacją.

Krytycznie oceniał decyzję dowództwa AK, które jego zdaniem kapitulowało przed komunistycznym reżimem.

Na razie jednak nie wznowiono działalności. Sojczyński przez pewien czas ukrywał się w okolicach Piły i dopiero po ponad dwóch miesiącach wrócił w rodzinne strony. 3 kwietnia 1945 r. rozkazał swoim niedawnym podwładnym ponowne nawiązanie kontaktów i wznowienie działalności. Fakt ten można uznać za datę utworzenia KWP (choć nie używano jeszcze wówczas tej nazwy). Na bazie dowodzonego przez siebie podczas wojny I batalionu 27 pp AK, zaczął tworzyć organizację o kryptonimie „Manewr”. Uczynił tak choć inni żołnierze drugiej konspiracji – Władysław Kołaciński „Żbik” z NSZ i Stanisław Karliński „Burza” z AK rozwiązali swoje oddziały. Uznali bowiem, że w nowej sytuacji politycznej działalność zbrojna nie ma szans powodzenia. Sojczyński był innego zdania:

„Jeśli Polska za okupacji niemieckiej dla odzyskania wolności poświęciła ponad 6 milionów obywateli, w tym przynajmniej 2 miliony najlepszych swych synów, to obecnie dla tego samego celu nie może zawahać się pozbyć kilkunastu czy kilkudziesięciu tysięcy odszczepieńców i najgorszych szumowin. Nie jest przestępstwem likwidować zdrajców, zwyrodniałców pastwiących się nad swymi braćmi, wszelkiego rodzaju wykołajeńców, nie uznających żadnych świętości: – zbrodnią niewybaczalną jest dopuścić, aby ofiary milionów zostały zdystansowane przez miernoctwo i podłość. [...] Walka z szumowinami i unicestwienie ich to wielka sprawa, to zagadnienie zapewnienia Polsce równowagi moralnej i ocalenia jej przed zgubą”.

Co myślą ludzie z lasu...

W maju 1945 r. nastąpiło zaprzysiężenie pierwszych dowódców. Wkrótce Sojczyński wydał kolejne rozkazy (z 6 czerwca i 3 lipca 1945 r.) oraz broszurę „Co myślą ludzie z lasu o polskiej rzeczywistości”, w których precyzował cele i założenia organizacji. Twórca Konspiracyjnego Wojska Polskiego liczył na „ewentualność wybuchu nowego konfliktu światowego z zaborczością i tyranią totalistyczną i wejścia oddziałów podziemnych w skład regularnej armii polskiej, walczącej po stronie aliantów”. Są też w tym rozkazie także fragmenty dowodzące, że „Warszyc” nie wzywał do walki na oślep, co później zarzucała mu propaganda:

„Wojsko jest polskie i po polsku czujące i myślące, bardzo często nasi towarzysze broni z przeciwniejszej partyzantki i powstania warszawskiego, a tylko dowództwo naczelne zaprzędane Moskwie, godzące się na utrzymywanie kontroli oficerów sowieckich i ograniczanie kompetencji polskich oficerów, [...] milicja obywatelska jakkolwiek nie pozbawiona win, wykazuje wiele lojalności dla czynników prawdziwie polskich i niekiedy skrycie buntuje się przeciw metodom rządzenia czerwonego reżimu. Organem, który swymi wyczynami przypomina okupację niemiecką i „gestapo”, są urzędy bezpieczeństwa publicznego, kierowane przez NKWD”.

Sojczyński odrzucił też warunki amnestii z sierpnia 1945 r. Była dla „Warszycy” nie do przyjęcia gdyż traktowano w niej żołnierzy Armii Krajowej jak przestępców, którym można w drodze łaski ewentualnie przebaczyć ich winy. Gdy płk. Jan Mazurkiewicz „Radosław”, dowódca zgrupowania AK walczącego w czasie powstania warszawskiego, wydał pod dyktando UB deklarację o wyjściu z podziemia, Sojczyński uznał to za zdradę i napisał dramatyczny „List otwarty do Pana Pułkownika Radosława”. Pisał:

„Za co i w jakiej sytuacji usiłuje nas Pan, Panie Pułkowniku, sprzedawać? Nawet nie poczuwa się Pan do najelementarniejszej wdzięczności w stosunku do podwładnych. Wszak to, że czerwoni chcą z Panem pertraktować, że zrezygnowali z wytwarzania linii podziału między górą a dolami AK, nie jest zasługą Pana, ani też żadnego z generałów czy pułkowników AK tylko osiągnięciem tych tysięcy szarych bojowników, którzy wbrew blamażowi wyższych dowódców nie zrezygnowali z walki o słuszne postulaty Narodu Polskiego, a którym chce Pan podstępnie odebrać broni.

Czyn Pana jest najzwyczajszą zdradą, trudno bowiem przypuszczać, aby Pan nie umiał myśleć, nie orientował się w wewnętrznej sytuacji Polski i AK, [...] Bardzo żałujemy, że podstępne aresztowanie 16-tu czołowych działaczy AK i osadzenie ich w Moskwie wśród okoliczności wołających o pomstę do nieba, niczego niektórych Panów majorów, pułkowników i generałów AK nie nauczyły, [...] Wówczas, gdy wpływy Stalina na rządzącą klikę w Polsce równają się okupacji, gdy w administracji państwowej jest wielka ilość osób posiadających obywatelstwo rosyjskie lub zaprzędanych ZSRR, gdy na terenach tzw. Polski stoją gęsto załogi Armii Czerwonej a żołnierze jej grabią i gwałcą (...) gdy po więzieniach i obozach karnych siedzi typu najlepszych synów Polski, [...] „góra” AK nie widzi potrzeby prowadzenia walki konspiracyjnej, nie potrafi sprecyzować aktualnych zadań i dostosować do sytuacji taktyki działania [...]. Dla „dółów” AK uznanie przez czerwonych naszych stopni za cenę rezygnacji z walki o cele zasadnicze – jest tylko jeszcze jednym paradoksem. Dziś, kiedy byle męt społeczny jest oficerem, a im większy szują, tym dość często otrzymuje wyższą rangę, najwyższym odznaczeniem jest przeświadczenie, że jest się człowiekiem zasad i honoru, wiernym synem Ojczyzny“.

Sojczyński nie wykluczał jednak możliwości dojścia do porozumienia z władzami, ale stawiał im konkretne warunki, m. in.:

- zwolnienie z administracji, wojska i organów bezpieczeństwa obywateli niepolskich
- wypuszczenie na wolność aresztowanych żołnierzy AK
- zagwarantowanie możliwości mówienia prawdy o AK i jej w walce z Niemcami
- swoboda czynnego udziału w niezależnych stronnictwach politycznych

Swój list do płk. „Radosława” kpt. Sojczyński kończył pełnym deklaratywnym stwierdzeniem:

„A poza tym, Panie Pułkowniku, niech Pan wybije sobie z głowy i niech Pan wytłumaczy czerwonym uzurpatorom, że będziecie nas kiedykolwiek wprowadzali w prawa obywatelskie przez amnestie i łaskawe przebaczenie nam. [...] Za krew

przelaną dla Ojczyzny, za odniesione rany, za ofiary z żyć naszych, za cierpienie i poniewierkę dla Polski – wy widzicie jedyną drogę dla nas odzyskania praw człowieczych i obywatelskich przez uznanie i rozgrzeszenie nas. A my wam oświadczamy, że z nami możecie tylko pertraktować jako z reprezentacją większości społeczeństwa polskiego, reprezentacją, której cele są nieskazitelne i słuszne, że wolno do niej odnosić się jedynie z respektem i szukać form do realizacji jej postulatów. W imieniu Oficerów, Podoficerów i Szeregowców, wiernych ideologii AK”.

Od „Manewru” do KWP

Do końca 1945 r. organizacja znacznie się rozrosła obejmując 18 powiatów województwa łódzkiego, śląsko-dąbrowskiego, częściowo kieleckiego i poznańskiego. Najaktywniej działała jednak w okolicach Radomska, Piotrkowa, Częstochowy i Wielunia. Wymienione rejony należały do Okręgu Łódzkiego KWP. Oprócz niego istniał też drugi okręg – śląski. Najsilniejszymi batalionami w KWP były „Motor” w powiecie radomszczańskim i „Żniwiarka” w powiecie piotrkowskim. W Łodzi rozpoczęto organizowanie komendy powiatowej „Akacja”. Na skutek aresztowań zamiar ten jednak pokrzyżowano.

Rozrost liczebny organizacji oprócz oczywistych korzyści sprawiał również kłopoty. Z tego powodu zdecydowano się na przeniesienie sztabu KWP z Radomska do Częstochowy, co nastąpiło w marcu 1946 r. W tym czasie zmieniono także nazwę organizacji na I Korpus Konspiracyjnego Wojska Polskiego „Bory”. W połowie 1946 r., organizacja liczyła już ok. 3,5 tys. Istnieją tendencje do zawyżania tej liczby ale nie znajdują one potwierdzenia w dokumentach organizacji. W latach 50-tych funkcjonariusze UB sporządzili kartotekę 1230 członków KWP. To oczywiście niepełna lista ale daje obraz gdzie organizacja miała największe oparcie. Z tego na powiaty przypadało: radomszczański 525 (43%), piotrkowski 294 (24%), wieluński 196 (16%), sieradzki 92, łaski 63 osoby, łódzki i m. Łódź – 60 osób.

Wyroki Sądu Specjalnego

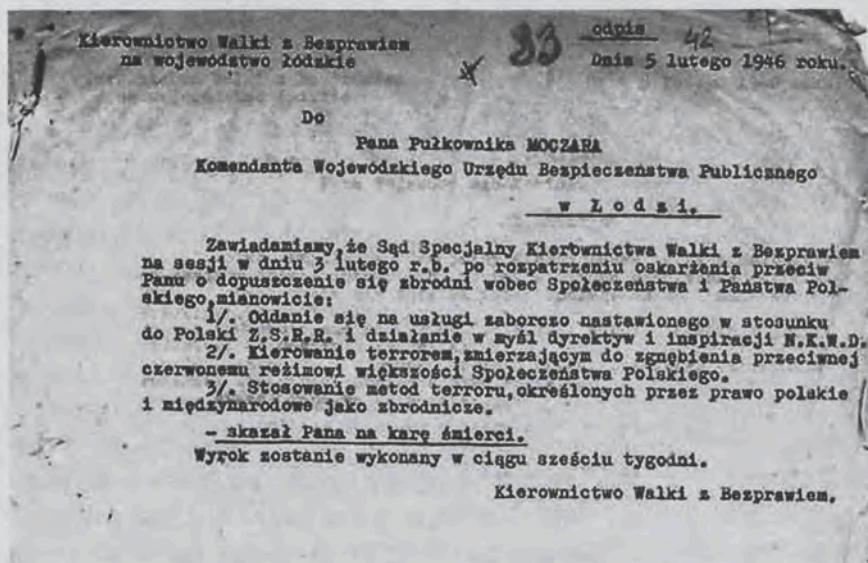
Działalność bieżąca organizacji w znacznym stopniu skierowana była przeciwko aparatowi bezpieczeństwa. Karano najbardziej gorliwych i niebezpiecznych funkcjonariuszy, nie cofając się także przed wydaniem wyroków śmierci. Starano się ukrócić samowolę urzędników i służb bezpieczeństwa. Wykonywanie wyroków śmierci było jednak ostatecznością. Najpierw wysyłało ostrzeżenia i „przemawiano do sumienia obywatelskiego”, potem dopiero sporządzano akty oskarżenia i kierowano je za pośrednictwem wywiadu do Sądu Specjalnego Kierownictwa Walki z Bezprawiem. Sąd na podstawie zgromadzonych materiałów wydawał wyrok, który wykonywały oddziały Samoobrony i Ochrony Społeczeństwa (SOS).

Pierwszym funkcjonariuszem komunistycznego aparatu bezpieczeństwa, który został zastrzelony z wyroku KWP, był Jakub Cukierman – szef sekcji śledczej PUBP w Radomsku. Cukierman i towarzyszący mu funkcjonariusz PUBP zosta-

li zastrzeleni 27 sierpnia 1945 r. na jednej z ulic Radomska przez dwóch żołnierzy KWP: „Tulipana“ i „Sokoła“.

Najbardziej spektakularnych wyroków nie udało się nigdy wykonać. Sąd Specjalny Kierownictwa Walki z Bezprawiem skazał na śmierć szefa WUBP w Łodzi Mieczysława Moczara i wojewodę łódzkiego Stanisława Dąb-Kociola. Zarzucano im: „Oddanie się na usługi zaborczo nastawionego w stosunku do Polski ZSRR i działanie w myśl dyrektyw i inspiracji NKWD“. Za wykonanie tych wyroków był odpowiedzialny dowódca łódzkiej komendy powiatowej KWP por. Jan Kaleta „Postrach“. Dotarcie do tak wysoko postawionych funkcjonariuszy przerosło możliwości organizacji i mimo ponaśleń „Warszycza“ wyroków nie wykonano.

Z czasem gdy walka z aparatem bezpieczeństwa zaczęła się za-



ostrzać „Warszyc“ zezwolił na likwidowanie funkcjonariuszy UB w Radomsku bez wyroku, tylko wobec konfidentów obowiązywała nadal zasada likwidacji po wydaniu wyroku.

Warto zaznaczyć, że KWP informowało też oficjalne organy ścigania o licznych przypadkach przestępstw, popełnianych przez funkcjonariuszy UB, milicji, czy żołnierzy Armii Czerwonej, żądając ich ścigania i dostarczając dowody, ale zawiadomienia wysyłane do prokuratury, czy szefów UBP, pozostawały bez reakcji. Karano także w inny sposób. W nocy z 24/25 października 1945 r. KWP przeprowadziło akcje pacyfikacyjne, w wyniku których uprowadzono z Radomska i Stobiecka Szlacheckiego 13 członków PPR (konfidentów lub pracowników UBP). Dziesięciu uprowadzonych, po wymierzeniu im kary chłosty zwolniono a trzech rozstrzelano. Do mieszkańców Stobiecka skierowano specjalną ulotkę:

„Mieszkańcy Stobiecka Miejskiego!

Swym niedemokratycznym, nieobywatelskim, karygodnym postępowaniem doprowadziliście do tego, że osada wasza jest uważana przez miejscowe społeczeństwo za najplugawsze w powiecie gniazdo wrogów społeczeństwa demokratycznego. Zostaliście otumanieni przez propagandę czerwoną, zaniewidzieliście, nie rozumiecie swej roli, nie wiecie, że staczacie się w bagno najwyszukańszych podłości zaprzędnego czerwonego reżimu. Na co liczycie, co chcecie osiągnąć?! Czy może, żeby w przyszłej Sprawiedliwej, Niezależnej Polsce brzydzono się Wami, jak trędowatymi i wytykano Was palcem, jak Volksdeutschów?

(...) Mieszkańcy Stobiecka! Opamiętajcie się, nie gubcie innych i siebie. Zawróćcie z drogi podłości i hańby – póki czas! „

Przeciw zakłamaniu

Sojczyński dużą wagę przywiązywał do walki propagandowej. W wielu swoich rozkazach, ulotkach a także we własne piśmie – „W świetle prawdy” – prezentował swoje poglądy i precyzował cele walki. Starał się, w miarę swoich skromnych możliwości, przeciwdziałać propagandzie rozpowszechnianej przez komunistyczne władze. Nie inaczej było w czasie referendum ludowego – 30 czerwca 1946 r. KWP wydało wówczas drukiem, w nakładzie 2000 egzemplarzy, ulotkę „Stanowisko Kierownictwa Walki z Bezprawiem wobec aktualnej sytuacji i wyborów”. Rozesłano ją do działaczy partii politycznych i urzędników m. in. do starostów w pow. piotrkowskim, sieradzkim, kaliskim, radomszczańskim. W tej i innych ulotkach Sojczyński nie tylko zajmował stanowisko w kwestii głosowania ale precyzował swój stosunek do sytuacji w kraju. W ulotkach wzywał do głosowania „Nie” na pierwsze dwa pytania:

„My również pragniemy Polski demokratycznej – ale nie marksistowskiej, nie totalistycznej, nie budowanej na zakłamaniu, a na sprawiedliwości i prawdzie. Jesteśmy zwolennikami upaństwowienia ciężkiego i średniego przemysłu, reformy rolnej, reform społecznych w duchu demokracji, ale nie krwawego przewrotu komunistycznego, samowoli, deptania praw i zasad. Nie mamy nic przeciwko istnieniu komunistycznej PPR, tak samo jak umiarkowanie lewicowego PSL czy innych stronnictw, nie zgodzimy się jednak na uzurpowanie sobie przez niektóre z nich przywileju wyłącznej, niepodzielnej władzy, na stosowanie metod fałszu, zdrady, przemocy i skrytobójstwa”.

Podobnie w ulotce „Mówi Polska zakonspirowana jak głosować” pisał, że nie można głosować „tak, jak chcą czerwoni” i wzywał do negatywnej odpowiedzi na pierwsze dwa pytania:

„Pamiętajmy, że sens pytań tkwi nie tylko w ich treści, ale w tym, kto pytania stawia. [...] Rząd, który utrzymuje się przy władzy, przy pomocy NKWD i korpusu oraz urzędów bezpieczeństwa. Rząd, którego symbolami panowania są hitlerowskie narzędzia tortur stosowane przez bezpieczeństwo, są sądy doraźne, są szubienice,

więzienia, obozy koncentracyjne. Rząd, który unurzał łapy we krwi najlepszych synów Polski powyżej łokci, którego podstawę stanowi czterogłowy potwór zablokowanych stronnictw komunistycznych z PPR na czele. Rząd, który mając w dyspozycji wojsko Żymierskiego, korpus bezpieczeństwa, milicję uzbroił ponadto opryszków ze zablokowanych stronnictw, aby przy każdym prawdziwym Polaku stał czerwony terrorysta.

Nie chcemy dyktatury sejmowej, bo dość mamy dyktatury władzy wykonawczej, czyli Rządu; nie możemy wzmacniać zniechęconej dyktatury przez zniesienie Senatu.

Nie chcemy utrwalenia ustroju zaprowadzonego przez chaotyczną parcelację majątków, przez zbyt skrajnie pojęte unarodowienie gospodarki, choć jesteśmy zwolennikami reform, bo ustrój ten to nie demokracja, a niewola komunistyczna, to robienie z biedy nędzy, to robienie państwowych parobków z ludzi niższych”.

Analiza zachowanych dokumentów, szczególnie tych zawierających poglądy Sojczyńskiego, pozwala stwierdzić, że „Warszyc”, którego komunistyczna propaganda przedstawiała jako „krwawego watażkę” był w rzeczywistości człowiekiem świadomym swych celów, zdecydowanym na walkę do końca. W publikacjach nieprzychylnych „Warszycowi” często pojawiają się oceny klasyfikujące go jako człowieka o wąskich horyzontach, fanatyka wojska i dyscypliny, który w służbie wojskowej znalazł swoje powołanie. Stąd m. in. miała wynikać jego decyzja o pozostaniu w konspiracji. „Warszyc” rzeczywiście był fanatykiem dyscypliny. Swoim żołnierzom nie pozwalał pić, surowo karał wszelkie wykroczenia a przejawy bandytyzmu w szeregach organizacji kończyły się wyrokami śmierci. W ówczesnej sytuacji politycznej gdy propagandowa machina starała się utrwalić jego obraz jako bandyty i watażki były to zasady tak oczywiste, że trudno dyskutować o celowości ich stosowania. Zarówno więc z rozkazów jak i pism „programowych” wyłania się obraz człowieka, który doskonale zdaje sobie sprawę z sytuacji w jakiej znalazła się Polska i na taką sytuację się nie godzi: „Darowano nam Polskę i ustanowiono rządy nad Nią, jakbyśmy byli narodem żebraków, jakbyśmy czekali przez sześć lat wielkich zmagani na koniec wojny z założonymi rękami, jakbyśmy nie toczyli najkrwawszych na kuli ziemskiej walk i jakbyśmy nie przerośli naszych rzekomych dobroczyńców gotowością do poświęceń i bohaterstwem. Na świętych ołtarzach Wawru, Oświęcimia, Majdanka, Warszawy, leśnych partyzanckich pobojowisk, spacyfikowanych po barbarzyńsku miast i wsi – dokonano najhaniebniejszej w dziejach profanacji: stworzono sztuczną, jakby w ser-



cach naszych nie żyła prawdziwa, Polskę, która jest usankcjonowaniem wszelkiej podłości, zła i zdrady”.

Być może horyzonty Sojczyńskiego nie sięgały tak daleko by zdać sobie sprawę, że nie było wówczas siły, która mogłaby zmienić istniejącą rzeczywistość. Dziś już o tym wiemy, w 1945 r. nie było to jednak takie oczywiste.

Radomsko po raz drugi

Największym sukcesem oddziałów „Warszyca” było uwolnienie 57 zatrzymanych z więzienia w Radomsku w nocy z 19 na 20 kwietnia 1946 r. W czasie swojej najszlachetniejszej akcji żołnierze KWP z grup SOS komend powiatowych „Motor”, „Żniwiarka” i „Turbina” w sile blisko 200 ludzi opanowali miasto i uwolnili aresztowanych. Wbrew skrajnym opiniom akcja nie zakończyła się ani pełnym sukcesem, ani niepowodzeniem. Udało się zrealizować jej najważniejsze założenie – uwolnienie więźniów, nie rozbito natomiast skarbców w bankach i nie wykonano zaplanowanych sześciu wyroków śmierci na funkcjonariuszach UB. Historycy podkreślający niepowodzenie akcji podają też, że nie rozbito siedziby UB i komendy MO. Z rozkazów Sojczyńskiego nie wynika jednak by było to celem akcji. Budynek UB i MO miały być ostrzeliwane ale najprawdopodobniej dla związania sił przeciwnika. Akcja realizowana była wg planu nr 2 w okrojonej wersji. W pierwotnej zakładano dwukrotnie większe siły KWP, rozbitcie UB i dowództwo nad całością Sojczyńskiego. Niemożność przybycia wszystkich żołnierzy w wyznaczonym terminie spowodowała jednak zmiany. Niezależnie od tego po akcji w raportach pojawił się żal, że nie rozbito UB, gdyż nie było tam spodziewanych sił i można było stosunkowo łatwo zrealizować także to zadanie.

Ciekawy opis tamtego wydarzenia znajdujemy w „Głosie Robotniczym”. Ukrywający się pod pseudonimem Ewa Połaniecka popularny autor – Zbigniew Nienacki, w kilku artykułach z lat 50-tych poświęconych Warszycowi stworzył obraz Sojczyńskiego jako „krwawego watażki” nadając swoim artykułom wręcz sensacyjną formę. Oto fragment jego opisu akcji na Radomsko:

„Napał nastąpił nagle i w niezwykle korzystnej dla „Warszyca” sytuacji. Tego dnia wraz ze szkołą podchorążych wyjechało w teren na akcję przeciw bandom wielu pracowników bezpieczeństwa i członków partii oraz stacjonujące w mieście wojsko. W Komitecie Powiatowym PPR, do bandy próbującej się wdrzeć do budynku partii, począł strzelać i bronić się sekretarz Smolarek. W Urzędzie Bezpieczeństwa, na który napał nastąpił równocześnie z atakiem na komitet PPR, było wówczas zaledwie 5 ludzi: tow. Kędra, Węglewski oraz trzech wojskowych. [...] Banda „Warszyca” wpadła do przylegających do Urzędu Bezpieczeństwa Zakładów im. Komuny Paryskiej, rozbroiła straż fabryczną i tam, gdzie dziś jest garaż, z okna budynku poczęli prażyć do UB z karabinu maszynowego. Raz po raz rozrywały się granaty, noc cięły długie serie z karabinów maszynowych i „empi”. Naprawdę podziwiać trzeba odwagę i bohaterstwo tych zaledwie kilku naszych ludzi, którzy przeciwstawili się prawie 150-osobowej

grupie napastnika i to napastnika, który dokonał akcji nagle, w niekorzystnej dla nas sytuacji. [...] Bandom udaje się zdobyć areszt, którego pilnowało kilku strażników. Areszt ten – dziś magazyn – był bardzo słabo ubezpieczony, ot raczej kurnik niż pomieszczenie dla więźniów. Zresztą przetrzymywano tam tylko kilkunastu spekulantów i volksdeutschów. [...]

Na ulicach miasta szaleją oddziały egzekucyjne „Warszyca” starając się schwytać i zamordować członków partii. Lecz ci, którzy mieli być zabici, jak w „nocy św. Bartłomieja” – albo byli w terenie na akcji przeciw bandom, albo zdołali uciec, uchronić się przed śmiercią”.

Bezpośrednio po ataku na Radomsko doszło do wydarzeń, które miały najprawdopodobniej znaczące konsekwencje dla surowości kar w późniejszych procesach żołnierzy KWP. W przypadkowych okolicznościach aresztowano ośmiu radzieckich funkcjonariuszy Wydzielonej Kompanii Służby Łączności NKWD. Dowódca oddziału, który dokonał aresztowania Henryk Głapiński „Klinga”, podjął samowolną decyzję o ich rozstrzelaniu. To posunięcie zostało skrytykowane nawet przez żołnierzy KWP. Odcinał się także od niego podczas procesu sam „Warszyc”. „Klinga” natomiast przyznał podczas procesu, że decydując o ich likwidacji był pod wpływem alkoholu.

To wydarzenie miało też wpływ na bardziej zdecydowane działania służb bezpieczeństwa w celu rozbicia KWP. W kwietniu 1946 r. UB aresztowało Jana Rogólkę, dowodzącego oddziałami KWP w czasie akcji na Radomsko i jego 16 podwładnych. Pokazowy proces 17 żołnierzy KWP odbył się 7 maja 1946 r. w sali kina „Kinema” w Radomsku. Sąd Okręgowy w Częstochowie na sesji wyjazdowej w ciągu kilku godzin orzekł winę podsądnych. Nie przesłuchano żadnych świadków a wszyscy oskarżeni mieli tylko jednego obrońcę z urzędu, który nawet nie zabrał głosu w trakcie rozprawy. Proces ograniczył się właściwie do zatwierdzenia ogólnikowego aktu oskarżenia i przyjęcia zbiorowej odpowiedzialności oskarżonych. Na karę śmierci skazano dwunastu żołnierzy KWP, z których najmłodszy z nich miał po 19 lat. W nocy – z 9 na 10 maja 1946r. – w piwnicach PUBP w Radomsku 12 żołnierzy KWP zostało zamordowanych. Kilka dni później ich ciała odnalazły dzieci bawiące się w poniemieckim bunkrze koło Bąkowej Góry. Z zeznań świadków w procesie rehabilitacyjnym, znajdujących się w aktach IPN wynika, że ciała były zmasakrowane i nosiły ślady tortur.

Zdrada i aresztowanie

Zaniepokojeni aresztowaniami członkowie sztabu KWP – Stanisław Sojczyński, Ksawery Błasiak i Stanisław Żelanowski wyjechali wówczas do Gdańska i Katowic. Służby bezpieczeństwa, które rozpoczęły już energiczną akcję wymierzona przeciwko KWP zostały postawione przed trudnym zadaniem. Pomogła im jednak zdrada jednego z członków KWP. Henryk Brzózka ps. „Niutek” – członek ścisłego sztabu organizacji, okazał się agentem UB i pod kryptonimem „Żbik”, doprowadził w krótkim czasie do aresztowania niemal całego kierownictwa KWP. Sojczyńskiego zatrzymano w Częstochowie. Dzięki

przejętym dokumentom oraz zeznaniom aresztowanych zatrzymano wkrótce kolejne osoby. 27 czerwca 1946 r. rozpoczęto brutalne śledztwo. W tamtych czasach podczas przesłuchań stosowano szereg niedozwolonych metod – głównie tortur fizycznych. Rzadko jednak udawało się to udowodnić. W przypadku Sojczyńskiego udało się dotrzeć do materiałów potwierdzających ten fakt. O tym, że „Warszyc” był torturowany wiadomo z protokołu przesłuchania Zbigniewa Zakrzewskiego, szefa Zrzeszenia WiN w Łodzi. Zrzeszenie miało w WUBP swojego informatora Czesława Stachurę. W aktach sprawy tegoż, znajdują się zeznania Zakrzewskiego, mówiącego, że otrzymywał od informatora wiadomości o torturowaniu „Warszycy” – miał „poodbijane nerki i całe stopy od bicia, nogi ma we krwi (...) owinięte w gałganach”. Sam Sojczyński podczas rozprawy głównej twierdził też, że był bity i torturowany żelaznymi prętami.

W czasie przesłuchań Sojczyński przyznawał, że większość funkcji z konieczności pełnił sam – jak np. kwatermistrza, bo brakowało mu odpowiednich ludzi. W zeznaniach bardzo rzadko podawał personalia dowódców, mówiąc, że ich nie pamięta. Mówił o materiałach „obciążających istniejący ustrój”, które miała zbierać „Walka z Bezprawiem” np. „wykaz osób skompromitowanych współpracą z Niemcami, a zajmujących obecnie stanowiska w administracji samorządowej lub powiatowej”. Temat struktury organizacji i jej działalności nie był jednak najważniejszy. Przesłuchania prowadziły przede wszystkim do udowodnienia powiązań z PSL-em i WiN-em a także z „ośrodkami zagranicznymi”. Rozpracowania struktury organizacji miało drugorzędne znaczenie ponieważ przejęto całe archiwum KWP, co dawało UB wystarczającą ilość informacji. UB starał się przygotować grunt, który pozwoliłby nadać zbliżającemu się procesowi odpowiedni wydźwięk propagandowy. Znajduje to wyraźne odzwierciedlenie w akcie oskarżenia: *„Po wyzwoleniu Polski odłam społeczeństwa, który w czasie okupacji czynnie walczył w konspiracyjnych szeregach AL, BCh, AK włączył się do państwowo twórczej odbudowy zniszczonego przez okupanta Kraju. Cały Naród z Rządem Demokratycznym na czele wstąpił na drogę odbudowy nowej demokratycznej Polski. Nie wszyscy jednak członkowie dawnej org. AK przystąpili do pracy dla dobra państwa. Znaleźli się wrogowie Rządu Demokratycznego, którzy w interesie faszystów i obcych agentów oddali się na usługi tzw. >>Emigracyjnego Rządu Londyńskiego<< i przeciwstawili się zamierzeniom Rządu Jedności Narodowej. Wrogowie ci, nie przebieając w środkach, poprzez bandyckie zamachy na funkcjonariuszy państwowych i działaczy społecznych, napady rabunkowe, sabotaż, wroga propagandę, usiłowali wywołać anarchię w kraju i w ten sposób nie dopuścić do produktywnej pracy i utrzymania ładu i porządku. Do kategorii tych wrogów należy osk. Sojczyński Stanisław, który pod pseudonimem >>Warszyc<< stworzył nielegalną organizację podziemną pod nazwą samodzielna Grupa Konspiracyjnego Wojska Polskiego – >>Lasy<<. Organizacja ta jednakże nie była samodzielna, a stanowiła agenturę reakcji emigracyjnej na terenie kraju. (...). Osk. Sojczyński działając według wskazań d-twa WiN-u i agentów Andersa zmierzał do połączenia wszystkich grup reakcyjnych w walce z Rządem. (...). Dążąc do zupełnego*

zawichrzenia stosunków politycznych i społecznych w Polsce, nie poprzestał na organizowaniu i aktywizacji zbrodniczego podziemia. Rozumiejąc doniosłość współdziałania z legalną organizacją i słusznie przyjmując za zachętę publiczne wypowiedzi niektórych czołowych przywódców PSL-u, „Warszyc” usiłował nawiązać kontakty organizacyjne z PSL”.

Skazywał ppłk Ochnio

Proces Sojczyńskiego i jego jedenastu towarzyszy odbył się przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Łodzi w dniach 9-14 grudnia 1946 r. Określenie proces kierownictwa KWP nie jest tutaj ściśle. Faktycznie był w nim sądzony sztab w KWP, w tym gronie znalazły się jednak także osoby, mniej znaczące lub takie, których kontakt z KWP był w praktyce przypadkowy. Np. ks. Mieczysław Krzemiński z Praszki został włączony do procesu tylko w celach propagandowych. Obecność osoby duchownej wśród oskarżonych miała pokazać współpracę „reakcyjnego kleru” z „mordercami”. Ponadto Marian Knop, Antoni Bartolik i Albin Ciesielski byli aktywnymi członkami KWP, ale nie należeli do kierownictwa organizacji. Składowi sądzącemu przewodniczył ppłk. Bronisław Ochnio. Wspierali go ławnicy: kpt. Piotr Adamowski i cywil Leonard Kloze. Oskarżali prokuratorzy wojskowi: mjr Kazimierz Grot i mjr Czesław Łapiński.

Akt oskarżenia obejmuje 148 punktów. „Warszycowi” przypisywano nakłonienie do zabójstwa 73 osób. Rozprawa główna rozpoczęła się 9 grudnia 1946r. Sojczyński starał się od początku ze swego punktu widzenia przedstawić sytuację w kraju, opisując przede wszystkim sytuację byłych żołnierzy AK i bezprawie UB. Do zarzucanych czynów przyznawał się częściowo i nie poczuwał się do winy: *„W świetle obowiązujących przepisów prawnych nie uważam swoich czynów za przestępstwo. Wszystkie czyny jeśli nie wyszły poza ramy moich rozkazów, są zgodne z moimi zasadami i sumieniem. Celem Konspiracyjnego Wojska Polskiego było niedopuszczenie do utrwalenia się obecnego reżimu, dyktatury policyjnej, co nie było zgodne z wolą Narodu, lecz aby Naród wypowiedział się w wolnych wyborach i sam decydował o swoim ustroju. Wychodziliśmy z założenia, że Naród, który tyle ofiar poniósł w tej wojnie i stracił ponad sześć milionów ludzi, ma prawo swobodnego wypowiedzenia się, jaki chce mieć ustrój. (...).*

Legalne przeciwdziałanie u władz przeciw bezprawiu organów bezpieczeństwa nie dało rezultatów. Pisywałem z lasu listy do władz, gdyż innego sposobu nie miałem, musiałem się bowiem ukrywać przed aresztowaniem i zlikwidowaniem przez UB i donosiłem o bezprawiu organów bezpieczeństwa, o szykanach, aresztowaniu i likwidowaniu niewinnych ludzi, byłych członków AK, jednak bez rezultatu. (...). Zaraz na drugi dzień po wkroczeniu Armii Czerwonej do Radomska, aresztowano cały szereg ludzi z AK i ci ludzie zniknęli bez śladu i mnie poszukiwano, dlatego musiałem się ukrywać. (...) Przyznaję się tylko do założenia i należenia do nielegalnej organizacji, celem której było przeciwdziałanie terrorowi władz, walka z bezprawiem i prześladowa-

niem, czyli samoobrona, co zresztą ilustrują moje rozkazy". Takich wyczerpujących odpowiedzi „Warszyc” mógł udzielać jedynie na początku procesu – wspomina Zygmunt Łęski, sądzony także w procesie dowództwa KWP. – „Później gdy Sojczyński zaczynał mówić coś na temat panującego w kraju bezprawia sędzia Ochnio wyrzucał wszystkich z sali. Wreszcie zabronił „Warszycowi” odpowiadać w ten sposób a jedynie ograniczać się do odpowiedzi tak lub nie. Sojczyński trochę łamał tę zasadę. Pytany czy przynajmniej się do winy odpowiadał konsekwentnie „jeśli tak jest w aktach – to tak”.

Rozprawa szła w dwóch kierunkach. Po pierwsze eksponowano przypadki znęcania się przez żołnierzy KWP nad ofiarami jak np. Stanisławem Kałużą – gońcem PUBP w Piotrkowie Tryb. Został on zamordowany przez ludzi z oddziału „Longinusa”. Podkreślano bestialskie znęcanie się przed jego zabiciem i młody wiek ofiary. Sojczyński odpowiadał, że na Kałużę nie wydawał wyroku oraz, że: „To był jeden wypadek i przedstawia go pan prokurator dla wywołania afektu. Niezależnie od tego, że w danym wypadku rozkazu nie dawałem i zrobili to nie na podstawie mego rozkazu, to jeśli taki wypadek miał miejsce, było to z pewnością odwetem w stosunku do UB, którzy jeszcze gorzej torturują ludzi”.

Podawano także przykłady zabójstw ludzi szczególnie według władz wartościowych jak choćby Andrzeja Chodury – nauczyciela z Radomska, także jednak, jak się później okazało, nie zabitego z rozkazu Sojczyńskiego.

„Agenci imperializmu i burżuazji”

Drugim torem prowadzono sprawę kontaktów KWP z „ośrodkami zagranicznymi” a także powiązań KWP z PSL, które starano się najbardziej wyeksponować. Powoływano się na kontakty z posłem PSL z Wielunia Piotrem Chwalińskim, który miał być łącznikiem między Sojczyńskim a Mikołajczykiem. Najwięcej do powiedzenia na ten temat miał dowódca komendy powiatowej KWP w Wieluniu Czesław Kijak „Romaszewski”, który w kwietniu 1946 r. rzeczywiście nawiązał kontakt z Chwalińskim i przekazał mu materiały dotyczące organizacji. Na tym jednak kontakty z PSL się urwały.

Także w przesłuchaniu Ksawerego Błasiaka eksponowano temat obcych centrali oraz PSL i posła Chwalińskiego. Innych powiązań organizacyjnych poza nieudanymi próbami kontaktów nie udowodniono. Nie przeszkodziło to jednak w bardzo mocnym podkreśleniu ich w późniejszym uzasadnieniu wyroku.

Na zakończenie rozprawy „Warszycowi” – jako jedynemu odebrano prawo „ostatniego słowa”. Pozostali prosili o łagodny wymiar kary a ks. Krzemiński o niewinność gdyż jego działalność dla organizacji nie została udowodniona.

Prokuratorzy zażądali dziesięciu wyroków śmierci. Wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego w Łodzi zapadł 17 grudnia 1946 r. Kpt Sojczyński został skazany na sześciokrotną karę śmierci. Z 148 punktów aktu oskarżenia w 58 punktach uwolniono go od zarzutów z braku dowodów winy. M. in. nie udowodniono mu zabójstwa Andrzeja Chodury, ale później wielokrotnie ze względów propagandowych

wykorzystywano propagandowo przypisując Warszycowi tę zbrodnię. Nie uwolniono go natomiast od zarzutu nakłaniania do zabójstwa S. Kałuży pomimo tego, że nie znaleziono dokumentów, ani nie uzyskano żadnych zeznań potwierdzających ten fakt. Sojczyński został także uwolniony od zarzutu przyjmowania pieniędzy i rzeczy pochodzących z kradzieży. W uzasadnieniu wyroku podano, że Sojczyński nie brał udziału w wojnie z Niemcami oraz że nie posiadał orderów i odznaczeń. Było to oczywistym kłamstwem nieuczciwego sądu

Wyrok śmierci zapadł także w przypadku siedmiu jego towarzyszy: Henryka Glapińskiego, Ksawerego Błasiaka, Antoniego Bartolika, Władysława Bobrowskiego, Mariana Knopa, Albina Ciesielskiego i Stanisława Żelanowskiego, natomiast pozostałych oskarżonych skazano na kary więzienia. W uzasadnieniu wyroku starano się ponownie pokazać powiązania organizacji, cytując praktycznie fragmenty z aktu oskarżenia i rozszerzając niektóre wątki: *„Po wyzwoleniu terenów Polski spod okupacji niemieckiej, członkowie organizacji, walczącej w podziemiu z okupantem jak AL, BCh i AK stanęli do twórczej pacy nad odbudową zniszczonego kraju przez okupanta. Jeżeli chodzi o AK, to jednak nie wszyscy członkowie zrozumieli chwilę dzisiejszą, bądź to skutkiem otumanienia ich propagandą zagraniczną z Zachodu oraz tzw. Rządu Londyńskiego, bądź też skutkiem zbałamucenia przez bandy reakcjonistów wewnątrz kraju, którym nie podobały się wprowadzone reformy w odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej”.*

Tylko w dwóch wypadkach prezydent Bolesław Bierut skorzystał z prawa łaski. Karę śmierci na dożywotnie więzienie zamieniono Antoniemu Bartolikowi i Władysławowi Bobrowskiemu.

Obrońca Sojczyńskiego napisał jeszcze odważną skargę rewizyjną twierdząc, że WSR przypisał „oskarżonemu w ustępie 7, punkt 2 popełnienie całego szeregu przestępstw niezgodnie [z] okolicznościami ustalonymi na przewodzie sądowym (...). Oskarżony bowiem na rozprawie sądowej wyjaśnił, iż w przestępstwach tych udziału nie brał, względnie wykazał gdzie w owym czasie znajdował się, a takie sumaryczne uznanie go winnym nie może być za wystarczające”. Najwyższy Sąd Wojskowy dokonał zmian w klasyfikacji niektórych czynów, jednak wyroki utrzymał w mocy: „Z uwagi na to, że organizacja KWP wyróżniała się szczególną aktywnością i bezwzględnością w walce z ustrojem Państwa, Najwyższy Sad Wojskowy uznał, iż kara śmierci orzeczona dla osób zajmujących w tej organizacji stanowiska kierownicze, jest karą słuszną”.

Sześć wyroków śmierci na żołnierzach KWP wykonano w Łodzi 19 lutego 1947 r. – na 3 dni przed uchwaleniem amnestii. Zglądzono ich najprawdopodobniej w gmachu WUBP. Do dzisiaj nie wiadomo gdzie pochowano ciała „Warszyca” i jego żołnierzy. 14 października. 1992 r. Sąd Wojewódzki w Łodzi unieważnił stalinowski wyrok WSR uznając, że kpt. Stanisław Sojczyński działał na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego.

Tomasz Toborek

– dr historii; pracownik Instytutu Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi.

Oni budowali inteligencką Łódź

Łódzkie kariery wychowanków warszawskiej Szkoły Głównej (1862-1869)

Likwidacja Uniwersytetu Warszawskiego przez władze rosyjskie (1831 r.) ograniczyła kształcenie młodzieży polskiej na poziomie wyższym. Studia na uczelniach zagranicznych były dostępne dla osób zamożnych. Uniwersytety rosyjskie, z wyjątkiem dorpackiego nie przyjmowały kandydatów z terenu Królestwa Polskiego. Dyplom z Dorpatu ułatwiał jego posiadaczowi zdobycie pracy i dalszą karierę, gdyż absolwenci tej uczelni byli cenieni za gruntowną wiedzę fachową.

Łukę w systemie edukacji wypełnił margrabia Aleksander Wielopolski, upatrujący w powstaniu uczelni wyższej w Warszawie możliwość kształcenia rodzimej kadry nauczycieli, lekarzy, prawników i pracowników administracji publicznej różnego szczebla. Po długich staraniach rząd carski zatwierdził projekt margrabiego i zezwolił na otwarcie w Warszawie złożonej z czterech wydziałów Szkoły Głównej, której inauguracja, poprzedzona rocznymi kursami przygotowawczymi, odbyła się 25 listopada 1862 r. Najwięcej studentów kształciło się na Wydziale Prawa i Administracji, mniej na wydziałach: Lekarskim, Matematyczno-Fizycznym i Filologiczno-Historycznym, kształcącym przyszłych nauczycieli. Szkoła Główna przetrwała zaledwie siedem lat, gdyż w 1869 r. przekształcono ją w Cesarski Uniwersytet Warszawski z rosyjskim językiem wykładowym.

Niektórzy słuchacze Szkoły Głównej uczestniczyli w powstaniu styczniowym, a po jego klęsce kontynuowali przerwane studia. Gdy powstał uniwersytet ci, którzy jeszcze studiowali, mogli dokończyć w nim edukację. Już w czasie studiów wielu młodych ludzi popierało ideę pracy organicznej – jedną z naczelnych zasad pozytywizmu. Studenci zapełniali łamy prasy stołecznej, po ukończeniu studiów wielu z nich wywarło znaczący wpływ na rozwój prasy prowincjonalnej.

Łódź w owym czasie, w połowie lat sześćdziesiątych XIX w., była niewielkim miastem (32 400 mieszkańców) z przewagą ludności niepolskiej (społeczność niemiecka liczyła 44,5%, polska 34,4%, żydowska 21,1% ogółu ludności). Miejscową inteligencję tworzyli lekarze, nauczyciele, duchowni legitymujący się dyplomami uczelni zagranicznych, więc rynek pracy dla absolwentów warszawskiej Szkoły

Główniej był otwarty. W różnych latach Łódź stawała się przystanią dla wychowanków warszawskiej uczelni, którzy dostrzegli w rozwijającym się fabrycznym mieście swoją szansę życiową.

Prawnicy

Kadry miejscowej palestry zasilili absolwenci Wydziału Prawa i Administracji obejmujący intratne posady adwokatów przysięgłych i rejentów. Kilku z nich przyczyniło się do wydania „Dziennika Łódzkiego” – pierwszej gazety w języku polskim.

Wśród nich poczesne miejsce zajął Henryk Elzenberg (1 II 1849 Warszawa – 7 IX 1899 Bad Nauheim). Rozpoczęte w Szkole Głównej w r. 1865 studia ukończył w Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. W czasie studiów współpracował z „Gazetą Handlową” i „Przeglądem Tygodniowym”, był współpracownikiem „Niwę”, pisywał w „Nowinach”, redagował „Opiekuna Domowego”. W połowie 1879 r. przeniósł się z Warszawy do Łodzi i podjął pracę jako adwokat przysięgły i doradca prawny firmy K. Scheiblera. W 1881 r. inny absolwent Szkoły Głównej, prawnik Wiktor Piątkowski, powołał go w skład komitetu redakcyjnego „Gazety Łódzkiej” – tygodniowego dodatku do „Lodzer Zeitung”. Na początku stycznia 1884 r. Elzenberg został formalnie sekretarzem redakcji, a faktycznie redaktorem „Dziennika Łódzkiego”, którego nominalnym wydawcą był Stefan Kossuth.

Wiktor Jan Piątkowski (23 XII 1841 Olkusz – 15 X 1909 Warszawa) ukończył szkołę powiatową w Pułtusku, gimnazjum gubernialne i kursy przygotowawcze w Warszawie. Po ukończeniu prawa w Szkole Głównej (1866) uzupełniał wiedzę w uczelniach zachodnioeuropejskich. Po powrocie do kraju pracował jako adwokat przysięgły i obrońca konsystorski w Warszawie. Był dyrektorem szkoły dramatycznej i wiceprezesa Towarzystwa Muzycznego. W latach 1876-1888 pełnił obowiązki sędziego śledczego w Łodzi. Jego zasługą było redagowanie od stycznia do kwietnia 1881 r. odcinka polskiego w dzienniku „Lodzer Zeitung” (od końca kwietnia do czerwca tegoż roku odcinek ów zatytułowano „Gazeta Łódzka”). Był inicjatorem wydania „Dziennika Łódzkiego”, ukazującego się w latach 1884-1892. Po wyjeździe do Warszawy współpracował z „Echem Muzycznym i Teatralnym”, „Niwą”, „Przeglądem Tygodniowym” oraz z berlińskim „Charivari”.

Z „Dziennikiem Łódzkim” współpracował od samego początku rejent Józef Władysław Filip Grabowski (18 IX 1851 Warszawa –?). Po ukończeniu gimnazjum IV w Warszawie wstąpił do Szkoły Głównej (1867), stopień kandydata praw uzyskał w Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim (1871). Zanim został rejentem w Łodzi pracował m. in. jako asesor Sądu Poprawczego w Warszawie, podsekretarz i sekretarz Sądu Okręgowego w Piotrkowie, wreszcie sędzia śledczy i rejent w tym mieście.

Wśród przedstawicieli łódzkiej palestry wywodzącej się spośród wychowanków Szkoły Głównej znalazło się trzech Żydów. Oprócz wspomnianego już Elzenberga, należy wymienić Bernarda Birenweiga i Michała Cohna. Birenweig (15 VI

1844 Inowłódz – 14 III 1917 Łódź) po ukończeniu Gimnazjum II w Warszawie (1864) studiował w Szkole Głównej, uzyskał stopień magistra (1869), po czym prowadził kancelarię adwokacką w Piotrkowie, a potem w Łodzi. W 1884 r., zachęcony przez znajomych lekarzy, założył w folwarku nieopodal Inowłódza stację klimatyczną i letnisko wyposażone w 9 willi i ogród spacerowy. Przez wiele lat zjeżdżali tam średnio zamożni mieszkańcy Łodzi, Warszawy i pobliskiego Tomaszowa Mazowieckiego. Birencweig opublikował książkę *O małżeństwie cywilnym ze stanowiska historycznego, państwowego, kościelnego i obyczajowo-społecznego* (1901). Pochowany na cmentarzu żydowskim przy ul. Brackiej.

Na tymże cmentarzu spoczął również Michał Cohn (25 VI 1849 Kalety, gub. suwalska – 2 X 1913 Łódź.), adwokat przysięgły. Ukończył studia na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim (1872) z tytułem kandydata praw. Ceniony za nieposzlakowany charakter i świetną znajomość prawa, oprócz prowadzenia własnej kancelarii adwokackiej był członkiem rad nadzorczych towarzystw kredytowych i dobroczynnych.

Z Mariampola (gub. suwalska) pochodził Hipolit Longin Borowski (ur. 1843), słuchacz Szkoły Głównej i absolwent Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego, następnie adwokat przysięgły w Rawie Mazowieckiej i Łodzi.

Inny prawnik, Hipolit Szymon Giegużyński (26 X 1842 Bordziuny, gub. suwalska – 5 II 1920 Łódź) uczestniczył w powstaniu styczniowym, wstąpił do Szkoły Głównej (1865), ukończył studia w r. 1869. Dyplom uzyskał na podstawie rozprawy *O karze w ogólności* (1871). Pracował jako asesor Sądu Poprawczego w Warszawie i podprokurator przy tymże sądzie, a następnie jako adwokat przysięgły w Piotrkowie. Był bardzo ceniony, bo w uznaniu zasług został honorowym radnym magistratu m. Piotrkowa. Po objęciu posady adwokata przysięgłego w Łodzi został wkrótce prezesem Towarzystwa Śpiewu Chóralnego „Lira”.

W ostatnim dziesięcioleciu XIX w. przeniósł się do Łodzi rejent Julian Konstanty Gruszczyński (12 IV 1843 Zduńska Wola – 6 I 1907 Łódź). Po maturze w gimnazjum piotrkowskim studiował prawo na uniwersytecie w Petersburgu, po dwóch latach przeniósł się do Szkoły Głównej, którą ukończył w r. 1866. Pracował jako urzędnik Sądu Pokoju w Radomiu, pisarz, następnie podsędek Sądu Pokoju w Koninie, wreszcie (od 1886) sędzia śledczy pow. konińskiego. W 1893 r. przeniósł się do Łodzi i otworzył kancelarię rejentalną. Był m.in. założycielem i prezesem Rady i Towarzystwa Pożyczkowo-Oszczędnościowego w Łodzi.

Rejentem był też Władysław Jonscher (27 VI 1848 Lublin – 7 I 1915 Łódź), starszy brat Karola, wybitnego łódzkiego lekarza i działacza społecznego. Po ukończeniu gimnazjum rządowego w Lublinie wstąpił do Szkoły Głównej (1866), studia kontynuował w Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. Pracował jako pisarz Sądu Pokoju w Kazimierzu, asesor Sądu Poprawczego w Lublinie, sędzia śledczy w Woroneżu i sędzia pokoju w Opatowie. Pod koniec życia był rejentem w Łodzi.

Członkiem łódzkiej palestry był przez pewien czas adwokat przysięgły Dionizy Meleniewski (7 VI 1844 –?). Ukończył studia na Wydziale Prawa, dyplom uzyskał na podstawie rozprawy *Rzecz o posłach papieskich* (1869). Jego starszym kolegą ze Szkoły Głównej był Konstanty Płachecki (1835 – 15 X 1902 Łódź). Rozpoczął studia w pierwszym roku istnienia szkoły, dyplom uzyskał 16 V 1867 r. na podstawie rozprawy *O sukcesowaniu kobiet w prawie halickim*. Zmarł po przepracowaniu 33 lat na stanowisku rejenta.

Rejentami byli dwaj uczestnicy powstania styczniowego: Feliks Rybarski (26 VIII 1841 Popowice, gub. kielecka – 7 III 1913 Łódź) i Walerian Fortunat Ryfiński (11 IV 1840 Rawa Mazowiecka – 24 VIII 1928 Łódź). Pierwszy wstąpił do Szkoły Głównej w 1862 r., ukończył studia po czterech latach, dyplom otrzymał 22 III 1870 r. na podstawie rozprawy *Zwrot spadkowy podług kodeksu Napoleona*. Był pisarzem asesorem Sądu Poprawczego w Kielcach, pisarzem podprokuratorem Sądu Kryminalnego w Płocku, sędzią śledczym w gub. smoleńskiej, wreszcie sędzią śledczym w Przasnyszu i Łodzi.

Ryfiński ukończył gimnazjum w Piotrkowie, do Szkoły Głównej wstąpił w 1863 r., egzaminy końcowe złożył w 1868 r., dyplom otrzymał 15 II 1870 r. na podstawie rozprawy *O uprawieniu i uznaniu dzieci naturalnych*. Po studiach pracował jako asesor podprokurator Sądu Poprawczego i sędzia śledczy, wreszcie jako rejent w Łodzi.

W 1884 r. zamieszkał w Łodzi Stefan Krzyszkowski (30 VIII 1842 Kielce – 17 XII 1896 Łódź). Po ukończeniu gimnazjum rządowego w Piotrkowie Trybunalskim, prawdopodobnie zgodnie z wolą ojca rejenta wstąpił na Wydział Prawa (1862), ale już po roku opuścił szkołę i podjął studia muzyczne (śpiew i dyrygenturę) pod kierunkiem Adama Münchheimera. Kontynuował naukę w paryskim konserwatorium, potem był dyrygentem Opery Poznańskiej. Po przybyciu do Łodzi pracował jako nauczyciel śpiewu i sprawozdawca muzyczny „Dziennika Łódzkiego”, należał do grona inicjatorów Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia” w Łodzi, choć brak jego nazwiska na oficjalnej liście jego założycieli.

Rejestr prawników, wychowanków Szkoły Głównej, który udało się ustalić, zamykają: Gustaw Sobolewski, Leon Edmund Stupnicki i Jan Alfons Surzycki.

Sobolewski (21 VII 1847 Siedlce – 12 IX 1909 Łódź) wstąpił do Szkoły Głównej (1863), tu złożył egzaminy końcowe (1868), dyplom uzyskał 15 III 1870 r. na podstawie rozprawy *O przyczynie fluktuacji cen*. Osiadł w Łodzi i tu pracował jako podpisarz i pisarz sądów pokoju, aż do chwili reorganizacji sądownictwa w Królestwie Polskim. Mianowany adwokatem przysięgłym (1878) prowadził kancelarię adwokacką w Łodzi. Leon Stupnicki (13 X 1848 Radzymin –?), studiował na Wydziale Prawa (1866–1869), od 1888 r. był adwokatem przysięgłym w Łodzi.

Jan A. Surzycki (8 III 1850 Maciejowice –?) po ukończeniu gimnazjum w Lublinie wstąpił do Szkoły Głównej (1867), egzamin na stopień kandydata praw złożył na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim, kontynuował studia w L'Institut

Superieur de Commerce w Anvers i w Akademii Handlowej w Wiedniu. Z upływem czasu stał się jednym z wybitniejszych przemysłowców polskich, dyrektorem zarządzającym Towarzystwa Górniczo-Przemysłowego „Saturn” w Łodzi, wiceprezesem zarządu Towarzystwa „Fitzner i Amper” i dyrektorem Tow. Akc. K. Scheiblera w Łodzi. Wcześniej wchodził w skład zarządu Towarzystwa Fabryk Putiłowskich w Petersburgu, był też dyrektorem oddziału Sosnowickiego Towarzystwa Kopalń.

Lekarze

Niewielką grupę wychowanków Szkoły Głównej osiadłych w Łodzi stanowili lekarze i farmaceuci: Jan Bogumił Wiślocki (29 VII 1845 Lwów – 27 IV 1917 Zduńska Wola), Stanisław Brzozowski (24 IV 1842 Warszawa – 25 II 1930 Płock), Karol Jonscher (14 II 1850 Lublin – 14 V 1907 Łódź) i Fryderyk Florian Müller (1843 Łódź – 21 II 1915 Wrocław).

Wiślocki był synem Feliksa Teofila (1815-1881), lekarza chirurga, profesora kolejno: Akademii Medyko-Chirurgicznej, Szkoły Głównej i Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Po ukończeniu kursów przygotowawczych wstąpił do Szkoły Głównej (1862), brał udział w powstaniu styczniowym pod dowództwem Langiewicza, w r. 1864 studiował na Wydziale Filozoficznym uniwersytetu we Lwowie, następnie na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dyplom lekarski otrzymał w Szkole Głównej (1868), wiedzę uzupełniał w Wiedniu. Przez dziesięć lat pracował jako lekarz miejski i więzienny w Brześciu Kujawskim, po czym przeniósł się do Łodzi, gdzie podjął pracę jako lekarz miejscowego przytułku położniczego. Wszedł w skład komitetu redakcyjnego „Gazety Łódzkiej” (1881) i pierwszej redakcji „Dziennika Łódzkiego” (1884). Ogłaszał artykuły fachowe w „Gazecie Lekarskiej” oraz w dziennikach warszawskich i łódzkich. W 1915 r. przeniósł się do Zduńskiej Woli.

Brzozowski po ukończeniu warszawskiego gimnazjum gubernialnego wstąpił do Akademii Medyko-Chirurgicznej Warszawskiej (1860), kontynuował studia w Szkole Głównej, stopień lekarza położnika uzyskał w 1866 r. Przez 25 lat był lekarzem powiatowym w pow. płockim oraz prowadził praktykę lekarską w miejscowym szpitalu. Od 1896 r. pełnił obowiązki lekarza miejskiego w Łodzi, był też nauczycielem higieny w gimnazjum miejskim.

Karol Jonscher, młodszy brat prawnika Władysława, był synem Karola Józefa, pastora parafii ewangelickiej w Lublinie. Ukończył naukę w lubelskim gimnazjum gubernialnym (1866) i rozpoczął studia na Wydziale Medycznym Szkoły Głównej, kontynuował je na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim. Po uzyskaniu dyplomu lekarza (1871) odbył dwuletni staż w klinikach uniwersyteckich Wiednia i Paryża. Osiedlony w Łodzi (1873) szybko dał się poznać jako świetny lekarz klinicysta i działacz społeczny. Był współzałożycielem Łódzkiego Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności (1877), Towarzystwa Lekarskiego (1886), Towarzystwa Pogotowia Ratunkowego (1899), współpracownikiem ukazującego się w Łodzi w latach 1899-1908

„Czasopisma Lekarskiego”. Był inicjatorem budowy pierwszego w Łodzi, a trzeciego w Polsce, szpitala przyfabrycznego w zakładach Scheiblera przy ul. Prądniczej, noszącej dziś jego imię. Należał do grona organizatorów szpitala dla nerwowo i umysłowo chorych „Kochanówka” (1902), przyczynił się do powstania Szpitala Dziecięcego im. Anny Marii (obecnie im. J. Korczaka). We wspomnieniu pośmiertnym napisano o zmarłym: „Na stanowiskach swych spełniał obowiązki z gorliwością człowieka pragnącego nie reklamy, lecz dobra danej sprawy, dobra społeczeństwa, które kochał, dla którego pracował” („Tygodnik Ilustrowany” 1907 nr 22).

Jedynym, zdaje się, rodowitym mieszkańcem Łodzi, a zarazem wychowankiem Szkoły Głównej był farmaceuta Fryderyk Florian Müller. Kształcił się w tamtejszej szkole realnej, wstąpił na oddział farmaceutyczny Wydziału Lekarskiego Szkoły Głównej (1865), trzyletnie studia ukończył jako prowizor farmacji (1868). W 1869 r. nabył aptekę od Antoniego Kasprzyckiego, którą prowadził wraz z zakładem wód mineralnych do końca grudnia 1905 r., po czym przekazał ją synowi.

Nauczyciele

Spośród nielicznego grona absolwentów Wydziału Matematyczno-Fizycznego Szkoły Głównej w Łodzi zamieszkało prawdopodobnie tylko dwóch nauczycieli: Łukasz Alfred Fuchs (18 X 1840 Warszawa – 23 VIII 1916 Łódź) i Aleksander Waszczyński (8 XI 1842 – 30 IV 1914 Łódź).

Fuchs po ukończeniu gimnazjum realnego w Warszawie kształcił się na uniwersytecie w Petersburgu, a od r. 1865 na oddziale przyrodniczym Wydziału Matematyczno-Fizycznego Szkoły Głównej. W 1868 r. uzyskał stopień magistra nauk przyrodniczych oraz złoty medal za pracę *O znaczeniu ekwiwalentu białka*. Przez kilka lat pracował jako asystent przy Katedrze Chemii Technicznej i Agronomicznej Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. W 1875 r. uzyskał stopień kandydata nauk przyrodniczych. Przez pół roku był nauczycielem matematyki w męskim progimnazjum w Pińczowie, w 1878 r. został nauczycielem w Łódzkiej Wyższej Szkole Rzemieślniczej, gdzie wykładał nauki przyrodnicze, chemię i technologię chemiczną. W 1898 r. został powołany na stanowisko nauczyciela tychże przedmiotów oraz towaroznawstwa w Szkole Handlowej Kupiectwa Łódzkiego i tu pracował do r. 1904, po czym już jako emeryt był do sierpnia r. 1914 kustoszem zbiorów przyrodniczych szkoły. Wówczas wyjechał do Warszawy, ale na kilka miesięcy przed śmiercią wrócił do Łodzi i tu zmarł. Wspólnie z aptekarzem Bolesławem Knichowieckim napisał rozprawki: *Źródła inowłodzkie* (1884) i *Woda łódzka pod względem sanitarnym i technicznym* (1886).

Waszczyński rozpoczął studia na Wydziale Matematyczno-Fizycznym w 1865 r., a po ich ukończeniu (1868) był guwernerem i nauczał na pensjach męskich i żeńskich. Na drodze życia zetknął się z młodszą od siebie o dziewięć lat Szwajcarką Cecylią Peret de Renan (1851-1934), również nauczycielką. Po latach (zapewne około r. 1880) Waszczyńscy przenieśli się do Łodzi, gdzie pani Cecylia założyła (1899)

przy ul. Zawadzkiej 9 (obecnie Próchnika) prywatną Żeńską Szkołę Handlową, przeniesioną w sierpniu 1911 r. do własnego budynku przy ul. Zielonej i przekształconą w 1926 r. w Żeńskie Gimnazjum Humanistyczne. Aleksander pracował w szkołach łódzkich jako nauczyciel przedmiotów ścisłych. Żona przeżyła męża o 20 lat, zmarła 3 IV 1934 r. Po śmierci przełożonej szkoła przybrała jej imię.

Przemysłowcy i inżynierowie

Leopold Justyn Janiszewski (17 IX 1848 Warszawa –?), syn Heliodora i Aleksandry z Paprockich, po ukończeniu Gimnazjum II w Warszawie rozpoczął studia na kierunku matematyczno-fizycznym Szkoły Głównej, ale studia przerwał w r. 1868 i podjął pracę w jednym z przedsiębiorstw włókienniczych w Zgierzu. Wiedzę fachową w zakresie włókiennictwa uzupełnił w słynnej szkole tkactwa w Chemnitz, po czym w latach 1871–1893 pracował w przemyśle włókienniczym Łodzi. Od 1893 r. pracował przy budowie dróg żelaznych w zachodnich guberniach Cesarstwa Rosyjskiego.

Nie zagrażał długo miejsca w Szkole Głównej inż. Ludomir Russocki (25 III 1844 Kielce –?). Ukończył gimnazjum w Radomiu, wstąpił na oddział matematyczny Wydziału Matematyczno-Fizycznego Szkoły Głównej (1865), po roku przerwał naukę i przeniósł się na uniwersytet w Petersburgu. Kształcił się potem w Szkole Inżynierów Cywilnych w Gandawie i w Szkole Dróg i Mostów w Paryżu. Uzyskawszy stopień inżyniera cywilnego był przez wiele lat inżynierem dróg żelaznych w Brześciu Litewskim, w latach 90-tych XIX w. pełnił obowiązki inżyniera rządowego w Łodzi i Piotrkowie.

Dziennikarze i publicyści

Zdzisław Kułakowski (1 X 1846 Radom – 1 X 1912 Łódź) po ukończeniu gimnazjum w Radomiu wstąpił do Szkoły Głównej, brał udział w powstaniu styczniowym, kontynuował przerwane studia w Szkole Głównej, a po jej zamknięciu na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Cesarskiego Uniwersytetu Warszawskiego. W 1877 r. otrzymał stopień geometry przysięgłego. W r. 1882 osiadł w Łodzi i założył „Biuro Pomiarów Kułakowski i Trąbczyński”. Wykonał pierwsze pomiary miasta, był też autorem kilku planów topograficznych Łodzi. Zabiegał o uzyskanie koncesji na druk „Dziennika Łódzkiego”, był jego pierwszym wydawcą i redaktorem odpowiedzialnym. 1 V 1886 ustąpił z redakcji, ale nadal popierał gazetę materialnie i zasilał artykułami swego pióra. W r. 1897 wszedł w skład organizatorów i współpracowników „Rozwoju” – drugiej polskiej gazety codziennej. W r. 1910 był członkiem zarządu, a w latach 1911–1912 sekretarzem Stowarzyszenia Śpiewaczego „Lutnia”

Znacznie później, bo w 1897 roku przybył do Łodzi i podjął pracę w redagowanej od 1 grudnia tegoż roku gazecie codziennej „Rozwój” utalentowany dziennikarz Zbigniew Kamiński (10 II 1847 Lublin – 19 XII 1915 Łódź). Ukończył gimnazjum rządowe w Lublinie, studiował (od 1865) na Wydziale Matematyczno-Fizycznym Szkoły Głównej, później uczył matematyki w gimnazjum lubelskim, do którego niegdyś

uczęszczał. Wkrótce rzucił belferkę i poświęcił się dziennikarstwu, pracując równocześnie w lubelskim wydawnictwie M. Arcta. Od r. 1897 mieszkał w Łodzi i wchodził w skład dziennika „Rozwój” jako sekretarz redakcji w latach 1897-1898 i 1909-1914. Spoczywa na starym cmentarzu katolickim w Łodzi.

Trudno dziś ustalić, na jakim wydziale Szkoły Głównej studiował Stanisław Jan Łąpiński (6 V 1848 Brzustów, pow. opoczyński – 19 VII 1921 Łódź). Po uzyskaniu matury w kieleckim gimnazjum rządowym podjął studia w Szkole Głównej. Czy je ukończył, nie wiadomo. 30 X 1869 r. rozpoczął pracę w Dyrekcji Dróg Żelaznych Warszawsko-Wiedeńskiej i Warszawsko-Bydgoskiej. Dorywczo pisywał korespondencje do pism warszawskich. Systematyczną pracę dziennikarską rozpoczął około 1893 r. w warszawskim „Dzienniku dla Wszystkich”. Około r. 1895 zamieszkał w Piotrkowie, współpracując z miejscowym „Tygodniem” jako felietonista i sprawozdawca teatralny, przysyłał również korespondencje do prasy warszawskiej. Na początku 1898 r. przeniósł się na stałe do Łodzi i wszedł w skład redakcji „Rozwoju”. Pisał na jego łamach recenzje teatralne, felietony, prowadził też dział polityczny. Po wybuchu I Wojny Światowej i zamknięciu „Rozwoju” przez niemieckie władze okupacyjne przeniósł się do Warszawy, gdzie przez pewien czas redagował „Dzień” oraz współpracował z „Przeglądem Porannym” i „Godziną Polski”. Na zaproszenie Stanisława Książka, wydawcy „Kuriera Łódzkiego”, wrócił około 1917 r. do Łodzi i objął w „Kurierze” te same działy, które prowadził uprzednio w „Rozwoju”. Z jego inicjatywy powstało w Łodzi Polskie Towarzystwo Teatralne (1903) oraz Rzemieślnicze Towarzystwo Śpiewacze „Lira”. Gdy obchodził czterdziestolecie pracy dziennikarskiej (16 I 1913) pisano o nim, że jest „zawsze pogodny, zrównoważony, ruchliwy, pracuje dotąd na posterunku dziennikarskim z całą pełnią energii, którą oby jeszcze zachował przez długi szereg lat.” („Złoty Róg” 1913 nr 4). Ostatnie lata spędził w niedostatku, tracił wzrok, nie wychodził z domu z powodu dokuczliwego kalectwa.

Po latach inny łódzki dziennikarz, Stanisław Rachalewski, przygotowując materiał do książki *Zastygły nurt życia. Łódź, która odeszła* (1938) pochylił się na starym cmentarzu przy ul. Ogrodowej nad grobami zasłużonych łodzian i odczytywał częściowo już zatarte nagrobki. Znalazł tam miejsca spoczynku wspomnianych w tym szkicu wychowanków Szkoły Głównej, którzy pracując dla dobra swoich współczesnych zasłużyli na dobre wspomnienie potomnych.

Autorzy opracowań o Szkole Głównej i losach jej absolwentów podkreślali ogromne znaczenie uczelni w życiu społeczeństwa polskiego drugiej połowy XIX wieku. Wychowankowie tej szkoły upowszechniali idee pozytywizmu, stawali się inicjatorami rozmaitych ważnych przedsięwzięć gospodarczych, społecznych, kulturalnych i oświatowych.

Andrzej Kempa
- bibliotekarz, były vice-dyrektor Biblioteki Miejskiej i Wojewódzkiej
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi.

Pod egidą Juliana Tuwima

Najstarsza biblioteka w Łodzi

Mija właśnie 106 lat od momentu uruchomienia najstarszej w Łodzi biblioteki publicznej. Placówka ta – chociaż wcale nie pierwsza w naszym mieście – znajduje się nadal w tym samym miejscu – na wysokim parterze secesyjnej kamienicy przy ulicy Andrzeja Struga 5. Warto więc przypomnieć, że z jej księgozbioru korzystali także uznani twórcy: m. in. Julian Tuwim, Lucjan Rudnicki, czy mieszkający od lat w Kanadzie i USA – Andrzej Brycht, który podczas swojej niedawnej wizyty zdziwił się niepomiarowo, widząc w katalogach tej wypożyczalni 10 tytułów własnych utworów, wypożyczanych przez czytelników.

Od blisko 60 lat, ta komercyjna placówka oświatowa, egzystuje tylko w połowie swojej przedwojennej siedziby. Nie udało się bowiem do tej pory odzyskać prawa najmu całego lokalu, w którym zaraz po wyzwoleniu, decyzją władz miasta, urządzony został gabinet kosmetyczny, następnie punkt usługowy Spółdzielni „Czystość”, butik z damską bielizną, sklep spożywczy, a od kilkunastu lat – wspólne wejście prowadzi do... sex shopu.

Obecna właścicielka – Danuta Burska, przejęła prowadzenie tej wypożyczalni przed 40 laty -1 sierpnia 1964 roku. W pracy pomaga jej córka – Magdalena Olczyk, absolwentka bibliotekoznawstwa.

Księgozbiór obejmuje 40 tys. tytułów, gęsto wypełniając kubaturę ciasnych pomieszczeń aż po sufity. Zaistniała już potrzeba wykorzystywania techniki komputerowej do katalogowania stale uzupełnianych zasobów. Jednak takie rozwiązanie nie wchodzi w grę- wyjaśnia Burska – bo istnieje obawa przed włamywaczami, który już niejednokrotnie dawali o sobie znać, kradnąc... gaśnice przeciwpożarowe, butle gazowe czy armaturę wodociągową z zaplecza. Zalewane były przy tym regały biblioteki i piwnice mieszkańców kamienicy...

W połowie XIX wieku – jak podają statystyki – Łódź liczyła prawie 50 tys. mieszkańców. Znaczną ich część stanowili przybysze z przeludnionych, okolicznych wsi. Po przyjeździe do miasta nowi osiedleńcy odbywali rozmaite szkolenia – głównie pod kątem zdobywania odpowiednich kwalifikacji, potrzebnych przy obsłudze maszyn włókienniczych. Nauka pisania i sprawy czytelnictwa schodziły na dalszy plan. Prawie trzy czwarte dorosłych kobiet i mężczyzn było analfabetami. Większość żyła w trudnych warunkach materialnych. Raczkujące wówczas biblioteki wcale nie były samodzielne, lecz stanowiły na ogół tylko „uboczną” działalność księgarzy.



Pierwszą w Łodzi księgarnię z antykwariatem, obejmującą około 300 tytułów otworzył w 1848 roku Jankiel Gutstadt. Właścicielami drugiej – z biblioteką oraz czytelnią – byli: Juliusz Arndt i Gotfryd Berlach. Obydwaj – w 1859 roku udostępniłi ogółowi mieszkańców swój zbiór tytułów w językach: polskim, niemieckim i angielskim.

Kolejne łódzkie księgarnie zaczęły powstawać dopie-

historia

ro z początkiem lat 70-tych XIX stulecia. Właścicielem jednej z nich – przy ul. Piotrkowskiej 46 – był niejaki Heidrich, który wkrótce sprzedał ją Cezaremu Richterowi, ten zaś – Ludwikowi Fiszerowi.

Nowy właściciel uczynił z tej placówki jedną z najlepiej prosperujących firm księgarskich w Królestwie Polskim. Rozwinął drukowanie podręczników szkolnych oraz literatury pięknej i młodzieżowej.

Otworzył wypożyczalnię. Korzystanie ze zbiorów literatury polskiej i obcojęzycznej ułatwiały firmowe katalogi – wydawane drukiem.

Prapoczątki wypożyczalni przy ul. Andrzeja 5 były typowe dla ówczesnej atmosfery pracy organicznej. Już w połowie XIX wieku można było w Łodzi zauważyć oznaki wyraźnego ożywienia spraw bibliotecznych. Różne stowarzyszenia i organizacje społeczne, przejawiały ambicje posiadania choćby niewielkich księgozbiorów. Także fabrykanci – zwłaszcza znaczniejsi – zaczęli troszczyć się o wykształcenie swoich robotników. Do tego jednak potrzebne były książki. W przykładowych szkołkach tworzone więc księgozbiory. Rozwijały się małe wypożyczalnie – przede wszystkim przy księgarniach. W 1890 roku było w naszym mieście pięć takich placówek, chociaż władze rosyjskie niezbyt chętnie popierały tego rodzaju przedsięwzięcia. W niektórych przypadkach społeczna presja okazywała się jednak na tyle silna, że władze wyrażały zgodę.

W latach 1898 – 1900 wydano w Łodzi dziesięć takich zezwoleń. Powstawały więc zarówno wypożyczalnie polskie, jak też niemieckie i żydowskie – nastawione oczywiście na zarobek i oferujące głównie beletrystykę. Prawdopodobnie nie przynosiły spodziewanych zysków, bo żywot większości z nich okazał się bardzo krótki – od

kilku miesięcy do dwóch, trzech lat. Według Krystyny Pieńkowskiej badającej historię bibliotek łódzkich, wśród wspomnianej dziesiątki starających się o prowadzenie wypożyczalni książek, były Janina Kaplińska oraz Klaudyna Szopska – właścicielki składu materiałów piśmiennych przy ulicy Dzielnej 3 (obecnie Narutowicza). Prawo prowadzenia przy swoim sklepie biblioteki wraz z czytelnią pod nazwą ŁÓDZKA WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK – otrzymały na podstawie decyzji kancelarii gubernatora w Piotrkowie Trybunalskim z 1 kwietnia 1898 r. Z usług tej placówki mogli „korzystać wszyscy obywatele miasta za abonamentem miesięcznym”. Seria ogłoszeń zamieszczanych w tym czasie na łamach „Gońca Łódzkiego” wskazuje, że w wielojęzycznym księgozbiore nowej wypożyczalni – oprócz okazałego zbioru powieści były też dzieła: poezji, literatury dla dzieci i publikacji naukowych.

Przy doborze pozycji naukowych – na co zwraca uwagę K. Pieńkowska w cytowanej pracy – kierowano się wytycznymi „Poradnika dla samouków” pod red. Stanisława Michalskiego. Jednak w praktyce okazało się, że sklep materiałów piśmiennych prosperował o wiele lepiej niż wypożyczalnia książek. Dlatego też obie kobiety zdecydowały się zlikwidować to niezbyt dochodowe przedsięwzięcie. Takie też uzasadnienie zamieściły w piśmie do gubernatora piotrkowskiego z datą 5 lutego 1899 r.

Nowy nabywca znalazł się dość szybko. Była to Helena Rogowska, 23-letnia absolwentka szkoły muzycznej w Kijowie, pochodząca z polskiej rodziny zamieszkałej we wsi Dubna, w guberni grodzieńskiej, na terenie dzisiejszej Białorusi. Młoda kontrahentka wprawdzie nie posiadała własnych funduszy na sfinalizowanie zakupu, lecz spodziewała się pomocy rodziny. W swoim piśmie do gubernatora napisała, że oprócz prowadzenia wypożyczalni, pragnie także dawać lekcje muzyki. Przy okazji wystąpiła też o wydanie zezwolenia na zorganizowanie czytelnii gazet i czasopism w językach polskim, rosyjskim i francuskim. Władze rosyjskie niezbyt chętnie godziły się na prowadzenie czytelnii i sprawa ciągnęła się kilka miesięcy. Zasięgano opinii o Helenie Rogowskiej u gubernatora kijowskiego, odwlekano decyzję. Wreszcie w czerwcu 1899 r. – po rezygnacji z planów stworzenia czytelnii, Helena Rogowska otrzymała zezwolenie na kupno wypożyczalni i w październiku tegoż roku przeniesiono księgozbiór do lokalu przy ul. św. Andrzeja 5 (obecnie Andrzeja Struga), gdzie biblioteka mieści się do dziś. Tak wyglądały początki Łódzkiej Wypożyczalni Książek. Nieco pełniejszy obraz powstawania tej placówki wyłania się z istoty powiązań rodzinnych Heleny Rogowskiej, jej brata – Bronisława i jego żony – Katarzyny, a także działalności społecznej i oświatowej tego małżeństwa.

Bronisław Rogowski (1869-1946) ukończył Politechnikę w Charkowie i zaraz po studiach pracował w Zakładach Ostrowieckich, później zaś na Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. W latach 1898 – 1904 zatrudniony został w Łodzi na stanowisku inspektora ubezpieczeń pożarowych w fabrykach. Podczas swego wcześniejszego pobytu w Warszawie dał się poznać jako w pełni zaangażowany działacz Czytelnii Bezpłatnych Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności – a jego żona Katarzyna była

w latach 1891 –1898 kierowniczką czytelni przy ul. Dobrej należącej do WTD. Oboje współpracowali ze Stanisławem Michalskim – znanym wydawcą i redaktorem „Poradnika dla Samouków”. Uczestniczyli też w pracach komisji katalogowej WTD – oceniającej książki i kwalifikującej je dla określonych grup czytelników. Po powrocie do Warszawy w 1907 roku, małżonkowie Rogowscy (późniejsi teściowie znakomitego językoznawcy i redaktora słowników jęz. polskiego – prof. Witolda Doroszewskiego) nadal prowadzili szeroko zakrojoną działalność społeczno-oświatową. Również Katarzyna Rogowska w swej publikacji pt. „Moje wspomnienia o Stanisławie Michalskim” opisując wcześniejszy etap życia współmałżonka podaje m. in.: *B. Rogowski pracując w Warszawie w czytelniach WTD projektował już dawniej, aby w tym duchu móc działać w fabrycznej Łodzi. Dlatego też chętnie przyjął propozycję posady. Przeniósłszy się do Łodzi założył przy ulicy Andrzeja czytelnię publiczną, na podstawie ofiarowanego na ten cel prywatnego księgozbioru”*.

Oznacza to, że formalne założycielki wypożyczalni – Janina Kaplińska i Klaudyna Szopska były podstawione przez Rogowskiego. On sam nie mógł zastosować żadnego lobbingu, starając się o zezwolenie na otwarcie takiej placówki jako Polak, świeżo przybyły do Łodzi i – jakimś trafem, zaangażowany w działalność społeczno-oświatową w Warszawie. Za takim obrotem sprawy przemawiało również to – podkreśla Krystyna Pieńkowska, że formalne właścicielki już po sześciu miesiącach zrezygnowały z prowadzenia wypożyczalni. Taka była istota genezy Łódzkiej Wypożyczalni Książek. Inżynier Rogowski dość sprytnie poradził sobie z niechętnym nastawieniem władz rosyjskich i zrealizował swój pomysł stworzenia placówki oświatowej, która przetrwała do dziś w tym samym miejscu – w tym samym lokalu, chociaż po wojnie zmieniono patrona tej ulicy.

W 1907 roku inż. Rogowski powrócił do Warszawy, sprzedając wypożyczalnię siostrze Halinie i Felicji Pieńkowskim, które znał z ich głębokiego zaangażowania w działalność oświatową. Formalną właścicielką została Halina Pieńkowska. Zezwolenie na otwarcie biblioteki i gabinetu do czytania otrzymała 22 kwietnia 1907 roku. Jednak czytelnia nie została uruchomiona. Działała tylko wypożyczalnia.

Siostry Pieńkowskie pochodziły z sieradzkiego. Do Łodzi przybyły wraz z częścią rodziny w 1896 roku. Początkowo pracowały jako telefonistki. Przy ówczesnej technice, w pracy tej niezbędna była znajomość dwóch lub trzech języków obcych. Obydwie też zaangażowały się w działalność polityczną partii socjalistycznej – odłamu kierowanego przez Józefa Piłsudskiego. Brały czynny udział w wydarzeniach rewolucji 1905r. Związały się także z działalnością oświatową – tzw. uniwersytetu latającego.

Za swe dokonania, siostry Pieńkowskie zostały odznaczone w latach dwudziestolecia międzywojennego – Medalem Niepodległości.

Od samego początku Łódzka Wypożyczalnia Książek była połączona z mieszkaniem właścielek. Wokół ścian biblioteki stały wysokie regały – sięgające prawie do sufitu. Do niektórych książek – umieszczonych wyżej – trzeba się było dostawać po specjalnych schodkach. Książki miały ciemną oprawę oraz czarne płócienne grzbiety z numerami ostemplowanymi żółtą farbą. W roku zakupienia wypożyczalni – księgozbiór liczył 11 tys. pozycji w czterech językach. Zawartość – przedstawiona była w drukowanych katalogach, które – choć ograniczone do wydawnictw polskojęzycznych – dawały obraz charakteru zbiorów. Później już drukowanych katalogów nie wznawiano. Zastąpiły je znacznie wygodniejsze, stale uzupełniane i aktualizowane, wersje pisane na maszynie. W strukturze zasobów – 43 proc. księgozbioru stanowiła beletrystyka, 33 proc. – zajmowały wydawnictwa popularno-naukowe, zaś resztę – powieści młodzieżowe i poezja. Bibliotekarską logistykę ułatwiali właścicielkom poradniki: „Katalog rozumowany książek dla dzieci i młodzieży“, „Poradnik dla samouków“, „Książka“, „Encyklopedia Orgelbranda“. Wypożyczalnia dysponowała dziełami Józefa Krászewskiego, Elizy Orzeszkowej, Bolesława Prusa, Henryka Sienkiewicza, Gabrieli Zapolskiej, Marii Rodziewiczówny – a także Adolfa Dygasińskiego, Artura Gruszeckiego, Wiesława Kosiakiewicza („Bawełna” – powieść o Łodzi). Pisarzy Młodej Polski reprezentowali: Leopold Staff, Jan Kasproicz, Stanisław Przybyszewski, Stefan Żeromski, Stanisław Wyspiański. Wśród powieści historycznych były liczne tytuły Teodora Jeske-Choińskiego, Teodora T. Jeża, Wacława Gąsiorowskiego, Wiktora Gomunickiego. Podobnie przedstawiała się literatura obca (w tłumaczeniach) – np. cykle powieściowe Honore Balzaka, Anatola France’a, Emila Zoli, Aleksandra Dumasa, Lwa Tołstoja. Obok tych klasyków, można było wypożyczyć utwory Heleny Mniszkówny, Artura Conan Doyle’a, a nawet Barbary Ubryk. Był to jednak niewielki odsetek zbiorów, stanowiący wyraźne odstępstwo na rzecz czytelników o mniej wyrobionych gustach. Można więc przyjąć, że ta największa wówczas prywatna wypożyczalnia – rozpowszechniała w Łodzi wartościową literaturę. Zastępowała nie istniejące do 1917 roku biblioteki miejskie. Była swoistym etapem na drodze tworzenia publicznych bibliotek powszechnych. Choć pobierała opłaty za wypożyczone książki (musiała przecież dawać utrzymanie właścicielkom) – to jednak odegrała nader pozytywną rolę w misji szerzenia oświaty i rozbudzania nawyku czytania. Czytelnicy rekrutowali się z pełnego przekroju poszczególnych warstw społecznych: kupców, rzemieślników, inteligencji i robotników – często także słuchaczy rozmaitych kółek samokształceniowych. Była też liczna grupa młodzieży – a wśród niej wspomniany Julian Tuwim, czy Lucjan Rudnicki, który w autobiograficznej powieści „Stare i nowe” właścicielki tej wypożyczalni wymienia jako swych osobistych dobroczyńców.

W okresie międzywojennym zmienił się nieco charakter księgozbioru. Zaczęła przeważać beletrystyka. Nabywano wszystkie znaczniejsze pozycje literatury polskiej oraz liczne tłumaczenia. Tak jak i poprzednio wypożyczalnia nie gromadziła tandety ani wydawnictw brukowych. Pojawiło się wiele pozycji popularno-naukowych,

jak np. „Biblioteka wiedzy“ wydawana przez księgarnię Trzaski, Everta i Michalskiego, której tytuły – na wysokim poziomie, pisane przystępnie – były adresowane nie tylko do profesjonalistów. Opłaty za wypożyczenie w latach 30-tych wynosiły 1 zł miesięcznie plus zastaw. Robotnicy i młodzież korzystali z ulg. Stawki takie utrzymywały się na poziomie bliźniaczych placówek w mieście. Światowy kryzys gospodarczy lat 30-tych dotknął również wypożyczalnię, która przynosiła coraz mniejsze dochody. Wielu czytelników zalegało z opłatami, albo nie zwracało książek.

Właścicielki czarno widziały swoją przyszłość i dalsze możliwości utrzymania. Dlatego też postanowiły sprzedać wypożyczalnię. Z początkiem lutego 1932 r. kupiła ją Apolonia Michalska – była pracownica wypożyczalni książek Fiszera przy ul. Piotrkowskiej 46. Nowa właścicielka pracowała sama. Wprowadziła pewne oszczędności i uproszczenia. Zwracała więcej uwagi na kupowanie poszukiwanych książek – zwłaszcza nowości i jakoś dawała sobie radę. Jednak po paru latach postanowiła przenieść się do Warszawy, gdzie studiowali jej synowie.

Wypożyczalnia była znowu do wzięcia. Odkupiły ją ponownie 1 października 1937 roku siostry Pieńkowskie. Placówka egzystowała równie dwa lata – do października 1939 r., kiedy to została zamknięta przez okupacyjne władze niemieckie. W momencie likwidacji wypożyczalnia liczyła ok. 25 tys. woluminów. Książki zostały zniszczone.

Tak kończy się I etap historii Łódzkiej Wypożyczalni Książek. Późniejsze jej dzieje – stworzenie nowej instytucji, dotyczą zupełnie odmiennej sytuacji, chociaż przez kolejne 12 lat placówka ta była jeszcze związana z nazwiskiem przedwojennej właścicielki – Felicji Pieńkowskiej. Jej siostra – Halina zginęła na samym początku okupacji w wypadku drogowym, potrącona na ulicy przez niemiecki samochód. Podczas wojny, Felicja Pieńkowska przebywała w Warszawie. Po upadku Powstania wywieziona została w Kieleckie i przetrwała tam do połowy lutego 1945 r. – a następnie wróciła do Łodzi, do swego dawnego mieszkania. Lokal, w którym mieściła się wypożyczalnia był całkowicie pusty – podobnie jak sąsiadujące z nim mieszkanie. Jednak niegdyśjsza właścicielka postanowiła odbudować wypożyczalnię, ażeby mieć choć niewielkie źródło utrzymania. Zadanie wcale nie było łatwe, ale już po paru dniach dawni czytelnicy sami zaczęli zwracać książki, które wypożyczyli jeszcze przed wkroczeniem wojsk niemieckich. Można więc było startować.

Ponieważ kłopotów nie ubywało, jedna z kobiet luźno zaproponowała, aby w zdewastowanej placówce – choćby tymczasowo – uruchomić działalność handlową. Do spółki przystąpiła Domicela Iwasieczko – dawna pracownica Monopolu Tytoniowego, osoba bardzo energiczna. Stosowną umowę spisano 20 lutego 1946 r. W połowie lokalu urządzony został sklep bławatny. Jednak szczęście nie trwało długo. Nowe władze nie tolerowały prywatnych firm. Połowę lokalu, w którym mieściła się

prywatna placówka handlowa, przydzielono spółdzielni kosmetycznej. Sama wypożyczalnia również była zagrożona likwidacją. Uratował ją dawny czytelnik – Julian Tuwim.

Dziwnym zbiegiem okoliczności – na początku stycznia 1953 r. nadszedł list od Juliana Tuwima adresowany do Felicji Pieńkowskiej, w którym poeta przesłał życzenia noworoczne i sentymentalnie wspominał czasy swojej młodości, kiedy wypożyczał książki oraz „miłe panie, które prowadziły bibliotekę”. Ofiarowywał też pomoc w zaopatrywaniu wypożyczalni w nowe wydawnictwa.

Adresatka odpowiedziała na ten list równie uprzejmie – nie prosząc o żadną pomoc. Kiedy jednak władze miejskie zaczęły dążyć do likwidacji wypożyczalni, cofając zezwolenie na prowadzenie dalszej działalności i nakazały opuszczenie lokalu – Felicja Pieńkowska zdecydowała się szukać ratunku u poety. W liście napisanym do Tuwima przedstawiła swoją sytuację i prosiła o interwencję u władz miejskich.

Tuwim spełnił prośbę. W liście do Wydziału Kultury i Sztuki przy Prezydium Miejskiej Rady Narodowej z 1 sierpnia 1953 r. znowu powołał się na swoje wspomnienia i kontakty z Łódzką Wypożyczalnią Książek, prosząc o względy dla dawnej właścicielki:

„Jako „łódzkie dziecko“ związany jestem z moim ukochanym miastem mnóstwem wspomnień, do których ciągle powracam. Z ogromną czułością i wzruszeniem wspominam starą wypożyczalnię książek przy ul. Andrzeja 5. Był to mój pierwszy „uniwersytet“ dziecienny, pierwsza biblioteka, z której przez długie lata czerpałem wiedzę. Moimi życziwymi doradczyniami były wówczas właścicielki tej wypożyczalni, panny Pieńkowskie“ (...).

Poeta przeproszał za nieoficjalny ton listu, ale – jak pisał – *„w sprawie łódzkiej wypożyczalni książek przy ul. Andrzeja nie potrafiłbym napisać sucho i oficjalnie“.*

Tuwim poinformował Pieńkowską o swoich staraniach i prosił o kontakt, gdy tylko sytuacja się wyjaśni. Pięć miesięcy później poeta zmarł.

Jednak jego mało urzędowy list, przywołujący dawne wspomnienia, przekonał odpowiednie czynniki. Wydział Kultury i Sztuki Prezydium MRN w Łodzi przedłużył zezwolenie na prowadzenie wypożyczalni – w połowie dawnego lokalu.

Rola, jaką Tuwim odegrał w utrzymaniu Łódzkiej Wypożyczalni Książek była wielokrotnie przypominana przez dziennikarzy miejscowych gazet i tygodników. Po śmierci Felicji Pieńkowskiej, wypożyczalnię przejęła Domicela Iwasieczko, a po niej jej krewna – Danuta Burska.

I tak już od 106 lat egzystuje Łódzka Wypożyczalnia Książek przy ulicy Andrzeja Struga 5, uzupełniając działalność innych bibliotek miasta.

Jerzy Gałęba
– dziennikarz.

Bibliografia:

Jadwiga Konieczna „Przyczynek do dziejów bibliotek łódzkich w latach 1898-1901”,
Listy Bibliofilskie, Łódź 1974r.

„Zeitungi”, „Kuriery”, „Expressy”

140 lat prasy codziennej w Łodzi CZ. III

historia



Po opuszczeniu Łodzi przez niemieckich okupantów powstała konieczność reaktywowania w mieście polskiej prasy. Wystąpiły jednakże poważne trudności, gdyż Łódź była niemal całkowicie pozbawiona dziennikarzy. W znacznej mierze padli oni ofiarą represji ze strony okupanta, ponosząc śmierć w egzekucjach lub w obozach i więzieniach hitlerowskich. Pozostałych losy wojny rozrzuciły po świecie. Z liczby ponad osiemdziesięciu dziennikarzy zrzeszonych w łódzkim syndykacie, zginęło ich blisko siedemdziesięciu. Z bardziej znanych ludzi związanych z dziennikarstwem, którzy ponieśli śmierć z rąk okupanta, wymienić można wydawców gazet łódzkich: Jana Stypułkowskiego i Maurycego Ignacego Poznańskiego oraz dziennikarzy: Mariana Nusbauma – Ołtaszewskiego, Stanisława Rachalewskiego, Andrzeja Nullusa, Stanisława Sapocińskiego, Benedykta Stefańskiego, Antoniego Weissa, Leona Trelę.

Krótki żywot „Wolnej Łodzi”

Przy próbie wydania gazety codziennej w Łodzi oprócz braku fachowych sił dziennikarskich wystąpiły również kłopoty z uruchomieniem drukarni prasowej. Mimo tych trudności już w kilka dni po oswobodzeniu miasta ukazała się pierwsza polska gazeta „Wolna Łódź”, redagowana przez dawnego współpracownika „Kurier Łódzkiego” Henryka Rudnickiego oraz przybyłego z Lublina Aleksandra Litwina. Pojawienie się jej na ulicach Łodzi wywołało zrozumiałe poruszenie wśród mieszkańców. Piętnastotysięczny nakład dwustronicowego pisma rozszedł się błyskawicznie. „Wolna Łódź” miała krótki żywot, gdyż wychodziła tylko od 24 do 31 stycznia 1945 roku. W sumie wydano sześć numerów gazety.

W końcu stycznia przyjechała z Lublina do Łodzi kilkusobowa ekipa Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” z zadaniem zleconym przez prezesa Spółdzielni Jerzego Borejszę założenia tu codziennej gazety. W skład zespołu redakcyjnego wchodził: Anatol Mikułko, Zofia Eigerówna, Stanisław Babisiak, Stanisław Ziemek.

Na siedzibę redakcji wyznaczono dom „pod Gutenbergiem” przy ul. Piotrkowskiej 86. Z początkiem lutego ukazał się pierwszy numer „Dziennika Łódzkiego” pod redakcją przybyłego z Wilna Anatola Mikułki.

Po wydaniu dziesięciu numerów „Dziennik Łódzki” został zawieszony, bo trzeba było w drukarni zrobić miejsce dla centralnych organów prasowych, które nie mogąc na razie osiąść w zniszczonej Warszawie, przeniosły się z Lublina do Łodzi. Znalazła się tu rządowa „Rzeczpospolita” z Jerzym Borejszą na czele, pepesowski „Robotnik” z Janem Dąbrowskim, peperowski „Głos Ludu” z Romanem Werflem, „Polska Zbrojna” z płk Henrykiem Wernerem. Łódź stała się na pewien czas centrum prasowym kraju. Pisma te, o zasięgu ogólnopolskim, zastępowały jednocześnie mieszkańcom Łodzi prasę lokalną, przeznaczając część łamów na problematykę łódzką. Wraz z tymi tytułami przeniosło się do Łodzi nieco dziennikarzy, wywodzących się przeważnie z Wilna i Lwowa oraz ze zniszczonej Warszawy.

Centralne organy prasowe nie na długo osiadły w Łodzi. Po upływie kilku miesięcy zaczęły przenosić się do Warszawy. Przenosiny do stolicy zapoczątkował w połowie czerwca 1945 roku organ komunistów „Głos Ludu”. PPR nie zamierzała jednak wyrzec się wpływu na opinię publiczną Łodzi. Powołanie nowego partyjnego tytułu zapowiedział ówczesny I sekretarz KW PPR Ignacy Loga – Sowiński. Przygotowania w tym kierunku rozpoczęto już w maju.



Raczkuje „Głos Robotniczy”

20 czerwca 1945 roku ukazał się w Łodzi pierwszy numer „Głosu Robotniczego” – dziennika KW PPR. Naczelnym redaktorem gazety został Edward Uzdański, do niedawna sekretarz „Głosu Ludu”. Obowiązki sekretarza redakcji powierzono Konstantemu Bogusławskiemu. Z „Głosem” związał się Henryk Rudnicki, były redaktor „Wolnej Łodzi”.

Zespół redakcyjny gazety na początku nie przekraczał dziesięciu osób. Dla większości z nich praca w redakcji „Głosu Robotniczego” stanowiła pierwsze zetknięcie się z zawodem dziennikarskim. Przez cały niemal pierwszy rok wydawania gazety redakcja nie miała własnej drukarni, co znacznie utrudniało pracę. Pismo składano w zecerni przy ul. Piotrkowskiej 86, gdzie mieściła się redakcja a tłoczono je,

podobnie jak inne gazety, w jedynej w pełni sprawnej drukarni prasowej Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” przy ul. Żwirki 2, pracującej dniem i nocą, aby sprostać narastającym potrzebom wydawniczym. Pierwszy numer „Głosu Robotniczego” ukazał się w nakładzie 15 tys. egzemplarzy. Niskie nakłady dziennika w początkowym okresie jego istnienia wynikały z braku papieru, niedostatecznie rozwiniętej sieci kolportażu, a także z kiepskiej atrakcyjności pisma. Objętość „Głosu Robotniczego” w pierwszym roku ukazywania się wynosiła 4 do 6 kolumn druku, w niedziele zaś – 8 do 10 kolumn.

W pierwszym numerze „Głosu” redakcja przedstawiła program działania nowej gazety: „Głos Robotniczy”, podobnie jak „Głos Ludu”, walczyć miał „o prawa ludu pracującego, o prawa klasy robotniczej, o dalsze umacnianie i pogłębianie wielkich demokratycznych zdobyczy narodu polskiego (...)”. Gazeta była szara a jej szata uboga i monotonna. Miała ona szablonowy, czteroszpaltowy układ i nie urozmaicony krój czcionek. Przez pierwsze miesiące „Głos” prawie nie zamieszczał ilustracji, poza sporadycznie ukazującymi się rysunkami Jana Marcina Szancera. Fotografie zaczęły się pokazywać pod koniec 1945 roku. Niski poziom „Głosu Robotniczego” w porównaniu z innymi gazetami wynikał w dużej mierze z nieuporządkowanego sposobu jej redagowania. Nie wyodrębniono działów tematycznych a dziennikarze zajmowali się różnymi problemami. Z czasem jednak powstała specjalizacja zawodowa, zaczęły się też krystalizować takie działy jak partyjny, ekonomiczny, miejski, zagraniczny i inne.

Korzystając z poparcia Komitetu Wojewódzkiego PPR, redakcja wiosną 1946 otrzymała własną drukarnię. Uruchomiono ją w poniemieckich magazynach i halach produkcyjnych przy ul. Żwirki 17. Maszyny sprowadzono z Ziem Zachodnich, a także z Niemiec. Własna drukarnia stworzyła warunki zwiększenia nakładu „Głosu Robotniczego” oraz rozszerzenia zasięgu jego działania na całe ówczesne województwo łódzkie. W połowie 1947 roku redakcja zorganizowała sieć mutacji terenowych. Wychodziły one dla Kalisza, Kutna, Piotrkowa, Radomska, Tomaszowa i Pabianic.

„Głos Robotniczy” zdobywał czytelników przez ściśle powiązanie z robotniczą Łodzią. W żadnej innej gazecie w tym czasie nie zamieszczano tak dużo wiadomości na tematy lokalne, mówiące o pracy zawodowej środowisk robotniczych. Dostarczycielami znacznej części materiałów tego rodzaju dla gazety byli tzw. korespondenci terenowi i fabryczni. Byli to przeważnie ludzie bez wykształcenia. Niektórzy z nich trafili potem do zespołu redakcyjnego pisma.

„Dziennik Łódzki” z wileńskim rodowodem

9 lipca 1945 roku ponownie zaczął się ukazywać czytelnikowski „Dziennik Łódzki” pod nacelną redakcją Anatola Mikułki. Większość zespołu redakcyjnego tego pisma wywodziła się z wileńskiego środowiska dziennikarskiego, m. in. Jerzy Wyszymirski i Jan Huszcza. Redakcja „Dziennika Łódzkiego” ulokowała się w zajęty dla potrzeb „Czytelnika” gmachu przy ul. Piotrkowskiej 96. Gazetę w nakładzie 30 tys. egzemplarzy tłoczono w drukarni czytelnikowskiej przy ul. Żwirki 2. Objętością dorównywała ona „Głosowi Robotniczemu”.

„Dziennik Łódzki” nie był związany z żadną partią, ale podkreślał akceptację nowego ustroju. Poziomem redagowania przerastał pozostałe łódzkie gazety. Czytywany był głównie przez inteligencję. Większość wiadomości podawana w tym piśmie miała formę krótkich informacji bez komentarzy. Sporo miejsca w gazecie zajmowały problemy nauki i kultury. Zagadnienia krajowe omawiano przeważnie w stałych jednostronnicowych rubrykach, jak „Dziennik Gospodarczy”, „Dziennik Literacki”, „Dziennik Teatralny”, wreszcie satyryczny „Śledziennik Łódzki”. Dużą poczytnością cieszyły się felietony Jerzego Wyszomirskiego, znakomitego publicyisty wileńskiego „Słowa” z lat międzywojennych.

Trzyletni żywot organu PPS

W sierpniu 1945 roku Wojewódzki Komitet PPS w Łodzi rozpoczął starania o uzyskanie zezwolenia na wydawanie własnej gazety codziennej. Pierwszy numer „Kuriera Popularnego” – popołudniowego organu PPS w Łodzi ukazał się 27 października 1945 roku. Pismo redagował zespół w składzie: Artur Karaczewski – redaktor naczelny, Antoni Pokorski – zastępca redaktora naczelnego, Stanisław Kosicki – sekretarz redakcji. Od połowy grudnia, po przeniesieniu „Robotnika” do Warszawy, „Kurier Popularny” począł ukazywać się jako dziennik poranny, w zwiększonym nakładzie 40 tys. egzemplarzy. Siedziba redakcji mieściła się przy ul. Piotrkowskiej 78. Pismo tłoczono w drukarni „Czytelnika”. Rozprowadzano je głównie na terenie Łodzi. Redakcja przejawiała dużo inicjatywy w utrzymywaniu ścisłych więzi z czytelnikami. „Kurier Popularny” wyróżniał się wysokim poziomem publicystyki.

W wyniku presji PPR i wymuszonych zmian politycznych, jakie zaszły we władzach wojewódzkich PPS w Łodzi w kwietniu 1948 roku Artur Karaczewski odwołany został ze stanowiska naczelnego redaktora „Kuriera Popularnego”. Z dniem 1 maja zastąpił go dyspozycyjny Antoni Pokorski, który określił swego do niedawna szefa jako „oportunistę i nacjonalistę”. Na zastępcę redaktora naczelnego „Kuriera” powołano Tadeusza Sołtana. Po Kongresie Zjednoczeniowym PPR i PPS połączono „Kurier Popularny” z „Głosem Robotniczym”. Ostatni numer organu WK PPS w Łodzi ukazał się 15 grudnia 1948 roku.

„Express” reaktywowany

17 stycznia 1946 roku do rąk mieszkańców Łodzi trafił pierwszy numer „Expressu Ilustrowanego”, pisma popołudniowego, zarówno formą jak i treścią przypominającego żywo gazetę o identycznym tytule, wychodzącą w Łodzi w latach międzywojennych. Redaktorem naczelnym nowego „Expressu” został Konstanty Bogusławski. Pismo to, jak i osoba naczelnego redaktora wywołały sporo komentarzy. Zastanawiano się, jakimi kryteriami kierowały się czynniki polityczne, zezwalając na wydawanie gazety wzorowanej na przedwojennym brukowym piśmie. Zaskakiwała też nominacja Bogusławskiego na szefa „Expressu” z uwagi na to, że w latach międzywojennych (od nazwiskiem Adam

Górski) pełnił funkcję sekretarza „Ilustrowanej Republiki” uważanej za organ łódzkiej burżuazji. W zespole „Expressu Ilustrowanego” zatrudniono kilku dziennikarzy z przedwojennego „Expressu”: Wacława Drozdowskiego, Adama Ochockiego, Mieczysława Jagoszewskiego.



historia

Przez kilka miesięcy „Express Ilustrowany” tłoczony był w drukarni przy ul. Piotrkowskiej 86, następnie przy ul. Żwirki 2, wreszcie w drukarni „Głosu Robotniczego” przy ul. Żwirki 17. Redakcja pisma początkowo mieściła się przy ul. Piotrkowskiej 102, w prawej oficynie. Dziennik wychodził w objętości 4-8 stron. Szatą graficzną żywo przypominał przedwojenny „Express”. Atrakcyjne tytuły, składane dużą czcionką, przyciągały wzrok. „Express Ilustrowany” nie związany był z żadną organizacją polityczną ale podobnie jak inne łódzkie gazety podlegał kontroli PPR. Naczelną zasadą łódzkiej popołudniówki było niczego nie powtarzać po porannej prasie. Nie umieszczano też tasiewiczowych sprawozdań, przemówień mężów stanu, urzędowych komunikatów. Łamy pisma wypełniała specyficzna dla owych czasów treść: usuwanie zniszczeń wojennych, uruchamianie zdewastowanych fabryk, wspomnienia z niedawnej ponurej przeszłości itp. Sporo miejsca zajmowała tematyka sensacyjna i kryminalna. Popularność łódzkiej popołudniówki w dużej mierze opierała się na zamieszczaniu w niej powieści odcinkowych, którymi raczył czytelników Mieczysław Jagoszewski. Akcja tych powieści, o tematyce społeczno – miłosno – obyczajowej toczyła się w Łodzi lub w jej okolicach. Znaczącym wsparciem dla „Expressu Ilustrowanego” były obrazkowe „Przygody Wicka i Wacka”, rysowane przez Wacława Drozdowskiego i opatrzone dowcipnymi tekstami Adama Ochockiego. Pasjonowali się nimi czytelnicy. Szybko też rósł nakład gazety, osiągając w 1947 roku 150 tys. egzemplarzy. Pod tym względem „Express” bił na głowę pozostałe dzienniki łódzkie.

W połowie marca 1948 roku zmarł naczelny redaktor „Expressu Ilustrowanego” Konstanty Bogusławski. Kierownictwo pisma przejął po nim Eugeniusz Kroniewicz. W latach międzywojennych był on współwłaścicielem i redaktorem łódzkiego „Głosu Porannego”.

9 listopada 1946 roku ukazała się w Łodzi druga popołudniówka „Echo Wieczorne” pod redakcją Feliksa Bąbola. Pisma to o nakładzie początkowym 18 tys. egzemplarzy nawiązywało do przedwojennego „Echa”. Redakcja miała ambitne zamierzenia ale nie podołała konkurencji żywo redagowanego „Expressu Ilustrowanego”. W połowie maja 1947 roku – po półrocznej egzystencji – „Echo Wieczorne” uległo likwidacji z braku czytelników.

W latach 1949-1956 nastąpiły w prasie łódzkiej poważne zmiany. Założona w 1947 r. i pomyślana jako przedsięwzięcie gospodarcze PPR Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa” przejęła dwa miejscowe dzienniki: „Głos Robotniczy” i „Express Ilustrowany”. W Łodzi powstała delegatura wspomnianej instytucji. Na początku lat pięćdziesiątych delegaturze tej podporządkowano trzecią lokalną gazetę – „Dziennik Łódzki”. W ten RSW „Prasa” podporządkowana organizacyjnie i własnościowo PZPR zmonopolizowała na wiele lat łódzki rynek prasowy.

Przemiany zachodzące w prasie miejscowej nie ograniczały się do spraw organizacyjnych, lecz oddziaływały również na sposób i kierunki jej redagowania. Głoszone przez propagandę hasło budowy podstaw socjalizmu i zadania, jakie stawiał przed społeczeństwem plan sześćioletni wprowadziły na łamy prasy szerzej niż dotąd schematyczne problemy ekonomiczne. Gazety stawały się przez to do siebie podobne i nudne. Czytelnicy domagali się więc urozmaicenia treści dzienników. Redakcje próbowały je ożywić, m. in. przez zamieszczanie raz w tygodniu specjalnych kolumn satyrycznych. W „Głosie Robotniczym” pojawił się dodatek pod tytułem „Ostrzem pióra”, a w „Dzienniku Łódzkim” – „Uśmiech i żądło”. Kolumny te zasilali swoimi utworami miejscowi satyrycy i karykaturzyści.

Jedną wielu przyczyn działających ujemnie na poziom miejscowej prasy była ograniczona objętość gazet. Zapotrzebowanie na papier gazetowy nie równoważyła jego produkcja. Powodowało to konieczność oszczędnego zużycia papieru. Od lipca 1951 roku gazety łódzkie zaczęły ukazywać się sześć razy w tygodniu z tym, że „Głos Robotniczy” nie wychodził w niedziele, natomiast „Express Ilustrowany” musiał zrezygnować z poniedziałkowego wydania. Ograniczono przy tym drastycznie objętość gazet. – To nie są to gazety lecz biuletyny – żalił się pewien publicysta. – Jeśli w dodatku jedna cała strona poświęcona jest sprawom sportu, druga ogłoszeniom, trzecia informacji miejscowej, cóż pozostaje? Gdzież miejsce na informacje z dziedziny nauki i kultury, gdzie miejsce na felietony, wywiady, komentarze? – pytał rozgoryczony.

Jednak pewne zmiany następowały. Znalazło to wyraz we wzroście nakładów dzienników. Dotyczyło to zwłaszcza „Głosu Robotniczego”. W 1948 roku średni nakład gazety wynosił 109 tys. egzemplarzy, w 1965 roku – 177 tys., a w 1970

roku – 259 tys. Stopniowej poprawie ulegały także warunki lokalowe łódzkich gazet. We wrześniu 1951 roku redakcja „Głosu Robotniczego” przeniosła się do nowej siedziby w Domu Prasy przy ul. Piotrkowskiej 96. W budynku tym oprócz pomieszczeń redakcyjnych znalazł również siedzibę Klub Dziennikarzy. W latach późniejszych w tym gmachu usadowiła się także redakcja „Expressu Ilustrowanego”. W ten sposób wszystkie gazety łódzkie skupiły się w Domu Prasy.

Zapoczątkowane w latach sześćdziesiątych zmiany w obliczu „Głosu Robotniczego” przyczyniały się do profesjonalizacji tej partyjnej gazety. Po Uzdańskim funkcję naczelnego pełnili Stanisław Mojkowski, Sergiusz Kłaczek, Jan Pakuła. „Głos” stał się najpopularniejszym pismem codziennym w regionie łódzkim. Powiększono format dziennika, zastosowano korzystne zmiany w układzie graficznym pisma, wprowadzono nowe pozycje dziennikarskie. Dużą poczytnością cieszyły się felietony tygodniowe Henryka Rudnickiego pod tytułem „Ze środy na piątek”.

Rok 1968 i kryzys zaufania

Tragicznym wydarzeniem w powojennych dziejach prasy łódzkiej stał się rok 1968. W wyniku rozpętanej przez propagandę partyjną antyinteligentkiej i antystudenckiej akcji redakcje gazet włączono do prymitywnych ataków na różnych przedstawicieli życia kulturalnego i naukowego. W tzw. „publicystyce marcowej” celowały zwłaszcza „Głos Robotniczy” i „Dziennik Łódzki”. Wkrótce akcja ta pod szyldem „walki ze syjonizmem” przerodziła się w kompromitującą kampanię antysemitką. W jej wyniku wyrzucono z pracy w łódzkich gazetach ośmioro dziennikarzy pochodzenia żydowskiego. Siedmioro z nich zmuszono do emigracji. Z tych samych powodów został zwolniony szef Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego – czyli delegatury RSW „Prasa” – Władysław Basista i dwóch szeregowych pracowników tego wydawnictwa. Nastąpił wyraźny kryzys zaufania społecznego do prasy. Na domiar wszystkiego w nocy z 20 na 21 listopada 1968 r. groźny pożar zniszczył drukarnię RSW „Prasa” przy ulicy Żwirki 17. SB podejrzewała sabotaż. Oprócz „Głosu Robotniczego” drukowano w niej pozostałe gazety łódzkie. Spowodowało to wielomiesięczne perturbacje w produkcji łódzkiej prasy. Lata siedemdziesiąte przyniosły wiele zmian w „Głosie Robotniczym”. Sobotnio-niedzielne wydanie gazety osiągało nakład ponad pół miliona egzemplarzy. Za kierownictwa Sergiusza Kłaczka i Jana Pakuły do zespołu „Głosu” trafiła grupa dobrze wykształconych dziennikarzy nowego pokolenia. Mimo partyjnego schematu ciążącego nad tym organem PZPR pojawiła się na jego łamach lepsza warsztatowo i bardziej krytyczna publicystyka. W 1979 roku „Głos Robotniczy” został nawet odznaczony Orderem Sztandaru Pracy II klasy „za osiągnięcia profesjonalne” gazety.



W latach pięćdziesiątych w prasie łódzkiej narodziła się tradycja organizowania różnych akcji i konkursów dla czytelników. Trudno je dzisiaj zliczyć. Redakcja „Głosu Robotniczego” była organizatorem dorocznego święta Czytelników „Głosu”, połączonego z wielkim festynem ludowym w parku na Zdrowiu i wieloma imprezami kulturalnymi.

Znaczne zmiany zachodziły w „Dzienniku Łódzkim”. Po odejściu Anatola Mikułki ze stanowiska redaktora naczelnego gazety, funkcję tę pełnili kolejno Kazimierz Chmielewski, Wojciech Knittel, Stanisław Mojkowski. Z początkiem września 1953 roku nastąpiło połączenie „Dziennika Łódzkiego” z „Expressem Ilustrowanym”. Powstało pismo poranne pod nazwą „Łódzki Expressu Ilustrowany”. Operację tę uzasadniano trudnościami zaopatrzeniowymi w papier gazetowy. Szefem nowego dziennika został Stanisław Mojkowski a jego zastępcą dotychczasowy redaktor naczelny „Expressu Ilustrowanego” Eugeniusz Kroniewicz. Mariaż „Dziennika” z „Expressem” trwał ponad trzy lata. Od połowy listopada 1956 roku zaczęło w Łodzi wychodzić ponownie trzecie pismo codzienne. Redakcję „Łódzkiego Expressu Ilustrowanego” podzielono. Wrócił do kiosków „Dziennik Łódzki” oraz tradycyjna popołudniówka „Express Ilustrowany”.

Odrodzony „Dziennik Łódzki” pod redakcją Stanisława Mojkowskiego zyskał sobie wielu czytelników, szczególnie wśród inteligencji i rzemieślników. Atrakcyjną formą i urozmaiconą treścią przyciągała czytelników „Panorama” – niedzielny dodatek „Dziennika”. Zamieszczali w niej poważne publikacje łódzcy naukowcy i literaci. „Dziennik Łódzki” osiągnął nakład 100 tys. egzemplarzy. Zbliżony nakład osiągnął także „Exspress”. Kierowanie tą gazetą powierzono Markowi Regłowi, wcześniej dziennikarzowi redakcji nocnej „Dziennika”

W 1973 roku uruchomiono nową drukarnię prasową w Łodzi przy ul. Piłsudskiego 82. Zakończyła się prowizorka wywołana pożarem starej drukarni przy



ul. Żwirki. Jednocześnie w związku z wprowadzeniem w 1975 roku nowego podziału administracyjnego kraju, „Głos Robotniczy” objął swoim zasięgiem nowo utworzone województwa: łódzkie (miejskie), piotrkowskie, sieradzkie i skierniewickie. Teren ten objął także „Dziennik Popularny” (czyli dotychczasowy „Dziennik Łódzki”). Zmianę tytułu gazety uzasadniono reformą w podziale administracyjnym wspomnianej części kraju. Po kilku latach „Dziennik Popularny” powrócił do dawnej nazwy. „Express Ilustrowany” pozostał nadal pismem lokalnym, obsługującym Łódź i jego najbliższe sąsiedztwo.

Czystki w zespołach

Pod koniec lat siedemdziesiątych postępował coraz wyraźniejszy kryzys społeczno-gospodarczy w kraju. Wywarł on znaczący wpływ na funkcjonowanie prasy. Wśród pracowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego nastąpiło znaczne zróżnicowanie poglądów i postaw politycznych. Po powstaniu „Solidarności” część dziennikarzy opowiedziała się jednoznacznie po stronie przemian gwarantujących poszerzenie wolności słowa. W niektórych zespołach doszło na tym tle do głębszych konfliktów. W ich wyniku w „Głosie” nastąpiła zmiana kierownictwa a nowym naczelnym został Lucjusz Włodkowski, który utrzymał się na tym stanowisku do początków stanu wojennego.

Po 13 grudnia 1981 roku w redakcjach gazet łódzkich przeprowadzono daleko idące zmiany personalne. Zarządzono weryfikację polityczną dziennikarzy i rozwiązano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Nastąpił restrykcyjny proces usuwania „nieprawomyślnych” dziennikarzy i tworzenie nowych zespołów redakcyjnych. Nowym naczelnym „Głosu” został Krzysztof Pogorzelec wcześniej kierujący „Expressem”. Z redakcji trzech łódzkich gazet codziennych usunięto w sumie kilkunastu dziennikarzy, którym zakazano uprawiania tego zawodu.

W listopadzie 1983 roku Łódzkie Wydawnictwo Prasowe nabyło wieżowiec przy ul. Sienkiewicza 3/5, do którego w roku 1985 i dalszych latach przeniosły się redakcje wszystkich miejscowych gazet. Nastąpiła też pewna stabilizacja ich nakładów: średni nakład „Głosu Robotniczego” w okresie kierownictwa Pogorzelca wynosił 237 tys. egzemplarzy, „Expressu Ilustrowanego” kierowanego przez Adama Lewaskiewicza – 120 tys. Egzemplarzy a „Dziennika Łódzkiego” pod redakcją Henryka Walendy – 102 tys. egzemplarzy.

Przekształcenia i likwidacje

Głębokie przemiany polityczne i społeczne jakie zaszły w naszym kraju w ostatniej dekadzie ubiegłego wieku nie ominęły prasy codziennej, a w tym łódzkich gazet. W Łodzi wychodziły wtedy trzy dzienniki wydawane przez Łódzkie Wydawnictwo Prasowe, do których doszła pierwsza prywatna gazeta „Wiadomości Dnia”, rozprowadzana na obszarze środkowej Polski. Po rozwiązaniu P Z P R w styczniu 1990 roku rozpoczęła się stopniowa likwidacja Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

W marcu 1990 r. likwidator zmienił nazwę „Głosu Robotniczego“ na „Głos Poranny“ nawiązując w ten sposób do tytułu międzywojennej gazety. Kilka miesięcy później na stanowisko naczelnego „Głosu“ komisja likwidacyjna powołała Gustawa Romanowskiego, byłego dziennikarza Głosu Robotniczego“ usuniętego z pracy w stanie wojennym. Dzięki tej nominacji stało się możliwe przywrócenie do pracy w tej redakcji dziennikarzy represjonowanych wcześniej z powodów politycznych. Odmieniony zespół dokonał istotnej reformy gazety. „Głos“ zmienił format i szatę graficzną. Tematycznie stał się zaś wieloświatopoglądowym dziennikiem obywatelskim. W tym samym czasie naczelnym „Dziennika Łódzkiego“ został Konrad Turowski, także dziennikarz pozbawiony pracy w początkach stanu wojennego. Zreformował korzystnie gazetę ale wskutek konfliktu na tle prywatyzacji „Dziennika“ kierował redakcją tylko kilka miesięcy. Nowym naczelnym „Expressu Ilustrowanego“ został zaś Julian Beck, wieloletni dziennikarz tej popołudniówki. W 1992 r. komisja likwidacyjna sprzedała łódzkie gazety. „Głos“ kupiło Ludowe Towarzystwo Gospodarcze, spółka założona w tym celu przez kilku posłów PSL. Nowym naczelnym gazety został Ryszard Poradowski. Jednocześnie z zespołu zwolniono ponownie tych wszystkich dziennikarzy, którzy w stanie wojennym podlegali restrykcjom i nie mogli wykonywać zawodu. W tymże 1992 r. pozostałe gazety ŁWP – „Dziennik Łódzki“ i „Express Ilustrowany“ – przejęła spółka wydawnicza „Prasa Łódzka“ należąca do francuskiej grupy prasowej „Socpresse“ Roberta Hersanta. Zaopatrzyła ona wydawnictwo w nowoczesny sprzęt i usprawniła produkcję.

W 1996 r. „Prasę Łódzką“ kupił niemiecki koncern prasowy „Neue Passauer Presse“. Nabył on w Łodzi obszerne zabudowania przy ul. ks. Skorupki 17/19, w których znalazła pomieszczenie nowoczesna drukarnia prasowa oraz redakcje „Dziennika Łódzkiego“ i „Expressu Ilustrowanego“. Ujednolicono wtedy format obu gazet i zwiększono ich objętość do kilkudziesięciu stron. Przesunięto też porę wydawania „Expressu“ z południa na rano. Pod koniec 1996 roku „Dziennik Łódzki“ wchłonął zadłużone „Wiadomości Dnia“ i odtąd zmienił nagłówek na „Wiadomości Dnia – Dziennik Łódzki“.

W 1994 r. borykający się z problemami ekonomicznymi i organizacyjnymi nowy wydawca „Głosu Porannego“ zawiesił definitywnie wydawanie gazety i zwolnił wszystkich dziennikarzy. Łódzki rynek prasowy został w ten sposób zagrożony monopolizacją całej prasy codziennej przez jeden kapitał zagraniczny. Jedyłą jego przeciwwagą jest odtąd „Gazeta Łódzka“ – lokalna mutacja „Gazety Wyborczej“ założonej w Warszawie w 1989 r.. Pod jej ochronnym parasolem miejscowy dodatek rozwinął się do poziomu znacznej samodzielności. „Gazeta Łódzka“ redagowana przez Pawła Jędrasa obejmuje ponad 20 stron druku, przy nakładzie sięgającym 30 tys. egzemplarzy.

Ostatnia dekada XX wieku stała się dla prasy codziennej – nie tylko łódzkiej – okresem zasadniczych przemian. Rozpowszechnienia radia, telewizji i Internetu spowodowało, że rola prasy jako podstawowego źródła wszelkich informacji

wyraźnie zmalała. Wydarzenia odnotowane w gazetach są już tylko powtórzeniem informacji wcześniej podanych przez media elektroniczne.

Jednak prognozy zapowiadające upadek wielu gazet z tego powodu nie sprawdziły się. Wręcz przeciwnie – dzięki znacznemu rozwojowi gospodarczemu kraju rozwinęła się imponująco reklama prasowa, stanowiąca podstawę materialną wielu pism. W gazetach rośnie liczba kolumn ogłoszeniowych. Tysiące inseratów, począwszy od drobnych ogłoszeń, aż po całostronicowe reklamy wielkich koncernów przemysłowych, zapełniają niemal połowę powierzchni dzienników.

Wysokie zyski osiągnane z reklamy posłużyły wydawcom łódzkich gazet na ich unowocześnienie. Zwiększenie objętości dzienników do blisko stu stron druku, wprowadzenie na ich łamy licznych, przeważnie kolorowych ilustracji, upodobiły miejscową prasę do zachodniej. Gazety łódzkie obrosły także w rozmaite dodatki tematyczne: telewizyjne, motoryzacyjne, turystyczne i wiele innych. Pogrubiały przy tym do tego stopnia, że trudno poznać do końca ich zawartość. Niepostrzeżenie też czytelnicy prasy codziennej weszli w etap kultury obrazkowej, bezlitosnej dla wynalazku Gutenberga.

Wacław Pawlak

– publicysta; badacz dziejów Łodzi i okolic.

Autor pięciu książek o tematyce łódzkiej.

Największy zakręt historii

Refleksje o osobistym doświadczeniu tragedii

W 1978 roku mijaly dwa lata od ostatniego zakrętu historii. Dwa lata po tym jak w czerwcu 1976 roku w Radomiu i Ursusie wybuchły zamieszki spowodowane ogłoszeniem znacznej podwyżki cen. Cofnięto ją i wszystko znowu zaczęło toczyć się utartym szlakiem, bo przecież tyle zakrętów było już za nami: 1956, 1968, 1970. Zaczęliśmy się do tego przyzwyczajać. Ale nagle w 1978 papieżem został Polak i ta nieprawdopodobna nowina wlała otuchę w serca ludzi.

W tym czasie zaczęłam pracę w Biurze Studiów i Projektów Przemysłu Papierniczego. Było to duże, jedyne wtedy w Polsce, biuro projektujące fabryki papieru. 330 pracowników, 35% z wyższym wykształceniem, doktorzy, nawet profesorowie. Elita techniczna. Najważniejszym projektem, nad którym właśnie pracowano (a trwało to w sumie 10 lat!) były wielkie zakłady papiernicze w Kwidzynie. Projekt powstał we współpracy z H. A. „Simons” (Vancouver – Kanada), jednym z największych, światowych biur projektowych w branży celulozowo-papierniczej. W naszym biurze rezydował stały przedstawiciel „Simonsa”. Polskie delegacje wyjeżdżały do Kanady. Liczne i na długo. Nie wszyscy w ich składzie byli niezbędni. Do jednego specjalisty z biura „podpinało” się kilku „specjalistów” z innych instytucji – ministerstwa lub zjednoczenia. No i każdorazowo „anioł stróż”, mniej lub bardziej jawny. Pan Mirosław Solecki, ówczesny kierownik zespołu w pracowni elektrycznej, wspomina jedną z podróży: „ze mną w Kanadzie była grupa dyrektorów spoza naszych zakładów wydelegowanych w nagrodę z przydzielenie budowie kwidzyńskiej pewnych materiałów i przyspieszenie terminów. Wysłano ludzi, którzy nie mieli absolutnie nic wspólnego z projektem. Po prostu, żeby zarezerwować sobie w danym przedsiębiorstwie „możliwości przerobowe”, jak się to dawniej nazywało. Jeden z tych panów powiedział: „muszę się uczciwie przyznać, że ja nie wiem, po co przyjechałem; dyrektor Kwidzyna mnie tutaj wydelegował. Języka nie znam, czy byłby pan tak dobry i poszedł ze mną na spotkanie z Kanadyjczykami, żeby tłumaczyć?” Takich ludzi było dużo więcej. Oczywiście gospodarze bardzo się dziwili i byli źli, że musieli ich przyjmować.

Ludzie ci jeździli za tzw. „państwowe pieniądze”. Tylko nieliczni zdawali sobie sprawę, że te pieniądze są nasze, wspólne i jest ich coraz mniej. Puste

półki w sklepach, gigantyczne kolejki po wszystko – od rzeczy codziennego użytku, po żywność, lekarstwa i książki. Pamiętam jak „wyskakiwaliśmy” z biura do pobliskiego sklepu ze sprzętem gospodarstwa domowego, żeby podpisać się na wielomiesięcznej, „społecznej liście kolejkowej” utworzonej w celu zakupu pralki, telewizora czy lodówki. Wprowadzono kartki na żywność. Środkiem płatniczym stał się alkohol. Kto nie pił i tak kupował, bo przecież za „pół litra” można było kupić coś innego, np. buty „spod lady”. Chlebem powszednim były tzw. „polowania”. Mówiło się z dumą: „wiesz, wczoraj upolowałem szynkę!” W ludziach odzywał się chyba zapomniany, atawistyczny instynkt łowiecki. Niestety, już niedługo szynki wyginęły do reszty. W biurze zaczęły się degustacje nowych „odkryć” kulinarnych: szyncełki z nutrii, zrazy z koniny, gołębie w potrawce. Tak żyła elita techniczna. A co z resztą?

I przyszedł sierpień roku 1980. Biuro, jak cała Polska, oszałało. Już 12 września mieliśmy Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Było to siódme koło w Łodzi. Należało do niego 80% załogi. Zaledwie 30 osób liczyła komórka PZPR, a i ci powoli zaczęli się wykruszać. Przez prawie półtora roku, wraz z całym krajem przeżywaliśmy wzloty i upadki. Wysuwaliśmy postulaty, strajkowaliśmy. Robiliśmy porządki także na naszym małym podwórku. Mirosław Solecki, który został ogromną większością głosów wybrany przewodniczącym związku, wspomina: „wraz z Radą Pracowniczą powiedzieliśmy wręcz dyrektorowi, że chcemy żeby odszedł. Uważaliśmy, że jest narzędziem Zjednoczenia Przemysłu Papierniczego. Nie był niezależny. Zresztą całkowicie świadomie przeszkadzał w działaniach „Solidarności”. Na przykład w trakcie strajku MPK, nie zgodził się na „solidarnościowe” oflagowanie budynku. Musieliśmy wystawić przed biurem trzyosobową wartę ze sztandarem. Doniósł o tym do Zjednoczenia. Nawiasem mówiąc, natychmiast dostałem wiadomość od ich telefonistki. *Proszę uważać, podano nazwiska* – ostrzegła. Dyrektora udało nam się usunąć. Naczelnym – po wygraniu konkursu – został jego zastępca, człowiek wysokiej kultury, bezpartyjny, o umiarkowanych poglądach.

Cały kraj był w euforii. My też. I jak wszyscy, nie przeczuwaliśmy strasznego końca. To była noc z soboty na niedzielę. Zamilkły radio i telefony.

„100 dni“

13 grudnia 1981 roku, po kilkumiesięcznym okresie zaburzeń i niepokoїв, Polska powróciła na drogę „socjalistycznego rozwoju“, na łono mocno zaniepokojonej i zagniewanej „sprawą polską“ rodziny krajów „realnego socjalizmu“. Kolejny eksperyment wszczepienia jadu demokracji w zdrowe ciało państwa „totalitarnego socjalizmu“, nie powiódł się i dowiódł trwałości i niezmienności podstawowych cech takiego państwa: skłonności do intensywnego niszczenia wszelkich objawów wolności jednostki i społeczeństwa, oraz braku ekonomicznych i społecznych mechanizmów rozwoju gospodarczego“ (...)

Komentarz „CDN“ Nr 55

Obudziliśmy się w innym świecie. Byli aresztowani, byli internowani. Zaczęliśmy liczyć straty. Mirosław Solecki: „Komisja Zakładowa Solidarności nawiązała kontakt z Miejskim Biurem Projektów, zakładami Marchlewskiego i MPK, żeby ustalić czy strajkować, czy nie. Odradzili nam. Byliśmy za mali. Łatwo nas można było zgnieść. Zresztą oni też nie strajkowali. Wybraliśmy bierny opór”.

Już w pierwszych dniach stanu wojennego władze biura (nikt nie wiedział, kim są te „władze“, dyrektor stał się marionetką) kazały zlikwidować tablice i gablotki związkowe. Przez „niedopatrzanie“ na tablicy „matce“ został wielki nagłówek: „Solidarność“. Jakaś tajemnicza ręka przepasała go czarną wstęgą. Na ciemnym tle tablicy zostały po komunikatach srebrne gwiazdki pinezek. Rano były upięte w kształt krzyża do którego ktoś przymocował zasuszony kwiat. Po interwencji „władzy“ wszystko usunięto. Ale po godzinie na tym samym miejscu znalazła się wiązanka jodłowych gałązek z czerwoną różą. Oczywiście i to zdjęto. Nazajutrz, a był to 17 grudnia na tablicy rozkwitł wielki, kolorowy plakat poświęcony rocznicy grudnia 1970 roku. Pod nim złożono wiązanekę goździków. „Władza“ szalała. Dyrektor wezwał przewodniczącego „S“, który spokojnie pokazał mu artykuł w „Głosie Robotniczym“ zatytułowany: „Składając kwiaty“, mówiący o rocznicy w kontekście oficjalnego święta. Dyrektor łatwo skapitulował i zezwolił na tę demonstrację, ale tylko w tym dniu.

A następnego dnia cała Polska zawrzała dowiedziawszy się o wydarzeniach w kopalni „Wujek“. Znowu grudniowe śniegi zostały splamione krwią. Naród przywdział żałobę. Na naszej tablicy pojawiły się kwiaty. Dyrekcja uczyniła przewodniczącego i sekretarza „S“ odpowiedzialnymi za to, co się jeszcze na niej ukaże. W tej sytuacji akcja przeniosła się na tablicę PZPR-u. Na początek malutki zwiastun, na obrzeżu przypięto znaczek z tzw. „bijącym sercem partii“, czyli napisem „Kocham ZOMO“. Takiego powodzenia ta tablica nigdy dotąd nie miała. Teraz zaczęły się nami interesować „anioły stróżę“ z Komendy Wojewódzkiej. Bez sukcesu. Byliśmy ostrożni. Mirosław Solecki: „SB przeprowadziło rozmowy z moim zastępcą i ze mną. Nic z tego nie wyniknęło. Rozmowa była przeprowadzona dość pokojowo. Apelowali do nas o spokój. Pewnie dlatego, że to był pierwszy raz“. Akcja wywołała niezamierzony efekt. Skruszony sekretarz partii wywiesił na tablicy list otwarty, w którym kajał się mocno za to, że w chwili zaćmienia umysłowego... zapisał się do „S“. Pisał, iż właśnie rozumiał swój karygodny błąd i niniejszym ogłasza wszem i wobec, że wypisuje się z tejże. Już kilka minut później, u dołu pojawił się dopisek: „Dziękujemy! i nalepka z napisem „Solidarność“.

22 marca minęło 100 dni od czasu wprowadzenia stanu wojennego. Z tej okazji, na tablicy PZPR-u powiesiliśmy ogłoszenie: „WRON-o! Twoje 100 dni właśnie mija. Najwyższy czas abdykować. Nie czekaj na Waterloo! „Wojskowy Komitet Ocalenia Narodowego nie okazał się mądrzejszy od Napoleona. Tym razem „anioły z Lutomierskiej“ już nie były miłe. Pogróżki, „czarna lista“ stopniowo uzupeł-

niana, nie bez pomocy donosicieli i zasłużonych współpracowników SB, bo i takich – niestety – mieliśmy. Nasiliła się kontrola i inwigilacja. W końcu musiały się w to wdać siły nadprzyrodzone. W Babilonie, w czasie uczyty Baltazara, niewidzialna ręka napisała na ścianie groźne ostrzeżenie: „Mane, thekel, fares“ (policzono, zważono, rozdzielono). U nas niewidzialna ręka napisała te słowa wielkimi, czerwonymi literami (czerwonymi, żeby lepiej przyswoili, wszak był to kolor sztandarowy) na tablicy PZPR-u. Trzeba było widzieć przerażoną minę sekretarza od propagandy! SB przyleciało natychmiast, jak na skrzydłach. Mieli wszystko, co potrzebne do zbierania odcisków palców. Zdjęli tablicę, posypali białym proszkiem i... nic nie znaleźli. –Jak „niewidzialna ręka“, to „niewidzialna ręka“! Zrobili straszną aferę. Przewodniczący „S“ dostał zakaz wstępu do biura. Mirosław Solecki: „Mimo wszystko przychodziłem. Jednego dnia był taki portier, który mnie znał i szanował. Chciał mnie wpuścić, ale pojawił się człowiek z administracji, znany ze współpracy z SB i powiedział: „I co?! Jeszcze pan tego pana wpuszcza do biura!?“ Mimo wszystko, dalej robiliśmy co się dało. Między innymi wielką akcją rozrzucania ulotek z dachu domu handlowego „Magda“ przy Piotrkowskiej. Zasypaliśmy całą ulicę. Oczywiście natychmiast pojawiła się milicja, a na zbierających się ludzi poleciały naboje z gazem łzawiącym. Śmierdziało aż przy Zachodniej.

„Jednak po 39 latach władzy ludowej, społeczeństwo nie dało się zsowietyzować. Coraz powszechniejsza staje się świadomość pasożytniczej roli PZPR. W skali długoterminowej, wydarzeniem roku była pielgrzymka Jana Pawła II. Uświadomiła nam ona sens naszej walki, pozwoliła dostrzec go, jako element sensu życia“. Marek Buczyński „Bilans roku“ W gazecie podziemnej „Wola“ Nr 2/84

Nasza działalność znalazła oddźwięk aż w Warszawie, w ministerstwie. Któregoś dnia, było to chyba w kwietniu 1984 roku zadzwonił telefon: „czy to prawda, że u nas w pracowniach wiszą kalendarze „Solidarności“, a w jednym pokoju to nawet portret Piłsudskiego!?“ To była prawda.

Może takie działania wydadzą się teraz – zwłaszcza niektórym młodym – śmieszne, mało znaczące. Wtedy jednak nawet składanie kwiatów pod kościołem św. Krzyża kończyło się aresztowaniem, lub co najmniej zatrzymaniem i wylegitymowaniem.

Jakie mogły być następstwa? Na przykład utrata pracy. Mnie się udało. Moim szefem był wspomniany już wcześniej sekretarz partii. Człowiek małego ducha i chwiejny jak trzcina na wietrze. Dlatego, kiedy dowiedziawszy się o zatrzymaniu próbował przeprowadzić ze mną poważną rozmowę, nie trudno było zbić go z tropu argumentem, że nic mu do tego, co jego podwładni robią w czasie prywatnym. Ba, próbował się nawet tłumaczyć (a może asekurować?) mówiąc: „wie pani, moja żona, to cały czas należy do „S““.

W przeciwieństwie do niego, żona choć słaba, fizycznie niepełnosprawna, okazała się silna psychicznie. No cóż, takie to były czasy. Ludzie na pozór słabi, odkrywali w sobie pokłady wiary i siły.

Wielu ludzi z naszego biura brało czynny udział w działalności struktur podziemnych, aż do dnia odzyskania niepodległości. Także dzięki tym ludziom, z których każdy wniósł do sprawy swój mały wkład – zwyciężyliśmy. Staliśmy się wolni, choć wydawało się to tylko daleką nadzieją.

Danuta Gruszczyńska
– niezależna dziennikarka, publikuje w łódzkiej prasie.

historia

z cyklu: czarne dziury, białe plamy



Marzec 1968

Czystki antysemitki w łódzkiej prasie

Gustaw Romanowski

str. 144

Dokumenty bezprawia: SB

Inwigilacja Kościoła i działaczy

demokratycznych

Leszek Próchniak

str. 150

Marzec 1968

Czystki antysemityczne w łódzkiej prasie

Kiedy 8 marca 1968 r. władze PRL rozpędziły brutalnie wiec studentów Uniwersytetu Warszawskiego – zorganizowany w proteście przeciwko relegowaniu z uczelni ich kolegów za to, że upominali się o przywrócenie „Dziadów“ na scenę Teatru Narodowego – nic jeszcze nie zapowiadało, że propagandowa walka z młodzieżą i środowiskami intelektualnymi przybierze wynaturzoną postać oficjalnego państwowego antysemityzmu. Antysemityzmu skierowanego nie tylko wobec Żydów – obywateli polskich, ale także przeciwko Polakom mającym nawet bardzo odległe żydowskie korzenie.

Po pierwszym solidarnościowym wiecu studentów Łodzi – który się odbył 12 marca 1968 r. przed gmachem Biblioteki Uniwersyteckiej – wprawdzie próżno szukać na łamach ówczesnej prasy łódzkiej jakiegokolwiek bezpośredniej o nim wzmianki, ale już nazajutrz na łamach „Głosu Robotniczego“ w redakcyjnym komentarzu „Nie ma szans dla bankrutów politycznych“ pojawia się zwiastun tego, czym partyjna propaganda będzie karmić społeczeństwo przez najbliższe miesiące. Anonimowy autor tego komentarza ostrzegał tam czytelników: „Istnieje jednak nieliczna grupka studentów, których postawa może budzić uzasadniony niepokój i uczucie sprzeciwu. Nie mogą oni wprawdzie liczyć na jakieś większe poparcie ze strony łódzkiej młodzieży studenckiej (...) niemniej warto jej słów kilka poświęcić już choćby z tej racji, by mieć całkowitą świadomość, czyje interesy ona reprezentuje. (...) Na gruncie łódzkim znane są (...) poczynania np. dwóch studentów Uniwersytetu Łódzkiego – Zenona Libermana i Mitji Ajgera, którzy agitując za agresją Izraela, próbowali zwerbować chętnych do „legionu specjalnego“. Obaj zresztą już wyemigrowali do Izraela. Spuściznę przejęli inni, jak chociażby Juliusz Fleischer czy niejaki Joel Danciger, którzy dnia 3 lutego, współ z innymi syjonistami, na balu w klubie akademickim przewiązali sobie jedno oko opaską i jęli skandować(...). Jak na dłoni leżą ideologiczne związki tej grupy łódzkiej młodzieży syjonistycznej z warszawskimi pobratymcami, którzy (...) przewodzą akcji opluwania władzy ludowej, usiłując podrywać autorytet Władysławowi Gomułce. (...) To są prawdziwi inspiratorzy smutnych zająć w stolicy i takie są prawdziwe cele podjętej przez nich akcji, doskonale pasującej do rozpętanej przez ośrodki międzynarodowego syjonizmu kampanii lżenia narodu polskiego i wybielania jego hitlerowskich oprawców (...). W te objęcia łódzka młodzież akademicka nie wpadnie – łódzcy robotnicy są o tym przekonani. Nie pójdzie na ten lep i nie będzie solidaryzowała się z syjonistami i warchołami(?)“

Propagandowo prymitywny styl tego komentarza mógłby wskazywać, że w całości wyszedł on spod pióra początkującego funkcjonariusza SB. Jednak przygotowano go w gazecie, gdzie powstał jako „dzieło zbiorowe” kilku członków redakcji „Głosu”.

Listy potencjalnych Żydów

Warto zwrócić uwagę, że wymienieni w tym komentarzu po nazwisku studenci nie brali w ogóle udziału 12 marca w wiecu pod Biblioteką. Liberman i Ajger nie mogli tam być nawet fizycznie, gdyż obaj wyemigrowali z Polski jeszcze w 1966 r. zaś Fleischer i Danciger nie mieli nic wspólnego z organizacją studenckich protestów w Łodzi. Wymienienie ich nazwisk było, oczywiście, wyłącznie zabiegiem socjotechnicznym zastosowanym z inspiracji SB. Jak bowiem wiadomo, już w 1967 r. Służba Bezpieczeństwa zaczęła sporządzać listy osób żydowskiego pochodzenia. Impulsem do tworzenia tych list były zapewne tajne narady między służbami specjalnymi ZSRR i PRL prowadzone po zwycięskiej dla Izraela tzw. wojnie sześciodniowej na Bliskim Wschodzie w czerwcu 1967 r. Efektowane militarnie zwycięstwo Izraela wywołało irytację Moskwy, która jednostronnie i bezwarunkowo opowiedziała się po stronie państw arabskich skofliktowanych z państwem żydowskim. Nakazała też wszystkim satelickim państwom, więc także PRL, zerwanie stosunków dyplomatycznych z Izraelem.

Wskazanie palcem w redakcyjnym komentarzu na studentów o określonych nazwiskach, w kontekście niepokojów przetaczających się przez kraj, miało na celu odwrócenie uwagi od rzeczywistych Źródeł kryzysu społecznego wywołanego brutalną antyinteligencką polityką PZPR. Schemat propagandowy tego zabiegu zakładał antysemicką reakcję czytelników „Głosu”. Mieli oni uwierzyć, że protest studencki jest dziełem jakiejś przedtem nikomu nieznannej „łódzkiej młodzieży syjonistycznej”.

Ale co najmniej do 20 marca 1968 r. ten antysemicki palec nie sięgał jeszcze osób pochodzenia żydowskiego zatrudnionych w łódzkiej prasie. SB mogła na razie typować do publicznej chłosty tylko studentów i profesorów noszących niepolskobrzmiące nazwiska. Stąd też np. w tym samym dniu, w którym ukazał się ów antysemicki komentarz, „Głos” opublikował jeszcze na swoich łamach rutynowy artykuł autorstwa **Jerzego Gliksmana**, etatowego dziennikarza tej gazety. I choć narastające z każdym dniem ataki tej gazety coraz częściej skupiały się na różnych osobach pochodzenia żydowskiego, to zarówno Gliksman jak i kilku innych dziennikarzy łódzkiej prasy mający jakichś żydowskich przodków mogli jeszcze przez kilka tygodni w miarę spokojnie pracować. Do ataku na nich potrzebna była bowiem zgoda partii, sprawującej nie tylko ideologiczny ale i właścicielski nadzór nad prasą.

„Syjoniści we froncie“

Jednak po okrytym złym sławą przemówieniu Władysława Gomułki wygłoszonym w Warszawie 19 marca na wiecu aktywu partyjnego – kiedy to I sekretarz KC PZPR nazwał zamieszkujących Polskę Żydów „V kolumną” – sytuacja zaczęła się szybko zmieniać. Już następnego dnia **Hieronim Rejniak**, sekretarz propagandy Komitetu Łódzkiego zarządził odprawę redaktorów naczelnych i wybranych aktywistów partyjnych spośród środowiska dziennikarskiego. Zwrócił uwagę, że „syjoniści szczególnie upodobili sobie pracę we froncie ideologicznym, dlatego trzeba będzie przyrzeć się niektórym osobom i z niektórymi się szybko rozstać“.

W praktyce miało to oznaczać eliminację z zespołów redakcyjnych nie tylko dziennikarzy pochodzenia żydowskiego ale nawet szeregowych pracowników administracji Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, u których w aktach osobowych dopatrzone się śladów żydowskich przodków. W zespołach redakcyjnych zaczęła narastać atmosfera zastraszenia i wzajemnej podejrzliwości. Jednocześnie na łamach „Głosu Robotniczego“ i „Dziennika Łódzkiego“ rozpoczęła się swoista konkurencja na temat „syjonistyczny“. Nazwisk osób pochodzenia żydowskiego zajmujących kierownicze stanowiska w przemyśle, administracji lub tylko ludzi publicznie znanych dostarczała redakcjom SB. W obu gazetach znaleźli się też szybko publicyści chętni podjęcia się roli publicznych tropicieli i oskarżycieli „syjonistów“.

Jak wyglądał poziom tej publicystyki można uświadomić sobie z cytatów. Np. : **„Henryk Grynberg z góry protestuje przeciwko nazywaniu go syjonistą. Być może, że nie jest on członkiem określonej organizacji syjonistycznej. Twierdzą natomiast z całą pewnością, że działalność Grynberga (chodzi o utwory tego pisarza związanego w młodości z Łodzią – przyp. G.R.) jest niewątpliwie zgodna w każdym calu z syjonistyczno – NRF – owską, antypolską kampanią.** (R. Gontarz – „Tak się sypłać dług? – Głos Rob. z 25 marca). Inny autor atakuje nie tylko Grynberga ale i wydawców: „komu w Polsce zależało na wydawaniu takich „książek“ jak „Żydowska wojna“, komu zależało, by uczyć Polaków pogardy dla swego narodu i dla siebie? Kto jest tak perfidny, że pozwolił, iż ta „książka“ ukazała się w naszym kraju? Chciałbym, by na postawione pytanie ktoś mi (?) odpowiedział. Może dyrektor „Czytelnika“, a może ktoś jeszcze?“ (P. Goszczyński – „Za judaszowe srebrniki“ – Głos Rob.z 28 marca). W „Dzienniku Łódzkim“ ton niektórych publikacji był jeszcze bardziej dosadny. Np. w relacji z pokazowego procesu Mieczysława Srebnika, dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Gumowego w Łodzi (po 25 latach pełnienia kierowniczych stanowisk w przemyśle okazało się ponoć, że nie ma on matury) autor zaznaczył bez ogródek: **„oskarżony zachowywał się z bezczelnością właściwą osobom pochodzenia żydowskiego“** (J.Krajewski – „Fałszywy Sreb(r)nik“ – Dz. Ł. z 3 kwietnia).

Notatka służbowa

Bolesław LESMAN s.Jude, ur.13 listopada 1924 r. w Łodzi, pochodzenie społeczne drobnomieszczańskie /ojciec był właścicielem wiertni wód gazowych/, wykształcenie średnie, bezpartyjny. Ostatnio zajmował stanowisko kierownika działu w redakcji "Expressu Ilustrowanego".

W/g ankiety personalnej od 1945-1947 r. był kierownikiem Wytwórni Wód Gazowych "Leśny Zdrój", której właścicielem był jego ojciec. W latach 1948-1950 pracował w redakcji "Głosu Robotniczego" jako dziennikarz, a od 1950 w "Expressie Ilustrowanym" na stanowisk kierownika działu.

Na zebraniu otwartym POP przy redakcji "Expressu Ilustrowanego" w dniu 8 maja br. podjęła wniosek w sprawie wystąpienia do kierowni twa redakcji o natychmiastowe usunięcie w/w z pracy w redakcji za e oszczerczą działalność skierowaną przeciwko niektórym członkom zespołu, za próbę rozbijania zwartości zespołu na platformie ideowe. partii, za nadużywanie stanowiska służbowego dla własnych interesów. Ta ostatnia sprawa była rozpatrywana w sądzie, a także jest rozpatrywana przez Sąd Koleżeński SDP.

W/w zostanie skierowany do pracy zgodnie z posiadanymi kwalifikacjami.

Wydział Propagandy KŁ PZPR

„Syjoniści“ z partyjnego wskazania

Zatrudnionych w łódzkiej prasie dziennikarzy, u których dopatrzono się żydowskiego pochodzenia (prawdziwego lub urojonego) pion propagandy KŁ PZPR (zapewne przy czynnej pomocy SB) doliczył się około dziesięciu. Niektórym postanowiono jednak dać szansę. Swoistym testem na ich „lojalność“ miało być podjęcie się napisania artykułu – w stylu podobnym do wyżej cytowanego – wymierzonego w określoną osobę lub grupę osób. Niektórzy, zwłaszcza młodzi dziennikarze bali się odmówić, mając przed sobą jedynie wizję utraty pracy. Pisali więc teksty w ich przekonaniu najmniej szkodliwe, bo dotyczące jakichś spraw historycznych odwołując się np. do „Kroniki getta łódzkiego“. Przypomnienie w ten sposób niesolidarnych lub wręcz nieludzkich stosunków panujących wśród zamkniętych w łódzkim getcie Żydów miało być w miarę bezpiecznym sposobem wytknięcia „syjonistom“ ich najgorszych instynktów. Nie zawsze jednak udawało się wybrnąć z takiego zadania bezpiecznie. Czuwający nad właściwą wymową ideologiczną redakcyjny rezydent SB (występujący przeważnie w randze zastępcy redaktora naczelnego) nie licząc się z autorem, dopisywał bezkarnie do tekstu najbardziej nawet wierutne kłamstwa byleby były tylko one zgodne z tonem prymitywnej propagandy.

W większości jednak los dziennikarzy i kilku pracowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego uznanych za „syjonistów“ został przesądzony już na początku kwietnia 1968 r. decyzją Sekretariatu KŁ PZPR. W znacznym stopniu była to jednak indywidualna akcja ambitnego sekretarza propagandy Hieronima Rejniaka dostrzegającego w wątku „antysyjonistycznym“ szansę na zrobienie szybkiej kariery.

Notatka służbowa

Marek MILSKI s. Mojszesza, ur. 15 października 1910 r. w Krakowie, pochodzenie społeczne - inteligencja pracująca, wykształcenie podaje średnio, brak wiarygodnej dokumentacji, bezpartyjny, ostatnio zajmował stanowisko kierownika BO ŁWP RSW "Prasa".

W/g życiorysu z 1950 r. w/w w latach 1929 do 1940 pracował jako akwizytor i organizator w Warszawskim Towarzystwie Ubezpieczeniowym we Lwowie i jednocześnie we włoskim podobnym towarzystwie. W r. 1941 - 1942 był kierownikiem restauracji i stołówki w ZSRR, a następnie do czasu zmobilizowania do Armii Czerwonej /1943/ był kierownikiem warsztatów. Po wojnie zaczął pracować w Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych /do 1947 r./, a następnie w BO ŁWP RSW "Prasa".

Na zebraniu POP przy ŁWP RSW "Prasa" w dniu 17 kwietnia br. przyjęty został wniosek w sprawie odwołania w/w z zajmowanego stanowiska z uwagi na brak dostatecznych kwalifikacji zawodowych, w wyniku których dopuścił się wielu błędów w pracy BO.

x x x

W/w na stanowisku kierownika BO nie wykazywał inwencji i inicjatywy m.in. w kierunku usprawniania pracy, wpadł w rutynę, nie kontrolował i nie umiał ocenić treści zamieszczanych ogłoszeń np. z punktu widzenia gospodarczego, politycznego lub interesów konsumenta, dopuszczał do zamieszczenia nadmiernej ilości ogłoszeń, np. w "Dzienniku Łódzkim" /w tym prywatnych/, co w rezultacie niedopuszczalnie wypierało treści polityczne z łam naszych gazet.

W/w został skierowany zgodnie z kwalifikacjami do pracy w PZU, lecz odmówił jej przyjęcia /w załączeniu odpis noty służbowej/. Zaproponujemy mu więc inną pracę.

Wydział Propagandy KŁ PZPR

KJ

Trampoliną do niej miał być represyjny kierunek czystek personalnych motywowanych zapewne antysemicką fobią. Najpierw więc dziennikarzom uznanym za „syjonistów“ przestano publikować teksty. Np. ostatni stały felieton dziennikarki „Głosu“ **Aliny Grabowskiej** z cyklu „Tydzień na małym ekranie“ ukazał się na łamach gazety jeszcze 28 marca. W kwietniu natomiast nie pojawił się już żaden jej tekst. Jednocześnie w redakcjach zaczęły odbywać się otwarte zebrania partyjne zwoływane głównie dla przeprowadzenia ataków na kolegów żydowskiego pochodzenia. Wszystkie zebrania kończyły się takimi samymi uchwałami: wydalenie z partii i usunięcie z pracy albo – gdy delikwent był bezpartyjny – zobowiązywano dyrektora wydawnictwa do rozwiązania w trybie pilnym umowy o pracę ze „syjonistą“.

Dziesięciu poważnie podejrzanych

W okresie od 17 kwietnia do 8 maja 1968 r. podczas całej serii takich zebrań wyrzucano definitywnie z pracy siedmioro dziennikarzy i trzech pracowników Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego. 17 kwietnia partyjna organizacja tego wydawnictwa udzieliła nagany z ostrzeżeniem Władysławowi Basiście, dyrektorowi ŁWP i wystąpiła do prezesa Zarządu Głównego RSW „Prasa“ o niezwłoczne odwołanie go ze stanowiska. Postanowiła także wyrzucić z pracy **Marka Milskiego** i **Stanisława Szejnkiego**, praco-

wników tego wydawnictwa. 18 kwietnia organizacja partyjna „Głosu Robotniczego” pozbawiła członkostwa PZPR i nakazała wyrzucić z pracy trzech wziętych dziennikarzy tej gazety: **Jerzego Flajszmana**, **Jerzego Gliksmana** i **Józefa Lebenbauma**, polecając jednocześnie dyrektorowi wydawnictwa natychmiastowe usunięcie z pracy bezpartyjnej **Aliny Grabowskiej**, publicystki działu kultury. 19 kwietnia na otwartym zebraniu partyjnym w „Dzienniku Łódzkim” udzielono nagany partyjnej i pozbawiono stanowiska redaktora naczelnego gazety **Stanisława Januszewskiego**. 20 kwietnia podobne zebranie w redakcji „Expressu Ilustrowanego” zakończyło się wyrzuceniem z partii i z pracy w prasie **Marii Lorberowej**, zastępcy redaktora naczelnego tygodnika „Karuzela”. Rozpędzona machina pozbywania się „syjonistów” 8 maja zmiotła jeszcze na kolejnym zebraniu partyjnym w „Expressie Ilustrowanym” bezpartyjnego **Bolesława Lesmana**, wieloletniego dziennikarza tej gazety nakazując dyrektorowi wydawnictwa natychmiastowe usunięcie go z pracy.

„Moja żona jest aryjką”

W bardzo przetrzebionych i niekompletnych aktach KŁ PZPR z tego okresu zachował się pełny protokół tylko z otwartego zebrania partyjnego w „Dzienniku Łódzkim”, które odbyło się 19 kwietnia. Jest to wstrzasający dokument ukazujący totalitarną atmosferę zastraszenia i poniżenia jednostki. Zebranie to było rozprawą nad Stanisławem Januszewskim, redaktorem naczelnym gazety, człowiekiem wówczas już bardzo ciężko chorym, który ledwie miesiąc wcześniej bo 13 marca 1968 r. przeżył drugi w życiu zawał serca. Postawione mu zarzuty były absurdalne i wzajemnie się wykluczały. Oskarżono go bowiem o spowodowanie nadmiernych kosztów wydawania gazety w okresie kiedy był chory a redakcją kierował i podejmował wszystkie decyzje jego zastępca. Januszewski, (rocznik 1916) syn przedwojennego lwowskiego senatora Władysława Januszewskiego, w czasie niemieckiej okupacji związał się z komunistyczną konspiracją, pełniąc nawet w Armii Ludowej funkcję szefa kolportażu podziemnej prasy. Brał udział w Powstaniu Warszawskim. Był dziennikarzem w Poznaniu, potem od 1961 r. w Łodzi w „Dzienniku Łódzkim”, którym od 1964 roku kierował. Zmarł w 1973 r. Protokółant partyjnego zebrania zanotował dramatyczne słowa Januszewskiego kierowane do redakcyjnych kolegów. Prosił aby go nie karać za coś, czego nie jest w stanie zrozumieć. Mówił: „**Jestem z tą ziemią i z tym krajem związany wszystkim. Całe moje życie jest deklaracją do tej ziemi. Nigdy bym jej nie opuścił.(?) Nie czułem tu przejawów antysemityzmu(?) Jestem Polakiem p ó ł ż y d o w s k i e g o pochodzenia. Żona moja jest a r y j k ą. Syn 10 – letni nic nie wie jak sprawy wyglądają. Wychowuję go w przywiązaniu do ojczyzny(?) Przez te lata – myślę – demonstrowałem przywiązanie do tej ziemi, do tego kraju, do tej kultury. Do tej ziemi, w której chcę by mnie pochowano(?) Proszę z całego serca abyście mnie nie karali ze względu na moją rodzinę i dziecko?”**. Apel pozostał jednak bez echa. Zebrani

historia – czarne dziury, białe plamy

jednogłośnie podjęli uchwałę o pozbawieniu Januszewskiego stanowiska. Udzielili mu też partyjnej nagany, co w istocie oznaczało wówczas utratę pracy w prasie i trudne do przewidzenia trudności w znalezieniu jakiegokolwiek zatrudnienia zgodnego z kwalifikacjami.

„Certyfikaty syjonisty“

Styl wyrzucania z pracy zastosowany wobec Januszewskiego obowiązywał wobec wszystkich pracowników łódzkiej prasy, których władze partyjne uznały za Żydów. W oficjalnych dokumentach nie można było jednak powoływać się wprost, że podstawą represyjnej decyzji jest „niearyjskie“ pochodzenie delikwenta. Przestrzegał tego **Edward Tomczyk**, ówczesny kierownik wydziału Propagandy KŁ PZPR. Zachował się nawet archiwalny dokument, z którego wynika, że ten funkcjonariusz przeprowadził ostrą rozmowę ostrzegawczą z podwładnym, nadzorującym z ramienia komitetu zebrania partyjne w prasie. Dlatego wszystkie tzw. „certyfikaty syjonisty“ czyli notatki służbowe poświęcone osobom pochodzenia żydowskiego przeznaczonym do procedury represyjnej wymieniają przeróżne przyczyny tych karnych decyzji. Uzasadnienia takie roją się od niedorzeczności i absurdalnych zarzutów. Np. usuniętej z „Karuzeli“ Marii Lorberowej zarzucono **„zakłamanie i dwulicowość, co charakteryzowało w/w od dawna. Dla przykładu warto dodać, że w dokumentach osobowych podawała pochodzenie społeczne – inteligencja pracująca, podczas, gdy faktycznie jest pochodzenia drobnomieszczańskiego“**. Jako podstawę wyrzucenia z pracy Marka Miłskiego, kierownika Biura Ogłoszeń Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego „certyfikat“ wymienia takie oto kuriozalne przyczyny: **„wpadł w rutynę, nie kontrolował i nie umiał ocenić treści zamieszczonych ogłoszeń z punktu widzenia gospodarczego, politycznego lub interesów konsumenta, dopuszczał do z a m i e s z c z e n i a n a d m i e r n e j (!) i l o ś c i o g ł o s z e ń w „Dzienniku Łódzkim“; co w rezultacie niedopuszczalnie wypierało treści polityczne z łam naszych gazet“**. W przetrzebionych archiwach KŁ PZPR zachowały się wszystkie „notatki służbowe“ sygnowane przez Wydział Propagandy KŁ PZPR i parafowane przez zastępcę kierownika tej komórki organizacyjnej komitetu. Owe „certyfikaty syjonisty“ – bo tak żartobliwie określane były przez funkcjonariuszy niższego szczebla te przerażające dokumenty – były tylko materiałami pomocniczymi, „cywilizującymi“ niejako ponurą akcję czystek personalnych sterowanych rasistowskimi kryteriami. Właściwsze od nich, bo pierwotne dokumenty bezprawia, gdzie z rozmysłem typowano określone osoby do objęcia ich antysemitycznymi represjami powstały w służbach specjalnych PRL w 1967 r. a prawdopodobnie nawet wcześniej. Może na nie jeszcze natrafią badacze w archiwach IPN.

Gustaw Romanowski

Źródła:

„Głos Robotniczy“, „Dziennik Łódzki“ z okresu 8 marca – 10 listopada 1968
 Jerzy Eisler – „Marzec 1968“ – PWN 1991
 Akta KŁ PZPR (Archiwum Państwowe w Łodzi) (teczki 629, 670, 2535)
 Relacje świadków

Dokumenty bezprawia: SB

Inwigilacja Kościoła i działaczy demokratycznych

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych działalność opozycyjna tak w kraju, jak i w Łodzi, nie miała zorganizowanego charakteru. Ograniczała się ona w zasadzie do nielicznych akcji petycyjnych oraz spotkań dyskusyjnych organizowanych przez różne środowiska. Bardzo istotne znaczenie dla aktywizacji tych środowisk miała ogólnopolska kampania przeciwko proponowanym przez władze zmianom w konstytucji. Na przełomie 1975 i 1976 r. kilka tysięcy osób podpisało petycje protestacyjne, kierowane przede wszystkim do Sejmu. Wśród nich znaleźli się również łodzianie, m. in. **Jacek Bierezin, Marek Edelman, Karol Głogowski, Stefan Niesiołowski, Józef Śreniowski** – według danych Służby Bezpieczeństwa łącznie zebrano w Łodzi 178 podpisów. Na sygnatariuszy protestów spadły różnorakie represje, które jednak nie wpłynęły hamująco na zapoczątkowaną akcją petycyjną konsolidację środowisk opozycyjnych.

W czerwcu 1976 r. doszło do strajków robotniczych przeciwko zapowiedzianym podwyżkom cen. W całym kraju protestowało kilkadziesiąt tysięcy osób w blisko stu zakładach, do masowych manifestacji doszło w Radomiu i Ursusie, gdzie przeciwko demonstrantom skierowano oddziały ZOMO. W Łodzi największe strajki miały miejsce w Kombinacie Hydrauliki Siłowej, Wytwórni Sprzętu Mechanicznego Państwowych Zakładów Lotniczych, Fabryce Obrabiarek Specjalnych „Polmo”, Zakładach Przemysłu Odzieżowego „Emfor” i Fabryce Transformatorów i Aparatury Trakcyjnej „Ema-Elta”.

Odpowiedzią władz były represje, które największe rozmiary przybrały w Radomiu i Ursusie. Nie tylko masowo zwalniano robotników z pracy, ale również setki z nich stanęły przed kolegiami ds. wykroczeń i sądami. Wyroki były wysokie, sięgały nawet 10 lat więzienia.

Pierwszą reakcją środowisk opozycyjnych na robotnicze protesty były listy solidarnościowe. Wkrótce potem zaczęto organizować pomoc materialną i prawną. Spontaniczne zrazu wsparcie udzielana robotnikom przybrało bardziej zorganizowaną formę po powstaniu 23 września 1976 r. Komitetu Obrony Robotników, który w apelu do społeczeństwa zapowiadał niesienie wyrzucanym z pracy i szykanowanym pomocy prawnej, finansowej, lekarskiej, zbieranie informacji o represjach i publikowanie ich. Na przełomie 1976 i 1977 r. łódzkimi członkami KOR zostali **Józef Śreniowski i Stefan Kaczorowski**.

historia – czarne dziury, białe plamy

15 listopada 1976 r. KOR złożył w Sejmie wniosek o powołanie komisji poselskiej dla zbadania nadużywania prawa wobec uczestników protestów czerwcowych. W wydanym dwa tygodnie później *Apelu do społeczeństwa* informowano, że robotnicy odwołujący się do sądów przeciw decyzjom zakładów pracy oraz składający skargi do prokuratury na bezprawne bicie i torturowanie są zastraszani i poddawani kolejnym prześladowaniom. Uznając, że w tej sytuacji tylko nacisk opinii społecznej może skłonić władzę do zaprzestania represji, zwracano się o wysyłanie listów, petycji i rezolucji domagających się powołania komisji poselskiej. W odpowiedzi na apel z całego kraju, w tym również z Łodzi, zaczęły napływać listy podpisane przez dziesiątki, a niekiedy setki osób.

Władze nie pozostawały obojętne wobec kolejnych inicjatyw środowisk opozycyjnych. Szczególna rola w przeciwdziałaniu ich aktywności przypadła aparatowi bezpieczeństwa, który liczył w 1976 r. ponad 16 tys. funkcjonariuszy, z tego 422 w Łodzi. Liczniejszą kadrę SB posiadały jedynie województwa: gdańskie, katowickie, krakowskie, poznańskie, szczecińskie, warszawskie i wrocławskie. W zwalczanie osób podejmujących działalność uznawaną przez władze za „antysocjalistyczną” zaangażowane były różne wydziały Komendy Wojewódzkiej MO, przede wszystkim jednak Wydział III, w Łodzi liczący 33 funkcjonariuszy. Na jego czele stanął ppłk **Czesław Chojak**, doświadczony pracownik SB, wielokrotnie odznaczony za zasługi „w służbie narodu”. Karierę w aparacie bezpieczeństwa rozpoczął w 1945 r. w PUBP w Pabianicach (w prośbie o przyjęcie do służby deklarował: „**praca w UBP odpowiadałaby moim zamiłowaniom**”), a od lat pięćdziesiątych kontynuował ją w Łodzi.

Służba Bezpieczeństwa miała przede wszystkim za zadanie nie dopuścić do rozwoju organizacyjnego opozycji oraz ograniczyć zasięgu jej oddziaływania. Obu tym celom służyła polityka represji, systematycznego nękania opozycjonistów przez szeroką inwigilację, przesłuchania, rewizje, zwalnianie z pracy, usuwanie ze studiów, zatrzymywanie na 48 godzin, stawianie przed kolegiami do spraw wykroczeń, pobicia i zastraszanie, dezorganizowanie im życia zawodowego, towarzyskiego, a często również rodzinnego. Działania te stanowiły realizację decyzji centralnych zapadłych jesienią 1976 r. Podczas jednej z narad, w której wzięli udział gen. **Bogusław Stachura** i gen. **Adam Krzysztoporski** – z ramienia MSW, reprezentujący PZPR Stanisław Kania oraz prokurator generalny **Lucjan Czubiński**, postanowiono, że podstawową formą działań wobec opozycji będą nie represje karne, ale „nękanie przeciwnika” (sformułowanie to jeszcze wówczas nie padło, zaczęto używać je znacznie później).

Liczne przykłady działań „nękających” znajdujemy w materiałach wytworzonych przez aparat bezpieczeństwa, przede wszystkim w różnego rodzaju sprawozdaniach i analizach sporządzanych na użytek kierownictwa Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Poniżej prezentujemy z niewielkimi skrótami jeden z takich dokumentów – sprawozdanie płk. **Jana Jasińskiego**, łódzkiego zastępcy komendanta MO ds. SB, skierowane do wiceministra MSW Bogusława Stachury na początku lutego 1977 r.

Warto zwrócić uwagę na źródła pochodzenia informacji zawartych w sprawozdaniu, zwłaszcza biorąc pod uwagę ich dużą – np. w przypadku rozmowy biskupa **Józefa Rozwadowskiego** ze Stefanem Kaczorowskim – szczegółowość. W ocenie samej Służby Bezpieczeństwa najcenniejsze były tzw. osobowe źródła informacji, przede wszystkim zaś tajni współpracownicy. Ważną rolę odgrywały tzw. kontakty służbowe, *de facto* spełniające podobną funkcję jak tajni współpracownicy. Wśród kontaktów służbowych było wielu członków PZPR na kierowniczych stanowiskach, których SB formalnie nie mogła rejestrować jako tajnych współpracowników. Niezwykle istotne w zdobywaniu informacji były również techniczne środki inwigilacji, takie jak podsłuchy (np. pokojowy czy telefoniczny), utajnione fotografowanie i filmowanie oraz kontrola korespondencji. Sytuacją optymalną z punktu widzenia SB było wzajemne uzupełnianie się informacji pochodzących z obu rodzajów źródeł.

Sprawozdanie, sporządzone w oparciu o materiały Wydziału III, opisuje działania podejmowane przez łódzką SB w stosunku do środowisk opozycyjnych w styczniu 1977 r., kilka miesięcy po powstaniu Komitetu Obrony Robotników (kryptonim operacyjny nadany przez SB – „Gracze”). Dokument pochodzi z Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Łodzi, sygn. IPN Ld Pf 10/976.

Leszek Próchniak
– historyk; pracownik IPN oddział w Łodzi.

Łódź, dnia 2 II 1977 r.

TAJNE SPECJALNEGO ZNACZENIA
Egz[emplarz] Nr 1

WICEMINISTER SPRAW WEWNĘTRZNYCH
GEN. BRYG. BOGUSŁAW STACHURA
Warszawa

Ocena
działań operacyjnych i specjalnych prowadzonych w styczniu 1977 roku
w stosunku do „graczy” i osób z nimi związanych

Prowadzone w styczniu 1977 roku przez Służbę Bezpieczeństwa KM MO w Łodzi działania operacyjne i specjalne w stosunku do „graczy” i osób z nimi związanych stanowiły kontynuację przedsięwzięć podjętych w roku ubiegłym. Wpływały one hamująco na plany oraz poczynania „graczy”. W rezultacie nie obserwowaliśmy – w porównaniu do grudnia ubiegłego roku – większej aktywności tego środowiska. Głównie prowadzono dyskusje o dotychczasowych działaniach „graczy” i ich efektach. **Józef Śreniowski** uznał, że „gracze” osiągnęli już swój cel, ponieważ potrafili wzbudzić zainteresowanie społeczeństwa i uzyskać jego poparcie dla swoich działań. Natomiast zdaniem Witolda Sułkowskiego społeczeństwo wykazało obojętność wobec haseł głoszonych przez „graczy” i dlatego rezultaty ich akcji są niewspółmiernie niskie do w stosunku do włożonego wysiłku. Zastanawiano się także nad ewentualnymi krokami, jakie władze mogą wobec nich podjąć. Rozważania na ten temat prowadzono zwłaszcza w kontekście artykułów, które ukazały się w „Trybunie Ludu” i „Głosie Pracy”. Uważa, że takie posunięcie władz spowodowałoby przerwanie działalności „graczy”.

[...]

Jeżeli chodzi o udzielanie przez „graczy” pomocy osobom zwolnionym z pracy po 25 czerwca 1976 r., to nie ujawniliśmy nowych przypadków, poza ustalonymi w ubiegłym roku (5 przypadków). Co prawda Józef Śreniowski przywiózł do Łodzi informacje o podjętej w Warszawie decyzji wystąpienia z apelem do społeczeństwa w sprawie powoływania zakładowych oddziałów „graczy”, lecz – jak wskazuje na to nasze rozpoznanie – nie podjęto u nas praktycznych kroków w tym kierunku.

W styczniu zostały ponowione starania o uzyskanie poparcia ordynariusza diecezji łódzkiej, ks. b[isku]pa **Józefa Rozwadowskiego**, dla sprawy „graczy”. Tym razem starania te wyszły ze strony **Stefana Kaczorowskiego**, który obok Śreniowskiego został drugim „przedstawicielem” Łodzi w warszawskiej grupie „graczy”. Kaczorowski, który jest znany ordynariuszowi [...], został przez niego przyjęty 24 stycznia. Zaraz na wstępie poinformował biskupa, że jest przedstawicielem „graczy” i jego wizyta ma związek z ich działalnością. Rozwadowski stwierdził, że w grudniu ubiegłego roku przyjął „pana Śreniowskiego”, lecz nie dał mu żadnej nadziei na oficjalną pomoc. Zauważył przy tym do Kaczorowskiego, że prymas godzi się jedynie na działalność charytatywną w parafiach. Takie stanowisko prymasa uznał ordynariusz za słuszne, bowiem wówczas władze „nie będą miały się do czego przyczepić”. W Łodzi księży to zalecenie kardynała starają się realizować. Np. gdy oo. pasjonści ustalili, że na terenie ich parafii „była jedna rodzina w potrzebie”, to udzielili jej pomocy, a ojca tej rodziny, który był zwolniony i „nie mógł nigdzie otrzymać pracy”, zatrudnili przy budowie kościoła. Kaczorowski podzielił punkt widzenia ordynariusza na formę pomocy udzielanej przez Kościół dodając, że w takim przypadku władze nie będą mogły „pieniędzy zaadoptować, jak zrobiły to w Warszawie, gdzie u jednego z członków znalazły sto kilkadziesiąt tysięcy złotych i skonfiskowały”.

W dalszej części rozmowy Kaczorowski nawiązał do grudniowej wizyty Śreniowskiego u b[isku]pa Rozwadowskiego. Śreniowski zwierzył się Kaczorowskiemu, iż nie był pewien czy dobrze zrobił udając się do ordynariusza. Kaczorowski miał go jednak przekonać o słuszności wizyty. Uzgodnił też ze Śreniowskim, że ten będzie mu dostarczał adresy ludzi zwolnionych z pracy, a on z kolei będzie je przekazywał do Kurii. W tym miejscu ordynariusz wtrącił, że w grudniu umówił się ze Śreniowskim co do takiego postępowania, ale do tej pory nie otrzymał od niego (poprzez kanclerza Kurii, ks. **[Władysława] Ziółka**) żadnego adresu. Dodał przy tym, że sprawdzał wiele przypadków i dowiedział się, że większość ludzi otrzymała już zajęcie. Poza tym – zdaniem biskupa – w Łodzi nie istnieje problem ludzi zwolnionych z pracy w związku z wydarzeniami czerwcowymi. Na temat ludzi zwolnionych tylko się słyszy, ale konkretnych danych nie ma. Tego samego zdania był również Kaczorowski stwierdzając, że „u nas w Łodzi ten problem w dużych rozmiarach nie istnieje”. Ostatecznie uzgodniono, że Kaczorowski zajmie się ustaleniem ludzi potrzebujących pomocy i adresy ich zamieszkania prześle do Kurii.

O rozmowie z Kaczorowskim poinformował bp Rozwadowski pozostałych biskupów łódzkich i kanclerza Kurii. Zwierzył się przy tym, iż grudniową wizytę Śreniowskiego u siebie uważał jako „tylko chęć wybadania” go. Z dalszej wypowiedzi ordynariusza wynikało, że po spotkaniu z Kaczorowskim zmienił o tym zdanie.

Z przebiegu rozmowy między Kaczorowskim a biskupem Rozwadowskim wynika, że stanowisko ordynariusza w kwestii ewentualnego wsparcia akcji „graczy” pozostało takie samo jak przedstawił w grudniu ubiegłego roku Śreniowskiemu (działalność charytatywna w ramach parafii). Kaczorowski rozwiązał tylko jego podejrzenia

co do rzeczywistych motywów wizyty. Udało mu się to dlatego, że cieszy się znacznym zaufaniem zarówno samego ordynariusza jak i najwyższego kierownictwa Kościoła katolickiego w Polsce.

[...]

Do akcji charytatywnej na rzecz zwolnionych z pracy po wydarzeniach z 25 czerwca 1976 r. czynnie zaangażował się – jak wynika z doniesień tajnych współpracowników – kierownik Referatu Duszpasterstwa Rodzin Kurii Łódzkiej **Jan Kłys**. Propagując w ramach parafialnych grup DR akcje tworzenia funduszu pomocy dla rodzin wielodzietnych, starszych osób samotnych itp. postulował otoczyć opieką zwłaszcza rodziny robotników „represjonowanych po wypadkach czerwcowych”. Tego typu akcję agitacyjną prowadził w kilku ważniejszych łódzkich parafiach. Nie spotkała się ona z szerszym poparciem ani kleru, ani aktywu parafialnego. Nie widzą oni realnej szansy dogłębnego rozpoznania środowiska i stwierdzenia, czy rodziny takie w istocie wymagają opieki, i czy udzielenie w tej formie pomocy, z punktu widzenia zadań DR, byłoby wskazane.

Dobrą sytuację mamy wśród osób, w stosunku do których administracja zakładów i instancje partyjne zastosowały różne sankcje w związku z ich zachowaniem w czerwcu ubiegłego roku. Do chwili obecnej prawie wszystkie osoby znalazły zatrudnienie. Nieliczne wyjątki to ludzie świadomie uchylający się od pracy bądź kobiety zajmujące się wychowaniem małych dzieci. Ci, którzy pracują, w miarę upływu czasu oraz w wyniku adaptacji do nowych warunków i przeprowadzonych przez nas rozmów coraz rzadziej wracają do spraw związanych ze zwolnieniem z pracy i „krzywdami”, jakie ich spotkały „bez żadnego powodu”. Koncentrują się oni na wykonywaniu zadań służbowych, starając się zasłużyć na pozytywną opinię w oczach przełożonych. Rozmów na tematy polityczno-gospodarcze unikają.

Wśród wymienionej grupy osób kontynuowana jest nadal praca operacyjna. Jednym z aktualnych elementów tej pracy jest akcja „Kolęda”, w ramach której będziemy dążyć – poprzez osobowe źródła informacji Wydziału IV – do ustalenia dalszych osób posiadających ewentualny kontakt z „graczami”, bądź korzystających z ich pomocy. Należy w tym miejscu podkreślić, że w styczniu Śreniowski mówił ludziom, z którymi posiada kontakt, o trudnościach finansowych „graczy”. W związku z tym przekazane przez niego kwoty były mniejsze niż w grudniu. Np. osoba, która otrzymywała dotychczas jednorazowe sumy w granicach 4-6 tysięcy złotych, w styczniu dostała tylko 1 500 złotych. Wykorzystując tę okoliczność rozesłaliśmy – w ramach operacji list – do osób korzystających z pomocy „graczy” listy sugerujące dokonywanie nadużyć finansowych przez Śreniowskiego i innych.

Przeciwdziałając i ograniczając poczynania łódzkich „graczy” przyczyniliśmy się do zakwestionowania w dniu 4 stycznia w czasie odprawy celnej na Okęciu u opuszczającego Polskę obywatela francuskiego **Christiana Leseura** kilka dokumentów: listy **[Karola] Głogowskiego** do „Trybuny Ludu” i ministra obrony

narodowej, także jego wniosek obywatelski skierowany do Sejmu PRL, list **Sułkowskiego** do prof. **S[tefanii] Skwarczyńskiej** oraz petycję opracowaną przez Bierezina, [Zdzisława] Jaskułę i Sułkowskiego w sprawie powołania sejmowej komisji. Opracowania te Francuz otrzymał od łódzkich „graczy”. Za jego pośrednictwem dotrzeć miały do ośrodków politycznej dywersji na Zachodzie.

W związku z próbą wywiezienia listu Głogowskiego do ministra obrony narodowej zwróciliśmy się do prokuratury wojskowej z zapytaniem czy treść listu narusza tajemnicę państwową lub służbową. W zależności od opinii prokuratury wojskowej zostaną podjęte odpowiednie kroki w stosunku do Głogowskiego.

Oprócz pracy operacyjnej polegającej na dokumentowaniu działań „graczy”, w styczniu 1977 roku nadal stosowaliśmy wobec nich działania nękające i specjalne. Z naszej inspiracji w dniu 12 stycznia br. przed kolegium ds. wykroczeń odbyła się rozprawa przeciwko **Zdzisławowi Jaskule**, obwinionemu za naruszanie porządku publicznego, zalanie mieszkania sąsiadom i zanieczyszczenie klatki schodowej. Kolegium uniewinniło Jaskułę z zarzutu zanieczyszczenia klatki schodowej, natomiast za dwa pierwsze wykroczenia ukarało go 3 tysiącami grzywny (z zamianą na 60 dni aresztu) oraz ogłoszeniem wyroku w prasie. Wyrok nie jest jeszcze prawomocny. Do kolegium został również skierowany wniosek przeciwko **Mirosławie Suskiej**, pozwanej z tytułu zakłócenia ciszy nocnej lokatorom posesji, gdzie zamieszkuje. Rozprawa została wyznaczona na 31 ub. m. z rektorem Uniwersytetu Łódzkiego uzgodniliśmy, że skazanie Suskiej będzie dogodną podstawą do rozwiązania z nią umowy o pracę z końcem roku akademickiego (jest ona asystentką w Zakładzie Filozofii Marksistowskiej UŁ).

Z Witoldem Sułkowskim i Jackiem Bierezinem dzielnicowi przeprowadzili kolejne rozmowy nakłaniając ich do podjęcia pracy zarobkowej. Sułkowski zaniepokojony rozmowami zwrócił się z pisemną prośbą do komendanta miejskiego MO w Łodzi o zaprzestanie dalszego tego typu nakłaniania.

Do pośrednio nękających działań zaliczyć należy rozmowę przeprowadzoną przez I sekretarza KD PZPR Łódź-Bałuty z ojcem **Andrzeja Warzechy**, w wyniku której jego syn zadeklarował odcięcie się od łódzkich „graczy”.

Innym przypadkiem działania nękającego jest niedopuszczenie do zatrudnienia w Teatrze Nowym w Łodzi **Haliny Mikołajskiej** z Warszawy, o co ta usilnie zabiegała u dyrektora teatru, **Kazimierza Dejmka**. Z naszej inicjatywy Wydział Kultury Urzędu m. Łodzi przekonał Dejmka, że zatrudnienie Mikołajskiej w Teatrze Nowym nie jest pożądane.

Związanemu z łódzkimi „graczami” **Bartoszewi Pietrzakowi** utrudniamy z kolei przyjęcie do Związku Polskich Artystów Fotografików. Zainicjowaliśmy ponadto w spółdzielczości mieszkaniowej czynności zmierzające do odebrania mu prawa do posiadania lokalu kategorii M-4 (z braku statutowych uprawnień) oraz rewindykację przez Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Łodzi części nie odpracowanego stypendium fundowanego.

Realizują program działań specjalnych w styczniu bieżącego roku w ramach operacji „list” przesłano 80 przesyłek, a w operacji „telefon” przeprowadzono 72 rozmowy. Operacjami tymi objęto również niektórych warszawskich „graczy”: **[Jacka] Kuronia**, **[Adama] Michnika**, **[Jerzego] Andrzejewskiego**, **Mikołajską**, **[Jana Józefa] Lipskiego**, **[Władysława] Siłę-Nowickiego**.

Oprócz powyższego przesyłki listowe wystosowano do Sejmu, C[entralnej] R[ady] Z[wiązków] Z[awodowych], Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz redakcji „Trybuny Ludu”, „Głosu Pracy” i „Polityki”.

Oceniając efekty działań nękająco-represyjnych i operacji specjalnych w omawianym okresie należy stwierdzić, że przynoszą one zakładane korzyści operacyjne. W wyniku operacji „telefon” obserwowaliśmy narastanie atmosfery zdenerwowania, wzajemnej podejrzliwości i zmęczenia łódzkich „graczy”. Szczególnie wyraźnie widać to po zachowaniu **Włodzimierza Gromca**, który na wszystkie nasze telefony reagował w gwałtowny sposób używając słów wulgarnych. [...] Utrzymuje on także, że jest na każdym kroku śledzony, choć od dłuższego czasu nie była prowadzona za nim obserwacja. Gwałtowną reakcję wywołał telegram o chorobie matki (mieszka na Śląsku), otrzymany w dzień sylwestrowy. Po telefonicznym sprawdzeniu, że telegram jest fałszywy, zdenerwował się do tego stopnia, że zrezygnował z zabawy noworocznej i pozostał w domu w obawie przed ewentualnym włamaniem i dokonaniem rewizji przez służbę bezpieczeństwa. Jego podejrzliwość wzrosła do tego stopnia, że o współpracy ze służbą bezpieczeństwa zaczął pomawiać miejscowego roznosiela mleka. Ten stan zdenerwowania i podejrzliwości udzielił się także jego żonie.

Poważne przygnębienie z powodu operacji „list” i „telefon” wykazują nadal Zdzisław Jaskuła i jego żona. W szczególnej depresji psychicznej jest Jaskuła, który podejrzewa o współpracę ze służbą bezpieczeństwa nawet najbliższych swych kolegów.

Należy podkreślić, że część naszych telefonicznych rozmówców po usłyszeniu nieznanym sobie głosów odkładała słuchawki z oznakami mniej lub bardziej okazywanego zirytowania. Rozmowy takie, zwłaszcza w godzinach nocnych, miały szczególnie skuteczny walor działania nękającego.

Także operacja „list”, o ile dotyczyła uchybień moralnych w pożyciu małżeńskim, wywoływała u żon „graczy” zamierzone przez nas reperkusje. Podnoszona w tej operacji sprawa przywłaszczania pieniędzy pochodzących z funduszków „graczy” wzbudzała objawy podejrzliwości co do form dysponowania gotówką. Podejrzliwości tych nie rozwiewa nawet przeświadczenie niektórych osób, że za „telefonami” i „listami” kryją się działania służby bezpieczeństwa.

Prowadzone obie operacje powodują także pogłębianie nieufności i wzajemnych animozji w miejscach pracy „graczy”. Przykładowo wymienić tu można **Andrzeja Woźnickiego**, którego w listach utwierdzono w przeświadczeniu, że w pracy jest otoczony nieprzyjawnymi osobami, które dążą do pomniejszenia jego wartości zawodowej [...].

W szczególny sposób natomiast zareagował na anonimowy list Karol Głogowski. W dniu 23 lub 24 stycznia otrzymał on do wiadomości list podpisany: „robotnicy zakładów „Zenit” i zakładów im. Obrońców Pokoju”, w którym ostrzega się osoby znane z opozycyjnych postaw przed antysocjalistyczną działalnością. Głogowski uznał, że list stanowi groźbę skierowaną przeciwko niemu i w związku z tym, po naradzie ze Śreniowskim i Biezezinem, postanowił z treścią tego listu zapoznać robotników z wymienionych zakładów. Realizując ten zamiar dnia 26 stycznia między godziną 13.00 a 13.30, tj. na styku zmian, począł rozdawać przed Zakładami Przemysłu Pończoszniczego „Zenit” opracowany przez siebie dokument (przytoczył w nim również treść otrzymanego listu), w którym wzywał robotników do potępienia „karalnego procederu gróźb i zniesławiania obywateli”. Dotychczasowe ustalenia wskazują, że Głogowski rozdał siedem egzemplarzy swego pisma (wszystkie te egzemplarze zabezpieczyliśmy). Wydarzenie to trwało kilka minut i nie spowodowało zakłóceń zarówno przed zakładem, jak i wewnątrz zakładu. Drogą pocztową przesłał również to pismo do Rady Zakładowej ZPP „Zenit”. Nie stwierdzono kolportażu tego pisma przez głogowskiego przed Zakładami Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju.

W dniu 27 stycznia, po konsultacji z Prokuraturą Wojewódzką w Łodzi i po uzyskaniu akceptacji I sekretarza K[omitetu] Ł[ódzkiego] PZPR, przeprowadziliśmy przeszukanie w mieszkaniu Głogowskiego. Jako powód przeszukania wykorzystaliśmy fakt prowadzenia sprawy krypt[onim] „Fotograf”. Podczas przeszukania zakwestionowano 27 różnych dokumentów, wśród nich 13 egzemplarzy pisma rozdawanego przed zakładami „Zenit”. Przeszukanie zakończono rozmową ostrzegawczą, uprzedzając Głogowskiego, że za ponowna próbę kolportażu tego rodzaju dokumentów zostanie pociągnięty do odpowiedzialności karnej.

Dobre efekty przyniosły nasze działania prowadzone w stosunku do **Józefa Piaska**. W czasie kilku z nim spotkań (funkcjonariusz służby bezpieczeństwa występował jako przedstawiciel „graczy”) utwierdziliśmy go w przekonaniu, że niewielka pomoc, jaką otrzymał (bardzo skromna paczka oraz 200 zł, które dostał od nas), wynika z przywłaszczenia pieniędzy przez niektórych „graczy”. Przeprowadzona została poza tym oficjalna rozmowa w komendzie dzielnicowej MO z żoną Piaska, której powiedziano, że utrzymywanie przez jej męża kontaktów z elementem podejrzanym milicyjnie („gracze”) nie przyniesie mężowi korzyści. Efektem tej rozmowy było stanowcze stwierdzenie żony Piaska, że każdego „gracza”, który pojawi się w przyszłości w ich domu, wyrzuci za drzwi. Jej mąż natomiast wystosuje do J[erzego] Andrzejewskiego list, w którym napisze, co myśli o Śreniowskim i innych „graczach”.

Należy dodać, że w czasie rozmowy w KD MO zapewniliśmy żonę Piaska, że spowodujemy przez Wydział Zdrowia i Opieki Społecznej Urzędu m. Łodzi uzyskanie pracy przez jej męża, co poprawi ich sytuację materialną (Piasek pobiera rentę chorobową). Czynności w tym kierunku już zostały podjęte.

W ostatnich dniach stycznia środowisko łódzkich „graczy“ wykazywało znaczne ożywienie i zaabsorbowanie sprawami Zdzisława Jaskuły i Mirosławy Suskiej. Rozprawa rewizyjna Jaskuły ma się odbyć w lutym. Rozpatrzenie sprawy Suskiej wyznaczone zostało na 31 stycznia. Jednak z powodu niestawienia się jednego ze świadków (przebywa w sanatorium) zostanie wyznaczony nowy termin rozpatrzenia sprawy. W związku z obu sprawami obserwowaliśmy mobilizację wysiłków na rzecz obrony, powoływania świadków, poszukiwania taktyki zbijania zarzutów i zaciągania porad prawnych. W wyniku jednak naszego przeciwdziałania oraz wpływu na dobór składu orzekającego należy zakładać, że obciążające obie osoby fakty zostaną poddane należytemu osądowi.

Z[ASTĘP]CA KOMENDANTA MIEJSKIEGO MO
DS. SŁUŻBY BEZPIECZEŃSTWA W ŁODZI

PŁK MGR J[AN] JASIŃSKI

Do druku wybrał i opracował Leszek Próchniak.

Łodzianie

Córka swoich rodziców

Nika Strzemińska (1936 - 2001)

Krystyna Krygierowa

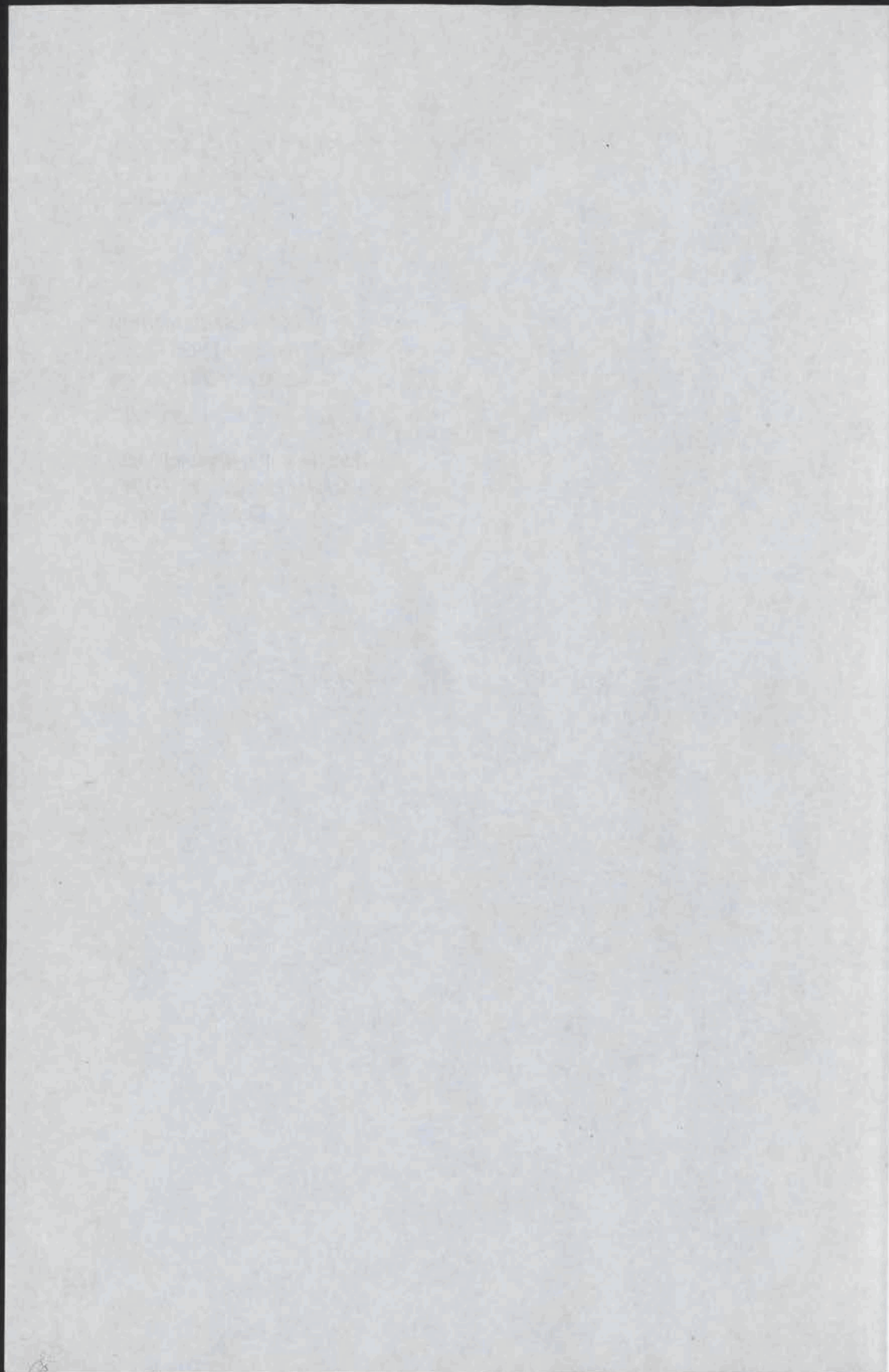
str. 163

Historia komunistycznej hańby

Tadeusz Łabędzki (1917-1946)

Stefan Niesiołowski

str. 166



Córka swoich rodziców

Nika Strzemińska (1936 - 2001)

Nika Strzemińska (zmarła 13 października 2001) za życia robiła wszystko, aby wzmocnić, a potem utrwalić pamięć o niezwyklej twórczości swoich rodziców. Jak nikt inny znała ich niełatwe życie. Urodziła się w 1936 roku, kiedy stabilizacja egzystencji Strzemińskich trwała już blisko 20 lat. Niestety, przyszła wojna 1939 roku i wszystko co dobre się skończyło. Skończyła się możliwość tworzenia. Skończyła się także miłość tych dwojga. Kilkuletnie dziecko było świadkiem walki o codzienność, wzrastających nieporozumień, a potem chorób – najpierw matki, a potem ojca. Powojenne życie ojca było oczywiście nieporównanie łatwiejsze niż matki. W PWSSP był ceniony przez kolegów – dydaktyków, ubóstwiany przez studentów ale i nienawidzony przez większość artystów. Później wyrzucony z uczelni przez komunistycznych ideologów, pracował ciężko jako dekorator witryn sklepowych, rozchorował się i przebywał w szpitalu gruźliczym na Chojnach. Wciąż otaczali go byli studenci i przyjaciele, którzy towarzyszyli mu aż do śmierci.



rodzianie

Nika skontaktowała się z moją rodziną po okrutnej chorobie i śmierci matki, której była najtroskliwszą pielęgniarką. Z czasem zaprzyjaźniła się jeszcze bardziej z nami, a zwłaszcza z naszą córką Moniką. Można powiedzieć, że pomagała nam obojgu pracującym wychowywać dziecko. Nic dziwnego, że Monika zachowała serdeczne uczucia do Niki, a króliczka – zabawkę, którą od niej otrzymała przechowuje do dzisiaj. Zabawkę tę wykonała w czasie okupacyjnej biedy matka Niki – wielka artystka Katarzyna Kobro.

Nika ukończyła studia medyczne w Łodzi. Przez wiele lat specjalizowała się w psychiatrii. Później pływała jako lekarz okrętowy. Na tankowcu „Zawrat” zaczęła pisać wspomnienia o swych rodzicach. Gorzkie o ojcu, serdeczne i współczujące o matce, bardzo osobiście analizujące twórczość obojga.

Po zakończeniu pracy na morzu zajęła się wydawaniem swoich wspomnień o rodzicach, również po włosku. Pomagali jej w tym państwo Scheiwillerowie z Mediolanu i wielu ludzi dobrej woli. Był to jednak głównie jej wysiłek, gdyż córce najbardziej zależało na sprawiedliwej ocenie rodziców – wielkich europejskich twórców.

W roku 1990 Nika własnym kosztem – na cmentarzu prawosławnym na Dołach – wzniosła nagrobek matce, a w roku 1998 również na własny koszt zleciła konserwację nagrobku ojca na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej. Pomnik – nagrobek wzniesiony w latach 1961-62 uległ dewastacji. Prace konserwatorskie wymagały użycia ciężkiego sprzętu, co oczywiście wpłynęło na wysokość kosztów konserwacji. Wspominam o tym dlatego, że niektóre środowiska błędnie przypisywały troskę o groby Strzeмиńskich nie córce, ale zupełnie innym osobom lub instytucjom.

Miałam możliwość obserwowania narastającego u Niki zrozumienia źródeł konfliktu między rodzicami, tragedii dwojga genialnych artystów nie będących w stanie poradzić sobie z problemami życia codziennego – najpierw podczas okupacji – prześladowania ich sztuki przez Niemców, a po wojnie przez piewców socrealizmu. Najbardziej tragiczne wspomnienia o rodzicach są zawarte w książce pt. „Miłość, sztuka i nienawiść”. Nie ukrywam, że często, aby zmienić niechętny stosunek Niki do ojca uświadamiałam jej, że życie rodziców w okresie międzywojennym, ustabilizowane materialnie, choć skromne przebiegało w sposób idealny. Twórczość wynikająca z podobnych poglądów na sztukę, a mimo tego odrębna u obojga, wspólne redagowanie i opracowanie graficzne wydawnictw plastycznych, kontakty ze światem artystycznym Zachodu, w wyniku których miały miejsce dary wybitnych artystów dla Łódzkiego Muzeum Sztuki – to suma twórczego życia Strzeмиńskich.

Już nie wspomnę o wspólnej pracy obojga przy organizowaniu tegoż muzeum. Czym było kilka lat powojennej wrogości i ciężkiego życia w porównaniu z blisko dwudziestoma latami szczęścia osobistego, niesłychanej płodności artystycznej, wzmacniania i utrwalania pozycji sztuki polskiej? Wszystko to jest już na trwałe związane z Kobro i Strzeмиńskim.

Gdyby Nika żyła dłużej – pewnie by o tym mówiła i pisała.

W okresie swej ciężkiej choroby Nika prosiła mnie, abym opublikowała historię ogromnej krzywdy jakiej doznał jej ojciec od niektórych łódzkich plastyków, którzy doprowadzili do zniszczenia płaskorzeźby pt. „Wyzysk kolonialny”. Płaskorzeźbę tę zaprojektował Strzeмиński, wykonali zaś Stefan Krygier i Edward Nowicki. Zdobiła kawiarnię „Egzotyczna” przy ul. Piotrkowskiej, obok Pasażu Schillera. Bezwzględna komisja z łódzkiego ZPAP zdecydowała o zniszczeniu dzieła. Zbiegiem okoliczności nikt z jej składu nie należał do zdolnych i wybijających się plastyków. Sami nie zostawili po sobie żadnych znaczących wykonań. Byli okrutni w stosunku do artysty – twórcy płaskorzeźby. Na nic się zdały argumenty spoza komisji, m. in. prof. Stefana Wegnera, że jest to ostatnie dzieło umierającego artysty.

Nie pomogła też wypowiedź wykonawcy, który wiedziony wyobraźnią proponował zakryć płaskorzeźbę kotarą miast ją zbijać. „Przyjdą inne czasy, inne gusta, a więc i poglądy na sztukę się zmienią” – argumentował. Komisja okazała się głucha i bezwzględna. Mali nie dopuścili do istnienia wielkich. Ukarano również Krygiera – za udział w realizacji dzieła i ujawnienie całej tej kompromitującej środowisko plastyczne

sprawy – nie przyjmowano go do ZPAP aż do roku 1962 – podanie o przyjęcie złożył w 1956 roku.

Nika poznała tę historię ode mnie i ze wskazanego przeze mnie artykułu Juliana Przybosia. Pamiętała ona o rodzicach nie tylko jako o najbliższej rodzinie, ale



rodzianie

przede wszystkim jako o artystach. Cenię to w niej niesłychanie. Mimo, że sama nie była artystką, a lekarzem – potrafiła docenić wyniki ich twórczości. Z dystansem, po latach i sama już niemłoda umiała współczuć poszkodowanym w czasach okupacji, piętnowanym w latach pięćdziesiątych, uznawanych za wielkich twórców na świecie i wreszcie docenianych nawet w Polsce.

Łódź ma uczelnię artystyczną im. Władysława Strzemińskiego i skromną uliczkę jego imienia. Na budynku, w którym mieszkali Strzemińscy umieszczono pamiątkową tablicę. W dalszym ciągu brakuje ulicy im. Katarzyny Kobro – wiem, że rektor ASP prof. Stanisław Łabęcki wystąpił z taką propozycją, ale jak dotąd zabrakło realizacji.

Najbardziej boleję wszakże nad brakiem popularności tych dwojga wielkich artystów wśród mieszkańców Łodzi, niewielką wiedzą o nich wśród młodzieży, nawet wśród studentów łódzkiej ASP. Znacznie większa jest wiedza o Strzemińskich za granicą – miałam okazję przekonać się o tym w Belgii podczas festiwalu Europalia 2001. Wiem, że dyrektor Muzeum Sztuki w Łodzi – Mirosław Borusiewicz i Dyrektor Miejskiej Galerii Sztuki – Elżbieta Fuchsowa mają zamiar opracować popularny album o sztuce Strzemińskich. Może wspólnym wysiłkiem uda się to zrealizować.

Na koniec, jakby dla potwierdzenia, że słowa nakreślone przeze mnie są zgodne z wolą Niki, przytaczam dedykację napisaną dla mnie w książce Janusza Zagrodzkiego pt. „Katarzyna Kobro – kompozycja przestrzeni”:

„Krystynie z wyrazami żalu, że nie miała okazji tak zaprzyjaźnić się z moją Matką, jak była zaprzyjaźniona z moim Ojcem”. Łódź, 28. VII. 84 – Nika Strzemińska

Krystyna Krygierowa

– architekt. Publicystka z zakresu architektury i plastyki.

Historia komunistycznej hańby

Tadeusz Łabędzki (1917-1946)



Tadeusz Łabędzki był bratem mojej matki Haliny Łabędzkiej i jednocześnie moim ojcem chrzestnym. Na moim chrzcie nie mógł już być obecny, bo wcześniej został zamordowany w budynku Ministerstwa Bezpieczeństwa Wewnętrznego na ulicy Koszykowej w Warszawie. Ale tego w chwili chrztu rodzina jeszcze nie wiedziała. W aktach zabytkowego modrzewiowego kościółka parafii w podłódzkich Mileszkach, zapisano go jako ojca chrzestnego i tak zostało we wszystkich metrykach. Znaczną część swojego krótkiego tragicznie przerwane życie przeżył w naszym mieście, albo w położonej niedaleko Brzezin miejscowości Mroga Dolna. W Łodzi

na cmentarzu na Dołach znajduje się jego symboliczny grób – pro memoria, bo prawdziwego po dziś dzień nie udało nam się odszukać.

Tadeusz Łabędzki urodził się 23 grudnia 1917 roku w roku Filadelfii w Stanach Zjednoczonych. Do Ameryki uciekł z syberyjskiego zesłania jego ojciec, a mój dziadek Bronisław Łabędzki skazany przez władze carskie za działalność patriotyczną i organizowanie strajku szkolnego w Łęczycy w 1905 roku. Według rodzinnej tradycji rodzina Łabędzkich wywodziła się z Niemiec i podobno nosiła przed przybyciem do Polski nazwisko Schwann, czyli Łabędź. Dokumentacja urywa się na Antonim Łabędzkim w pierwszej połowie XIX wieku, a więc musieli przybyć jeszcze wcześniej, być może razem z towarzyszącymi dynastii Wettynów Sasami i dlatego niemiecki rodowód Łabędzkich nie jest udokumentowany. Jednak przekazywana z pokolenia na pokolenie ustna tradycja musiała mieć chyba jakieś podstawy. Była bowiem w Łabędzkich „niemiecka” solidność, punktualność, dokładność, staranność we wszystkim co robili, mówili, planowali. Nie wiem czy sprawiła to atrakcyjność polskiej kultury, siła i piękno

katolickiej religii, czy jeszcze coś innego, w każdym razie Bronisław Łabędzki był polskim patriotą – szczególnie wyczulonym na zagrożenie rusyfikacją i germanizacją – związany z ideami narodowymi sformułowanymi w końcu XIX i na początku XX wieku najpełniej przez Romana Dmowskiego. Ukończył w 1899 roku Seminarium Nauczycielskie w Łęczycy i uczył w szkołach w Morawinie koło Kalisza i w Leśmierzu koło Łęczycy. Zwolniony z pracy z powodu organizowania tajnego nauczania zakłada księgarnię, która staje się punktem kolportażowym podziemnej prasy i literatury. Wiele lat później tak napisze Dionizy Majewski wieloletni pedagog, a wówczas jeden z uczniów i organizatorów strajków szkolnych: „*Drogą podziemną dochodziły do nas głosy zwolenników czynnego wystąpienia młodzieży, a źródłem, z którego stale i nieodmiennie czerpaliśmy te wiadomości i argumenty, był dawny nauczyciel i absolwent naszego seminarium, kolega Bronisław Łabędzki. Piękna niezapomniana postać*”. (D. Majewski, „Wspomnienia nauczyciela 1893-1945”, Wrocław, 1959r.).

W 1907 roku Bronisław Łabędzki został aresztowany, a w 1908 wywieziony zgodnie z wyrokiem „*na czas nieokreślony*” w okolice Czelabińska na Uralu, czyli jak wielu innych polskich patriotów walczących o wolność i niepodległość zesłany na Sybir. Dziadek opowiadał jak podróżował z grupą więźniów kupując jedzenie w restauracjach za własne pieniądze. Zesłańcy byli otoczeni sympatią i pomocą ze strony rosyjskich rodzin, polityczni mieli swoje prawa, które wszyscy, oczywiście także władze carskiej Rosji, szanowali. To nie był Archipelag Gułag, a rządzący Rosją Romanowowie nie mieli nic z bolszewickiego okrucieństwa, chodziło tylko o izolowanie przeciwników i pozbawienie ich możliwości działania – to wszystko. Na wielkim terenie wielkości mniej więcej obecnego województwa, mogli poruszać się i robić co chcieli. Nie było to radosne, ale jednak nieporównywalne do tragicznych losów zesłańców podczas II wojny światowej. Opowiadania dziadka o Syberii pamiętam bardzo dobrze, to było już w domu na Kilińskiego, zwłaszcza zimą przy ciepłym białym kaflowym piecu słuchało się o mrozie dochodzącym do 50 stopni, zaspach, lodzie i stadach wilków.

Z Syberii dziadek uciekł, a właściwie przejechał na fałszywych papierach, przez Warszawę, Galicję i Niemcy do Ameryki. Te papiery dostał od starego zesłańca jeszcze z Powstania Styczniowego, który po odbyciu całej kary nie miał już sił, ani chęci uciekać. Twierdził jedynie, że to dziadek ma szansę doczekać się Wolnej Polski. Sam prosił tylko o modlitwę i pamięć. W jakimś stopniu wszyscy w rodzinie zawdzięczamy mu to, że jesteśmy, że tak ułożyły się nasze losy. Nigdy o tym zesłańcu nie zapomnimy, chociaż nie wiemy o nim nic więcej.

W Filadelfii przebywali już brat dziadka Antoni, który uciekł zandarmom z konwoju jeszcze na terenie Królestwa Kongresowego oraz szwagier Piotr Kulpiński. W 1908 roku z Polski przyjechała do Filadelfii naręczona Bronisława Łabędzkiego, Stefania Jezierska. Ślub wzięli w polskim kościele, ale nie zachowała się żadna fotografia z tego okresu. Nie wiem czy w ogóle w biednych rodzinach emigrantów robiło się wówczas zdjęcia.

Zaczynał się amerykański rozdział rodzinnej historii. Nic przecież nie zapowiadało powstania niepodległej Polski. Z Europy napływały tylko złe wiadomości, Polska kurczyła się coraz bardziej etnograficznie, a europejskie mocarstwa przyzwyczaiły się do tego, że „problem polski” jest wewnętrznym problemem rosyjskim. Wszystko wskazywało na to, że nawet wojna doprowadzi co najwyżej do zmiany granic zaborów, może większej autonomii niektórych prowincji, odrodzenia polskiego samorządu i przedsiębiorczości. Piotr Kulpiński prowadził piekarnię, Bronisław Łabędzki zajmował się rachunkowością, organizował liczną filadelfijską Polonię skupioną przy miejscowym kościele Świętego Władysława. W Filadelfii urodziło się dwóch synów Bronisława. W 1914 roku Kazimierz, który zachorował za nieuleczalną wówczas chorobę Heinego – Medina i sparaliżowany z jedną tylko sprawną ręką całe życie przeżył w wózku inwalidzkim. Był człowiekiem wyjątkowej prawości, głębokiej wiary i autentycznej pobożności. Nie wiem co myślał o swojej chorobie i swoim życiu, ale był dowodem na to, że można zrobić bardzo wiele dobrego mając tak mało zdrowia. Nie skarżył się, nie narzekał nigdy, zawsze pogodny, chętny do pomocy, uśmiechnięty, myślę, że był jednym z tych nieznanym małych świętych, potwierdzających boskie dziedzictwo człowieka. W roku 1917 urodził się Tadeusz.

I nagle stał się listopadowy cud, upadły wszystkie trzy rozbiorowe mocarstwa, w Warszawie powstał polski rząd, armie zaborców zostały przepędzone, a polskie wojsko rozpoczęło walkę w obronie granic odrodzonego państwa. Z Łęczycy przysły listy z opisem tego, co się dzieje w kraju i z wezwaniem – wracajcie do domu. Nie było wątpliwości, w 1919 rodzina Łabędzkich wsiadła na statek płynący do Gdańska, do Wolnej Polski. To była ta właśnie generacja „urodzona w niewoli, zakuta w powiciu”, która w przeciwieństwie do autora tych słów doczekała niepodległości. Do Łęczycy dojechali w styczniu 1920 roku, w tym samym miesiącu urodziła się moja mama, najmłodsze dziecko i jedyna córka, w rodzinie żartowaliśmy, że gdyby statek płynął trochę wolniej urodziłaby się na okręcie i miała bezpłatny bilet na wszystkie statki pasażerskie świata. Dziadek za zaoszczędzone w Ameryce pieniądze kupił majątek Mroga Dolna, kilka kilometrów koło Rogowa, tam dorastał Tadeusz Łabędzki, który podobnie jak jego brat nie pamiętał Ameryki. Dla nich świat zaczynał się w Mrodzie.

Tadeusz szkołę średnią ukończył w Łodzi. Na zdjęciu do legitymacji szkolnej widać uśmiechniętego chłopca z ciemnymi, bystro patrzącymi, wesołymi oczami w szkolnej czapce i jakimś chyba szkolnym mundurku. Było to znane i do dziś jedno z najlepszych w Łodzi i w kraju gimnazjum im. Kopernika, słynny „Koper”. Tam też uzyskał maturę w 1936 roku i w tym samym roku zaczął studiować prawo na Uniwersytecie Warszawskim. Do Mrogi przyjeżdżał już tylko na wakacje. Od wczesnych lat związany najpierw ideowo, a potem także organizacyjnie ze Stronnictwem Narodowym, działał w Narodowej Organizacji Gimnazjalnej, a podczas studiów brał udział w antyrządowych manifestacjach młodzieżowych. Zatrzymanemu przez policję groziło nawet relegowanie z uczelni. Zachowała się opisujące tamte wydarzenia i związane z nimi

„represje” pocztówka pisana z Warszawy do Mrogi: „*Wyglądało groźnie, ale okazało się, że nie będzie tak źle. Kary mają być, ale nie za surowe, o żadnym wyrzucaniu już się nie mówi*”. Nikogo też nie wyrzucono i wszystko rozeszło się po kościach. To przecież była Wolna Polska, własny kraj, o którym pisał poeta, że został „wymyślony przez poetów co maczali pióra w gorzkim inkauscie krwi i łez”. Nie wyrzucano z uczelni patriotycznych studentów za to, że mieli inne zdanie niż niektóre polskie rządy, których dobrej woli i patriotyzmu także nikt uczciwy nie może kwestionować. Dla Mariana Hemara tamta Polska to był po prostu – *szczęśliwy, krótki sen*.

W 1937 roku Tadeusz Łabędzki został redaktorem naczelnym „Wszepocholaka”, pisma organizacji „Młodzież Wszepocholska – Związek Akademicki”. W 66 numerze „Wszepocholaka” z dnia 22-29 01 1939 mający zaledwie 21 lat redaktor naczelny pisał w artykule poświęconym pamięci Romana Dmowskiego: „... są rzeczy wyższe niż życie jednostki, każące umieć żyć i umieć umierać... dla Polski”. Dziś historyczne nazwy „Stronnictwo Narodowe”, „Młodzież Wszepocholska”, „Wszepocholak” są bezpodstawnie wykorzystywane przez ludzi, nie mających nic wspólnego z patriotyzmem, historycznymi zasługami i ideami – z którymi związany był Tadeusz Łabędzki – ludzi Polsce szkodzących, kompromitujących idee narodowe, ograniczonych, gruboskórnych nieuków, prostaków i szowinistów. Bo cóż wspólnego z życiem i umiarem dla Polski mają „najprawdziwsi Polacy” powtarzający do znudzenia swoje wymyślone groźby i kłamstwa mające odepchnąć Polskę od Zachodu, straszący kolejnym piątym czy szóstym rozbiorem, Unią Europejską, która ma być nawet gorsza niż Polska Ludowa i Związek Sowiecki razem wzięci? Dzisiaj tamtymi znakami, tytułami i symbolami osłaniają swoje machinacje i podejrzone życiorysy szkodnicy i demagodzy – często uprzednio wysługujący się komunistom – niezdolni do rozumnej refleksji nad rzeczywistością, lub najprawdopodobniej zwyczajni agenci.

W czarny piątek 1 września 1939 roku zakończył się „szczęśliwy krótki sen” – początkowo wydawało się, że na chwilę, że przecież nas tak nie zostawia, że tak nie może być, że wygramy siłą naszej racji i potęgą naszych sojuszników, a okazać się miało, że na lat 50, na zawsze. Hitler napadł na Polskę, rozpoczynała się wojna, bohaterski polski opór nie mógł powstrzymać druzgoczącej przewagi zajmującego nasze ziemie Wehrmachtu. Trzeciego września cała rodzina stała pod polskim i brytyjskim sztandarem w dużym pokoju na parterze. Właśnie Radio „Warszawa” podało, że Anglia wypowiedziała wojnę Niemcom. Nie przegramy! Dziadek powiedział, że Anglia jeszcze nigdy nie przegrała wojny, a teraz jest naszym sojusznikiem więc nie mamy się czego bać, nie przegramy, nie możemy przegrać. Anglia nie..... A potem odchodziły na wschód pobite wycieńczone wojska, niektórzy żołnierze przychodzili do Mrogi, prosili o wodę, pytali o to kiedy nadejdzie pomoc, bo jest tak strasznie ciężko, a Niemcy mają tyle czołgów i samolotów. Potem była bitwa nad Bzurą, wkroczenie wojsk sowieckich 17 września, koniec wszelkich nadziei, kapitulacja Warszawy i okupacja. Wanda Kulpińska, córka Piotra Kulpińskiego, która akurat przyjechała do Mrogi z zamiarem pozostania

w Polsce, jako obywatelka USA z wielkimi trudnościami wyjechała przez Austrię i Włochy do Ameryki, Tadeusz i Kazimierz Łabędzcy jako urodzeni w USA także mogli wyjechać. Uznali jednak, że w takim momencie nie można przecież opuszczać Polski. Zostali. Führer wytyczył nową granicę Tysiącletniej Rzeszy, nawet zachował pewien umiar, mógł wcielić do Niemiec całą Polskę, a on utworzył Generalną Gubernię której, granica przebiegała akurat na rzece Mrodzie kilkaset metrów od domu. Mroga Dolna znalazła się więc w po stronie Rzeszy. Łabędzcy zostali wysiedleni do Generalnej Guberni, do majątku przyszedł niemiecki Treuhaender, zaczęła się tułaczka i nędza hitlerowskiej okupacji.

Tadeusz Łabędzki od początku włączył się do działań narodowej konspiracji jako współorganizator i jeden z przywódców Narodowo-Ludowej Organizacji Walki, będącej odłamem Stronnictwa Narodowego. Pod pseudonimami „Białynia” i „Jacek Białynia” pracował nad programem i pisał teksty do prasy podziemnej. Po serii podziałów i rozmów z udziałem między innymi takich działaczy SN jak; Janusz Kornas, Władysław Furka, Zygmunt Zagórowski, Janusz Gorceykowski utworzona została w 1943 roku jednolita organizacja „Młodzieży Wszechpolskiej”. Łabędzki stanął na czele Chorągwi Warszawskiej, najsilniejszej i najbardziej znaczącej ze wszystkich. Od roku 1943, a już na pewno w 1944 dla ludzi z narodowego podziemia nie ulegało wątpliwości, że Hitler wojnę przegrał i w tej sytuacji największym wrogiem i zagrożeniem dla Polski jest niedawny sojusznik Hitlera, Stalin i jego rodzima agentura.

A potem weszła Armia Czerwona. Tadeusz Łabędzki nie wyszedł z podziemia. Rozpoczął walkę z nowymi okupantami, w warunkach najtrudniejszych, w osamotnieniu, tym razem bez szans na pomoc i zainteresowanie wolnego świata. Zdjęcie w rodzinnym albumie, Kraków 1945, późna wiosna. Na składanym krześle siedzi Lechosław Roszkowski, a obok w ciemnej marynarce i rozpiętej koszuli stoi Tadeusz Łabędzki – o czym rozmawiają konspiratorzy ruchu narodowego? Tadeusz uśmiechnięty patrzy prosto w obiektyw, ma 28 lat i jeszcze rok życia przed sobą. Jest to chyba jego ostatnia zachowana fotografia. Leszek Roszkowski aresztowany razem z Tadeuszem Łabędzkim został skazany na śmierć i zamordowany. Był to czas, w którym antykomunistyczna konspiracja nie miała już żadnych szans wobec braku nadziei na poważniejszą pomoc z Zachodu, olbrzymiej przewagi wroga, mającego pełne poparcie Moskwy, rezygnacji coraz bardziej zniechęconego, zmęczonego, wykrwawionego społeczeństwa. Coraz bardziej chodziło już tylko o symboliczny opór, przedłużenie walki, przypominanie polskich praw, w obliczu fali przemocy, kłamstwa, podłości, terroru i nienawiści.

7 kwietnia 1946 roku Tadeusz Łabędzki po południu wyszedł z domu przy ulicy Kilińskiego 86. Typowe łódzkie wąskie, pozbawione słońca, wówczas brukowane podwórko, na końcu koło komórek dziś rozrośnięty klon, który pamiętam dobrze z dzieciństwa. To w piwnicy tego mieszkania, gdzie mieszkała rodziny Łabędzkich i Jezierskich, na początku lat sześćdziesiątych pod stertą węgla i miału znaleźliśmy

z bratem plik starych numerów „Wszepocholaka” ukrytych przez wujka Tadka przed ubekami, jak okazało się skutecznie. Na ścianie tego domu od strony ulicy Killińskiego znajduje się dziś tablica poświęcona pamięci Tadeusza i ostrzegająca przed komunizmem. Ma on także „swoją” ulicę, właściwie mały zaułek między blokami na Chojnach, tuż obok jest taki sam zaułek Leszka Roszkowskiego. Nie jest to może zbyt wiele. Jednak, gdy tak wielu bohaterów pozostało bezimiennych, o nich Łódź nie zapomniała.

Łabędzki wyszedł na spotkanie z Leszkiem Roszkowskim, w którego mieszkaniu na ulicy Gdańskiej został aresztowany, wpadając w tzw. kocioł, dobrze znany także mojemu pokoleniu z czasów antykomunistycznej organizacji „Ruch”, opozycji demokratycznej ROPCio i NSZZ „Solidarność” oraz podziemia stanu wojennego. Nie wiadomo czy był torturowany od razu w cieszącym się ponurą sławą gmachu UB na ul. Anstadta przez oprawców Mieczysława Moczała, czy też został przewieziony do Warszawy do centrali i oddany w ręce takich „specjalistów” jak: Dusza, Różański, Romkowski, Fejgin i inni. Na listy matki Stefanii Łabędzkiej przychodziły kłamliwe i wykrętne odpowiedzi w rodzaju: „*Biuro Prezydialne Krajowej Rady Narodowej do Łabędzkiej Stefanii. W odpowiedzi na list Ob.. komunikuję uprzejmie, iż Stanisław Łabędzki (drugie imię Tadeusza – przyp. S. N.) nie był zatrzymany na terenie Łodzi ani przez władze bezpieczeństwa ani przez organa MO. Wacław Barcikowski, Członek Prezydium KRN.*”, a Ministerstwo Sprawiedliwości uprzejmie informowało, że: „*Tadeusz Łabędzki nie jest notowany w rejestrze skazanych*”. Istotnie, w tym czasie był on już w innym „rejestrze”.

Dobrze pamiętam rozmowy rodziców z lat pięćdziesiątych, a może on żyje, a może został wywieziony do Rosji, jest gdzieś na Syberii, jak dziadek Broniek? W 1956 roku wracali repatrianci ze Związku Sowieckiego, rodzice chodzili do adwokatów i pisali pisma do Czerwonego Krzyża. Modliliśmy się o powrót wujka Tadka. Ale on nie żył już od dziesięciu lat, zamęczony, zamordowany, zakatowany w śledztwie, zaraz po aresztowaniu. Nie wydał nikogo, nie powiedział nic.

Dopiero niedawno udało się ustalić jak wyglądały ostatnie godziny życia Tadeusza. Jak zeznał w 1956 roku na procesie Józefa Różańskiego inny oprawca z UB Adam Adamuszek: „... *W gabinecie znajdował się Humer oraz kilku pracowników Departamentu III b. MBP, wszyscy stali wokół jakiegoś osobnika, który leżał na ziemi. Humer poinformował go (Różańskiego – przyp. S. N.), że leżący osobnik ujęty jako członek bandy NSZ – młodego PAS (Pogotowie Akcji Specjalnej – przyp. S. N.) – to Łabędzki. Różański podszedł do leżącego Łabędzkiego, szturchnął go nogą i powiedział „wstań”, Łabędzki dziwnie jakoś uśmiechnął się (wg oświadczenia Różańskiego uśmiech ten jakoś utkwił mu w pamięci), próbował wstać, ale nie był w stanie uczynić tego o własnych siłach. Obecni w gabinecie pomogli mu wstać i odprowadzili do aresztu*”. Uśmiechnął się, bo może widział już coś czego żaden morderca nie wyobraża sobie, że istnieje, bo może już nie czuł bólu, ani strachu i patrzył na wszystko z drugiego brzegu cierpienia? Bo może zrozumiał, że już dotychczasowi prześladowcy, którzy zadali mu tak wiele bólu nic więcej uczynić mu nie mogą i nic mu już nie grozi? Myślę,

że nieprzypadkowo ten uśmiech utkwił w pamięci sadystycznego oprawcy, jakim był Józef Róžański. Nic więcej nie udało się ustalić, a kilka godzin po tym przesłuchaniu Tadeusz Łabędzki nie żył. 10 listopada 1995 przed ukraińskim prokuratorem zeznawał jeden z ówczesnych pracowników UB, mieszkający w Łucku Bronisław Szymański, który powiedział: „Tadeusz Łabędzki był aresztowany mniej więcej w 1946 roku, być może później, już nie pamiętam. W śledztwie wynikało, że on okazał się lub był członkiem organizacji politycznej Stronnictwo Narodowe. Prowadzący śledztwo chcieli wydobyć z niego ujawnienie ośrodka kierowniczego SN i stosowali metody bicia. W rezultacie zmarł on wskutek niewydolności serca. Naczelnik wydziału Róžański kazał mi wziąć ciężarówkę i przetransportować ciało do miejsca pochówku. Byłem kierowcą, a resztę wykonywali ci sami ludzie, co przy aresztowaniu, ciało zostało zawieszona w lasy pod Otwockiem, ale dokładnie, gdzie zostało pogrzebane, nie wiem, ponieważ samochód stał przy drodze”. O zamordowanie Tadeusza Łabędzkiego oskarżony został Adam Humer, ale z tego akurat zarzutu uniewinniony „z braku dowodów winy”. Mimo wszystko był to jednak uczciwy proces, a Humer i tak został, chyba jako jedyny po 1989 roku oprawca z UB, skazany na karę bezwzględnego wieloletniego więzienia (12 lat za bicie i torturowanie więźniów). Umarł „na przepustce”, którą otrzymał ze względu na stan zdrowia. Przynajmniej wiadomo, że tym razem nie kłamał. Nie żyje już także Bronisław Szymański, którego nie wydano Polsce i umarł nie niepokojony w Łucku. Nikt już chyba nic więcej na ten temat nie powie. To już tyle lat.

Tadeusz Łabędzki leży gdzieś w podwarszawskich lasach, koło Otwocka, ma symboliczny grób, tablicę wmurowaną na ścianie domu, w którym mieszkał z matką i z którego wychodził na ostatnie spotkanie, nie wiedząc, że już cień mu osiadał nad głową i „własną” uliczkę na łódzkim osiedlu. To nie mało. Jest zapisany na zawsze w najnowszej historii Polski, którą budował poprzez pracę i walkę w najtrudniejszym chyba okresie historii najnowszej. Jest jednym z tych, którym nie było dane doczekać upadku komunizmu, niepodległości, wolności i demokracji, ale bez takich jak on nigdy by to się nie stało.

Stefan Niesiołowski

*– prof. UŁ, dr hab. nauk biologicznych, entomolog;
polityk, były poseł, publicysta*



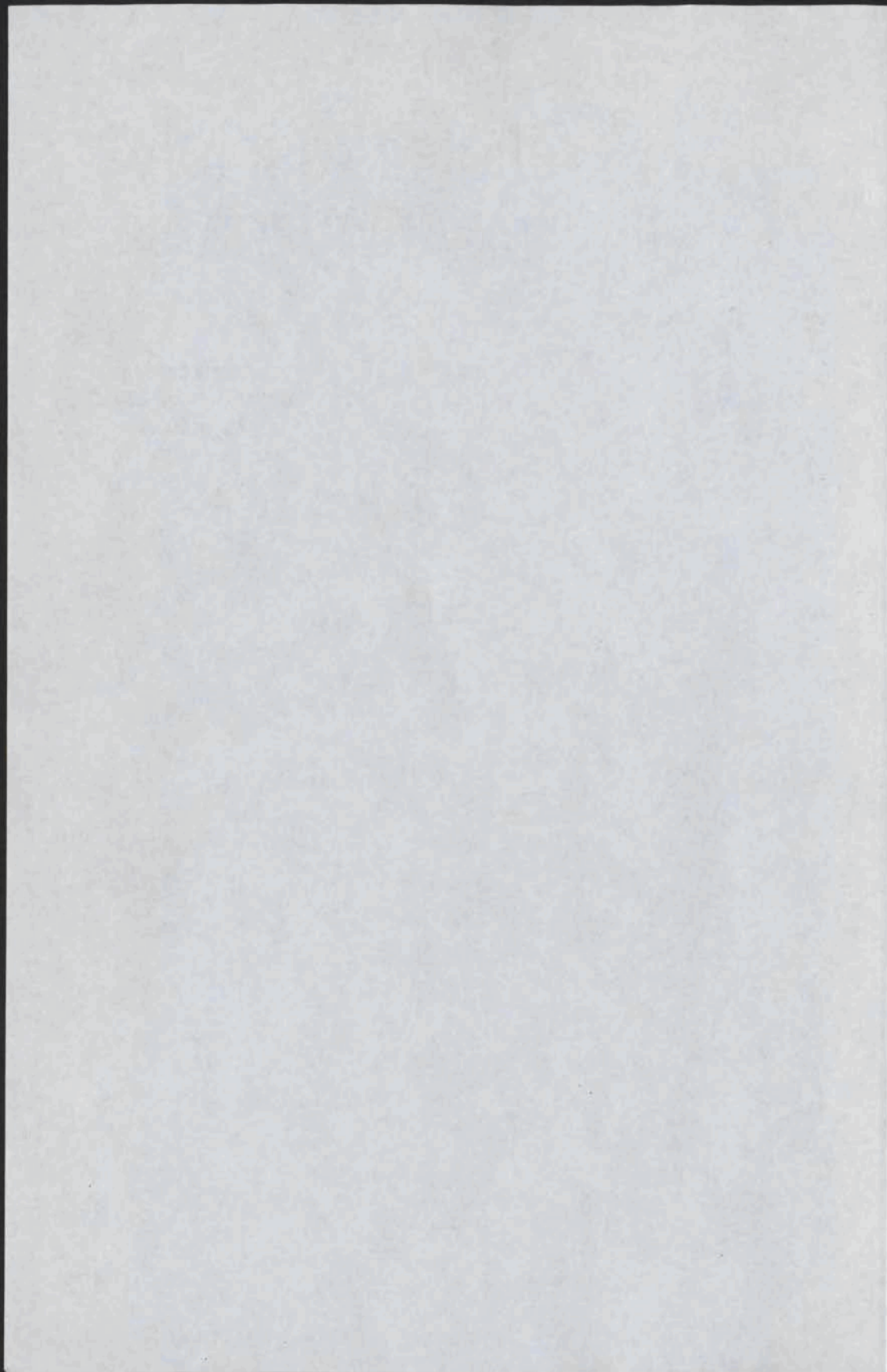
religie, kościoły, wyznania

Religia bez Boga

Ascetyczna reguła życia

Marek Budziarek

str. 175



Religia bez Boga

Ascetyczna reguła życia

Buddyzm jest nauczaniem człowieka, który znalazł absolutną mądrość dzięki medytacji, bez żadnego boskiego objawienia. Z tego powodu trudno bez zastrzeżeń uznać go za religię – nawet współczesny mistrz buddyzmu tybetańskiego XVII Karmapa Taje Dordze na pytanie, czy buddyzm jest religią, odpowiada, że jest on po prostu metodą. Jego podstawą stał się przekaz doświadczenia „istoty przebudzonej”, jaką był Budda.

Szukając wiecznej radości, szczęścia i mądrości

Siddhartha Gautama, przyszły Budda, przyszedł na świat około 560 roku p. n. Ch. w książęcej rodzinie zamieszkującej tereny obecnego Nepalu. Podobno po jego narodzeniu wróżbici mieli przepowiedzieć ojcu, że syn zostanie wielkim władcą lub buddą (człowiekiem, który osiągnął najwyższe oświecenie). Pragnąc zapobiec spełnieniu się przepowiedni, ojciec zapewnił mu życie w luksusie, ożenił młodego księcia i otoczył wszelkimi wygodami. Jednakże Gautama gardził luksusem dworskim. Wymykał się do pobliskiej miejscowości i za każdym razem spotykał symboliczne postacie: chorego, starca, zmarłego niesionego na stos oraz człowieka pogrążonego w medytacji. Spotkania te spowodowały w młodym człowieku wielki kryzys duchowy, w efekcie czego życie światowe przestało go interesować. Zaobserwowane cierpienie, przemijalność życia i śmierć sprawiły, że zaczął szukać metody ich przezwyciężenia. Porzucił więc dwór oraz rodzinę i wyruszył na poszukiwanie nieprzemijalnej radości, szczęścia i mądrości. Przebywał wśród braminów i joginów. W końcu sam odkrył tajemnicę cierpienia i doznał zupełnego przebudzenia.

Odrzuciwszy wszelkie prawdy objawione, Budda skupił się na technice zwanej medytacją. Nie polegała ona na intensywnym zastanawianiu się nad jakimś zagadnieniem, lecz była praktyką mającą na celu uspokojenie umysłu, które z kolei pozwalało wejrzeć w jego naturę. W umyśle uspokojonym pojawiał się dystans do wszystkiego, co się w nim wydarzyło (a każde nasze doświadczenie rozgrywa się w przestrzeni umysłu), co z kolei pozwalało na podjęcie właściwych wyborów i mądrego działania wynikającego z trzeźwej oceny sytuacji. W ten sposób medytacja, która zwykle kojarzyła się przeciętnemu Europejczykowi z ascezą i wycofaniem z życia, okazuje się metodą, która właśnie ma umożliwić jak najmądrzejsze wykorzystanie życia. Owa uzyskana dzięki medytacji życiowa mądrość w buddyzmie oznacza przede wszystkim pozbycie się własnych problemów, co z kolei prowadzi do dwóch rzeczy – do zdobycia umieję-

religie, kościoły, wyznania

ności mądrego pomagania innym oraz do wyzwolenia pierwotnego beczasowego potencjału radości umysłu. Stąd w buddyzmie podkreśla się naukę, iż najwyższą prawdą jest najwyższą radością.

Prawdziwa natura rzeczy

Początkowo uczniowie Buddy przyjmowali mnisi styl życia. Fakt ten – wbrew temu, co się zwykle sądzi – nie wiązał się z jakąś szczególną wartością duchową przypisywaną celibatowi. Praktyka buddyjska jest po prostu bardzo pracochłonna i wymaga wiele czasu. W tamtym okresie zaś założenie rodziny równoznaczne było z posiadaniem dużej ilości dzieci, co oczywiście uniemożliwiało znalezienie dostatecznej ilości czasu na medytację. Dziś problem ten w Europie nie występuje i 90% buddyzmu zachodniego to buddyzm świecki, dla ludzi, którzy zakładają rodziny, normalnie pracują, a myśl o życiu klasztornym wydaje im się co najmniej dziwna.

Warto również dodać, że wbrew lansowanym opiniom o niższości kobiet w buddyzmie, to właśnie kobieta jest w tym systemie symbolem mądrości. Mężczyzna zaś kojarzony jest głównie z aktywnością, która bez żeńskiej mądrości nie miałaby sensu. Również oświecenie w najwyższych naukach Buddy opisuje się jako zjednoczenie pierwiastka żeńskiego i męskiego. Fakt, że w niektórych pismach buddyjskich kobieta nie jest ukazana w najlepszym świetle, tłumaczy to, że ich autorami i byli przeważnie mnisi, którzy – czując się zapewne niezbyt komfortowo w swojej roli – odczuwali potrzebę dowodzenia wyższości swej pozycji.

Z braminizmem i hinduizmem łączy buddyzm nauka o reinkarnacji. Poszczególne istoty po swojej śmierci odżywają na nowo w innym, odpowiednim do wartości ich uczynków ciele. Jednakże buddyzm różni się zasadniczo od tych indyjskich religii całkowitym brakiem powoływania się na jakiegokolwiek boga. Tak zwane prawo karmy tłumaczące takie a nie inne odrodzenie przypomina raczej bezosobowe prawa natury, które rozciągnięte zostało na okres dłuższy niż jedno życie. Słowo „karma”, obrosłe na Zachodzie niejasnym mistycyzmem, oznacza po prostu działanie, a więc drogę od pewnej przyczyny do właściwego jej skutku. Dlatego też pozytywne działania owocują przyszłym szczęściem, negatywne cierpieniem. Prawo karmy nie jest zatem ustaleniem jakiegoś boga, lecz regułą działania rzeczy podobną prawu, że woda wrze w temperaturze 100 stopni. Dlatego nie ma tu ani kultu, ani dogmatyki a sam Budda nie był ani prorokiem, ani zbawcą. Był jedynie człowiekiem, który sam potrafił znaleźć sens swojego życia tylko dlatego, że umiał odkryć zasady funkcjonowania rzeczywistości. Dlatego buddyjskie „dharma” to po prostu „rzeczy jakimi są”.

Twórcy systemu nie traktowano jako istoty, do której można zanościć modlitewne prośby. Dlatego o kulcie w buddyzmie niewiele można powiedzieć, nie ma tu bowiem nikogo, kto mógłby być jego przedmiotem. Praktyka buddyjska obejmuje przede wszystkim studiowanie nauk, medytację oraz praktyczne działanie wynikające ze zrozumienia nauki i rozwoju spowodowanego medytacją. Dla bardzo żarliwych

buddystów praktyka obejmuje również wspomnianie wydarzeń z życia Buddy. Buddyzm odrzuca rytuał ofiarny. Bardzo tradycyjne formy buddyzmu, które nie cieszą się zbytnim powodzeniem na Zachodzie, obejmują również śpiewane medytacje zwane pudżami.

Interpretacje nauki Buddy

Doktryna Buddy w swym historycznym rozwoju nabrała rozmaitych odcieni. Początkowo przekazywano ją ustnie. Dopiero w 253 roku p. n. Ch., podczas trzeciego zgromadzenia uczniów Buddy, opracowano teksty *therawady*, czyli „poglądu starych”.

Ten kanon ostatecznie spisano w I wieku p. n. Ch. w języku pali. Ta pierwotna, surowa a elitarna postać buddyzmu, była ateistyczna, jako że nie przyjmowała istnienia Boga. Akceptowała zaś *nirwanę*, jako swój najdoskonalszy cel (na dwóch wyższych poziomach nauk określa się go jednak jako tzw. „małą nirwanę”). Praktyki obejmowały tu surową ascezę zmierzającą do całkowitego wyniszczenia szeroko rozumianego pożądania. Inną często stosowaną nazwą jest w tym przypadku *hinajana* („mały wóz”, albo „buddyzm południowy”). Szkoła ta funkcjonuje przede wszystkim na Cejlonie i w Birnie.

Poza nią, na początku naszej ery pojawiła się szersza interpretacja buddyzmu. Uzupełniła ona pisemną tradycję nauczaniem przekazanym ustnie przez Buddę jego najwierniejszym uczniom. *Mahajana*, czyli „wielki wóz” lub „buddyzm północny”, koncentruje swe nauki głównie na rozwijaniu mądrości i współczucia (współczucie oznacza tu aktywność dla dobra innych, nie litość), które stają się celem praktyki. Bardzo podkreśla się tu motywację przynoszenia pożytku innym. Nauki te rozwijały się przede wszystkim wzdłuż „jedwabnego szlaku”, opanowały Chiny, a stamtąd przeniosły się do Wietnamu, Korei i Japonii.

Wreszcie około VII wieku z *mahajany* wyodrębniła się trzecia forma buddyzmu, tantryzm. Zwana również *wadžrajana*, czyli „wóz diamentowy”, zakładała bardzo szybkie przebycie niełatwej drogi ku *nirwanie*. O specyfice tych nauk decydowała przede wszystkim koncentracja na bezpośrednim doświadczeniu natury umysłu w każdej życiowej sytuacji. „Tantra” (dosłownie „tkanie” lub „splot”) to tak silne splecenie praktyki z życiem, aby stały się one nawzajem nieodróżnialne. Był to zatem system praktyki totalnej, w której bardzo akcentuje się najwyższą radość jako nieoddzielną od mądrości i współczucia.

Są to najwyższe nauki Buddy, które rozwijały się głównie w Tybecie, a dziś stały się najbardziej rozpowszechnioną formą buddyzmu na Zachodzie. Najlepiej bowiem pasują do umysłowości i nastawienia ludzi Zachodu, których cechuje przede wszystkim krytycyzm i chęć szybkiego, mocnego doświadczenia esencji nauk.

Cel i współczesność

Buddyzm – jeśli wziąć pod uwagę jego cel – jest zatem religią bez boga; wobec tego faktu powstaje jednak pytanie, czy nazwa religia jest rzeczywiście najodpowiedniejsza dla takiego systemu nauk. Celem buddyzmu jest doświadczenie oświeconego umysłu.

Fakt akcentowania przekazu owego doświadczenia sprawia również, że pierwiastek wiary jest w buddyzmie praktycznie nieobecny. Rozstrzygające jest posiadanie doświadczenia biorącego się w dużej mierze z medytacji, a nie wiara w cokolwiek. Sporo mówi się natomiast o zaufaniu do nauk, które może powstać tylko wtedy, gdy zdobywane przez medytującego doświadczenie okazuje się pasować do treści nauk buddyjskich.

Buddyzmowi zawsze udawało się zaspokoić dobrze potrzeby duchowe ludzi, którzy go praktykowali, o czym mogą świadczyć 24. wieki jego istnienia w całej Azji Południowo-Wschodniej. Obecnie ma po chrześcijaństwie i islamie najwięcej wyznawców na świecie (około 300 milionów). Oczywiście, przeważa on na Cejlonie, w Birmie, Tajlandii, Laosie, Kambodży, Wietnamie, Korei i Japonii. W Chinach mimo okrutnych represji zastosowanych wobec buddyzmu (zwłaszcza w Tybecie) nie zdołano unicestwić tej religii, co więcej, daje się zaobserwować jego zadziwiający renesans. Nadto od kilkudziesięciu lat stopniowo rozprzestrzenia się on przede wszystkim w Europie, a także Stanach Zjednoczonych.

W Polsce

W Polsce działa pięć niezależnych formacji buddyjskich. W początkach lat siedemdziesiątych XX wieku, jako pierwsi pojawili się buddyści reprezentujący tradycję buddyzmu japońskiego. Związek Buddystów Zen „Sangha” zarejestrowany 15 grudnia 1980 roku skupiał kilkuset członków, głównie zamieszkałych w Katowicach, Wrocławiu, Szczecinie, Poznaniu, Wrocławiu i Warszawie. W jego ramach funkcjonowało sześciu duchownych. Dla celów medytacyjnych wykorzystywano pięć własnych lokali.

W ramach działalności wydawniczej ukazywały się m. in. kwartalnik „Droga Zen” oraz dwumiesięcznik „Informator”. Siedziba władz Związku znajduje się w Warszawie.

Nieco później pojawiły się w Polsce grupy buddystów reprezentujące nurt koreański i tybetański. Pierwsza z nich działa w ramach Stowarzyszenia Buddyjskiego Zen „Czogie” (rejestracja społeczności nastąpiła 23 czerwca 1981 roku). Na początku lat 90-tych XX wieku obejmowało ono 24 „ośrodki” i „grupy Zen” funkcjonujące w pięciu Okręgach – Południowym (z siedzibą w Krakowie), Wielkopolski (Piła), Północny (Gdańsk), Wschodni (Warszawa), Zachodni (Wrocław). Wspólnota liczyła blisko 500 wyznawców, ponad 50 duchownych oraz 30 „punktów nauczania”. Nakładem Stowarzyszenia nieregularnie ukazuje się „Informator”. W Warszawie znajduje się siedziba władz zwierzchnich oraz główna świątynia społeczności „Do Am Sah”.

Buddyzm tybetański praktykuje Związek Buddyjski „Karma-Kagyü” (zarejestrowany 27 stycznia 1984 roku). Początki ruchu w Polsce datują się na 1976 rok, kiedy to do Krakowa przybył lama Ole Nydahl (Duńczyk, pierwszy zachodni uczeń XVI Karmapy). Na terenie naszego kraju istnieje obecnie ponad 40 ośrodków często odwiedzanych przez buddyjskich nauczycieli. Centralny ośrodek mieści się w zabytkowym dworze w Kucharach koło Płocka (znajduje się tam również jedyna w Polsce buddyjska Stupa Cudów). Związek wydaje kwartalnik „Diamentowa Droga” oraz polskie przekłady

książek Olego Nydahla. Organizuje również publiczne wykłady swego mistrza w wielu miastach Polski.

Z kolei tradycję japońską w buddyzmie reprezentuje Związek Buddyjski Zen Rinzai (zarejestrowany 26 kwietnia 1988 roku) oraz Buddyjski Związek Wyznaniowy „Sangha Kandzeon” (rejestracja nastąpiła 9 stycznia 1987 roku). Natomiast tradycję japońsko-koreańską reprezentuje Stowarzyszenie Buddyjskie „Centrum Zen Kannon” (działające od 1988 roku, zarejestrowane rok później, 1 marca 1989 roku).

Buddyści polscy rekrutują się niemal wyłącznie ze środowisk intelektualnych. Są to głównie architekci, artyści plastycy, filozofowie, naukowcy. Jest rzeczą charakterystyczną, że większość polskich buddystów uprawia lub uprawiała alpinizm.

Buddyści w Łodzi

Pierwsza luźna grupa ludzi praktykująca buddyzm, reprezentujący tradycję koreańską i tybetańską, pojawiła się w Łodzi w latach 70-tych XX wieku. Idee buddyjskie przeszczeplane były na nasz grunt nie bezpośrednio z Dalekiego Wschodu, lecz za pośrednictwem ośrodków zachodnioeuropejskich i amerykańskich. Obecnie w naszym mieście funkcjonują dwie formacje buddyjskie: Związek Buddyjski „Karma Kagyu” oraz Stowarzyszenie Buddyjskie „Zen Czogie”.

Związek Buddyjski „Karma Kagyu” (reprezentujący jedną z czterech głównych szkół buddyzmu tybetańskiego) zaczął funkcjonować w Łodzi w 1983 roku. Oficjalnie swą działalność zarejestrował dopiero w 1997 roku. Skupia on 40 członków i tyleż samo sympatyków. Większość z nich to osoby z wyższym wykształceniem – naukowcy, nauczyciele, filozofowie, urzędnicy. Ośrodek ma charakter otwarty dla wszystkich zainteresowanych naukami buddyjskimi. Przyciąga przede wszystkim otwartość osób prowadzących ten ośrodek. Łódzcy buddyści dobrze sobie radzą z problemami życia codziennego a przez resztę społeczeństwa miasta są pozytywnie odbierani. Kilkaset osób korzysta ze stałych informacji dotyczących działalności grupy nie wchodząc jednak do jej struktury wspólnotowej Związek prowadzi Ośrodek Buddyjski Diamentowej Drogi, w którym można uzyskać rzetelną wiedzę na temat buddyzmu i zapoznać się z literaturą przedmiotu. Członkowie łódzkiego ośrodka organizują prelekcje nauczycieli buddyjskich oraz wykłady na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Łódzkiego, uczą medytacji (spotkania odbywają się cztery razy w tygodniu, organizowane są też weekendowe sesje medytacyjne). Ponadto uczestniczą w kilku projektach zagranicznych (m.in. liczne kursy medytacyjne, budowa Stupy Cudów w Kucharach). Od 1999 r. ośrodkiem kieruje Tomasz Łopaciński. Ośrodek mieści się przy ul. Rewolucji 1905 r. 21.

Stowarzyszenie Buddyjskie „Zen Czogie”, reprezentujące tradycję koreańską swój łódzki ośrodek zawiązało w 1983 roku. Pod koniec ubiegłego stulecia liczyło 15 członków i dość liczną grupę sympatyków. Od 1990 roku ośrodkiem tym kieruje opat Aleksander Skwara, a siedziba Stowarzyszenia mieści przy Ogrodowej 26 m. 29.



Doktryna

W Parku Gazel w Benaresie Budda udzielił pierwszych nauk swoim pięciu przyjaciółom. Obejmowały one tzw. „cztery szlachetne prawdy”, które były jego oceną sytuacji człowieka. Stwierdził jednoznacznie, że istnieje cierpienie. Są nim naznaczone takie doświadczenia jak narodziny, starość, choroba, śmierć, związek z niekochaną osobą, ale także rozłąka z tym, kogo się kocha. Zwraca się uwagę na pierwotne źródło cierpienia, którym jest niewiedza. Pogrążony w podstawowej niewiedzy umysł nie rozpoznając samego siebie Ignie do wszystkich przyjemnych doświadczeń starając się uciec przed nieprzyjemnymi. Kolejna nauka mówiła o tym, że istnieje stan poza cierpieniem, który nazywa się oświeceniem czyli wszechwiedzą i radością nieporównywalną z wszystkimi doświadczeniami nieoświeconej istoty. Ostatnia prawda mówiła, że istnieje droga prowadząca do stanu poza cierpieniem. Zwykle twierdzi się, że ową drogą jest asceza, jednakże zawierająca powyższe nauki Sutra obrotu kołem dharma stwierdza jednoznacznie, że zarówno asceza jak i jej przeciwieństwo są stanami skrajnymi, których buddysta powinien unikać. W zamian Budda proponuje tak zwaną środkową drogę opisywaną klasycznie jako „szlachetną ośmioraką ścieżkę”. Składają się na nią właściwe poglądy, wola, słowa, uczynki, sposób życia, wysiłki, myślenie i medytacja. Wszystkie te elementy powinny świadczyć o naszej inteligencji i chęci pomocy innym. W nauczaniu Buddy poszanowanie tych zasad prowadzi człowieka ku wyzwoleniu się z wszelkich więzów i pozwala mu osiągnąć *nirwanę*, czyli stan świadomości wolnej i radosnej, która dzięki zdobytej mądrości wskazuje działania pomagające innym osiągnąć ten sam poziom.

Budda sformułował również „doktrynę współzależnego powstania”. Mówi ona, że wszystko, co istnieje oraz każde ludzkie doświadczenie jest zespołem warunków, który nie posiada swej niezależnej istoty. I tak na przykład rzeczy fizyczne składają się z drobnych cząstek, które prędzej czy później muszą się rozpaść nie pozostawiając po sobie niczego niezniszczalnego. Podobna nauka mówi o nieistnieniu duszy – istnieją tylko potoki przesuwających się zmiennych stanów, które pozostają we wzajemnej zależności; poprzednie warunkują następne.

Buddyzm przyjmuje istnienie bogów, ale nie jako cel, do którego miałyby prowadzić praktyka buddyjska. Wręcz przeciwnie. W systemie tym stwierdza się, że bogowie również pogrążeni są w tej samej iluzji nieoświeconej świadomości, gdyż – podobnie jak człowiek – są śmiertelni. Za sytuację uprzywilejowaną, najbardziej sprzyjającą rozwojowi uznaje się w buddyzmie właśnie sytuację człowieka. Bogowie przeżywają zbyt intensywne i długotrwałe stany uwarunkowanego szczęścia, by myśleć o wyzwoleniu z cierpienia, które nie-

uchronnie musi stać się także ich udziałem.

Bardzo rozpowszechnionym nieporozumieniem jest uznawanie form spotykanych w ikonografii buddyjskiej za bogów czy bóstwa. Nie mają one nic wspólnego z kultem jakichkolwiek istot. Są one jedynie symbolami wskazującymi zupełnie nieosobowe aspekty oświeconej świadomości. Na przykład Pradžanaparamita (żeńska postać pogrążona w medytacji) symbolizuje pierwotną mądrość umysłu a nie boginię. Zanim jednak osiągnie się oświecenie owa pierwotna mądrość jest tak abstrakcyjnym bytem, że potrzebny jest prosty symbol, który pozwoli skupić się medytującemu na tej właściwości umysłu. Fakt, że niektóre z form medytacyjnych posiadają cztery ręce jest tylko symbolicznym wyrazem czterech szlachetnych prawd. Wiele form w tanecznych pozach wyraża oczywiście radość oświeconej świadomości itd.

Marek Budziarek

*– doktor teologii, historyk, publicysta;
kustosz Muzeum Historii Miasta Łodzi.*

Autor dziękuje Tomaszowi Łopacińskiemu za wszelkie informacje o buddyzmie i Związku Buddyjskim „Karma Kagyu“.

Bibliografia:

- J. Brosse. Wielcy mistrzowie duchowi świata. Leksykon.
Tłum. I. Kańka. Łódź 1995 s. 34-38.
- M. Budziarek. Łódzki bedeker wyznaniowy. Łódź 1998 s. 97-98.
Leksykon religii. Warszawa 1994 s. 48-53.
- M. Libiszowska-Żółtkowska. Kościoły i związki wyznaniowe w Polsce.
Mały słownik. Warszawa 2001 s. 195-198.
- M. Malherbe. Religie ludzkości. Tłum. M. Frankiewicz. Kraków 1995 s. 20-21.
- O. Nydahl Lama. Jakimi rzeczy są. Współczesne wprowadzenie do buddyzmu.
Tłum. W. Tracewski. Gdańsk 1995
- Pięć wielkich religii świata. Pod red. E. Brunner-Traut. Tłum. J. Doktor.
Warszawa 1986 s. 39-65.
- K. Urban. Mniejszości religijne w Polsce 1945-1991. (Zarys statystyczny).
Kraków 1994 s. 184-188.
- S. Wojtkowiak. Mozaika wyznaniowa Łodzi. W: Łódź wielonarodowa
i wielowyznaniowa a idea tolerancji. Łódź 1997 s. 65.
- Zarys encyklopedyczny religii. Pod red. Z. Drozdowicza. Poznań 1992 s. 48-58.

osiedla, domy, ulice

Znad Adriatyku na Piotrkowską
Wiedeński architekt projektował pałace Kindermannów
Krzysztof Stefański
str. 185

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PHYSICS DEPARTMENT

CHICAGO, ILL.

Znad Adriatyku na Piotrkowską

Wiedeński architekt projektował pałace Kindermannów

Do najbardziej urodziwych budowli ulicy Piotrkowskiej należą dwie rezydencje należące niegdyś do członków zasłużonej dla rozwoju przemysłu łódzkiego rodziny Kindermannów. Są to dom przy ul. Piotrkowskiej 137/139 wzniesiony w 1907 roku dla Juliusza Roberta Kindermanna i dom przy ul. Piotrkowskiej 151 wybudowany w 1910 roku dla jego brata Gustawa Adolfa Kindermanna.



Włoski renesans w przemysłowej Łodzi

Obydwa obiekty, określane popularnie mianem pałaców, należą do charakterystycznych dla Łodzi miejskich rezydencji fabrykanczkich łączących funkcje handlowe, mieszkalne i reprezentacyjne – na parterze mieścił się w nich kantor handlowy, na piętrze reprezentacyjne salony, na drugim piętrze bądź w oficynie pomieszczenia mieszkalne. Spośród kilku innych budowli tego typu, jakie znajdziemy przy głównej arterii miasta, wspomniane budynki wyróżniają się swoimi fasadami, odznaczającymi się powagą i dostojeństwem, których formy nawiązują do motywów włoskiego renesansu. W rezydencji Gustawa A Kindermanna przy ul. Piotrkowskiej 151 (dziś mieści ona siedzibę

osiedla, domy, ulice



Prokuratury Apelacyjnej) w elewacji frontowej, której lico doskonale imituje ciosy piaskowca, dostrzegamy motywy florenckiego quattrocenta. Ciężki, rustykowany parter kontrastuje z pokrytymi delikatnym boniowaniem wyższymi kondygnacjami zamkniętymi górną mocno zarysowanym gzymsem. Elewacja wypełniają zamknięte arkadowo otwory okienne i usytuowana z boku brama wjazdowa. Na piętrze znajdujemy bliźniacze okna rozdzielone kolumnkami, które mają charakter neoromański. Główny akcent dekoracyjny fasady stanowi wykusz z potrójnym oknem i mały balkonik powyżej. Od strony ogrodu, znajdującego się na tyłach budynku, znajdujemy piękny akcent w postaci arkadowej loggi z szerokimi schodami prowadzącymi do ogrodu.

Większe zróżnicowanie form odnajdujemy w rezydencji Juliusza R. Kindermanna przy ul. Piotrkowskiej (zajętej obecnie przez Klub Nauczyciela). Obok elementów zaczerpniętych z pałaców florenckich epoki quattrocenta – przede wszystkim rustykowany parter – wykorzystano w nim detale zaczerpnięte z rzymskiego dojrzałego renesansu, a konkretnie z Palazzo della Cancelleria. Elewację urozmaica umieszczony z boku wykusz z trójdzielnym palladiańskim oknem. Pod gzymsem wieńczącym umieszczono zaś barwny mozaikowy fryz. Architektura tego budynku jest lżejsza i bardziej ozdobna – szczególny akcent tworzy mozaika – co budzi skojarzenia ze sztuką wenecką. Jednocześnie w narożach wykuszy dostrzeżemy smukłe spiralne kolumnienki nawiązujące do średniowiecznej architektury Wenecji. Obydwa obiekty odznaczają się także bogactwem wewnętrznego wystroju, a wyróżnia się pod tym względem pałac Gustawa A. Kindermanna z pięknym dwukondygnacyjnym holem wypełniającym centralną część wnętrza. Kwestia wystroju, zasługująca na odrębne omówienie, pozostanie jednak tym razem pominięta.

Karl Seidl z Wiednia

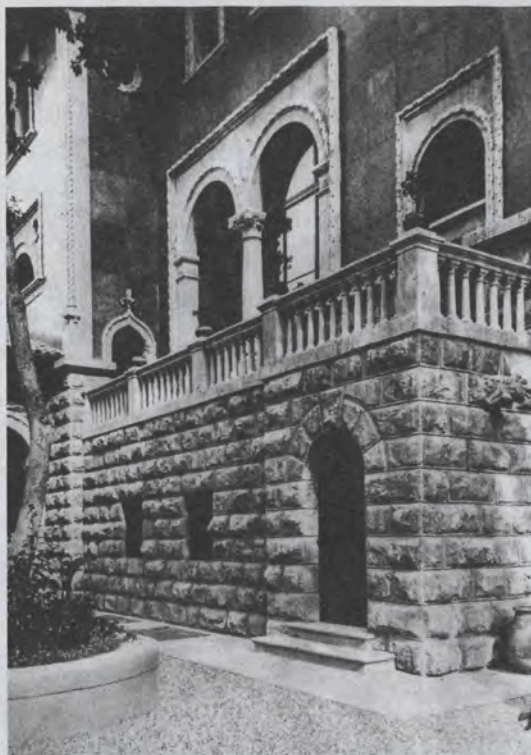
Sprawą intrygującą przez lata badaczy łódzkiej architektury był problem autorstwa projektów obydwu budynków. Projekt wcześniejszego pałacu, Juliusza R. Kindermanna, nie zachował się. Natomiast w Archiwum Państwowym w Łodzi znajduje się urzędowa kopia projektu pałacu Gustawa A. Kindermanna z 1910 roku, przeznaczona do zatwierdzenia przez carskie władze gubernialne. Znajduje się na niej zatwierdzający podpis ówczesnego łódzkiego architekta miejskiego Franciszka Chełmińskiego. Stało to się podstawą do przypisywania mu w autorstwa tej budowli. Z kolei łódzka historyczka, Wanda Lipiec, opracowująca biografię jednego z najciekawszych architektów Łodzi przełomu XIX i XX wieku, Gustawa Landau-Gutentegera, przypisała mu autorstwo rezydencji Juliusza R. Kindermanna, nie podając przy tym żadnych źródeł tej informacji. Obie te atrybucje, przypisujące domy braci Kindermannów dwóm różnym miejscowym architektom, zaczęły funkcjonować w literaturze dotyczącej łódzkiej architektury.

Moje poszukiwania w łódzkiej prasie niemieckojęzycznej z początku XX stulecia, pozwoliły mi na odnalezienie informacji, że projektantem domu Juliusza R. Kindermanna jest w rzeczywistości wiedeński architekt Karl Seidl. Twórca ten urodzony w 1858 roku w Schönbergu na Morawach (obecny Šumperk), studiował w Zurichu, a następnie w wiedeńskiej Akademii der Bildene Künste, gdzie był ulubionym uczniem wybitnego architekta Theophila Hansena. Mieszkał następnie przez kilkadziesiąt lat w Wiedniu, ale nie udało się ustalić budowli jego autorstwa w cesarskiej stolicy.



Wśród jego znanych dzieł znaleźć można natomiast łaźnię miejską i pałac Eisenstein w rodzinnym Schönbergu oraz konkursowe projekty parlamentów Budapeszcie (1882) i Bukareszcie (1893). Większość jego prac powstała jednak na dawnym austriackim wybrzeżu Adriatyku, na leżącym nad Zatoką Rijecką (Kvarner), u podstawy półwyspu Istria, odcinku zwanym „austriacką Riwierą” (obecnie w granicach Chorwacji). W położonych niezwykle malowniczo, pomiędzy lazurową taflą morza, a porośniętymi lasami stokami gór, kurortach wznosił on liczne wille i pałace dla zamożnych przedstawicieli wiedeńskiej arystokracji. Rozrzucone są one

osiedla, domy, ulice



w takich miejscowościach, jak Abbazia (obecna Opatija), Volosca czy Lovrana. Wśród jego dzieł znajdujemy także kościół ewangelicki w Abbazia i ratusz w Volosce.

Stawiane przez Seidla na malowniczym wybrzeżu Adriatyku wille komponowane były jako nieregularne budowle oparte na motywach architektury toskańskiej połączonych z elementami miejscowej tradycji, czerpanymi ze sztuki Wenecji i Dalmacji. Znakomicie wpisywały się w piękny adriatycki pejzaż. O Seidlu napisano w wiedeńskim czasopiśmie architektonicznym: „Jest to prawdziwy artysta-poeta, którego dzieła są urzeczywistnionym marzeniem niezwykle subtelnej artystycznej duszy”.

Adriatycka lekkość w zadymionym mieście

W dziełach tych bez trudu można dostrzec podobieństwo do form zastosowanych w obu rezydencjach braci Kindermannów w Łodzi. W niektórych wypadkach są to motywy niemal identyczne (loggia w willi barona Ransonnet w Abbazia oraz willi Frappart w Lovranie i podobna loggia ogrodowa w domu Gustawa A. Kindermanna), forma okien i ujmująca je dekoracja, spiralne kolumnienki, romanizujące detale. Podobieństwo to w zdecydowany sposób potwierdza informację o wykonaniu projektu domu Juliusza Kindermanna przez wiedeńskiego architekta i pozwala też przypisać mu autorstwo rezydencji Gustawa A. Kindermanna.

Łódzkie budowle stały w całkowicie odmiennym otoczeniu niż skąpane w słońcu letnie wille nad Adriatykiem. Wzniesiono je w centrum przemysłowego, zasnutego dymami miasta. A jednak wiedeński twórca wprowadził w nich podobne motywy, wzbogacając architekturę naszego miasta interesującymi dziełami. Dodać należy, że jeszcze jedno łódzkie dzieło wykazuje duże podobieństwo do budowli K. Seidla – wybudowana w 1898 roku willa Józefa Richtera przy ul. ks. I. Skorupki 10/12. Położona w otoczeniu parku willa uderza pełną wdzięku architekturą opartą na motywach włoskich, o wysmakowanym detalu, z arkadowym tarasem w elewacji ogrodowej

i takąż loggią od strony wschodniej. Przypomina takie dzieła K. Seidla, jak willa barona Schmidt-Zabierowa w Volosce czy dom Paula Tomasica w Lovranie. Gdy przyjrzymy się detalowi elewacji dostrzeżemy szereg identycznych motywów, jak w rezydencjach braci Kindermannów przy ul. Piotrkowskiej – smukłe narożne kolumnienki czy też charakterystyczne motywy w obramieniach okien. Jako autor willi J. Richtera wymieniany był wcześniej łódzki architekt Piotr Brukalski, którego podpis widnieje na urzędowej kopii projektu zachowanej w Archiwum Państwowym w Łodzi. Ale architektura budowli każe widzieć jej właściwego autora w osobie Karla Seidla. Oznacza to, że motywy ze słonecznego adriatyckiego wybrzeża pojawiły się w naszym mieście już znacznie wcześniej, nim powstały rezydencje Kindermannów przy ul. Piotrkowskiej.

Brak jest bliższych informacji o powiązaniach wiedeńskiego architekta z Łodzią, jak i o okolicznościach powstania jego dzieł w naszym mieście. Nie wiemy czy Seidl kiedykolwiek się tutaj pojawił. Możemy tylko domniemywać, że przedstawiciele łódzkich rodów fabrykanckich bawili w okresie wakacyjnym na „austriackiej Riwierze” i wrócili zafascynowani czarem tamtejszego krajobrazu i architektury. Zamówienie projektu u wziętego wiedeńskiego architekta pozwalało im przenieść do rodzinnego miasta część urody południowego krajobrazu i adriatyckiego słońca. Zaczerpnięte stamtąd architektoniczne motywy syciły oczy swym pięknem i przywoływały wakacyjne wspomnienia.

Cesarski malarz i łódzka mozaika

Należy jeszcze powrócić do omawianego wcześniej domu Juliusza R. Kindermanna. Jak wspomniano jednym z najbardziej charakterystycznych elementów wystroju budowli jest mozaikowy fryz biegnący poniżej gzymsu wieńczącego. Notatka prasowa podająca Seidla, jako autora projektu budowli, wymienia innego naddunajskiego artystę, który był projektantem tej kompozycji. Chodzi o Aloisa Hansa Schrama, znanego wiedeńskiego malarza „epoki Ringu” wsławionego głównie dzięki wykonywaniu dekoracji malarskiej do nowej części cesarskiej siedziby, Hofburgu.

Mozaika na domu Juliusza Kindermanna przedstawia alegorię handlu bawełną: zbiór i transport bawełny na terenie Azji, przewóz jej statkiem i wreszcie europejskich kupców nabywających towar. Tematyka zrozumiała, gdy weźmie się pod uwagę, że Kindermannowie zajmowali się produkcją towarów bawełnianych. Złote tło, jasna, żywa kolorystyka, wyraziście zarysowane postacie sceny to cechu charakterystyczne tej kompozycji. Wykonała ją wenecka firma Andrea Salviatięgo, Compagnia-Murano, znana w Łodzi także z innych dzieł (dekoracja w pałacu Scheiblerów, wnętrze kopuły mauzoleum Poznańskich). I tym razem możemy więc mówić o adriatyckim akcencie w sercu przemysłowej Łodzi.

Jednocześnie narzuca się podobieństwo do zbliżonej w charakterze mozaiki znajdującej się w centrum Wiednia, na dawnym hotelu „Meissl & Schadn” przy Kärtnerstrasse 16 z 1896 roku (arch. Karl Hoffmeier), określonej tytułem „Orient und



był bliskim współpracownikiem A. H. Schrama, obydwaj pracowali wspólnie przy dekoracji nowej rezydencji cesarskiej w Wiedniu. Obydwaj też prezentowali podobny styl o cechach neobarokowych, nie wolny także od naleciałości secesyjnych, i upodobanie do przedstawień historyczno-symbolicznych. Podobieństwa mozaik zdobiących dom przy ul. Piotrkowskiej 137/139 w Łodzi i budynek przy Kärtnerstrasse 16 w Wiedniu wynikają więc nie tylko z faktu, że wykonywał je ten sam warsztat, ale przede wszystkim są rezultatem tego, że projektowali je artyści ściśle ze sobą związani i prezentujący tę samą formację artystyczną, wyrastającą z tradycji sztuki wiedeńskiego Ringu.

*Krzysztof Stefański
– prof. dr hab. historyk sztuki;
kierownik Zakładu Historii Architektury XIX i XX wieku
w Katedrze Historii Sztuki UŁ.*

Autor wielu książek i artykułów z dziedziny historii architektury.

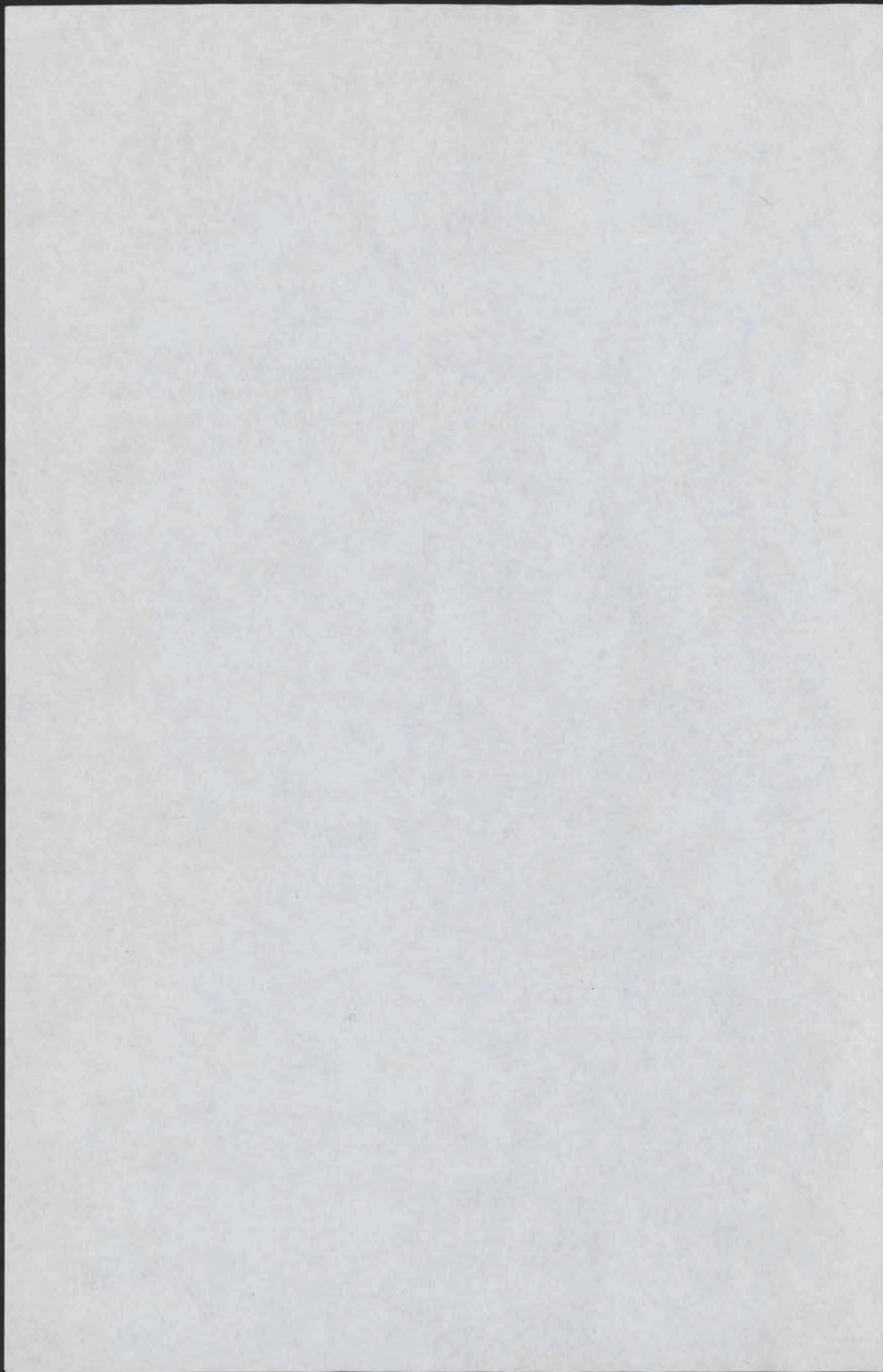
jak nas widzą tak nas piszą

Widziani z bliska

Dawni Łódzianie nie zapominają

Mieczysław Gumola

str. 193



Widziani z bliska

Dawni łodzianie nie zapominają

W 2002 r. Zygmunt Skonieczny, reżyser wielu filmów dokumentalnych, zrealizował kolejny: „Niemieckimi śladami po Łodzi”. Przeplatają się w nim dwa wątki: opowieść o wkładzie niemieckich osadników w budowę Łodzi przemysłowej oraz wspomnienia dawnych łodzian o swoich powojennych losach i odwiedzinach rodzinnego miasta. Film miał wzbogacić program pierwszego Festiwalu Dialogu Czterech Kultur w 2002 r. Nie doczekał się jednak prezentacji w telewizji, został pokazany tylko na jednym seansie w kinie „Charlie” i właściwie jest nieznaną. Wzbudził natomiast zainteresowanie występujących w nim Łodzermenschów oraz ich znajomych.

Część historyczna filmu została bogato udokumentowana i ciekawie przedstawia problem, który w przeszłości z różnych powodów budził wiele emocji. Jego istotę stanowi odpowiedź na pytanie, co Łódź jako metropolia przemysłowa zawdzięcza niemieckim osadnikom? W przeszłości byli i tacy, którzy odpowiadali, że wszystko. Tego rodzaju myślenie doprowadziło w latach okupacji do przeobrażenia Łodzi w Litzmännstadt a konsekwencją tego stało się zniknięcie wrośniętej od pokoleń niemieckiej społeczności z miasta. Po wojnie na to samo pytanie odpowiadano: Łódź niczego Niemcom nie zawdzięcza, należy o nich zapomnieć. Niszczono i zacierano wszelkie ślady niemieckości, czego świadectwem stała się chociażby dewastacja cmentarzy ewangelickich i przepięknej neogotyckiej kaplicy rodziny Scheiblerów na Cmentarzu Starym przy ulicy Ogrodowej.

Film Zygmunta Skoniecznego, opatrzony celnym komentarzem Piotra Jaworskiego, kustosa Centralnego Muzeum Włókiennictwa pokazuje, że współcześnie pytanie o udział Niemców w historii Łodzi nie wywołuje już emocji i sporów. Natomiast po stronie niemieckiej pojawiła się afirmacja rodzinnego miasta, w którym co chętnie się podkreśla, panowała atmosfera tolerancji i wzajemnego zrozumienia między ludźmi różnych narodowości, języków i religii. Chociaż wiele w tym obrazie sentymentu do lat młodości, to trudno temu się dziwić. W klimacie wielkiego przywiązania do rodzinnego miasta utrzymany jest ton wypowiedzi wszystkich osób występujących w filmie. Najbardziej znaną postacią jest oczywiście Karl Dedecius, który stwierdził: „Łódź jest dla mnie fundamentem życiowym. Tam się urodziłem, pierwsze mury, które widziałem, to była Łódź. Pierwsza piłka nożna, pierwsze koleżeństwa z Polakami w Łodzi, potem gimnazjum – to jest oczywiście decydujący etap dla każdego człowieka”.

Pani Kirsch przypominała: „Dla nas, dzieci mieszkających w jednej kamienicy, nie było ważne, kto jakiej jest narodowości. Nawet nam nie przychodziło do

jak nas widzą tak nas piszą

głowy, że mogłoby być inaczej. Kiedy bawiliśmy się na podwórku z Żydem rozmawialiśmy po żydowsku, przyszedł Polak – po polsku, przyszedł Niemiec – po niemiecku”.

Heinrich Schwarz, naukowiec związany po wojnie z Politechniką Berlińską zapamiętał, że kiedy w Łodzi szło się do szkoły, albo wracało z niej do domu, rozmawiało się po polsku. W domu Eugena Graudusa mówiono tylko po niemiecku. Zdarzało się że używano kilku języków. W rodzinie Dedeciusów – ojciec Karla chętnie rozmawiał z synem po czesku, matka zaś wywodząca się ze Szwabii, mówiła tylko po niemiecku. Karl, który chodził do polskiego gimnazjum znał od dzieciństwa trzy języki.

Nadeszły jednak czarne chmury – pod koniec lat trzydziestych stosunki między Polakami i Niemcami zaczęły się psuć. Karlheinz Goeppert zapamiętał, że chociaż jego ojciec żył w przyjaźni z Polakami, to w skrzynce pocztowej w 1939 r. znajdował listy z pogroźkami. Ursula Brehmer mieszkająca wówczas na Bałutach podczas zabawy usłyszała: „Ty jesteś Szwabka, uciekaj stąd”. Pamięta też, że matka podczas zakupów w sklepie ostrzegła ją: „Teraz nie mów ze mną po niemiecku”.

Podczas okupacji rodzina Kirschów, podobnie jak wiele innych, podpisała volkslistę. Niemieckiej rodzinie Jaeschke władze okupacyjne dały odczuć co to znaczy nie zgadzać się z poglądami zwycięzców – ojciec Jaeschkego został wywieziony do obozu koncentracyjnego. Wyciągnął go stamtąd kolega – Niemiec, dobrze ustawiony



we władzach okupacyjnych. Losy łódzkich Niemców nie pozbawione były dramatów. Nie podpisali volkslisty Heinzlowie i musieli wyjechać z Łodzi. Życiem przepłacili swój sprzeciw wobec hitlerowskich porządków synowie fabrykanckich rodów – Robert Geyer i Gwido John. Większość Niemców łódzkich odnalazła swoje korzenie i do nich powróciła. Zapłaciła za to służbą w Wehrmachcie, ofiarami na różnych frontach, ucieczką w styczniu 1945 roku albo wypędzeniem z miasta w latach następnych

Przybysze z Reichu uciekli najwcześniej, miejscowi Niemcy czekali do ostatniej chwili. Rodzina Jaeschke, chociaż z uciekającymi nie czuła wspólnoty, w ostatniej chwili też podążyła na zachód. Wiedziała bowiem, że zemsta dotknie wszystkich Niemców. Najstarsi, matki z małymi dziećmi i ci którzy uważali, że mają czyste sumienie, gdyż niczego złego nie zrobili, pozostali w Łodzi i płacili za innych wysoką cenę.

Wszyscy dawni łodzianie, występujący w filmie Zygmunta Skoniecznego nie ukrywają, że chociaż w Niemczech znaleźli dla siebie dom i potrafili się urządzić, to za Łodzią nigdy nie przestali tęsknić. „Piotrkowska śniła mi się co drugą noc” – wyznał Heinrich Schwarz. W 1961 r. jako jeden z pierwszych przyjechał do Łodzi. Odwiedził uniwersytet, katedrę statystyki, z którą jako pracownik naukowy Politechniki Berlińskiej utrzymywał kontakty. Zajrzał też do kamienicy przy Radwańskiej, w której jego rodzina mieszkała przez wiele lat. Stary dozorca, pan Micuga, przetarł oczy jakby nie mógł uwierzyć, że się nie myli a potem objął go i powiedział: „Panie Henryku, cieszę się jak bym zobaczył własnego syna”. Karlheinz Goepfert długo się wahał, czy po tym wszystkim, co wydarzyło podczas wojny może przyjechać do Łodzi. Zgłosił swój udział w Światowym Spotkaniu Łodzian w 1992 r. i od tego czasu był w niej chyba już dziesięć razy. Odwiedził dawny dom rodzinny przy ulicy Głogowej – mieści się w nim obecnie ośrodek rehabilitacyjny dla dzieci znerwicowanych. Wiele razy przesyłał im później upominki.

Wielkim przeżyciem dla Łodzermenschów są spotkania w ich dawnej szkole – gimnazjum mieszczącym się kiedyś przy ulicy Kościuszki 65, obecnej siedzibie Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Łódzkiego. Nawiązali oni bliskie kontakty z kolejnymi dziekanami wydziału – prof. Elizą Małek, prof. Markiem Cybulskim, prof. Bogusławem Mazanem. W dniu 16 maja 2000 r. spotkała się cała kilkudziesięcioosobowa grupa przybyła z Niemiec – a film Skoniecznego to zarejestrował – podczas odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej upamiętnieniu ostatniego dyrektora niemieckiego gimnazjum, którym był Polak – Władysław Głuchowski. W uroczystości wzięli udział przedstawiciele władz miasta i uniwersytetu oraz znajomi i przyjaciele niemieckiej grupy. Ówczesny wiceprezydent Miasta Łodzi, Sylwester Pawłowski powiedział zebrany: „To piękny dzień, kiedy Łódź może stanowić rodzinne miasto dla wszystkich, którzy stąd wywodzą swoje korzenie”.

Kiedy ogląda się zakończenie filmu Zygmunta Skoniecznego ma się wrażenie, jakby każda z występujących osób chciała przekazać od siebie jeszcze coś szczególnego. Jaeschke: „Nie warto wracać do krzywd, bo nic dobrego z tego nie wychodzi. Krzywd nie można mierzyć na centymetry, ani gramy”. Dedecius: „Kiedy

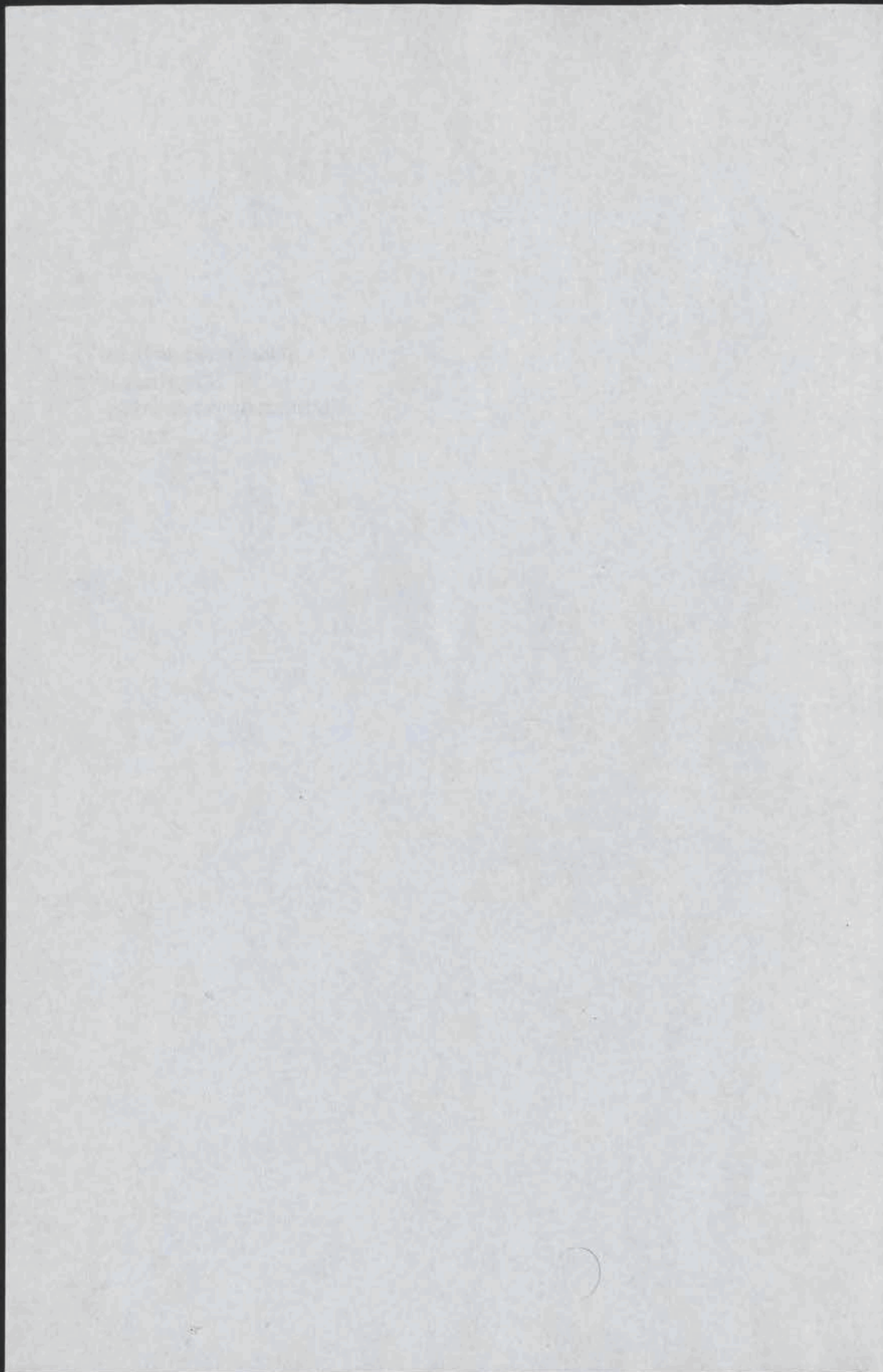
jak nas widzą tak nas piszą

w latach pięćdziesiątych tłumaczyłem Różewicza, Herberta, Szymborską, Miłosza, to jeszcze czuło się opary wojny. Każdego Niemca uważano za rewanżystę. Wiele było jeszcze nienawiści. Ja spokojnie robiłem swoje, tłumaczyłem polską poezję". Brehmer: „Cieszę się, że mogę powiedzieć wszystko, co mam w sercu. Jest ono podzielone – między Łódź, w której się wychowałam i Stuttgart, w którym mieszkam od lat". Mielczarek: „Pochodzę z niemieckiej rodziny, która po wojnie pozostała w Łodzi. Mam dzieci w Niemczech, jadę do nich i wytrzymuję najwyżej dwa tygodnie. Moi starzy znajomi osiadli w Niemczech myślami i sercem wracają do swojego Heimatu. To jest stara niemiecka choroba, a może nie tylko niemiecka. Dla nas Heimat to Łódź i tak już pozostanie”.

Mieczysław Gumola

kroniki rodzinne

Trudna droga do Łodzi
Skoczylasowie
Małgorzata Golicka-Jabłońska
str. 199



Trudna droga do Łodzi

Skoczylasowie

Dziś otwieramy karty rodzinnej „Kroniki” spisanej przez Włodzimierza Skoczylasa¹ – znanego łódzkiego aktora, którego dziadkowie przybyli do Łodzi w 1891 roku.

Ciekawa, choć trudna, bo obfitująca w dramatyczne wydarzenia była to droga. Podobna do dróg wielu łódzkich rodzin, a jednak niepowtarzalna.

Włodzimierz Skoczylas tak pisał o swoich przodkach:

„Mój prapradziadek Marcin Skoczylas podchodził z okolic Tarnowa i pozostawał na służbie u hrabiowskiej rodziny Badenich jako strzelec dworski. Razem z żoną Jadwigą z Melsztyńskich i dziećmi mieszkał w gajówce niedaleko miasteczka o nazwie Kamionka Strumiłowa. Po rozbiorach Polski ta część Galicji znalazła się w zaborze austriackim.

W 1858 r. małżeństwu Skoczylasów urodził się trzeci syn – Augustyn, który wiele lat później został moim dziadkiem. Dzieciństwo upłynęło mu w pobliżu owego sennego miasteczka, w którym zgodnie żyli Polacy, Rusini, Żydzi i nieliczna grupa Ormian. Dziadek rzadko wspominał rodzinne strony, a jego losy tak się potoczyły, że już nigdy tam nie powrócił. Starsi bracia Augustyna poszli w świat, a on sam dostał się na służbę do hrabiego Badeniego. Szczęśliwym zrzędzeniem losu został pomocnikiem mechanika obsługującego jedną z pierwszych lokomobili,² jakie hrabia Badeni sprowadził do Galicji. Szybko zgłębił tajniki parowej maszyny, polubił tę pracę poświęcając jej każdą wolną chwilę. W czasie branki do wojska wyciągnął los skazujący go na długą służbę w austriackiej armii, miał szukać pomocy u hrabiego uciek do Kongresówki.

Dotarł do Krośniewic, gdzie szybko znalazł pracę w miejscowej cukrowni. Został pierwszym pomocnikiem głównego mechanika. Pracował przy maszynie parowej, zarabiał krocie, a właściciel cukrowni załatwił mu paszport zezwalający na stały pobyt w „priwisłańskim kraju“.

W krośniewickiej karczmie Augustyn spotkał Klemensa Arentowicza z Włocławka. Nowo poznany kompan koniecznie chciał poznać Augustyna ze swoją 16-letnią siostrą Walerią. Ciemnoooka, ciemnowłosa żywa jak iskra panna z miejsca podbiła serce Augustyna. Cóż, kiedy niebieskooki blondyn wcale nie spodobał się Walerii. W jej żyłach płynęła gorąca krew przodków - Tatarów litewskich.³

Prapradziadek Arentowicz – bej walczył u boku Napoleona w tatarskim szwadronie. Ożenił się z Polką i przeszedł na katolicyzm. Po klęsce Napoleona, w obawie przed represjami cara opuścił swój majątek pod Nowogródkiem i przeniósł się na Kujawy.

Osiadł wraz z żoną w Lipnie i założył warsztat wikliniarski. Wyplatał koszyki i meble z wikliny. Powiodło mu się.

Warsztat rozwijał się doskonale i przynosił pokaźny dochód. Z czasem założono drugi warsztat we Włocławku.

Kobiety w tej rodzinie były pracowite i nad wyraz energiczne. Żona pradziadka Klemensa Arentowicza, Romana (1813-1919) doprowadziła do kupna ziemi we Włocławku i budowy domu. Prababka Romana trzymała interes żelazną ręką, meble i koszyki wysyłane z Włocławka Wisłą do Gdańska trafiały do całej Europy. Franciszek Arentowicz miał troje dzieci: syna Klemensa, oraz córki Elżbietkę i Walerię. Do tej właśnie Walerii zalecał się mój dziadek Augustyn Skoczylas i którą wreszcie ujął wytrwałością, dobrocią i delikatnością.

Ślub odbył się w 1887 na Boże Narodzenie. Młoda para wyjechała do Krośniewic i w listopadzie 1889 r. urodził się im najstarszy syn Witold Skoczylas – mój ojciec.

U „starych Francuzów“

Szwagier mojej mamy Józef Gawryszewski, który z żoną i synkiem od 1889 roku mieszkał i pracował w Łodzi roztaczał przed moimi dziadkami uroki wielkiego miasta. Kusił lekką pracą i wysokimi zarobkami, o które było łatwo w dynamicznie rozwijającym się mieście. Stało się wreszcie na tym, że po przyjściu na świat córki Jadwigi dziadek Augustyn podziękował za dobrą pracę w cukrowni i wraz z żoną i dwojgiem dzieci wywędrował do Łodzi.

Zatrzymali się u Gawryszewskich, w typowo wiejskim czworaku pobudowanym na obrzeżach miasta. Po usilnych staraniach dziadek dostał wreszcie pracę w fabryce „starych Francuzów“ u Allarta na ulicy Kątnej (obecnie Wróblewskiego). Podnajęli jedną izbę u majstra Niemca, w robotniczych domach wybudowanych przez Allarta. Komorne było wysokie, bo Niemiec ściągał z nich tyle, ile sam płacił za całe mieszkanie. Przystali na te „zbójcekie“ warunki, bo czas naglił. Babcia Waleria spodziewała się następnego potomka. Wkrótce urodził się chorowity Franuś.

Pierwsze lata były trudne. Dziadek Augustyn nadzorował na jednej z hal fabrycznych system pasów transmisyjnych napędzających krosna. Babcia Waleria zajęła się szyciem. Maszyna Singera wniesiona w posagu znacząco poprawiła stan domowej kasy. W 1895 r. przyszedł na świat następny syn Longin. W nawale pracy, obarczona małymi dziećmi babcia znajdowała dość czasu, by uczyć pisania i czytania swego pierworodnego syna Witolda. W 1896 r. spełniły się marzenia babci; posłała Witolda do szkoły elementarnej, a potem do „Aleksandrówki“ na ulicę Dziką (obecnie ulica Sienkiewicza).

W 1901 r. Witka przyjęto do nowej szkoły technicznej przy ulicy Pańskiej (obecnie ulica Stefana Żeromskiego).

Wcześniej jednak w życiu rodziny Skoczylasów nastąpiły istotne zmiany.

Ku lepszemu.

W 1899 r. Towarzystwo Budowy i Eksploatacji Rzeźni Miejskich w Rosji otrzymało koncesję na budowę rzeźni w Łodzi. Na rozległych polach u zachodniego wylotu ulicy Radwańskiej, wzdłuż ulicy Inżynierskiej rozpoczęto prace organizacyjno-budowlane „gorodzkiej skatobojni“. Główna brama wjazdowa usytuowana była na wprost ulicy Radwańskiej, ubojnie, przetwórnice i chłodnie pobudowano wzdłuż ulicy Wołowej, gdzie cały kompleks budynków produkcyjnych zamykała kotłownia z sercem zakładu – maszyną parową i nowoczesną prądnicą elektryczną sprowadzoną z Belgii. Na ulicy Inżynierskiej zlokalizowano budynki dyrekcji i administracji. Po drugiej stronie bramy wjazdowej wznosił się okazały budynek z wysmukłą wieżą zegarową, a cały parter zajmowała przestronna, acz niezbyt wykwintna restauracja. Pozostały wolny teren mieścił doprowadzoną bocznice kolejowa i buchy/ zadaszone wiaty podzielone na sekcje/ dla bydła i nierogaczyny. W 1902 roku dziadek Augustyn dostał wymarzoną pracę mechanika z dodatkowym obowiązkiem obsługi i konserwowania prądnicy. Zanim rodzina Skoczylasów przeniosła się z allartowskich „famuł“ do paru izdebek w zegarowej wieży, w roku 1901 urodził się czwarty syn Augustyn, zwany w rodzinie Gutkiem.

Tuż po przeprowadzce rodzina powiększyła się w 1903 roku o córkę Teresę. Obowiązki prowadzenia gospodarstwa i opieka nad młodszym rodzeństwem spadły na barki dwunastoletniej Jadzi, bowiem babcia Waleria nie zamierzała zrezygnować z zycia, ale już jako renomowana krawcowa przyjęła do pomocy podręczną.

Wszystko miało się ku lepszemu, ale nastał rok 1905, a z nim niepokoje i strajki fabryczne zakończone pamiętną rewolucją. Dziadkowie zaangażowali się w pracę konspiracyjną. Babcia w bańkach na mleko przenosiła wywrotowe ulotki, dziadek majstrował bomby i jako wytrawny rusznikarz naprawiał rewolwery bojowców. Po krwawym stłumieniu łódzkiej rewolucji przez carskie pułki, różne partie i ugrupowania, obwinając się wzajemnie za doznaną klęskę, rozpoczęły porachunki. Gazety codziennie donosiły o ofiarach tych bratobójczych rozpraw.

Dziadek Augustyn w 1906 r. czując zagrożenie ze strony przeciwników, zostawił ciężarną żonę i wyjechał do Ameryki. Nie powiodło mu się w chicagowskich rzeźniach, więc pod koniec 1907 r. wrócił skruszony do Łodzi i podjął pracę na swym dawnym stanowisku. Mała Izabella, która przyszła na świat po jego wyjeździe, miała wówczas prawie dwa lata, nazywała go uporczywie „pan“ i chowała się przed nim po kątach, jak przed kim obcym.

W 1908 roku urodziła się ich najmłodsza i ostatnia córka Natalia. Dziadek miał już wtedy 50 lat i był bardzo cenionym mechanikiem. Zarabiał bardzo dobrze i przy niemniej dobrych zarobkach babci Walerii mogli mniej ograniczać wydatki i jeszcze coś odłożyć na czarną godzinę.

W 1911 r. Witold ukończył z wyróżnieniem szkołę techniczną i jako dyplomowany specjalista wyjechał w głąb Rosji, by na Kaukazie budować szlaki kolejowe i mosty w ujarzmionych przez Rosję krajach.

Wysokie zarobki pozwoliły mu zasilać rodzinną kasę i obsypywać prezentami młodsze rodzeństwo, które z niecierpliwością i podnieceniem wyczekiwało na jego urlopowe przyjazdy do rodzinnego domu.

Wojenne wędrówki

Latem 1914 r. Witold przyjechał na wakacje do domu. W sierpniu rozpoczęła się I Wojna Światowa. Dziadek Augustyn przebywał w Łodzi na prawach obcokrajowca z austriackim paszportem. Austria była w stanie wojny z Rosją, więc wszystkich poddanych Franciszka Józefa internowano. Dyrekcja rzeźni wyreklamowała dziadka nie chcąc tracić cennego fachowca. Mojemu ojcu – Witoldowi



nie udało się skorzystać z tego przywileju. Jako syn austriackiego poddanego musiał się stawić na Dworcu Kaliskim i stąd z transportem internowanych odjechać w głąb Rosji.

Przejechali całą europejską Rosję, by w Omsku na Syberii przesiąść się na statek i płynąć w dół Irtyżu do Tobolska. Szczęściem rzeka jeszcze nie zamrzęła i była żeglowna.

W cyrkule tobolskiej żandarmerii Polacy dostali karty internowanych i skierowania na kwatery, z obowiązkiem cotygodniowego meldowania. Zamieszkali u polskiego zesłańca, który po odbyciu kary, osiadł tu na stałe.

Mój ojciec z łatwością dostał pracę w swoim zawodzie. Budowano właśnie drogę w głąb tajgi. Wysoka pensja jaką pobierał, wraz ze wszystkimi dodatkami należnymi pracującym fachowcom w „zauralskich obłastach“ zjednała mu szacunek tobolskich kupców i co znaczniejszych mieszczan.

Po rewolucji lutowej 1917 r. zarzucono budowę drogi, żołnierze wracali hurmem do domów. W dalekim Krasnojarsku zebrali się Polacy rozrzucony po całej Syberii, zawiązując Komitet do Spraw Pomocy Ofiarom Wojny dla Polaków zza Kordonu. Pełnomocnik delegatów na okręg Tobolski wydał memu ojcu dowód tożsamości wystawiony w Krasnojarsku 15 listopada 1917 r. Ojciec pożegnał zafrasowanego gospodarza i ruszył w długą drogę do ojczyzny.

Ojciec dotarł do Łodzi na początku sierpnia 1918 r. Tu nagle dowiedział się, że podczas jego nieobecności Gutek wstąpił do legionów i teraz siedział internowany przez Niemców w Szczypiornie koło Kalisza. Siostry wyrosły na ładne

panienki. W wieży pod zegarem zrobiło się teraz ciasno, bo największy pokój Niemcy zarekwirowali na kwatery dla bawarskiego kapitana.

Tymczasem wojna wygasła. 11 listopada 1918 r. łodzianie wyprzedzając reagujący ospale na te zmiany Polski Komitet Wojskowy, samorzutnie przystąpili do rozbrajania Niemców. Kapitan – Bawarczyk szykował się do opuszczenia kwatery, gdy w drzwiach pokoju stanął mój ojciec żądając oddania broni. Krewki ordynans zarepetował karabin, gotów bronić kapitańskiego i własnego honoru. Na szczęście zwyciężył rozsądek i nie doszło do rozlewu krwi. Po bawarskim kapitanie pozostała paradna „pickelhauba“ (hełm) ze złożonym szpicem i rozetkami w bawarskich barwach. Pamiętam, że jak dziecko paradowałem w niej po podwórzu, imponując i budząc zazdrość starszych chłopaków. Zginęła potem bez śladu.

Kiedy Piłsudski wyruszał na Kijów i wojny nie było końca, w wymieszonym narodowo społeczeństwie łódzkim dało się odczuć zaniepokojenie. Niektórzy osiadli tu Niemcy, wraz z cofającą się armią, likwidowali swe interesy i wyprzedawali się za bezcen.

Moi dziadkowie korzystając ze sprzyjającej koniunktury odkupili od emigrującego Żyda, mleczarnię na rogu Radwańskiej i Inżynierskiej. Po długich pertraktacjach z właścicielką domu panią Rauschową ustalono, że mleczarnię zamieni się na restaurację. Restauracja nie odznaczała się specjalną elegancją, ale prosperowała znakomicie. Babcia Waleria ku żalowi swoich klientek porzuciła krawiectwo, przepłacając dawne zajęcia chorobą i poważną operacją oczu. Słaby wzrok nie przeszkadzał jej prowadzić żelazną ręką tego całego kramu.

Ojciec miał eksponowane stanowisko w oddziale drogowym na stacji Łódź – Kaliska. W pracy poznał młodego piotrkowianina Klemensa Dworznieckiego i wyjednał u babci Walerii, aby odnajęła mu pokój. W 1919 do Klemensa przyjechała jego siostra Janina i również podjęła pracę na stacji jako biuralistka. Każdego ranka rodzeństwo szło do pracy z moim ojcem przez nowozałożony park Poniatowskiego. Codzienne spacerunki zbliżyły Janinę i Witolda, którzy coraz częściej szukali swojego towarzystwa. Wkrótce ku radości babci Walerii zaręczyli się. Razem pojechali do Piotrkowa, gdzie panna Janina Dworzniecka przedstawiła rodzicom przyszłego męża. To była moja mama. Rodzina Dworznieckich pochodziła z Kujaw. Posiadali spory majątek ziemski w okolicach Lipna. Seniorzy rodu Anna i Ksawery padli ofiarą epidemii cholery w 1863 r. Dwojgiem sierot Zosią i Józiem zaopiekowali się dalecy krewni. Zadbali o wykształcenie dzieci, dzięki czemu Józef otrzymał w czasach pracy w sądzie w Piotrkowie Trybunalskim.

Z małżeństwa Józefa z Eleonorą Wędołowską pochodziła moja mama. Babka Eleonora wcześniej zmarła, moja matka miała wtedy dopiero 9 lat. Bolesnie przeżywała i źle się czuła z drugą żoną ojca i kiedy nadarzyła się okazja, aby wyrwać się z domu przyjechała do brata Klemensa do Łodzi. Brat poznał ją z Witoldem Skoczylasem, który zapalał do młodej panny uczuciem i – jak wówczas mówiono – miał poważne zamiary.

Ślub

Młodym narzeczoną nie był jednak sądzący szybki ślub. Nieoczekiwanie w wieku 106 lat zmarła praprababka młodego – Romana i rodzina znalazła się w żałobie, potem ojciec jako zmilitaryzowany pracownik kolei dostał rozkaz wyjazdu na Wschód, gdzie w szybkim tempie odbudowywano szlaki kolejowe i mosty dla rozwijającej się ofensywy. W marcu 1920 r. sytuacja na froncie zmieniła się na niekorzyść Polaków. Bolszewicy odparli ich, aż po rzekę Słucz. Tego odcinka frontu bronił 26 pułk piechoty, gdzie w 8 kompanii, w II batalionie służył Gutek w stopniu sierżanta. W niedalekich Sarnach służył mój ojciec dowodząc roboczą kompanią kolejową. Przed świętami Wielkiej Nocy uspokoiło się na froncie, ojciec i Gutek dostali przepustki i w Wielki Piątek zjawili się w domu przy ulicy Radwańskiej, gdzie rodzina zebrała się przy świątecznym stole. Uwaga wszystkich biesiadników skupiała się na Gutku, który w dopasowanym mundurze legionisty zadawał szyku i popisywał się celnym okiem i pewną ręką, bo po kilku kieliszkach strzelał z pistoletu we framugi drzwi.

Świąteczny nastrój przerwał telegram wzywający Gutka do natychmiastowego powrotu. Trzy dni po świętach, jak grom z jasnego nieba dotarła wiadomość o jego śmierci. Mimo usilnych starań nie udało się babci Walerii zdobyć przepustki do strefy przyfrontowej. Po tygodniu przyszło oficjalne zawiadomienie z pułku: „Augustyn Skoczylas, sierżant 26 pułku p. p. 8 kompanii II, batalionu poległ śmiercią bohaterską w obronie Ojczyzny 21 kwietnia 1920 r. w potyczce z nieprzyjacielskim oddziałem kawaleryjskim, we wsi Kropiwnica pod Zwiachlem, o czym zaświadczyli dwaj pozostali przy życiu uczestnicy patrolu zwiadowczego. 30 kwietnia 1920 r. odznaczono Gutka pośmiertnie Orderem Wojennym *Virtuti Militari* V klasy zarejestrowanym pod numerem L. 1603. Nazwisko Augustyna Skoczylasa widnieje na pamiątkowej tablicy umieszczonej w archikatedrze łódzkiej ku czci harcerzy łódzkich poległych w 1920 r.

Z końcem wiosny ruszyła ofensywa bolszewicka pod wodzą marszałka Michaiła Tuchaczewskiego. Pod jej naporem Polacy, cofając się opuszczali pozycje. Mój ojciec zajęty organizowaniem transportu kolejowego, nie mógł przyjechać do Łodzi i tylko w listach prosił swoją narzeczoną, aby o nim pamiętała.

Tymczasem wiadomości z frontu były coraz bardziej niepokojące. Grupki uciekinierów z Podola, Wołynia i z Wileńszczyzny docierały nawet do Łodzi. Ludzie opowiadali historie mrozące krew w żyłach. Szczególnie złą sławą cieszyła się konnica Budionnego. Rząd ogłosił powszechną mobilizację. Młodzież gimnazjalna całymi klasami pod przewodnictwem swych nauczycieli zgłaszała się ochotniczo do punktów werbunkowych. Po krótkim przeszkoleniu jechali na front. Wśród ochotników znalazł się również Klemens Dworzniecki. Przed pójściem na front poprosił moją babcię Walerię, aby opiekowała się jego siostrą Janiną. W domu dziadków Skoczylasów moja mama poczuła się jak w rodzinnym domu. Wieczorami zasiadano wokół stołu, pilnie śledząc komunikaty z frontu, publikowane przez codzienne gazety. Bolszewicy zbliżali się do przedmieść Warszawy. Z niedowierzaniem i ulgą wszyscy

przyjęli wiadomość o odparciu wroga od bram stolicy. Gazety triumfalnie donosiły o panicznej ucieczce bolszewików. Teraz z niecierpliwością oczekiwano powrotu swych bliskich.

Pierwszy wrócił brat mamy – Klemens, potem mój ojciec. Natychmiast po jego powrocie dano na zapowiedzi i ślub moich rodziców odbył się na początku września 1920 roku. Zaraz po ślubie musieli wyjechać na Pomorze, w okolice Działdowa, gdzie ojciec objął stanowisko naczelnika stacji kolejowej. Stamtąd rodzice przenieśli się do Jabłonowa w województwie bydgoskim, gdzie 7 maja 1923 r. przyszedłem na świat. Na imię dano mi Włodzimierz Augustyn na pamiątkę po stryжку Gutku.

Powrót

Do Łodzi wróciliśmy w 1927 r. Ojciec rozpoczął pracę w Urzędzie Wojewódzkim w Wydziale Wodno – Melioracyjnym. Urząd mieścił się w pretensjonalnym pałacu Poznańskim. Przestronne sale, bogato zdobione rzeźbami, pilastrami, kinkietami i kryształowymi zwierciadłami lśniły blaskiem mozaikowych parkietów i nie nadawały się na biurowe pomieszczenia administracji. Po świętach Bożego Narodzenia pracownicy urzędu organizowali tradycyjne „choinki“ dla swoich dzieci. Pamiętam bogate wnętrza i wspólną zabawę uwieczoną fotografią.

Niedziele ojciec poświęcał na spacerze ze mną. Jeździliśmy do Parku Julianowskiego, by oglądać w tamtejszej menażerii dziką zwierzynę. W Helenowie pływaliśmy łódkami po stawach. W muszli koncertowej widziałem słynną Hankę Ordonównę, wtedy jeszcze tancerkę.

Bywało, że mama wyprawiała nas w niedzielne ranki do kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej na poranne nabożeństwo. Szliśmy przez park Poniatowskiego. Zwykle ulegaliśmy pokusie, kończąc niedzielne przedpołudnia mrożoną kawą w parkowej kawiarni, znajdującej się w miejscu, gdzie teraz przebiega aleja Mickiewicza i część terenów zajętych przez Wytwórnę Filmów Fabularnych.

Tam, gdzie dzisiaj jest wielki parking, obok łódzkiego Manhattanu biegła ulica Główna, a przy niej było kino „Adria“. Chodziliśmy tam z ojcem na filmy z Patem i Patachonem. Siadaliśmy w pierwszym rzędzie na balkonie. Cóż to były za wspaniałe komedie. To nic, że kino było nieme i tylko samotny pianista ilustrował muzyką zabawne perypetie moich ulubieńców. Śmiałem się szaleńczo, podskakiwałem na krześle i machałem z radości berecikiem, aż mi wreszcie wyleciał z ręki i wylądował wśród krzeseł parteru. Już go nie znaleźliśmy. Mała strata, krótki żal, bowiem na drugi dzień dostałem szkolną czapkę. Taką, jaką nosili uczniowie gimnazjum Zimowskiego⁴. Krążył taki złośliwy wierszyk na temat tych czapek:

*Kepi wojska francuskiego
Noszą małpy z Zimowskiego
A tą małpą się zachwyca
Druga małpa od Staszica...*

Do gimnazjum Zimowskiego ojciec zapisał mnie jesienią do wstępnej klasy „A”. Budynek szkolny z solidnej, czerwonej, klinkierowej cegły mieścił się przy ulicy Tylnej, na wprost wybudowanego po II wojnie światowej basenu „Olimpii”. Szkoła podobała mi się przez pierwsze trzy dni.

Ciążyła mi dyscyplina szkolna, a lekcje nudziły. Rad wyrывałem się spod szkolnych rygorów i po powrocie do domu biegałem z dziećmi jak oszalały.

W 1930 r. za rzeźnią przy ulicy Wołowej rozpoczęto budowę pierwszej łódzkiej radiostacji⁵. Budowniczo wie wznoszonego obiektu stołowali się w restauracji mojej babci. Gdy zakończono budowę i radiostacja miała rozpocząć emitowanie programu, odwiedził babcię stołujący się u niej pan Tokarczuk i poprosił o wypożyczenie do pierwszego programu muzycznego naszego gramofonu. Tak jest – to z babcinego gramofonu z bajecznie kolorową tubą, ustawionego przed mikrofonem popłynęły w eter dźwięki muzyki. Nie wiem, jakim utworem zainaugurowano tę pierwszą audycję, ale płyta na pewno pochodziła z łódzkiego Salonu Muzycznego Klingbeila.

Przez kilka lat mieszkaliśmy wspólnie z dziadkami, a potem przeprowadziliśmy się do nowego osiedla na Polesiu Konstantynowskim przy ulicy Srebrzyńskiej 81. Mieszkanie było standardowe, ale na owe czasy wygodne. Składało się z dwóch pokoi z kuchnią, przedpokoju i łazienki.

Po drugiej stronie ulicy Srebrzyńskiej, wzdłuż osiedla, aż po Manię powstał wielohektarowy park na Zdrowiu. Park ten stał się stałym miejscem moich zabaw. Romcia, córka ciotki Naci i Tolek syn ciotki Jadzi, byli już na tyle duzi, że mogli być współtowarzyszami moich różnorodnych poczyni. Tolek był bojaźliwy, ale Romcia która wyrosła na aktorkę była rezolutna i odważna. Meldowała się zawsze mnie jako dowódcy i potem bez lęku szła do najbliższych krzewów, aby narwać bzu.⁶

Po przeprowadzce na Polesie przestałem chodzić do wstępnej klasy gimnazjum Zimowskiego. Szkoła znajdowała się zbyt daleko od miejsca zamieszkania, a poza tym brakowało pieniędzy na opłacenie chesnego. Poszedłem do szkoły przy ulicy Wapiennej. Ta szkoła nie podobała mi się od początku. Wychowawcą naszej klasy był pan Jan Łopatko. Trzymał nas krótko i za każde przewinienie walił linijką po łapach.

W domu też nie działo się najlepiej. Ojciec stracił pracę w Urzędzie Wojewódzkim i powiększył grono bezrobotnych. Weksle wystawione na zakup mebli, nie wykupione w terminie, podlegały oprocentowaniu. Pewnego dnia, po powrocie ze szkoły zastałem w mieszkaniu kilka osób wynoszących stół, krzesła, kredens i inne sprzęty. Babcia płacząc, broniła na klęczkach ciemnozielonych kap na łóżka z wyprawy mojej mamy, a komornik przywykły do takich scen, spokojnie wypisywał kwity licytacyjne przypadkowym nabywcom naszych mebli.

Tak rozstaliśmy się z przytulnym mieszkaniem i rozrastającym się parkiem na Polesiu. Zamieszkaliśmy przy ulicy Hrabiowskiej za rzeźnią miejską. Właścicielem jednopiętrowej czynszówki był Niemiec Otto Herman, majster włókiennik. Skąpiąc sobie wszystkiego przez całe życie, wybudował dom, by zabezpieczyć się na

starość. Prymitywne, pojedyncze izby bez elektryczności, z wciśniętym w róg piecem kuchennym, zamieszkiwała miejska biedota, utrzymująca się z dorywczych zajęć, drżąca ze strachu przed kapryсами właściciela, by ten nie podwyższał komornego.

Wprowadziliśmy się na pierwsze piętro. Jedna izba z dwoma oknami zwróconymi na wschód nie chroniącymi przed ostrymi podmuchami wiatru. Wychodek na końcu podwórza, z rzadka opróżnianym dołem kloaczny, odstraszał od wieczornych wypraw do tego przybytku. Wodę nosiłem ze studni na podwórzu, dokonując zimą ekwilibrystycznych sztuk, by na oblodzonej śliskiej desce ustawić wiadro pod wylotem pompy. Pomyje wylewałem wprost do rynsztoka biegnącego środkiem bramy.

W izbie było ciasno, bo łóżka i kozetka zajmowały dużo miejsca. Woń gotowanych potraw mieszała się z zapachem wiecznie kopczącej lampy naftowej. Nie było nas stać na lampę stołową. Mama podjęła się prowadzenia kuchni w restauracji ciotek i przynosiła obiady do domu. Ojciec bezskutecznie szukał pracy. Z trudem wiązało się koniec z końcem.

Do szkoły miałem daleko. Mieściła się w czynszowej kamienicy u zbiegu ulic Zamenhoffa i Żeromskiego. Mieszkania zamienione na izby szkolne były niefunkcjonalne, czterdziestu uczniów z trudem mieściło się na zsuniętych ławkach. Wracając do domu przechodziłem koło wojskowego szpitala. Wtedy było to kilka drewnianych budynków pobudowanych przez Niemców w czasie I Wojny Światowej. Szpital ogrodzony był płotem z liszajowatych desek pomalowanych wapnem zabarwionych niebieską farbą do płukania bielizny. Kostnica szpitalna przylegała do ulicy i przypadkowi przechodnie mający ochotę odmówić „zdrowaśkę“ za zbawienie duszy zmarłego, mogli tam wejść.

W okresie kryzysu chodziłem w ubrankach przerabianych z czego się dało. Babcia Waleria przejęła na siebie obowiązek kupowania mi zimowych płaszczyków i butów. – Niech chociaż z wierzchu ma coś nowego na grzbiecie – mówiła rozdrażniona zabierając mnie do miasta na zakupy.



Szliśmy na Plac Wolności, gdzie roilo się od sklepików z gotową konfekcją. Babcia ignorowała hasło narodowców „Nie kupuj u Żyda“, a większość sklepów na Placu Wolności prowadzili Żydzi. By zdobyć klientów zatrudniali tzw. „łapaczy“, którzy nachalnie nagabywali przechodniów wciągając ich do sklepów.

- Tu masz pan, panie Goldbaum wielmożne panią, co by kupowała dla ten mały chłopaszek eleganckie paletko z futrowy kołnierz – wołał od progu „łapacz“ do sprzedawcy. Przymiarkom i targom nie było końca. Babcia zawsze wychodziła z tych potyczek zwycięsko płacąc pół ceny wymienionej na wstępie.

Lata młodości

W domu wreszcie minęła zła passa, ojciec dostał pracę przy budowie drogi Łódź – Łagiewniki. Magistrat łódzki, by przeciwstawić się narastającej fali bezrobocia przedsięwzięł roboty publiczne, w ramach których skanalizowano centralne ulice Łodzi i przystąpiono do budowy drogi Łódź – Łagiewniki.

Ojciec kierował grupą pomiarową wytyczającą trasę przyszłej drogi i wakacje 1933 spędziłem wraz z nim na tej budowie. Wkrótce znałem las łagiewnicki jak własną kieszeń. Nauczyłem się rozróżniać grzyby, ptaki i leśne zwierzęta. Sobota na budowie była dniem wypłaty. Pracę kończono nieco wcześniej i ściągające ze wszystkich stron brygady ustawiły się w kolejkach do kilku stolików, przy których kasjerzy wypłacali tygodniówkę.

Praca ojca przy budowie drogi poprawiła naszą sytuację materialną, to też natychmiast zmieniliśmy mieszkanie przenosząc się z Hrabiowskiej na Felsztyńskiego, gdzie mieszkanie było większe, miało światło i wodę. Ja także zmieniłem szkołę i przeniosłem się do Miejskiej Szkoły Pracy, przy ul. Łęczyckiej 23. Powołali ją radni miejscy, a dotował magistrat łódzki w którym władzę sprawowali wówczas socjaliści. Nauka była płatna, a poziom przewyższał państwowe szkoły powszechne. Tak więc mimo swych socjalistycznych korzeni była szkołą elitarną. Starannie dobrani nauczyciele uczyli według nowocześnie opracowanego programu. W klasie było 25 uczniów. Naszą klasą opiekowała się pani Triedrakowska doskonale rozumiejąca psychikę dziecka. Szkoła była koedukacyjna, co wpływało stymulująco na sposób zachowania rozwydrzonych chłopaków. Polacy, Niemcy, Żydzi wywodzący się z różnych warstw społecznych, o zróżnicowanym stopniu zamożności i odmiennych poglądach politycznych wyniesionych z domu rodzinnego, stanowili łatwo zapalny materiał. Jednak dzięki umiejętnemu postępowaniu pani Triedrakowskiej nigdy nie było zdrażeń na tym tle. Potrafiła taktownie zapobiec wszelkim przejawom nietolerancji. Dzięki niej stanowiliśmy grupę w której koleżeństwo i przyjaźń stanowiły najistotniejszą cechę naszego współżycia. Do innych niepospolitych wychowawców należała katechетка matka Urszula Ledóchowska, założycielka Zgromadzenia Sióstr Urszulanek SJK, zwanych potocznie szarymi urszulankami.

Różnie potoczyły się losy uczniów pani Triedrakowskiej, niekiedy tragicznie, co było udziałem całego naszego pokolenia, ale wszyscy ukształtowani przez szkołę i harcerstwo w trudnych chwilach wojny przyjęli godną patriotyczną postawę.

Mirka Krzaczkowska zginęła w Warszawie jako łączniczka, Romek Boniecki padł na powstańczych barykadach, Tadek Goldwag, Janusz Brum, Włodek Kwall, Olek Kapize, Kuba Ringart – spłonęli w piecach krematoryjnych Treblinka i Auschwitz. Jurek Sikorski został zakatowany podczas przesłuchań w łódzkim gestapo, Marek Cianciara przez trzy lata walczył w partyzantce w Górach Świętokrzyskich. Ci którym udało się przeżyć, po wojnie podjęli studia i dobrze zapisali się w historii Łodzi.

Kryśka Piotrowicz została cenionym chirurgiem, Leszek Woźniak – profesorem onkologii i rektorem Akademii Medycznej, Lolek Werth – wenerologiem, Kryśka Kozielska – architektem, Wacek Piotrowski był profesorem socjologii na Uniwersytecie Łódzkim, Halina Tagowska-Klatka – profesorem geografii. Hanna Bedryńska została wybitną aktorką w Dejmkowskim Teatrze Nowym w Łodzi, Janka Kmiecikowa pracowała jako stomatolog na Wybrzeżu, Zbyszek Kaźmierczak został cenionym konstruktorem samolotów, Andrzej Kolasiński – geologiem, a Włodek Gustkowski – członek PAN, zdolny chemik i biolog wynalazł środek do walki z cukrzycą. Bilans osiągnięć jak na jedną klasę – niebagatelny.

Zmiany, zmiany

W 1936 znowu przeprowadziliśmy się do bloków na osiedle Montwiłła-Mireckiego na Polesiu. Teraz miałem swój mały pokój przy kuchni, do którego nikt nie miał prawa wstępu, a szczególnie mama ze swoją szczotką i ściereczką do kurzu.

Na Polesiu nawiązałem stare kontakty z kolegami mieszkającymi w blokach. Jutek Sobczak, przyboczny drużyny harcerskiej z Kozin, pomógł mi do niej dołączyć i wyjechałem na obóz do Brzezin Kaliskich.

Tam zaprzyjaźniłem się z synem nauczyciela Maćkiem Zakrzewskim⁷ i jego siostrą Tereską. Nie spodziewałem się wtedy, że Tereska zostanie moją żoną i spędzę z nią tyle szczęśliwych lat. Rozsmakowałem się w życiu obozowym i wyjeżdżałem na kolejne spotkania.

Rok 1937 obfitował w zmiany. Ojciec pracował teraz w Magistracie Łódzkim, co stabilizowało naszą rodzinę. W domu pojawiło się radio na głośnik, ja dostałem aparat fotograficzny, a mój pokój zamienił się w ciemnię fotograficzną. Pochłonięty swoim fotograficznym hobby zawałem egzamin i dopiero przy drugim podejściu zdałem do nowo powstałego prywatnego Gimnazjum O. O. Bernardynów na Dołach. Budynek szkoły stał na górze. Przylegały do niego zabudowania klasztorne, a nieopodal stał mały kościółek. Przeorem klasztoru był ojciec gwardian Anstazy Pankiewicz,⁸ a dyrektorem Józef Kalisz.

Codziennosc szkolna pochłaniała nas, ale już interesowaliśmy się tym, co działo się w pełnej niepokoju Europie. Czuliśmy coraz bliżej wojnę.

W gimnazjum odbywała się zbiórka na Fundusz Obrony Narodowej, a ojciec Walenty agitował w klasach do zgłaszania się na „żywe torpedy”.

Mama i ciotki szykowały zapasy na wypadek wojny, a mężczyźni wiedli długie dysputy polityczne na temat posunięć rządu. Ilu było wujków, tyle pomysłów na prowadzenie przez rząd polityki zagranicznej.

Zgłosiłem się jak inni chłopcy z drużyny harcerskiej do kopania rowów przeciwlotniczych. Z Gdańska dochodziły niepokojące wieści o poczynaniach Niemców. Mimo tej atmosfery w upalne lato 1939 tkwiło w nas przekonanie, że ostatecznie do wojny nie dojdzie.”

Do wojny jednak doszło. Już 9 września 16-letni Włodzimierz Skoczylas znalazł się z ojcem w oblężonej Warszawie i miał swój udział w obronie stolicy, jako goniec między VII Oddziałem Inżynieryjnym na Grochowie, a Ratuszem. Po kapitulacji Warszawy wrócił z ojcem do Łodzi. W maju 1940 r. został aresztowany. Po krótkim pobycie w więzieniu na Radogoszczu 17 – letniego Skoczylasa przewieziono do obozu koncentracyjnego w Dachau, w którym przebywał aż do kwietnia 1945 r. Do Łodzi wrócił w marcu 1946 r. Podjął przerwana naukę i w 1947 r. rozpoczął studia na Wydziale Aktorskim w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Warszawie z siedzibą w Łodzi. Wychowanek Leona Schillera od 1952 r. związał się na stałe z teatrami Łodzi.

Kronikę rodziny skrzętnie spisywał aż do ostatnich dni życia. Losy najbliższych przeplatają się na jej kartach z historią miasta i łódzkiego teatru. Zmarł w 1993 r. w Łodzi. Córka Małgorzata poszła w ślady Ojca. Jest dziś aktorką w Teatrze Nowym.

Do druku opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska

- 1 Włodzimierz Skoczylas - (1923 - 1993), aktor, teatralny, filmowy i estradowy. Działacz ZASP. Od 1952 r. nieprzerwanie związany z Teatrem im. .S. Jaracza i Teatrem Powszechnym. W latach 1965- 1973 wykładowca i dziekan Wydziału Aktorskiego PWSFTViT .W 1970 r. wybrany najpopularniejszym aktorem Łodzi.
- 2 Lokomobila- maszyna złożona z kotła parowego, parowego silnika tłokowego i urządzeń pomocniczych , wykonana jako całość konstrukcyjna. W XIX w. była stosowana do napędu maszyn rolniczych, np. młóckarni, młynów, tartaków, prądnic w małych elektrowniach i pomp w przemyśle terenowym. Wielka Encyklopedia Powszechna, PWN Warszawa 1964, t.6, str.588.
- 3 Tatarzy polscy lub Muslimowi mieszkali w okolicach Wilna, Trok i Nowogródka. Przybyli w XIV-XV w. Zasilali wojska litewskie otrzymując w następstwie nadania ziemię. W XVI-XVII w. Tatarzy osiedlali się także na Suwalszczyźnie. Członkowie możliwych rodów tatarskich byli zrównywani w prawach ze szlachtą polską. Czeladź tatarska osadzana na wsiach i w miasteczkach trudniła się głównie garbarstwem, furmaństwem i ogrodnictwem. Tatarzy polscy korzystali ze swobód religijnych, wielu żeniło się z Litwinkami, przyjmowało chrzest i zupełnie asymilowało. W II Rzeczypospolitej Pułk Tatarskich Ułanów im Mustafy Achmatowicza brał udział w kampanii kijowskiej.
- 4 O gimnazjum Aleksiego Zimowskiego można przeczytać więcej w 3-4 numerze Kroniki z 2003 r. w artykule Jerzego Urbankiewicza pt. Takiej szkoły się nie zapomina.
- 5 Zob. Łódzka Rozgłośnia radiowa w latach 1930-1939 – Kronika miasta Łodzi, nr 1/2003
- 6 Romana Kamińska-Wałęsińska, długoletnia aktorka Teatru Powszechnego w Łodzi.
- 7 Historię rodziny Zakrzewskich zamieściliśmy w Kronice miasta Łodzi w nr 3-4 /2003.
- 8 Sługa Boży o. Anastazy Pankiewicz OFM zginął śmiercią męczeńską w obozie koncentracyjnym w Dachau w 1942 r.

Z łódzkiego raptularza

GRUDZIEŃ 2003

18 grudnia

→ W Uniwersytecie Łódzkim rozpoczęły działalność Akcelerator Technologii i Centrum Innowacji.

19 grudnia

→ Marcin Latało reżyser i operator rozpoczął zdjęcia do filmu „Nasza ulica”. Film opowiada o dziejach czteropokoleniowej robotniczej rodziny mieszkającej w tzw. famulakach przy ul. Ogrodowej. Projekt realizuje Opus Film.

20 grudnia

→ W 21 rocznicę śmierci Artura Rubinsteina - patrona Filharmonii Łódzkiej w Pałacu Poznańskim francusko-amerykański pianista Eugen Indjic zagrał koncert f-moll Chopina. Koncert ten Artur Rubinstein grał po raz ostatni w Łodzi w 1975 r.

→ Parafialne Punkty Patroli Piesznych - to nowe miejsca, gdzie mieszkańcy Łodzi będą mogli zgłaszać informacje o szczególnie niebezpiecznych rejonach, przestępstwach, rewirach działania dilerów narkotyków. Punkty stanowią fragment programu „Spokój na ulicach” ogłoszonego przez wiceprezydenta Łodzi - Karola Chądzyńskiego.

→ Zakończono remont ogromnego (pow. użytkowa wynosi ponad 7 tys. m. kw) zabytkowego budynku przy ul. Leczniczej. Gmach należał przed wojną do Kasy Chorych, obecnie mieszczą się w nim przychodnie lekarskie, apteka i szkoły. Była to największa inwestycja konserwatorska ostatnich lat w Łodzi.

21 grudnia

→ Piosenkarz Krzysztof Krawczyk obchodził 40-lecie pracy artystycznej. Z tej okazji w Teatrze Muzycznym odbył się uroczysty koncert.

→ Tygodnik „Solidarność” zaliczył prezydenta Łodzi-Jerzego Kropiwnickiego do grona „7 wspaniałych”, dzięki którym trudny rok 2003 był dla innych łatwiejszy. Prezydent Łodzi znalazł się w towarzystwie m. in. Jana Marii Rokity, Zbigniewa Ziobro, Lecha Kaczyńskiego i Janusza Śniadka.

24 grudnia

- Po raz pierwszy w Łodzi transmitowano do Internetu mszę świętą odprawianą o północy w noc wigilijną z kościoła pod wezwaniem św. Michała Archanioła na Bałutach. Decyzję taką podjął proboszcz ks. Marek Izydorczyk z myślą o niepełnosprawnych mieszkańcach parafii.
- W odremontowanej kamienicy przy zbiegu ulic Północnej i Kamińskiego otwarto pierwszy w mieście dom integracyjny. Będą w nim mieszkać niepełnosprawni, wychowankowie domów dziecka, oraz ci, którzy przekazali swoje mieszkania gminie z powodu trudnej sytuacji materialnej.
- Zdzisław Szczepaniak został laureatem konkursu „Gazety Wyborczej” i Radia Łódź na nowy tekst do melodii polskich kolęd.

29 grudnia

- Za wpływy uzyskane podczas charytatywnego koncertu „Okaż serce” zakupiono 70 rowerów, które przekazano wychowankom łódzkich domów dziecka. Latem odbędą się zawody sportowe, do których staną obdarowani rowerzyści.

30 grudnia

- Ziad Cattan- burmistrz pół-wsch. Bagdadu złożył wizytę prezydentowi Jerzemu Kropiwnickiemu. Prosił o pomoc przy założeniu Domu Dziecka. Podczas spotkania omówiono także możliwości szkolenia w Łodzi urzędników z Iranu, oraz współpracy firm.

Personalia

Krzysztof Pawlak – prezes „Polleny –Ewy” na ostatnim posiedzeniu Rady Nadzorczej zrezygnował ze stanowiska prezesa. Pawlak nie podał powodów swojej decyzji. Funkcję prezesa pełnił od 1991 r. Za jego kadencji kosmetyki „Ewy” zdobyły kilkakrotnie Złoty Medal Targów Poznańskich i godło „Teraz Polska.”

STYCZEŃ 2004

3 stycznia

Teatr Lalek „Arlekin” obchodził 55 rocznicę działalności. Od 1992 teatrem kieruje Waldemar Wolański. Do dnia dzisiejszego teatr przygotował 224 premiery, które obejrzało 10 milionów widzów. Z inicjatywy dyrektora Wolańskiego co dwa lata w Arlekinie odbywa się Międzynarodowy Festiwal Solistów Lalkarzy. Na jubileusz wystawiono spektakl dla dorosłych - „Weselicho” Tomasza Pietrasika.

4 stycznia

→ Ks. Waldemar Sondka twórca i dyrektor łódzkiego Teatru Logos odebrał w Poznaniu Pierścień Trzech Króli- nagrodę Duszpasterstwa Środowisk Twórczych w Poznaniu. Nagroda przyznawana jest osobom, których twórczość niesie wartości chrześcijańskie.

6 stycznia

→ Trzej prezydenci : Łodzi- Jerzy Kropiwnicki, Zgierza - Karol Maślinski i Pabianic - Jan Berner złożyli w Święto Trzech Króli hołd Dzieciątku przed szopką Archikatedry Łódzkiej. Przynieśli ze sobą dary : sztabkę złota, kadzielnicę i kadzidło oraz mirrę, które przekazali ks. arcybiskupowi Władysławowi Ziółkowi. Fundatorem darów była Łódź, w przyszłym roku dary zafunduje prezydent Zgierza, a w następnym - Pabianic.

7 stycznia

→ Marek Żydowicz twórca Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Autorów Zdjęć Filmowych Camerimage w Łodzi został uhonorowany Złotym Wawrzynem Paszportów Polityki.
→ Holenderski koncern elektroniczny Philips kupił najbardziej atrakcyjną działkę w śródmieściu Łodzi - naprzeciw Galerii Łódzkiej. Zostanie na niej wybudowane Centrum Finansowe firmy.

8 stycznia

→ Dominik Prussak -dziennikarz francuskiego radia i telewizji France 3 przyjechał do Łodzi zbierać materiały do kolejnego filmu dokumentalnego o naszym mieście. Tym razem będzie to film o łódzkim gettcie.
→ Julian Baranowski opublikował pracę opartą na materiałach pochodzących z Archiwum Państwowego w Łodzi. Książka nosi tytuł „ Obóz cygański w Łodzi. 1941-1942 ” i ukazała się w wersji polsko-angielskiej w przeddzień uroczystości upamiętniających zagładę Romów.

9 stycznia

→ Na 52 Światowej Wystawie Innowacji, Badań Naukowych i Nowych Technologii w Brukseli system opracowany przez prof. Andrzeja Napieralskiego i jego zespół z Katedry Mikroelektroniki i Technik Informatycznych Politechniki Łódzkiej otrzymał Srebrny Medal. System pozwala przewidzieć awarię generatorów prądu używanych w elektrowniach.

10 stycznia

→ Minęło pięć lat od pierwszego kameralnego koncertu w Pałacu Herbsta. Raz w miesiącu w pięknych wnętrzach rezydencji Księża Młyn odbywają się koncerty, które zyskały stałych słuchaczy.

→ Łódź uczciła pamięć Romów zamordowanych 62 lata temu w podobozie w Litzmannstadt Getto. Rano w bazylice Archikatedralnej została odprawiona msza święta, a kilka godzin później w Muzeum Tradycji Niepodległościowych (w filii na Radogoszczu) otwarto wystawę „Zagłada Romów Europejskich – podobóz cygański w Łodzi”. Przy ulicy Wojska Polskiego 84 – miejscu kaźni Romów spalonych przez hitlerowców odsłonięto pamiątkową tablicę. W uroczystościach uczestniczyli przedstawiciele władz Łodzi z prezydentem Jerzym Kropiwnickim na czele, przedstawiciele dyplomacji z ambasadorem Austrii w Polsce Georgiem Weissem. Szef Biura Bezpieczeństwa Narodowego - Marek Siwiec nadesłał na ręce Jerzego Kropiwnickiego list, w którym w imieniu prezydenta RP wyraził słowa uznania i podziękowania za zorganizowanie tych uroczystości. Obchody rocznicy przygotowano staraniem UMŁ, Romskiego Instytutu Historycznego i Archiwum Państwowego w Łodzi.

11 stycznia

→ W Filharmonii Łódzkiej rozpoczął się Polsko-Izraelski Festiwal Przyjaźni. Program opracowany przez Simcę Heleda - koncertmistrza Filharmonii Izraelskiej i Andrzeja Halucha - szefa Warszawskiego Impresariatu Muzycznego obejmuje 6 koncertów. Festiwal ma służyć głębszemu zrozumieniu obu kultur. Organizatorzy planują rozszerzyć imprezę o wykłady kompozytorskie i kursy mistrzowskie dla młodych solistów.

→ W Bibliotece Uniwersyteckiej otwarto wystawę fotografii Łodzi wykonanych przez Johanna Biedermanna w ciągu minionych dwudziestu lat. Autor –pracownik naukowy Instytutu Sławistyki w Giessen co roku odwiedza Łódź po której wędruje z aparatem fotograficznym.

→ Teatr im. S. Jaracza wystawił na Dużej Scenie „Historię o Miłosiernej, czyli testament psa” Ariano Suassuny w adaptacji Remigiusza Brzyka i Zdzisława Jaskuły. Reżyseria Remigiusz Brzyk.

14 stycznia

→ Z zajezdni przy ulicy Tramwajowej odjechał do Genewy cityrunner. Tramwaj został wypożyczony Szwajcarom w ramach zawartej umowy między przedsiębiorstwami komunikacyjnymi obu miast.

→ W Muzeum Sztuki wystawiono po raz pierwszy w Polsce instalację „Merzbau” Kurta Schwittersa, oraz prace amerykańskiej artystki Jack OX.

17 stycznia

→ Prof. Franciszek Wesołowski znany i ceniony teoretyk muzyki obchodził 90-te urodziny. Z tej okazji Akademia Muzyczna w której jubilat piastował funkcję prorektora przez dwadzieścia jeden lat przygotowała „Dzień Jubilata” na który złożyły się: sesja naukowa i koncerty muzyki dawnej.

18 stycznia

→ 100-letnie urodziny obchodzili trzej mieszkańcy Łodzi : Natalia Gortat, Marianna Kolczyńska i Stanisław Florczak. Jubilatów odwiedził z życzeniami prezydent Jerzy Kropiwnicki.

19 stycznia

→ W 59 rocznicę wyzwolenia Łodzi spod okupacji hitlerowskiej na terenie Muzeum Martyrologii i Walk na Radogoszczu odbyła się uroczysta zmiana warty reprezentacyjnej kompanii Wojska Polskiego z Leżnicy. Hołd ofiarom oddali przedstawiciele władz miejskich z prezydentem Jerzym Kropiwnickim.

21 stycznia

→ W Ambasadzie Serbii i Czarnogóry w Warszawie zaprezentowano numer (7-9/2003) „Tygla Kultury” zatytułowany *Serbowie na Ziemi*. Numer poświęcony literaturze i kulturze serbskiej prezentowali Hanna Baltyn, oraz redaktor naczelny Zbigniew Nowak. Obecny był wiceprezydent m. Łodzi-Miroslaw Orzechowski oraz liczne grono slawistów z całej Polski. Wyrazy uznania i podziękowania za inicjatywę i propagowanie współczesnej literatury serbskiej przekazał redakcji ambasador nadzwyczajny i pełnomocny Serbii i Czarnogóry - Zoran Novakovič.

→ Uczniowie XXVIII LO , którego budynek znajduje się na terenie dawnego getta przygotowali uroczystość dla uczczenia tragicznych wydarzeń na Stacji Radegast w latach 1942-44.).W akademii uczestniczył prezydent Jerzy Kropiwnicki. Po akademii w marszu milczenia młodzież przeszła do budynku stacji, gdzie złożono wiązanek kwiatów Licealiści zobowiązali się do opieki nad tym pomnikiem pamięci.

22 stycznia

→ Z okazji 141 rocznicy wybuchu Powstania Styczniowego Jerzy Kropiwnicki i Andrzej Ostoja-Owsiany złożyli kwiaty na mogiłach powstańców na Starym Cmentarzu przy ul. Ogrodowej. W niedzielę 25 stycznia w kościele Wniebowzięcia NMP odprawiono mszę św. w intencji poległych i zmarłych. Złożono także kwiaty w miejscach straceń na Bałutach. Uroczystości organizowały Związek Legionistów Polskich i ich Rodzin, oraz Społeczny Komitet Pamięci J. Piłsudskiego.

24 stycznia

→ Na dużej scenie Teatru Nowego odbyła się premiera angielskiej farsy „Mayday” Raya Cooneya w przekładzie Elżbiety Woźniak i reżyserii Ryszarda Nyczka. Scenografię opracowała Marzena Skoneczko.

26 stycznia

→ Od dziś Klinika Ortolaryngologii w szpitalu WAM przyjmuje chorych w pomieszczeniach po generalnym remoncie. Lekarze otrzymali również do dyspozycji nowoczesny sprzęt przekazany przez Komitet Badań Naukowych.

27 stycznia

→ Prof. Tadeusz Robak - kierownik Kliniki Hematologii Uniwersytetu Medycznego został łodzianinem roku 2003 w plebiscycie Radia Łódź, Telewizyjnej „Trójki” i „Dziennika Łódzkiego”.
→ Nieznani sprawcy dokonali bandyckiego napadu na bank Pekao S.A. przy ulicy Łagiewnickiej 118 i skradli 150 tysięcy złotych.

31 stycznia

→ Na I Kongresie Założycielskim Chrześcijańskiego Ruchu Samorządowego powiatu łódzkiego wybrano władze i przyjęto uchwały. Prezesem Zarządu Klubu Powiatowego CHRS w Łodzi został Marian Papis, vice-prezesem – Stanisław Januszewski, sekretarzem – Jędrzej Jagiełło, a skarbnikiem – Urszula Trochanowska. Ponadto do Zarządu weszli: W. Androsow, K. Chądzyński, Z. Klajnert, A. Korasiewicz, M. Kowalik, J. Kropiwnicki, A. Ostoja-Owsiany, W. Tomaszewski i W. Wieczorek. Do Ruchu zgłosiło swój akces 400 osób.

Personalia

Andrzej Maria Marczewski – reżyser z Warszawy został nowym dyrektorem Śródmiejskiego Forum Kultury.

LUTY 2004

1 lutego

→ W szpitalu MSWiA oddano do użytku oddział o podwyższonym standardzie. Pokoje są wyposażone jak w trzygwiazdkowym hotelu i przeznaczone dla VIP-ów. Fakt ten wywołał na łamach prasy dyskusję pacjentów i lekarzy.

5 lutego

→ 45 prac najlepszych dyplomantów Akademii Sztuk Pięknych pokazano na wystawie w Centralnym Muzeum Włókiennictwa. „Rocznik ASP 2003”. Są wśród nich tkaniny, biżuteria, rzeźby, obrazy olejne i grafiki. Pięciu najzdolniejszym absolwentom przyznano honorowe statuetki.

6 lutego

→ Na Politechnice Łódzkiej odbyło się III Ogólnopolskie Forum Doktorantów. Reprezentanci 28 tysięcy doktorantów w Polsce postanowili sformułować postulaty, które znalazłyby odbicie w nowym prawie o szkolnictwie wyższym. Obecnie osoby przygotowujące rozprawy doktorskie na ogół nie mają stypendiów, umów o pracę i ubezpieczeń.

→ Badania sondażowe wykazały, że weekendy w Łodzi spędza 3000 warszawiaków. W karnawale Przedsiębiorstwo Turystyczne -“Łódź” reklamowało w Warszawie m.in. na paragonach w warszawskich supermarketach tanie noclegi w łódzkich hotelach.

7 lutego

→ Jan Machulski z okazji 75 urodzin opublikował zbiór wywiadów, felietonów i scenariuszy zatytułowanych „Benefis” w wydawnictwie Wojciecha Grochowalskiego.”. Jubilat i wydawca promowali książkę w stacji Nowa Gdynia.

8 lutego

→ Na Małej Sali Teatru Nowego odbyła się premiera „Chłopców” Stanisława Grochowiaka w reżyserii Marka Pasiecznego, scenografii Krzysztofa Tyszkiewiczza, z muzyką Roberta Łuczaka.

9 lutego

→ W Centrum Kultury i Historii Żydów odbyło się spotkanie na temat wydarzeń Marca 1968 r. W dyskusji uczestniczyli m.in.: przewodniczący żydowskiej gminy wyznaniowej w Łodzi - Symcha Keller, prezydent Łodzi-Jerzy Kropiwnicki, oraz publicyści; Marian Turski, Bronisław Wildstein i Seweryn Blumsztajn. Nagrane na taśmy wypowiedzi nadesłali: Jacek Kuroń, Gustaw Holoubek i Wojciech Młynarski. Dyskusji przysłuchiwali się świadkowie tamtych lat, oraz młodzi łodzianie. Marzec 1968 r. to jedno z najbardziej dramatycznych i kompromitujących wydarzeń powojennej historii Polski.

→ Uniwersytet i Politechnika w Łodzi przystąpiły do działań mających na celu ograniczenie pracy, oraz pełnienie kierowniczych stanowisk na kilku uczelniach, głównie niepaństwowych. Uniwersytet już opuściło 80 osób dla których praca na tej uczelni była drugim zatrudnieniem.

→ W Poleskim Ośrodku Sztuki otwarto wystawę „Świat .Fotografie dzieci z Jasionki i Krzywej”. Na wernisaż przyjechali wszyscy autorzy w wieku od 7 do 19 lat. Dzieci mieszkają w popegeerowskich wsiach, skąd do kina i biblioteki jest 30 kilometrów. Dwa lata temu we wsi zorganizowano warsztaty fotograficzne. Najlepsze fotografie zostały wydane w albumie i były pokazywane w Warszawie, Krakowie, oraz w Wiedniu i w Goeteborgu. W maju jadą do Berlina. Dzieciom udało się osiągnąć to, czego nie potrafią dorośli- zatrzymać w kadrze otaczający je, autentyczny świat. Młodzi autorzy opowiadali, że udział w projekcie pozwolił im pokonać lęk wobec ludzi i świata, oraz uwierzyć we własne siły.

→ Tadeusz Wilkosz reżyser-animator wykupił swoje filmy ze Studia Filmowego „Semafor” i podarował je Muzeum Kinematografii. W likwidowanym „Semaforze” pozostało jeszcze 300 filmów animowanych w cenie 30 zł za jeden film. Muzeum Kinematografii brakuje na te zakupy pieniędzy.

13 lutego

→ W Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarto wystawę prac artystów skupionych w Stowarzyszeniu Artystów św. Jerzego założonym siedem lat temu. Jest to już trzecia, wspólna ekspozycja.

17 lutego

→ Galeria Atlas Sztuki wygrała konkurs ogłoszony przez Ministra Kultury i redakcję „Art. & Business pod hasłem : „ Sztuka współczesna w przestrzeni publicznej”. O wygranej zadecydowała wystawa obrazów Romana Opałki .

18 lutego

→ Na trzech piętrach pubu Łódź Kaliska odbywała się wielka jubileuszowa impreza z okazji XXV-lecia grupy artystycznej. Przebieg jubileuszu będzie można zobaczyć w II programie Telewizji Polskiej.

→ Kilkudziesięciu przedstawicieli łódzkich firm spotkało się z prof. Wojciechem Katnerem dyrektorem programu offsetowego na Uniwersytecie Łódzkim. Dyskutowano o trudnościach wynikających z programu.

→ Ambasador Stanów Zjednoczonych Ameryki w Polsce- Christopher R.Hill i rektor Uniwersytetu Łódzkiego - prof. dr hab. Wiesław Puś uroczystie otworzyli American Corner - Amerykańskie Centrum Kultury i Informacji. Centrum mieści się w gmachu Wydziału Zarządzania UŁ przy ul. Matejki 22/26. Dysponuje bogatą biblioteką i filmoteką, oraz komputerową bazą czasopism zagranicznych. Z Centrum mogą korzystać wszyscy zainteresowani z terenu miasta.

21 lutego

→ Aneta Markowska - dziennikarka z „Gazety Wyborczej” w Łodzi otrzymała nagrodę „Bene Meritus” przyznaną przez sąd za „szerzenie wśród łodzian wiedzy prawnej, rzetelność, krytyczną dociekliwość i wysoki poziom merytoryczny publikacji prasowych”.

20 lutego

→ Instytut Elektrotechniki Politechniki Łódzkiej obchodził jubileusz 30-lecia. Przed laty Instytut podjął wyzwanie współczesności - wykształcił 1200 specjalistów w zakresie elektroniki, wypromował samodzielną kadrę naukową i prowadzi badania naukowe w zakresie dynamicznie rozwijającej się elektroniki.

24 lutego 2004

→ Teatr „Logos” wyjechał w 28 podróż zagraniczną, tym razem do Chicago. Aktorzy wystąpili na deskach istniejącego od 1918 r. Chopin Theatre ze spektaklem „Przejazd TAM” w reżyserii Ewy Wycichowskiej.

→ Powstała nowa prowincja kościelna. Watykan ogłosił decyzję o powołaniu metropolii łódzkiej w skład której weszły: archidiecezja łódzka i diecezja łowicka. Pasterz kościoła łódzkiego - arcybiskup Władysław Ziśka został metropolitą.

25 lutego

→ Prezydent Łodzi - Jerzy Kropiwnicki i marszałek woj. łódzkiego-Mieczysław Teodorczyk podpisali deklarację o wspólnej promocji miasta i regionu.

MARZEC 2004

2 marca

→ Kazimierz Górski - słynny trener piłkarski obchodził w Łodzi 83 urodziny. Jubilat patronuje Szkole Mistrzostwa Sportowego w Łodzi.

4 marca

- Szwedzki koncern ABB planuje przenieść do Łodzi ze Szwecji fabrykę transformatorów małej mocy. Decyzja podyktowana jest znakomitymi wynikami finansowymi łódzkiej ABB. Przyniesie nowe miejsca pracy dla 260 osób.
- W Muzeum m.Łodzi w Pałacu Poznańskiego otwarto wystawę fotografii Adama Bujaka będących kroniką pielgrzymek do Ojczyzny Jana Pawła II.
- Księgarze łódzcy przystąpili do akcji „Apetyt na czytanie”. W czwartki książki będą sprzedawane z rabatem, w księgarniach autorzy spotkają się z czytelnikami, odbywać się koncerty i projekcje filmowe. Wszystkie te działania mają ożywić zainteresowanie książką i przywrócić należytą pozycję zawodowi księgarza.
- W Galerii Bałuckiej przy Starym Rynku otwarto wystawę prac malarskich Mileny Romanowskiej. Jest to szósta indywidualna wystawa łódzkiej artystki.
- W Poleskim Ośrodku Sztuki prezentowano serbski numer „Tygla Kultury”, oraz książkę Janko Vujinowicia „Panika w pociągu intercity”. Serbskie pieśni i tańce ludowe, oraz spektakl p t: „O Boże ” zaprezentowali studenci z Koła Naukowego Sławistów. Do organizacji spotkania przyłączyła się Katedra Filologii Słowiańskiej UŁ i łódzki oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

5 marca

- Na ekrany kin łódzkich wszedł słynny film Mela Gibsona „Pasja”. Jeszcze przed premierą film wzbudzał gorące dyskusje na całym świecie.
- W łódzkiej „Gazecie Wyborczej” ukazał się pierwszy zeszyt encyklopedii „Kto jest kim” zawierający biogramy znanych łódzian.
- Teatr im S. Jaracza w ramach projektu : „Teatr Jaracza - europejski teatr bez barier” zawarł porozumienie z prezydentami Skierniewic, Sieradza, Piotrkowa i Kutna. W tych miastach teatr zamiera otworzyć swoje sceny i wystawiać spektakle. Część funduszy na modernizację scen będzie pochodzić z funduszy unijnych.

8 marca

→ Międzynarodowa firma doradcza McKinsey zamierza stworzyć w Łodzi ośrodek nowych technologii. Projekt, który pomoże wyciągnąć miasto z kryzysu zakłada budowę centrów księgowych, finansowych, informatycznych i ściąganie kooperantów dla łódzkich producentów AGD.

→ Tegoroczne Polskie Nagrody Filmowe „Orły” przypadły twórcom z Łodzi. Otrzymali je : Krzysztof Ptak za zdjęcia do filmu „Pornografia”, Magdalena Tesławska i Paweł Grabarczyk za kostiumy do „Starej Baśni.”, Katarzyna Figura za najlepszą rolę i Jarosław Kamiński za montaż filmu „Żurek”.

9 marca

→ Kopalnie i elektrownie z Bełchatowa i Turowa, oraz elektrownia z Opola zawiązały w Łodzi spółkę BOT Górnictwo i Energetyka. Holding z siedzibą w Łodzi będzie największym producentem energii w Polsce.

10 marca

→ Podczas XXVII Sesji Rady Miejskiej w Łodzi zatwierdzono projekt uchwały wniesiony przez prezydenta Jerzego Kropiwnickiego o sposobie udzielania i rozliczania dotacji na prace konserwatorskie, restauratorskie i inne w zabytkowych obiektach nie należących do miasta.

11 marca

→ Łódź była jedynym miastem w Polsce w którym otwarto wystawę rycin z kolekcji Narodowych Rycin Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych San Fernando. Wystawa otwarta w Pałacu Poznańskim nosi tytuł : „ Velázquez po Velázquezie”.

12 marca

→ Prof. Marek Belka podczas spotkania z przedsiębiorcami w Łódzkiej Izbie Przemysłowo-Handlowej przedstawił możliwości współpracy z Irakiem.
→ W wydawanym w Nowym Jorku polonijnym „Nowym Dzienniku” ukazał się reportaż o Łodzi pióra Piotra Pluta zachęcający do zwiedzania miasta.
→ Łódź odwiedził generał Dawid Peleg - nowy ambasador Izraela w Polsce. Ambasador był szczególnie zainteresowany programem uroczystości związanych z 60-ą rocznicą likwidacji łódzkiego getta.

13 marca

→ Z powodu żałoby narodowej ogłoszonej po tragedii w Madrycie prezydent Jerzy Kropiwnicki odwołał sobotnie spektakle teatralne i zaapelował do udziału w niedzielnej mszy św. w intencji ofiar w bazylice archikatedralnej w dniu 14 marca.

14 marca

→ W 30 rocznicę śmierci o.Tomasza Rostworowskiego S.J.- niezapomnianego duszpasterza akademickiego w kościele oo.jezuitów odbyło się spotkanie wychowanków i przyjaciół kapłana. Po mszy św. prezentowano świeżo wydane wspomnienia i dzienniki o. T. Rostworowskiego pt.: „Szerzyć królestwo”

→ W Teatrze Nowym odsłonięto tablicę ku czci Idy Kamińskiej - wybitnej aktorki i reżysera, która w latach 1948-53 kierowała Teatrem Żydowskim w Łodzi.

15 marca

→ Z pomocy „Bezdomnego autobusu” kursującego po ulicach Łodzi korzystało każdej nocy od 200 do 300 bezdomnych. Autobus uruchomiony z inicjatywy miasta, MPK i Schroniska im .Brata Alberta jeździł po ulicach miasta od początku zimy do 15 marca, będzie jeździł dłużej jeśli utrzymają się niesprzyjające warunki atmosferyczne.

→ Na scenie walczącego o przetrwanie Teatru Wielkiego odbyły się pierwsze w tym sezonie premiery. Wystawiono „Pajace” R. Leoncavallo i „Rycerskość wieśniaczą” P. Mascagniego w reżyserii Magdaleny Łazarkiewicz.

Personalia:

→ Wojciech Łaszkiwicz objął stanowisko pełnomocnika ds. ratownictwa medycznego.

→ Joanna Skrzydlewska została koordynatorem zespołu doradców prezydenta m.Łodzi.

→ Przemysław Lis Markiewicz będzie pełnił funkcję szefa Polleny Ewy.

Opracowała: Małgorzata Golicka-Jabłońska

Z łódzkiego raptularza

Listy



Wojewódzkie Stowarzyszenie Budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii Łódź

ul. Gdańska 13

90-706 Łódź

Pan
Gustaw ROMANOWSKI
Redaktor Naczelny
„Kroniki Miasta Łodzi”
ul. Piotrkowska 110
90-004 Łódź

Wielce Szanowny Panie

Z wielką satysfakcją zapoznałem się z artykułem pt. Od pomysłu do odsłonięcia Pomnika Armii „Łódź”.

Wyrażam podziękowanie i głęboką wdzięczność Redakcji „Kroniki Miasta Łodzi”, za obszerną i dobrze udokumentowaną relację z przebiegu budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”.

Została ona obiektywnie przedstawiona od narodzin pomysłu do chwili realizacji zgodnie ze stanem faktycznym, który oddaje pełne naświetlenie wydarzeń związanych z trudnościami i zmianą projektu.

Dzięki pomocy wielu sponsorów, oraz osób uczestniczących w realizacji budowy, a także wielu anonimowych nabywców „cegielek”, nie byłoby możliwe zrealizowanie budowy. Trudno jest ocenić stopień zaangażowania oraz wymienić wszystkie osoby, wobec czego pozwolę sobie w imieniu Stowarzyszenia złożyć wszystkim tym, którzy w większym lub mniejszym stopniu przyczynili się do budowy Pomnika – serdecznie podziękować.

Z wyrazami głębokiego szacunku

Przewodniczący Stowarzyszenia



10671-A

